

A photograph of a narrow, paved road that curves gently through a dense forest. The road is wet and reflects the light, suggesting it has recently rained. The trees on either side are lush, with many leaves showing vibrant autumn colors of yellow, orange, and red. A thick mist or fog hangs in the air, obscuring the road's path in the distance and creating a sense of mystery and isolation. The overall atmosphere is quiet and somewhat somber.

Mikel Santiago

ZŁA DROGA

ZŁA DROGA

Mikel Santiago

Przełożyła Maria Mróz

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Tytuł oryginału
EL MAL CAMINO

Redakcja
Krystian Gaik

Projekt okładki
Pola Raplewicz & Daniel Rusiłowicz DEERHEAD Sp. z o.o.

Zdjęcia na okładce
© Christos Vladenidis / Shutterstock

Korekta
Maciej Korbański

Redaktor prowadzący
Anna Brzezińska

Copyright © by Mikel Santiago, 2015
This edition c/o SalmaiaLit, Literary Agency
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017
Copyright © for the Polish translation by Maria Mróz, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-581-7

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Nerei,
z najświętszą obietnicą

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

1

Wszystko zaczęło się od tego, że Chucks od paru dni nie dawał znaku życia. Nie odbierał telefonu, nie odpowiadał na maile ani nie przejawiał aktywności na WhatsApp, co oczywiście mogło po prostu oznaczać, że zaszył się w studiu nagrań, które sobie urządził w piwnicy, pracuje bez wytchnienia i sypia na kanapie.

Ale jeśli jednak coś mu się stało?

Wysłałem mu wiadomość w środę, a w czwartkowy wieczór próbowałem się dodzwonić, ale nie był na tyle uprzejmy, żeby choć nagrać na komórce komunikat: „Przepraszam. Jestem zajęty”. Zresztą w tamtym tygodniu także i ja nie leniuchowałem, przysięgam. Jeśli nawet chwilowo nie oganiałem się od dziennikarzy, ciągle musiałem gdzieś jeździć z Miriam. Kupowaliśmy obrusy, kufry, świeczniki z brązu i inne kurzołapy, którymi postanowiła do reszty zagracić nasze i tak już okropnie zabałaganione prowansalskie schronienie. No i tak minęło mi kilka dni bez kontaktu z Chucksem, co w końcu naprawdę mnie zaniepokoiło.

Moją pierwszą myślą było, że cała ta sytuacja może mieć racjonalne wytłumaczenie. No bo jeśli założyć, że popłynął w rejs wzdłuż włoskiego wybrzeża z Jackiem Ontamem i jego przyjaciółkami, jego milczenie jest usprawiedliwione, ale w takim razie dlaczego mnie nie uprzedził o swoich planach podczas naszej ostatniej rozmowy? W poniedziałkową noc pożegnaliśmy się w barze Pod Czerwonym Bukiem, leżącym w połowie drogi między moim domem i jego posiadłością, mówiąc sobie: „Do szybkiego zobaczenia”.

Ale teraz był już piątkowy rano dwudziestego piątego maja. Byłem w domu sam, bo moje dziewczyny dość wcześnie dzisiaj wyjechały: Miriam do jakiejś galerii sztuki w Nicei, a Britney do szkoły – uczyła się w państwowym liceum imienia generała Charles’a de Gaulle’a, gdzie wkrótce miał się skończyć rok szkolny. Wykonałem już rutynowe ćwiczenia rozciągające, parę pozycji jogi, sto brzusków i miałem właśnie rozpocząć mój „ciężki” dzień pracy pisarza.

Zrobiłem sobie filiżankę kawy, położyłem na talerzyku dwa pączki z dziurką (ze świadomością, że każdy pączek to dodatkowe dwadzieścia brzusków) i wyszedłem do ogrodu, kierując się do drewnianej szopy, w której zwykle pisałem. Odpaliłem mojego macbooka, ale zanim cokolwiek zacząłem robić, rzuciłem okiem na komórkę, żeby przekonać się, czy Chucks odpowiedział mi na ostatnią wiadomość: „Żyjesz? Co z tobą?”. Ale nie. Ani mru-mru.

Od niemal roku mieszkaliśmy w południowej Francji, a zza kończącej się wiosny wyglądało już niecierpliwie lato. Powietrze drżało od śpiewu cykad, słońce paliło trawę, a na wspinających się na zielone zbocza uliczkach kamiennych miasteczek rozlegały się krzyki bawiących się dzieci. Mijające dni żegnało bicie dzwonów i szczekanie psów. Rodowici mieszkańcy Prowansji, zasiedziali i niechętnie nastawieni do zwiedzania świata – bo po co się ruszać z miejsca na Ziemi, którego cały świat im zazdrości? – przyjęli nas dość życzliwie, a przynajmniej nie wrogo. Obojętnie. Z domieszką tego niedbałego szyku, odwiecznej elegancji, której nie musieli się

uczyć, którą dziedziczyli w genach.

Chucks właściwie wcale tu nie pasował. Jednak też tu mieszkał, a jakże. Samotnie, co było w jego stylu. I stał się częścią układanki, niedającą się dopasować do pięknego obrazka, którym miało być nasze nowe życie. Gdy tak rozmyślałem w swojej szopie, nagle przypomniał mi się Jimi Hendrix, który wyciągnął nogi, zanim skończył nagrywać swoją najlepszą płytę. Że tak było, dowiedziałem się właśnie od Chucksa. Moja wyobraźnia natychmiast zaczęła dostarczać mi obrazów kumpla w jego podziemnym studiu nagrań, porażonego prądem z wadliwego kabla czy też strutego winem z jednej z tych starych, omszałych butelek po tysiąc euro za sztukę, które miał w piwniczce.

A ja byłem jego jedynym przyjacielem w promieniu tysiący lat świetlnych. Przyjacielem, którego wyobraźnia zaczęła szaleć i uniemożliwiała pozostanie z założonymi rękami choćby minutę dłużej.

Wypiłem łyk kawy i poderwałem się z krzesła.

W mgnieniu oka wrzuciłem na grzbiet skórzaną kurtkę i już przekręcałem kluczyk w stacyjce mojej alfy romeo spider rocznik 88. W garażu rozległ się ryk silnika. Mimo pośpiechu wolniutko wyjechałem wąską dróżką przez frontowy ogród, zamknąłem bramę pilotem i wciśnięciem guzika uruchomiłem system alarmowy w domu.

Nasz dom w Saint-Rémy i posiadłość Chucksa w dolinie Sainte Claire dzielił dystans około piętnastu kilometrów. Wąska lokalna droga prowadziła raz w górę, raz w dół, wiła się licznymi zakrętami, przecinała pola lawendy i plantacje winorośli, mijała wioski zabudowane starymi domami o ścianach porośniętych bluszczem i obficie ukwieconych oknach.

Wrzuciłem do odtwarzacza *Exile on Main Street* Stonesów i podkręciłem głośność na maksa (zgoda, może trochę bardziej, niż to wskazane). Utwór *Tumbling Dice* przeważnie skłaniał mnie do głośnego akompaniamentu wokalnego, ale tym razem byłem zajęty myślami o Chucksie. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy w ten poniedziałek, gdy się ostatnio widzieliśmy, o czymś ważnym mi mówił. O jakiejś fance, której odwiedzin się spodziewał i z którą może właśnie baraszkował w stylu Johna i Yoko na kanapie w swym studiu? O jakiejś planowanej podróży?

Nie i nie. Nic takiego. Tamtego dnia jedynie podzielił się ze mną swoimi uczuciami, powiedział, jak bardzo czuje się szczęśliwy w Prowansji, prowadząc nowe życie „człowieka jaskiniowego” i nagrywając swój najnowszy album.

– Zawsze myślałem, że magia istnieje jedynie w Londynie. Że jeśli kiedykolwiek opuszczę Londyn, stracę do reszty wenę. A sam powiedz, czy nie idzie mi fantastycznie w tej pieprzonej jaskini? – stwierdził.

Wcześniej spędziliśmy sporo czasu za konsolą mikserską w jego „jaskini” – starej piwnicy na wino przekształconej w studio nagrań. Słuchaliśmy jego nowej płyty. To było najlepsze, co zrobił w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Magiczne. Jak powrót do pierwszej i drugiej płyty, które nagrał w początkach lat dziewięćdziesiątych. Chucks, wokalista zespołu *The Blind Sculpture*, był wtedy przystojnym, zbuntowanym dwudziestoparolatkiem, który właśnie odkrył, że może tworzyć nieśmiertelne piosenki. Jak w swoim czasie Jim Kerr czy Bryan Ferry. A na tym nowym krążku, *Beach Ride*, było kilka naprawdę świetnych utwo

– Powrócę, Bert. Po tylu latach beznadziei. To będzie prawdziwy powrót! – powiedział.

Byłem szczerze przekonany, że tak właśnie się stanie. Album miał mieć premierę w październiku i Jack Ontam, agent Chucksa, już domykał daty koncertów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie na następne lato. Z udziałem prawdziwych gwiazd: Lany del Rey

(w Los Angeles – szkoda, bo Britney umierała z chęci poznania jej) i Dave’a Grohla, co zapewniało dobrą prasę na start. Nie było wcale szaleństwem spodziewać się, że *Beach Ride* powalczy o nagrodę BRIT Award lub co najmniej MTV Music Award. Nie ulegało wątpliwości, że Chucks – teraz już bardziej dojrzały – stoi u progu nowej kariery. Miałem nadzieję, że na tym nowym etapie życia będzie się starał utrzymywać w trzeźwości co najmniej pięć dni w tygodniu, żeby móc się nacieszyć sukcesem.

Dotarłem do miasteczka Sainte Claire, skąd wąska droga, prowadząca przez mostek na rzeczce Vilain, a potem przez las, wiodła do posiadłości Chucksa – Le Mas des Citronniers. Był to typowy, wielki kamienny dom prowansalski, z pergolami oplecionymi winoroślą i o stolارce pomalowanej na błękitny kolor. „Renesansowy – zwykły powtarzać z upodobaniem Chucks, udając, że rozumie, o czym mówi – ten dom jest renesansowy”. Sądzę, że usłyszał to stwierdzenie od agentki z biura nieruchomości i zapisał je sobie w pamięci, żeby nim zaskakiwać odwiedzających gości. Nieważne, bo tak czy siak, dom był piękny. Otaczały go sady cytrynowe, skalne ogródki i tarasy. W skład posiadłości wchodziły także kamienne schody i basen w kształcie nerki. Chucks zaprosił nas pewnego razu na kolację, mnie i Miriam, i – mimo iż Miriam nie znosi Chucksa – nawet ona musiała przyznać, że wykazał się doskonałym gustem przy zakupie domu. „Może i gustem, ale przede wszystkim miał szczęście” – dodałem, przypominając sobie, ile zapłacił, z czego zwierzył mi się przy pewnej okazji. „Za te pieniądze w Londynie stać by go było raptem na klitkę wielkości pudełka do butów”.

Zatrzymałem spidera przed głównymi drzwiami i wcisnąłem klakson. Chucks miał służącą, niejaką Mabel, Francuzkę o wyglądzie czarownicy, która podczas moich poprzednich wizyt zawsze wychodziła na próg, żeby mnie wprowadzić do środka. Spodziewałem się ją ujrzeć i dzisiaj, w jej białym fartuchu z podwinętymi rękawami i z podejrzanym uśmiechem na ustach. Zawsze gdy tak się uśmiechała, miałem wrażenie, że planuje przy najbliższej okazji zamordować nas i posiekać na kawałki. Chucks miał także sukę labradorkę, Lolę, ale ani jedna, ani druga się nie pojawiły. Wyłączyłem silnik. I w tej właśnie chwili odkryłem, że jedno z okien domu jest otwarte na oścież, a zasłony zwisają na zewnątrz i rozwiewa je wiatr.

Hm. Dziwne.

Jestem pisarzem. Piszę powieści o niedobrych ludziach, którzy napadają na domy i mordują ich mieszkańców. Ciosy siekierą, masakry piłą mechaniczną, niestandardowe użycie nożyc do żywopłotu. Mnóstwo keczupu i czasem jakieś szczęśliwe zakończenie, ale bez przesady, raczej pyrrusowe zwycięstwo. Znajduję się w czołówce pisarzy, którzy wykańczają swoich głównych bohaterów, ich przyjaciół i krewnych. Tak więc nie wińcie mnie za to, że z miejsca ogarnęły mnie złe myśli. To naprawdę wyglądało fatalnie.

Ktoś – natychmiast wyobraziłem sobie wrednego typa o krokodylich ślepiach – zakradł się do środka, a teraz czai się skulony za drzwiami, uzbrojony w ostry sztylet (to jedna z możliwości), którym poderżnie mi gardło, gdy tylko przekroczę próg. A może zada mi szybki, celny cios prosto w serce? Potem powlecze moje zwłoki do piwnicy, gdzie już spoczywa trup Chucksa ze smartfonem w dłoni. Biedak nie zdążył wysłać wołania o pomoc. Będziemy tam leżeli jak dwie zapomniane pacynki w kufrze z zabawkami. Nasze szkliste oczy na całą wieczność wpatrzone w sufit. Nasze ręce rozrzucone w absurdalnej pozie. Usta otwarte, w nich krążą, brzęcząc, muchy.

Daj spokój, Bert – powiedziałem sobie – nie kombinuj. Masz przed sobą jeszcze kilka dobrych lat życia, ale zrujnowanego zdrowia psychicznego nikt ci nie zwróci.

Wysiadłem z samochodu i oparłem się o jego wspaniałe nadwozie, oczywiście w płomiennym

czerwonym kolorze. Przesunąłem ray-bany na czoło i z uwagą przyjrzałem się domowi. Po obu stronach drzwi wejściowych, które, jak się okazało, były uchylone, znajdowały się wąskie, przeszkłone okienka, a każde z nich dawało wgląd do obszernego pokoju. Po jednej stronie znajdował się „salon do słuchania”, jak go nazwał Chucks. Na jego środku stała kanapa za sześć tysięcy euro, po bokach cztery regały – po jednym na każdą ścianę – wypełnione kolekcją płyt DVD; znajdował się tam też sprzęt grający marki Harman Kardon, który sam w sobie stanowiłby cenny łup dla każdej bandy włamywaczy choć trochę znających się na rzeczy. I to wszystko; w pokoju nie było żywej duszy.

Drugi pokój był „salonem do oglądania” – obie te nazwy Chucks wymyślił w czasie, gdy był w związku z pochodzącą z Tijuany ekspertką od feng shui – i wyglądał bardzo podobnie, z tą różnicą, że tu główną atrakcją było kino domowe. Od czasu do czasu umawialiśmy się, żeby obejrzeć jakiś film, zjeść chińskie dania na wynos i pośmiać się ze sztucznych cycków jakiejś aktorki. Ja sam nazywałem ten pokój „salą imienia Stalina”, bo przeczytałem gdzieś, że Stalin był posiadaczem prywatnego kina, na co Chucks zwykł odpowiadać, że jeśli Stalin kochał kino, to nie mógł być aż tak złym człowiekiem. I ten pokój także był pusty.

Nie widać też było najmniejszego ruchu za oknami na piętrze, zasłoniętymi gęsto upiętymi białymi zasłonami.

I pamiętaj, Bert – dalej mówiłem w myślach sam do siebie – że masz rodzinę. Wspaniałą żonę i córkę, które mają o tobie dość kiepskie zdanie, ale nadal cię trochę kochają.

Podniesionym głosem wyrecytowałem: „Jest tu kto?”, ale nikt mi nie odpowiedział. Sąsiedni dom znajdował się o kilometr dalej, za lasem, i według Chucksa należał do jakiegoś paryskiego miliardera, który odwiedzał go jedynie od przypadku do przypadku. W najbliższej okolicy, aż do Sainte Claire, nie było żywej duszy i nie można było liczyć na to, że ktoś wpadnie w odwiedziny. Z rzadka trafiał się jakiś wieśniak na rowerze, poszukiwacz grzybów czy zabłąkany turysta.

– Chucks?! – wrzasnąłem. – Jesteś tu?

Postanowiłem nie wchodzić przez półotwarte drzwi. Zamiast tego skręciłem w prawo, w rozsądnym zamiarze obejścia domu naokoło i przeprowadzenia obserwacji, bez narażania się na atak. W mojej powieści *Wschód słońca w Testamento* stworzyłem postać seryjnego mordercy o nazwisku Bill Nooran, który zakradał się do domów w środku dnia, udając dostawcę lub domokrążcę. Ludzie odczuwają lęk ciemną nocą, ale w rzeczywistości powinni raczej bać się w ciągu dnia. Lecz wtedy nikt nie ma się na baczności. I człowiek przebrany za listonosza może liczyć na to, że bez przeszkód dotrze do drzwi, że zajrzy do środka domu, że...

Doszedłem właśnie wykładaną kamieniami ścieżką do tylnych drzwi domu, wychodzących na jeden z kilku tarasów widokowych, skąd można było podziwiać krajobraz odległej doliny i niewielki zagajnik. Z tarasu wiodły w dół kamienne schody, prowadzące na inny taras, a następnie do basenu. Spojrzałem w tamtą stronę. Woda błyszczała w porannym słońcu. W basenie nie było nikogo. Żywego ani martwego. No dobrze, ulżyło mi, bo już w jakimś zakątku mózgu zaczynałem sobie wyobrażać smutny finał à la Brian Jones¹. Przeszkłone drzwi domu były zamknięte. Podeszedłem do nich i mogłem poobserwować „salon do oglądania” pod innym kątem, równie pusty jak przed chwilą. Nagle ujrzałem w szybie odbicie jakiejś sylwetki. Ktoś pojawił się za moimi plecami.

– O, kurwa! – krzyknąłem, obracając się w miejscu.

– O, kurwa! – odpowiedział Chucks.

A potem obaj naraz wyrecytowaliśmy: „Ale mnie przestraszyłeś!”.
Chociaż ja miałem lepszy powód, żeby się bać. Chucks mierzył do mnie ze strzelby.

2

Chciałbym, żebyście mogli sobie wyobrazić, jak wyglądał Chucks w tamtej chwili. Fizycznie był czterdziestodwuletnim facetem, który postanowił nigdy nie przestać być młodzieńcem. Chudym jak strach na wróble, z policzkami poznaczonymi siatką zmarszczek i bujną czupryną rockandrollowca, tego ranka rozczochraną do niemożliwości. Miał na sobie jedynie purpurowy szlafrok i kapcie, a wyraz twarzy wskazywał na to, że nie spał od kilku nocy. I nadal mierzył do mnie z myśliwskiej strzelby.

– Czy mógłbyś, do cholery, opuścić broń? – spytałem.

Wydawało się, że Chucks budzi się z koszmaru sennego. Opuścił dubeltówkę, a następnie rzucił ją na jedną z ogrodowych kanap stojących na tarasie.

– Przepraszam. Przepraszam, Bert. Usłyszałem, że ktoś się zakrada od tyłu i...

– W porządku. Ale dlaczego nie domyśliłeś się, że to ja? Przecież zostawiłem spidera tuż przed domem.

– Nie widziałem go, brachu. Byłem w piwnicy.

– Co się z tobą dzieje, stary? Wyglądasz jak ostatnia łachudra. Od tygodnia nie odbierasz telefonu. A teraz ta strzelba! Skąd ją wytrzasnąłeś?

– To jakiś zabytek. Nie wiem nawet, czy strzela. Znalazłem ją na strychu.

– No to po co z nią łązisz?

– Lepiej nie pytaj, Bert.

– Mam cię nie pytać? Zwariowałeś?

Spojrzałem swemu przyjacielowi w oczy. Spuścił je ku ziemi, jakby zawstydzony. Miał ładne oczy kasztanowego koloru, głęboko osadzone i ocienione gęstymi rzęsami. Oczy niemal dziecięce, najprawdopodobniej jedyny czysty i autentyczny rys, który przetrwał w twarzy poznaczonej skutkami nadużyć popełnianych w trakcie światowych tras koncertowych.

– Co się dzieje, Chucks? – nalegałem.

Jeszcze nie skończyłem zdania, gdy Chucks, lekko utykając, podszedł do drugiej kanapy stojącej tuż obok tamtej, na którą rzucił strzelbę. Utykanie było śladem po tragicznym wypadku z przeszłości. Siedząc na beżowej kanapie z łokciami opartymi o kolana, Chucks ukrył twarz w dłoniach i pocierał ją, jakby chciał coś z niej zmyć.

– Chyba zacząłem wariować, Bert. Odchodzę od zmysłów.

Odsunąłem na bok strzelbę i usiadłem. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, ale musiało to być coś naprawdę poważnego, bo Chucks Basil jęczał jak rozhisteryzowana fanka.

– Dawaj, stary – powiedziałem. – Zaczynij od początku.

– Nie wiem, czy mam ochotę ci o tym opowiedzieć. Czy mam w ogóle ochotę powiedzieć o tym komukolwiek.

– No dobrze, daję ci chwilę na zastanowienie. Może w tym czasie przygotuję dwie szklaneczki gimleta?

– Może być cokolwiek. Masz papierosy?

– W spiderze. Przyniosę.

Po dziesięciu minutach siedzieliśmy przy okrągłym kamiennym stole na jednym z niewielkich tarasów w ogrodzie między domem i basenem. Przyrządziłem dwa koktajle i postawiłem jeszcze kilka butelek na blacie. Przyniosłem też papierosy, a Chucks zaraz włożył jednego do ust.

– Dobra – powiedział, wydychając dym przez nos. – Zacznę od początku.

– Doskonale – rzuciłem.

– Myślę, że załatwiłem pewnego faceta.

Powiedział to i się sztachnął. Potężny sztach, który zlikwidował niemal pół centymetra marlboro red tab. A we mnie jakby piorun strzelił. Z pewnym opóźnieniem, oczywiście, ale dotarło do mnie znaczenie tego stwierdzenia.

– Czy możesz powtórzyć? – poprosiłem.

– Myślę, że kogoś zabiłem, Bert. To właśnie przed chwilą powiedziałem.

Uniósł szklanke i pociągnął łyk gimleta. Nie wiedziałem, co miałbym na to odpowiedzieć.

– Ze strzelby? – spytałem ostrożnie.

– Skąd, kurwa, z żadnej strzelby. Już ci mówiłem, że nawet nie jest nabita. Samochodem. Moim roverem. W tym tygodniu, w poniedziałek.

– W poniedziałek? Cztery dni temu?

– Tak. Dokładnie cztery dni temu. Po tym, jak wyszliśmy z Czerwonego Buk. Pamiętasz? Kiwnąłem głową.

Chucks właśnie skończył miksować *Beach Ride* i spędziliśmy razem poniedziałek, wielokrotnie odsłuchując krążek. Wypiliśmy kilka drinków i Chucks zaproponował, żebyśmy na zakończenie dnia wyszli gdzieś się zabawić. No cóż, poprzedniej nocy po raz kolejny pokłóciłem się z Miriam na odwieczny temat i nie miałem zbytnej ochoty na powrót do domu. Wolałem to zrobić, dopiero gdy żona zaśnie, więc chętnie się zgodziłem. Bar Pod Czerwonym Bukiem był jedyną knajpą na pewnym poziomie w promieniu wielu kilometrów i jedynym miejscowym lokalem, w którym czasem panowała luźna atmosfera. Fakt, był jeszcze Raquet Club, ale go nie znosiliśmy. A więc padło na Czerwony Buk. Tamtej nocy grał dość podły zespół, którego członkom towarzyszyły fajne laski. Gdy tylko muzycy rozpoznali Chucksa Basila, rzucili się do niego, żeby mu się przedstawić. To są właśnie zalety bycia gwiazdą rocka. Berta Amandale’a, autora bestsellerów takich jak *Wschód słońca w Testamento* czy *Szelesty za drzwiami*, rozpoznaje od biedy jedynie wolontariuszka biblioteki publicznej, nosząca okulary ze szklami jak denka od butelki. Natomiast Chucks, choć od dziesięciu lat jego noga nie stanęła na estradzie, w wyobraźni masowej nadal błyszczy jak gwiazda i ciągle jest tym przystojniakiem, który śpiewał *Obietnica jest obietnicą*.

Faktem jest, że późną nocą Chucks był już znudzony towarzystwem. Jedyna dziewczyna, która wpadła mu w oko, opuściła lokal w towarzystwie narzeczonego, tępego profana, który grał na elektrycznej gitarze Les Paul, jakby heblował deski. Ponadto doszło do utarczki z jakimś typem, który rozlał mu wino na kowbojską koszulę – Chucks tamtej nocy włożył na siebie ekstrawagancki strój w stylu country – i nawet nie powiedział „przepraszam”. Udało mi się wyciągnąć Chucksa na zewnątrz, zanim obsługa baru się tym zajęła. Na parkingu wypaliliśmy po ostatnim papierosie, po czym każdy wsiadł do swojego samochodu.

– Nie byliśmy aż tak pijani – stwierdziłem.

– Byliśmy narąbani jak stodoła, Bert. Pamiętasz, że usiłowałem wyssać wino, które tamten gościu wylał mi na koszulę? – Zaśmiał się. – Kurczę, to przypuszczalnie ostatnia zabawna rzecz, jaką zrobiłem w życiu.

– Nie mów tak. I co się potem stało?

Chucks poprawił się na kamiennej ławce, jakby dopiero teraz zaczynała się prawdziwa opowieść.

– Zaczęło kropić, a moja przednia szyba była zabrudzona jakimiś pyłkami czy innym gównem i wycieraczki zaczęły to rozcierać. To, jak przypuszczam, miało jakiś wpływ na wypadek, ale to tylko część całości. W tym pieprzonym kraju nikomu nie przychodzi do głowy, że szosy powinno się oświetlać. Ciekawe, na co idą podatki? Mówię to, żebyś zrozumiał, że nie widziałem zbyt dobrze drogi. Włożyłem *Beach Ride* do samochodowego odtwarzacza i śpiewałem głośno do wtóru, równocześnie trzymając w palcach papierosa. Właśnie przejeżdżałem przez jedno z tych wzgórz między Czerwonym Bukiem i starym sklepem z rękodziełem. Tym, co ma taki żałośnie pretensjonalny szyld przy drzwiach.

– Maison Merme – podsunąłem.

– Znasz to miejsce?

Potwierdziłem. Właścicielem był niejaki Merme, instruktor kursów rękodzieła, na które uczęszczała Miriam, moja żona. Palant w fularze i z manierami arystokraty.

– No właśnie – zgodził się Chucks. – Minałem sklep i zjeżdżałem ze wzgórza po zakręcie. Pociągnąłem dymka i wtedy cała kupa popiołu z papierosa spadła mi między nogi, więc zacząłem podskakiwać, usiłując zgasić to tyłkiem. Nagle podnoszę oczy i widzę przed maską wozu jakiegoś faceta. Ot tak. Oświetlony jak na scenie w teatrze, z rękoma podniesionymi do góry, stoi na środku pieprzonej szosy, prosząc, żebym zahamował. To było jakby mgnienie oka. A potem: Łup!

– Ja pierniczę! – wyjąkałem. I wychyliłem szklanekę do dna.

– Nic nie mogłem zrobić, Bert. Przysięgam na głowy przodków. Nic a nic.

Chucks schwycił moją paczkę fajek i wyrzucił z niej na stół trzy sztuki. Zapalił i zauważyłem, że trzęsą mu się ręce. Więc ja też sięgnąłem po papierosa oraz nalałem sobie solidną porcję czystej whiskey. Był piękny wiosenny dzień, ale nagle poczułem zimne dreszcze.

– Nie mam pojęcia, ile wyciskałem na godzinę, ale sądzę, że nie więcej niż osiemdziesiąt. Jeszcze mnie boli noga od tego, jak gwałtownie wcisnąłem hamulec. Ale nie zdążyłem. Zderzak rovera uderzył go w pierś, facet zgiął się wpół i twarzą huknął w maskę. A potem pofrunął w powietrze i jak worek cementu spadł na asfalt.

– O, matko! – jęknąłem.

Wzrok Chucksa rozmył się, jakby znowu był tam i widział to wszystko. Z miejsca pojąłem, nie potrzebował mi tego potwierdzać, że jestem pierwszą osobą, której o tym wszystkim mówi. Sam właśnie słyszał po raz pierwszy własną opowieść.

Nalał sobie whiskey.

– Od tamtej chwili oka nie mogę zmrzyć i zaczęły mnie dręczyć koszmary. Podnoszę głowę, patrzę przed siebie i widzę tego faceta, jak stoi tuż przed maską. To dziwne – zaczął mówić jakby sam do siebie – że w moich koszmarach widzę jego twarz. I już jest zalana krwią, jakby został zraniony jeszcze przed uderzeniem.

– Chucks... – zacząłem coś mówić, ale nie zwracał na mnie uwagi.

– Nawet nie krzyknął, wiesz? Tylko zwinął się i wzniósł w powietrze jak te manekiny, których używają podczas próbnych wypadków, a potem zaległa potworna cisza. Silnik rovera zgasł i na kilka sekund płyta też się wyłączyła, ale po chwili uaktywnił się obwód elektryczny i pieprzona piosenka wróciła. Piosenka, którą miałem powrócić na scenę. Piosenka, na której opierałem całą moją nadzieję. A tutaj ten facet leży na szosie, nieruchomy, z podeszwami butów oświetlonymi przez reflektory mojego samochodu.

Wpatrzyłem się w Chucksa uważnie. Mimo iż ścisnęło mnie w gardle od jego opowieści, zacząłem sobie to wszystko wyobrażać.

– Przez jakiś czas po prostu siedziałem w samochodzie – ciągnął – i słuchałem *Beach Ride*. Był poniedziałek, druga w nocy, a wokół żywej duszy. Sądzę, że mógłbym pozostać tam całą noc i nie przejechałby nawet jeden pieprzony samochód. Potem trochę oprzytomniałem, złapałem komórkę i postanowiłem zadzwonić do Jacka Ontama. Wiesz, co się o tym mówi, że mieć dobrego agenta to tak jak mieć diabła po swojej stronie. Poszukałem jego numeru, wybrałem go, ale w końcu nie zadzwoniłem. Zamiast tego wysiadłem z samochodu.

Przestało padać. Wiatr rozwiął chmury i na niebie pojawił się księżyc w pełni. Powietrze pachniało benzyną, dymem, spaloną gumą. Tymi ohydnymi zapachami związanymi z wypadkami samochodowymi. No wiesz... – Mówiąc to, przymknął na parę sekund oczy, potem trochę doszedł do siebie. – I nagle, a jestem już na zewnątrz, nagle widzę, że jego buty się poruszyły. Że facet zaczyna się ruszać.

Już drugi papieros zamienił się w walec popiołu w dłoni Chucksa, który wydawał się tego nie zauważać.

– Podbiegam. Zaczyna coś bełkotać, usiłuje coś powiedzieć. Klękam na ziemi, tuż obok jego głowy. Co, do kurwy nędzy, mówią podręczniki ratownictwa o głowie? Że należy ją ruszać czy też właśnie jej nie ruszać? Nie mogę sobie przypomnieć. Usiłuję podnieść mu głowę i wtedy zauważam, że ma ją całą w jakichś okropnych ranach. Jakieś rany czy szramy na całej głowie. I to zrobił sobie o mój samochód? Przecież żadna szyba nie została stłuczona, pomyślałem.

„Przepraszam, człowieku – zaczynam do niego mówić – przepraszam, nie zauważyłem cię. Nie zdążyłem zahamować. Ja nie chciałem”.

Ale facet nawet nie kojarzy, gdzie się znajduje. Całe ciało zaczyna mu się trząść, dygocze jak zabawka, której wyczerpuje się bateria. I wtedy zdaję sobie sprawę, że jego klatka piersiowa jest cała zdeformowana, połamałem mu wszystkie żebra i teraz jest wklęsła jak cholerny Kanion Kolorado.

I wtedy zauważam jego rękę. Nagle chwyta za kieszonkę mojej kowbojskiej koszuli i wpatruje się we mnie, cały czas się trzęsąc. Zaczyna głęboko i szybko oddychać, łapie powietrze jak stary astmatyk, chce mi coś powiedzieć i cały czas trzyma mnie za kieszonkę koszuli.

„Przepraszam – powtarzam znowu – bardzo mi przykro”.

Ale facet koniecznie chce mi coś powiedzieć. Kręci głową, żebym zamilknęła. I raptem wydusza z siebie kilka słów, Bert. Mówi coś po francusku: „*l’ermitage, l’ermitage*”.

– Co?

– To wszystko, co zapamiętałem. *L’ermitage*.

– Pustelnia.

– Chyba tak. Niczego więcej nie powiedział. Wpatrywał się we mnie i ciągle widzę jego oczy, szaleńczo rozbiegane, i jego ciało w drżączce, jakby zamarzał z zimna za życia. I jego palce wczepione w moją koszulę. I jego ostatnie kilka oddechów, przyspieszonych, jeden, dwa, trzy, cztery, jak cichutkie okrzyki, jak maleńki atak czkawki. Eh, eh, eh. A potem skonał, Bert. Wyzionął ducha w moich ramionach. Pozostał tak, z otwartymi oczami i z palcami zaczepionymi o kieszonkę koszuli. I wtedy zdałem sobie sprawę, że go zabiłem. Ja... go... zabiłem...

Dopiero wtedy Chucks wybuchnął płaczem. Przypuszczam, że już od dobrej chwili pragnął to uczynić. Osunął się twarzą na stół i zaczął jęczeć. A potem gorzko się żalić.

Czułem się, jakby niebo zważyło mi się na głowę. W ciągu niespełna dziesięciu minut

spokojny piątkowy ranek zamienił się w koszmar HD, na żywo i w kolorze. I na dodatek to wszystko było łądzące podobne do innego koszmaru *high definition* sprzed piętnastu lat. Chucks stoi przede mną i płacze, miał miejsce inny wypadek samochodowy... Ale wtedy, przed laty, ja też płakałem.

Niech cię diabli, Chucks! Niech diabli wezmą ciebie i twoje pieprzone samochody!

3

Ciężar tego wyznania zamienił rześkie poranne powietrze w ołów. Jego skutki jeszcze były odległe, na razie jedynie szarpały nas za nogawki, jak groźne psiska ukryte pod stołem, które prędzej czy później ukąszą. Zapaliłem papierosa i usiłowałem uspokoić przyjaciela. Objąłem go ramieniem i usiłowałem być miły, choć w duchu zadawałem sobie wiele pytań. Ponownie napełniłem szklanki i postanowiłem posłużyć się wiedzą psychologiczną wyczytaną z książek.

– Zastanówmy się, Chucks. Nie możesz się o to obwiniać. Wina leży nie tylko po twojej stronie. Ten facet stanął na środku szosy, ciemną nocą, tuż u wyjścia z zakrętu. On też częściowo zawinił.

Chucks podniósł głowę. Odetchnął głęboko przez nos i łyknął ze szklanki. Widać było, że chwilowo poprawił mu się nastrój.

– Wiem, wiem o tym... A przynajmniej staram się w to uwierzyć. Ale jest jeszcze coś... To nie wszystko, brachu, to jeszcze nie wszystko.

– A co więcej? – Wypowiadając to zdanie, już wiedziałem, że to nie mogło być wszystko. Wypadek miał miejsce w poniedziałek. Co jeszcze się od tej pory zdarzyło?

– Byłem pijany, Bert – powiedział Chucks, jakby odgadując moje niewypowiedziane pytanie. – I dla każdego policjanta na świecie obraz wyglądałby następująco: słynny rockman prowadzący pod wpływem alkoholu i przekraczający dozwoloną prędkość. I to nie byle kto, ale ja sam we własnej osobie: Chucks Basil, facet z zagwazdraną kartoteką. Nagle wróciła do mnie przeszłość. I ogarnęły mnie egoistyczne myśli. Powinienem być użyć tego przeklętego telefonu i zadzwonić do Jacka lub na policję. Powinienem być wziąć tego gościa pod pachy, wsadzić go do samochodu i zawieźć do szpitala w Salon-de-Provence, nawet jeśli było oczywiste, że w niczym mu to nie pomoże. Ale ogarnęła mnie panika. *Beach Ride* rozlegała się w nocnej ciszy i to nasunęło mi tę krótką refleksję: moja pieprzona płyta pójdzie się walić. Facet wyskakuje mi przed maskę i zamienia w gówno całe moje życie. Ale on już i tak jest martwy, a ja nadal żyję.

– I uciekłeś – stwierdziłem, aby przerwać napięcie, którego nie przerwały jego słowa.

– Tak – przyznał Chucks. – Uciekłem. Okazałem się tchórzem.

Nie mogłem, co oczywiste, potwierdzić, ale przypuszczam, że Chucks z moich oczu wyczytał, co o nim sędzę.

– No cóż. Wróciłem do samochodu. Przejechałem obok zwłok i pojechałem do domu. Jechałem powoli i nie napotkałem nikogo po drodze. Wstawiłem rovera do garażu i przez godzinę czyściłem go do błysku. To nie do uwierzenia, ale samochód jest niemal nietknięty. Tylko tablica rejestracyjna była trochę przekrzywiona, a na zderzaku parę zadrapań. Nic więcej.

– Te bestie tak mają, są nie do zdarcia – skomentowałem obojętnie, ale w głębi duszy byłem wstrząśnięty.

Chucks wypowiadał mi się z popełnionego przestępstwa dość beznamiętnie, a przy okazji

zrobił ze mnie współnika swojego sekretu. Nie przemyślałem jeszcze, jak do tego podejść, ale w głowie zapaliła mi się lampka alarmowa: „Miriam w żadnym wypadku nie może się o tym dowiedzieć!”.

– Nie mogłem zasnąć – ciągnął Chucks. – Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że lada moment ujrzę parę wozów policyjnych podjeżdżających pod bramę, ale nic takiego się nie zdarzyło. Zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, co się stało. Zacząłem rozmyślać. Zaczęły mnie dręczyć myśli o tym, że zwiąłem z miejsca wypadku, że wyminąłem zwłoki i pozostawiłem je na szosie. Nagle zrozumiałem, że przecież to może stać się przyczyną innego wypadku. Jakaś ciężarówka albo jakiś furgon dostawczy... Do cholery, mogłem się pogodzić z tym, że jestem winien rozjechania nocnego samobójcy, ale nie byłem gotowy na nic więcej.

Musiało być około piątej nad ranem, gdy podjąłem decyzję. Rozebrałem się, schowałem te ubrania – zupełnie jakbym był jakimś pieprzonym kryminalistą – a to dlatego, że pomyślałem, że mogą być na nich jakieś ślady DNA czy czegoś, co w filmach zawsze znajdują policjanci. Wziąłem prysznic i włożyłem nowe ciuchy. Umyłem zęby. Zszedłem do kuchni i zaparzyłem sobie filiżankę herbaty. Na kartce przeznaczonej dla Mabel napisałem, że wyjeżdżam do Nicei, żeby się spotkać z przyjaciółmi. Zresztą to właśnie miałem zamiar zrobić – wynająć żaglówkę i popłynąć na Capri, do domu Jacka Ontama. Albo gdzieś.

Zostawiłem rovera w garażu i wyjechałem teslą. Zamknąłem dom i rozpocząłem inscenizację. Miałem zamiar udawać, że przejeżdżałem przypadkiem i znalazłem przejechanego na szosie. Jechałem drogą, jak to robią praworządni obywatele, którzy udają się rankiem do pracy. Kurczę, to nawet człowiekowi dobrze robi, jak od czasu do czasu wstanie rano, wiesz, brachu? Sądzę, że nigdy w życiu tak wcześnie nie wstałem.

Pomyślałem, że chyba zapomniał o tych wszystkich latach w Londynie, kiedy podejmował się różnych dorywczych prac, ale nic nie powiedziałem.

– Wolniutko jechałem drogą na północ. W miarę jak zbliżałem się do miejsca wypadku, zacząłem się denerwować. Przysięgam, Bert, że dostałem palpitanie serca. Ręce mi się spociły i przestraszyłem się, że dostanę zawału. I wtedy właśnie, jakieś dwa kilometry od tamtego zakrętu, minął mnie jadący z przeciwka samochód, stary renault z jakimś facetem w okularach za kierownicą. Spodziewałem się, że da mi jakiś znak. Zacznie migać światłami, zatrąbi... Coś, żeby mi zasygnalizować: „Uwaga! Coś tam leży na szosie!”. Ale nie. Czyżby mógł nie zauważyć zwłok?

Dojechałem jakoś do tego pieprzonego zakrętu. Było już widno. Asfalt był lekko wilgotny, ale nikt na nim nie leżał. Nie było nikogo. Nikogo, Bert. Szosa była całkiem pusta. Żadnego trupa. Żadnych śladów. Ani plamki krwi. Nic.

– Jak to?

– Właśnie tak. Nic. Nie było niczego. Jechałem wolniusieńko, chyba dziesięć na godzinę, i rozglądałem się na boki. Tam z boku jest gęsty las, to z niego chyba wyszedł ten gościu, więc niemal się zatrzymałem na tej wysokości, miałem taki zamiar, ale w tej samej chwili z tyłu za mną pojawiła się jedna z tych furgonetek rozwożących mleko, Lait Michel, i zatrąbiła jak wściekła. Okropnie się przeraziłem.

– O, jasny gwint! I co zrobiłeś?

– No cóż, postarałem się nie rozwalić samochodu i utrzymać kontrolę nad kierownicą. Trochę przyspieszyłem, ale tylko trochę. Pomyślałem, że może pomyliłem zakręty i że okaże się, że zwłoki leżą gdzieś dalej, ale to było niemożliwe. Ta wywieszka reklamująca warsztaty rękodzieła była tam właśnie, jakieś kilkaset metrów za zakrętem. Minąłem ją i przejechałem

jeszcze ze dwa kilometry, z tym kamikadze od Lait Michel na ogonie. Jak się spodziewałem, nigdzie niczego nie było, więc zjechałem na pobocze i zawróciłem. Mleczarz obrzucił mnie bluzgami i dał koncert klaksonem. Dojechałem do sklepu z rękodziełem i tam zaparkowałem tesłę. Po czym pieszo przeszedłem się na miejsce zdarzenia.

Musiało niedawno padać, bo asfalt był mokry. Usiłowałem znaleźć jakąkolwiek oznakę wypadku, jakąś plamę, jakiś ślad na asfalcie, ale nic. Nawet wlałem do lasu, bo pomyślałem, że może ktoś równie bezduszny jak ja natknął się na zwłoki i zaciągnął je na pobocze. Ale tam rosły tylko krzaki jeżyn i paprocie, nie było nawet żadnej ścieżki. Facet rozplynął się w powietrzu.

– Albo ktoś go stamtąd zabrał – stwierdziłem.

– O tym samym, wyobraź sobie, pomyślałem – odparł Chucks, zaciągając się ostatnim papierosem. – Masz jeszcze fajki?

Pokręciłem głową.

– Szkoda. A może zioło?

– Nie. Nie teraz – odpowiedziałem. – Co miałeś na myśli, mówiąc: „O tym samym pomyślałem”? Przecież ktoś musiał się natknąć na zwłoki, czyż nie?

– A słyszałeś o czymś takim ostatnio? – spytał Chucks. Na jego twarzy pojawił się smutny półuśmiech.

– O jakimś wypadku? No cóż, szczerze mówiąc...

– Nie. Prawda? Ja też nie.

– Może prasa o tym nie wspomniała?

– Mówisz poważnie, Bert? O takim hiciorze na pierwszą stronę by nie napisali? W tej zapadłej okolicy, gdzie gazety piszą nawet o narodzinach prosiąt albo o tym, że kura zniosła jajko?

– Rzeczywiście, to dziwne.

– Dzwonek to jest, kurwa, mało powiedziane. W tym kryje się coś więcej. Posłuchaj: następnego dnia pojechałem do Sainte Claire i z budki telefonicznej France Telecom zadzwoniłem do szpitala w Salon-de-Provence. Logicznie biorąc, to tam powinien być trafić ktoś z wypadku z tych okolic, prawda? Opowiedziałem im jakąś wyssaną z palca historyjkę o przyjacielu, na którego czekałem i który nie dojechał. Spytałem, czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przyjęli kogoś z wypadku drogowego. Mieli dwójkę rannych motocyklistów z szosy D-952, takich wariatów, co to sami się proszą o wypadek, i nikogo więcej. Potem zadzwoniłem do kliniki w Castellane. Hospitalizowali tylko faceta z Trigance, który się zranił kosiarką.

– Zadzwoń na policję?

– Do tego się nie posunąłem. Dyżurny ze szpitala mógł łyknąć moje bajdy, ale pomyślałem, że policjanta nie oszukam. Ponadto namierzyliby mnie błyskawicznie po moim angielskim akcencie.

Od siedzenia na kamiennej ławie rozboleł mnie tyłek. Podniosłem się i oparłem o niewielką balustradę.

– No dobrze. Jednak według mnie nie trafiłeś na odpowiedni szpital. A to, że news nie ukazał się w prasie, musi mieć jakąś przyczynę. Będzie trzeba trochę pogrzebać, żeby ją wykryć. Mógłbym zacząć od tego, że wysonduję Vincenta Juliana.

– Kogo takiego?

Wyjaśniłem Chucksowi, kim był V.J.: policjantem z Saint-Rémy, z którym się ostatnio zaprzyjaźniłem. Był moim wielbicielem. Jednym z fanów, podobnie jak wolontariuszka

z biblioteki i pani Pompeiu, dyrektorka liceum. Ponadto Vincent był pisarzem amatorem i zwykliśmy omawiać różne aspekty twórczości literackiej. On służył mi swoją wiedzą o zasadach postępowania francuskiej policji, a ja udzielałem mu rad co do techniki pisarskiej. Przeczytał mi parę swoich opowiadań i zachęciłem go do wyszlifowania ich. Muszę zresztą przyznać, że – na ile pozwoliła mi je ocenić moja dość słaba znajomość francuskiego – nie były wcale takie złe.

– No więc w sumie chodzi o to – zakończyłem – że jest mi coś winien. Zobaczę, czy uda mi się coś z niego wyciągnąć po powrocie do miasteczka. Z pewnością istnieje jakieś wyjaśnienie.

– Dzięki, brachu – powiedział Chucks. – Od tygodnia moje życie jest koszmarem. Ze sto razy chodziłem oglądać przód auta, żeby się przekonać, czy te zadrapania nadal tam są. Zacząłem już wierzyć, że wymyśliłem sobie to wszystko. Że to były majaki.

– Majaki? Dlaczego tak sądzisz?

– No tak, po tych paru drinkach, które wypiliśmy, to raczej niemożliwe. Chyba że to wino, którym ten idiota mnie oblał, zawierało LSD. Ale przecież mało co go posmakowałem.

– Naprawdę serio to rozważałeś?

Chuck potwierdził z miną, która miała oznaczać: „Jestem tak zdesperowany, że chwytam się wszystkiego”.

Patrzyłem na niego w milczeniu. Zaczęły mnie ogarniać wątpliwości co do realności jego przeżyć, ale postarałem się tego po sobie nie pokazywać.

– A to, co powiedział nieboszczyk? „*L’ermitage*”? – spytałem szybko i już mówiąc, zdałem sobie sprawę, że użyłem słowa „nieboszczyk”. – To co, zastanowiłeś się nad tym? Co to może oznaczać?

– Wrzuciłem to do Google i uzyskałem miliony wyników, ale nic, co by miało jakiś sens. Zresztą nawet nie jestem pewien, że właśnie to powiedział. Wydawało mi się, że to właśnie słyszę. Może ty mógłbyś się nad tym pochylić? Przecież zawsze byłeś najmądrzejszy w rodzinie.

– Zrobię to. Z pewnością wszystko jakoś się wyjaśni. A teraz to ty mi coś wyjaśnij: dlaczego tak długo się do mnie nie odzywałeś?

– Kurczę, Bert, a jak sądzisz, dlaczego? – spytał, pocierając dłońmi oczy, które znowu zaszyły mu łzami. – Niedobrze mi się robiło na myśl, że będę musiał ci to wszystko opowiedzieć. No, nie mów, brachu, że nie wiesz dlaczego?

– Miriam? Niech pomyślę... To przecież nie ma żadnego związku z Lindą ani z...

– Ależ oczywiście, że ma. Samochód. Kilka kieliszków za dużo. Rozumiem, że mną pogardzasz.

– Nie pogardzam tobą – odpowiedziałem. – Jestem twoim przyjacielem, nie zapominaj o tym. Ale myślę, że popełniłeś błąd, i nie mówię tu o samym wypadku. Bo tym właśnie było to zdarzenie: okropnym wypadkiem i wykroczeniem polegającym na prowadzeniu pod wpływem alkoholu. Ale teraz, według prawa, stałeś się sprawcą przestępstwa. Przestępstwa, które nazywa się nieudzieleniem pomocy ofierze wypadku.

Nie dodałem tu, że istniała możliwość, iż facet jeszcze nie był całkiem nieżywy, tylko dogorywał, a postępek Chucksa stał się dla niego wyrokiem.

Chucks zapatrzył się w dal, w stronę ogrodu, który znajdował się za moimi plecami. Obróciłem się i ujrzałem jego labradorkę Lolę, pędzącą jak złocista kula po soczystej zielonej trawie. Przegalopowała po kamiennych schodach, wyminęła skalny ogródek i kilka sosen i wpadła na taras. Pobieżnie się ze mną przywitała i natychmiast wskoczyła na ławę obok Chucksa i zaczęła go lizać po twarzy, po czym obydwójce zaczęli się ze sobą miziać.

– Gdzie ty się podziewałaś, Lola? Dogadzałaś sobie z jakimś psem myśliwskim?

– A Mabel? – spytałem. – Też gdzieś szaleje w okolicy?

– Dałem jej płatny urlop – odpowiedział Chucks. – Nie mogłem znieść jej widoku. Błąkam się po domu jak dusza potępiona. Pogrzeżyłem się w paranoi. Nie jestem w stanie zmrużyć oka, Bert. Cały czas cierpię z powodu koszmarów. Widzę twarz tego faceta. Wraca do mnie raz po raz, łapie mnie za koszulę i mamrocze słowa, których nie rozumiem. Albo też widzę go na szosie, tuż przed wypadkiem, oświetlonego reflektorami auta. W moich snach jest zakrwawiony, jeszcze zanim go potrąciłem.

– Rzeczywiście tak było?

– Nie pamiętam. To się zdarzyło tak szybko. Ale te słowa... Mówił jak ktoś przerażony. Jakby był przerażony już wcześniej, zanim go rozwaliłem.

– Prześledzimy to – stwierdziłem, używając tonu głosu à la prywatny detektyw Mike Hammer. – Zaczynaj od tego, że ponownie zatrudnisz Mabel. Nic ci złego nie robi, a z pewnością gorzej będzie, jeśli wszędzie będą się walać kupy śmieci, bo nie sądzę, abyś był w nastroju do sprzątnięcia. A jak praca nad krążkiem?

Chucks zdecydowanie pokręcił głową.

– No to zabierz się do roboty. Miałeś jeszcze dograć trochę gitar, prawda?

– Co ty wygadujesz, Bert? Nie słyszałeś niczego z tego, co mówiłem? Jestem skończony.

– Nikt tu nie jest skończony, Chucks. Nie mów tak. Ale jeśli nie będziesz spać, to istotnie źle się to dla ciebie skończy.

– Załatwiłem człowieka.

– To się jeszcze zobaczy. Jeszcze dzisiaj pogadam z V.J. i dowiemy się czegoś więcej. Póki co musisz wrócić do normalnego życia. Masz środki nasenne? Mogę ci pożyczyć coś z własnego arsenału.

– Mam, ale nie chcę z tym zaczynać.

– Potrzebujesz tego, Chucks. Natychmiast. Jesteś w pełni usprawiedliwiony. Weź ze dwie pastylki i prześpij resztę dnia. Ja zajmę się śledztwem.

– A co zrobisz, jak dowiesz się prawdy?

– Wtedy zadecyduję. Ale spokojnie, nie mam zamiaru cię wydać. Jeśli pójdziesz na komisariat, zrobisz to z własnej woli.

Chucks podniósł brwi.

– Mówisz, że powinienem zgłosić się na policję?

– Słuchaj, stary – powiedziałem. – Jestem twoim przyjacielem i nie mam zamiaru ci szkodzić, a tym bardziej po wysłuchaniu twojej historii. Ten facet wyskoczył ci przed maskę. Postąpiłeś źle, przestraszyłeś się i odjechałeś, ale faktem jest, że gościu popełnił samobójstwo, rzucając się przed twój samochód. Albo też uciekał przed czymś i miał ten niefart, że znalazł się na szosie w najgorszym możliwym momencie. Radzę ci, żebyś zadzwonił do Jacka Ontama i poprosił go, żeby poszukał ci najlepszego adwokata w okolicy, kogoś z Marsylii. Ale nie zamykaj się w sobie. To może cię wykończyć.

Chucks milczał, z rękoma zanurzonymi w gęstej sierści Loli, która dyszała z wysuniętym językiem i pyskiem półotwartym w wiecznym uśmiechu. Spoglądała na nas, jakby chciała zrozumieć, o co nam chodzi. Z pewnością myślała sobie: „Co, u licha, napadło tych dwóch?”

– Zobaczymy się wieczorem? – spytał Chucks, patrząc mi w oczy.

– Dzisiaj to niemożliwe, stary. Miriam zorganizowała kolację, na którą zaprosiła kilku nowych znajomych z miasteczka. Ale zadzwonię do ciebie, gdy tylko dowiem się czegoś od V.J.

- Dzięki, brachu.
- Nie ma za co – odparłem. – No chodź, palancie, niech cię uścisnę.
rów. Poczynając od tytułowej piosenki, o duszy solidnej jak zamkowe mury.

Rozdział 2

1

Do Saint-Rémy wracałem powoli i w ciszy. Odechciało mi się muzyki. Zostawiłem Chucksa na kanapie w salonie, ze szklanką wody, kilkoma pastylkami valium i Lolą rozłożoną u stóp. Widząc go rozwalonego w typowej dla niego, niedbałej pozie, nie mogłem uniknąć myśli: „A niech go diabli, znowu Chucks i jego problemy”. Jednak natychmiast zacząłem sobie robić wyrzuty, bo była to kalka z klasycznego zdania Miriam o Chucksie: „Chucks przyciąga kłopoty jak magnes opiłki żelaza”.

No i wtedy zacząłem myśleć o Miriam i o tym, co to będzie, jeśli Chucks istotnie przejechał jakiegoś człowieka i wszystko wyjdzie na jaw.

Przez wiele lat między Miriam i Chucksem panowało chwiejne zawieszenie broni, które ja nazywałem *pax romana*. Gdy porzuciliśmy Londyn i niemal rok temu przeprowadziliśmy się do Prowansji, odetchnąłem z ulgą, ale wszystko zmieniło się pewnego dnia, gdy Chucks zrobił nam „miłą” niespodziankę i zamieszkał w Sainte Claire.

Nadal widzę moją piękną żonę, opartą o kuchenny blat, trzymającą w ręku nóż do skrobania ryb i okropnie rozzłoszczoną.

– Przysięgnij. Przysięgnij mi, że nie miałeś z tym nic wspólnego.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Nawet tu nie przyjechał. Zakupił dom przez internet, od agencji pośrednictwa.

Działo się to wieczorem, po bardzo długim dniu, w którym Chucks pojawił się w Saint-Rémy i, według jego słów, „tylko wpadł w odwiedziny”. Powiedział, że postanowił spędzić weekend poza Londynem. Palant zaplanował sobie to wszystko jako żart.

Miriam z samego rana uciekła z Brit do Nîmes pod pretekstem zakupów, ale w istocie po to, żeby przez cały dzień się na niego nie natknąć. Ja natomiast, muszę szczerze przyznać, ucieszyłem się, widząc przyjaciela po długiej przerwie.

Pojechaliśmy w góry w okolice Grambois, zjedliśmy obiad w restauracji, wypiliśmy butelkę wina i opowiedział mi o swoim najnowszym projekcie. To tamtego dnia po raz pierwszy usłyszałem o *Beach Ride*. Stworzył ten utwór latem, na plaży w Kolumbii. „Ma oddech i siłę wielkich piosenek z lat siedemdziesiątych, rozumiesz? I stała się jakby zarzewiem, z którego wytrysły pozostałe piosenki. Jest pełna życia, brachu, klnę się, na co chcesz”.

A potem stwierdził, że chce mi pokazać coś „wyjątkowego”. Zabrał mnie do Sainte Claire, wsi, którą odwiedziłem nie więcej niż pięć razy, od kiedy wraz z rodziną zamieszkałem w Prowansji. Myślałem, że chce mi przedstawić jakąś dziewczynę. Jakąś zwariowaną Francuzeczkę, z którą się zaręczył, albo że kombinuje coś w tym stylu. No a on zamiast tego zatrzymał samochód przed wspaniałą posiadłością, która wyłoniła się spośród sosen.

– Co to ma znaczyć, Chucks? To jakiś żart?

A ten skurczysyn zaczął się śmiać i powiedział:

– To mój nowy dom, Bert. Jak ci się podoba? Teraz jesteśmy sąsiadami.

Ucieszyło mnie to. Chucks był dla mnie niemal jak brat. Uważałem, że jest najzabawniejszą osobą na świecie, a przynajmniej tą, z którą ja się zawsze najlepiej bawiłem. Zawsze lubiłem z nim chodzić na drinka i oglądać filmy, nawet najbanalniejszy spacer czy byle jaka atrakcja zamieniały się w coś zabawnego, jeśli był przy tym Chucks. Przez cały ten czas spędzony wśród idyllicznych prowansalskich wzgórz nie spotkałem nikogo podobnego do mojego starego kumpla. Odczuwałem jego brak i byłem naprawdę zachwycony, że będę go miał na wyciągnięcie ręki! O, tak!

Jednak, co oczywiste, musiałem się liczyć z tym, że na Miriam ta wiadomość podziała jak płachta na byka. Chucks był jedną z tych osób, które chcieliśmy pozostawić za sobą, opuszczając Londyn i osiedlając się w południowej Francji. Tak przynajmniej uważała moja żona. „Żegnaj, Londynie, monstrualna metropolio, niech żyje anielskie francuskie zadupie! Rozpocznijmy nowe życie. Czyste i proste życie wśród wzgórz i pól lawendy. Zdrowe sporty i przyjaciele we flanelowych koszulkach, z którymi można będzie się wybrać na święto wina”. Tak mniej więcej brzmiał wielki projekt zdrowia psychicznego, który Miriam zaplanowała dla naszej rodziny na koniec 2014 roku i następne lata. A Chucks w spektakularny sposób popsuł jej szczytne zamiary.

– Nie jest tu mile widziany. Chcę, żeby o tym wiedział. Powiedz mu to.

– Miriam... Przecież każdy ma prawo mieszkać, gdzie chce.

– Ale jego stopa nie ma prawa stanąć w naszym domu. Britney dopiero co odzyskała równowagę. To delikatny moment i nie chcę, żeby Chucks na nią źle wpłynął.

No cóż, Britney była następną częstką układanki. A w gruncie rzeczy to właśnie ona była główną przyczyną wyprowadzki z Londynu. Britney, moja wspaniała szesnastoletnia córka, która chciała zostać piosenkarką i śpiewać rocka, tak jak Chucks. Która w wieku dojrzewania przeżyła ostrą fazę buntu. Którą pewnego dnia znaleźliśmy nieprzytomną, leżącą na ohydny wyrze w jakiejś melinie w Brixton, po tym, jak spaliła dawkę heroiny w folii aluminiowej.

– Akurat teraz nie powinno go tu być. Chucks oznacza problemy. Zawsze powoduje jakies kłopoty. Przypomnij sobie Lindę... – ostrzegła mnie Miriam.

2

V.J. był na posterunku, w tutejszym małym komisariacie, zlokalizowanym w wąskiej kamieniczce przy głównym placu Saint-Rémy, obok kilku sklepów dla turystów, delikatesów i winiarni. Wszedłem do środka i zastałem go przy drugim porannym croissancie, kawie w kartonowym kubku i najnowszej powieści Benjamina Blacka.

Zapukałem do otwartych drzwi, na co V.J. uśmiechnął się pod wąsem i zaoferował mi krzesło.

– Amandale! Proszę, niech pan wejdzie i siada – powiedział, po czym uniósł w górę książkę, żeby mi ją pokazać. – Czytał pan już to?

Vincent Julian wyglądał tak, jak powinien wyglądać typowy francuski żandarm, a przynajmniej tak, jak ja przedstawiłbym typowego francuskiego żandarma, jeśli chciałbym jakiegoś opisać w powieści. Miał około pięćdziesiątki, mały siwiejący wąsik i miły uśmiech. Jak o tym myślę, to może nawet lepiej pasowałby za kontuarem jakiegoś baru niż do komisariatu. Zresztą jego zadania jako policjanta ograniczały się do nadzorowania porządku podczas święta

wina w Saint-Rémy, do wystawienia od czasu do czasu mandatu jakiemuś turyście za złe parkowanie albo do wygłaszania pogadanek w miejscowej szkole na temat zasad ruchu drogowego. Miał natomiast swoje hobby: lekturę archiwów policyjnych, skąd czerpał natchnienie do opo

– Niemal skończyłem pisać moją pierwszą powieść – oznajmił, gdy tylko zasiadłem na krześle. – Byłbym zachwycony, mogąc liczyć na to, że pan ją przeczyta. Sądzi pan, że byłoby to możliwe? Choćby pierwsze sto stron.

– Ależ oczywiście, V.J. – powiedziałem. – To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność. Udało się panu znaleźć dobre rozwiązanie tej zagadki z pistoletem, który znika i ponownie się pojawia?

– O, tak. Mam nadzieję, że spodoba się panu mój pomysł.

– Niewątpliwie. Proszę, niech mi pan przekaże maszynopis, jak już będzie gotowy. Musi się pan jednak uzbroić w cierpliwość, mój francuski nie pozwala mi na zbyt szybkie czytanie.

– Tak zrobię. Oczywiście. A co u pana? Jak książka? Może chce się pan czegoś napić? Szklanka wody? Tonik?

– Nie, dziękuję. A moja powieść ma się dobrze – skłamałem odruchowo, przyzwyczajony do nieobciążania nikogo własnymi problemami. – Jestem gdzieś w jej połowie.

– Umówiliśmy się, że mnie pierwszemu da ją pan do przeczytania, pamięta pan?

– Tak, oczywiście, V.J. Dałem panu słowo i go dotrzymam. Ale w gruncie rzeczy dzisiaj przyszedłem, żeby o coś zapytać. Czy ostatnio zdarzył się w okolicy jakiś poważny wypadek drogowy? Na przykład na drodze do Sainte Claire?

V.J. zmarszczył brwi, słysząc moje pytanie, a potem się uśmiechnął. Nie pierwszy raz wypytywałem go o jakieś aktualności związane z pracą miejscowej policji. Gdy pisarz kryminalów pozna prawdziwego policjanta, prędko zaczyna czerpać od niego wiedzę, jak wodę ze studni.

– O niczym takim mi nie wiadomo. Ale sprawdzimy.

Wpatrzył się w monitor z grymasem kogoś, kto zaczyna potrzebować okularów do czytania. Wygaszacz ekranu, który miał na pulpicie, przedstawiał piękną tajska tancerkę. Zaczął stukać w klawiaturę, wchodząc do wewnętrznej policyjnej bazy danych.

– Ostatni poważny incydent, do którego tam doszło, miał miejsce przed trzema tygodniami. Ciężarówka wioząca bele siana wywróciła się na zakręcie. A na D-952 w zeszyły poniedziałek para motocyklistów zjechała z drogi. Mają piękną kolekcję zadrapań, ale poza tym nic im się nie stało.

Złączyłem palce rąk i w zamyśleniu zacząłem je składać i rozkładać.

– A skąd to zainteresowanie, monsieur Amandale? – spytał V.J. – Czy potrzebuje pan informacji do swojej książki?

– Nie... Nie o to chodzi. Po prostu przyjaciel powiedział mi, że wydawało mu się, że ostatnio w nocy widział tam światła i słyszał syreny, ale potem nie znalazł o tym żadnej wzmianki w gazetach. – Uśmiechnąłem się. – Stąd moje pytanie.

– Jasne. Ale to istotnie dziwne. Może to byli strażacy z Arles. Niekiedy na szosę spadają gałęzie albo ktoś potrąci dzika, ale takich drobnych incydentów nie odnotowuje się na serwerze żandarmerii. Jeśli panu zależy, mogę się dowiedzieć, czy o czymś nie wiedzą w komisariacie w Sainte Claire.

– Nie, proszę się nie fatygować, V.J. To tylko ciekawość z mojej strony. Ale gdyby dowiedział się pan o czymś interesującym, proszę o mnie pamiętać. Zgoda?

– Zgoda, monsieur. Ale jeśli włączy pan moje informacje do książki, liczę na to, że będę figurował w podziękowaniach!

Roześmiałem się. Nie wiedziałem, czy mam odczuwać ulgę, czy przeciwnie, martwić się jeszcze bardziej. A może Chucks wszystko to sobie wyobraził? A jeśli nie, to gdzie się podział domniemany nieboszczyk?

3

Gdy stanąłem pod domem, zegar mojej alfy romeo pokazywał godzinę 12.32. Mieszkaliśmy w pięknej willi dwa kilometry za miasteczkiem. Miejscowi nazywali ją Willą pod Jabłoniami, z powodu licznych drzew owocowych rosnących w sadzie. Bryła budynku była prosta, otynkowane ściany miały szary kolor, a dach był kryty ceglany dachówkami. Po ścianach wiał się bluszcz, a po nim do środka domu dostawało się wszelkiego typu robactwo, włączywszy w to przerażające skorpiony, w które te okolice obfitują. W ładnym ogrodzie znajdował się niewielki basen, niemal nieodzowny element wyposażenia każdego *maison* w Prowansji.

Zostawiłem zakupy na stole w kuchni, wyszedłem do ogrodu i zamknąłem się w mojej niewielkiej szopie. Miałem tam coś w rodzaju gabinetu. Komputer, drukarka, łącze internetowe i okno z widokiem na dom. Rano wpadały przez nie promienie słoneczne, złościście rozświetlając pyłki kurzu i oświetlając rękopisy, notesy, rysunki i wszelkie akcesoria pisarskie spoczywające na warsztacie stolarskim, który służył mi za stół. Po przeciwnej stronie, za oparciem skórzanego fotela, jedynej wygody mojego spartańskiego schronienia, znajdowała się spora kolekcja wszelkiego typu narzędzi ogrodniczych, jak widły, łopaty, worki z nawozami i węże do podlewania...

Poranna kawa stała tam, gdzie ją zostawiłem. Całkiem już wystygła, a na talerzyku leżał osierocony pączek. Usiadłem, zjadłem go i włączyłem komputer.

Czekając na połączenie z internetem, musiałem walczyć z chęcią zadzwonienia do Chucks. Chciałem mu jak najszybciej zrelacjonować, co mi powiedział V.J. i co, w moim mniemaniu, nieco rozjaśniało całą sprawę, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli pozwolę mu się przespać i wypocząć.

Gdy na pulpicie macbooka pojawiła się ikonka połączenia, wszedłem bezpośrednio na stronę dziennika „La Provence”. Zacząłem od sekcji wydarzeń lokalnych. Potem wyszukiwałem w archiwum gazety takie wyrażenia, jak „*mort en route*”, „*accident*”², bez żadnego rozsądnego wyniku, z wyjątkiem notki o rowerzyście potrąconym w okolicach Awinionu pół roku wcześniej. Poszerzyłem wyszukiwanie o inne lokalne gazety, a potem nawet o tytuły krajowe, ale nadal bez skutku. Zrobiłem użytek, na miarę możliwości, z mojej znajomości francuskiego i wpisałem takie frazy jak „*mort en route Saint-Rémy*”, „*accident Sainte Claire*”... a potem wpadłem na pomysł, żeby dołączyć nazwę szosy. R coś, chyba? Otworzyłem Google Maps i zlokalizowałem drogę wychodzącą z Saint-Rémy. Istotnie, moja szosa nosiła nazwę R-81; wpisałem jej nazwę do wyszukiwarki, ale i to nic nie dało. Nawet najmniejszej informacji o wypadku, trupie czy czymś podobnym w naszej okolicy w ostatnim czasie.

No i co teraz? Zmarli nie znikają ot tak...

Do trzeciej po południu usiłowałem pisać, a kiedy usłyszałem szum silnika wozu Miriam, ocknąłem się z transu i uzmysłowiłem sobie, że jestem głodny jak wilk. Zapisałem zmiany

w plikach, nad którymi pracowałem, i poszedłem do domu.

Miriam była w kuchni, wyciągała zakupy z płóciennych toreb. Stała odwrócona do mnie plecami i mogłem nacieszyć się jej widokiem. Przyglądałem się do woli jej kształtnym plecom, złotym włosom zebranych w węzeł, beżowej zwiewnej bluzce, spod której prześwitywał czarny stanik, pupie obleczonej w brązowe spodnie, która aż się prosiła, żeby ją ukąsić.

– Dzień dobry, gorąca mamusko! – rzuciłem jej na powitanie.

To był nasz intymny żarcik, od kiedy – kilka tygodni wcześniej – Britney powiedziała nam, że jej szkolni koledzy uznali, że Miriam jest MILF³, i dopytywali się, czy jest mężatką, czy rozwódką.

– Witaj, człowieku z szopy – odpowiedziała. – Jak ci minął ranek? Jadłeś coś?

– Nie. Ale kupiłem sery i wino na dzisiejszą kolację.

Oderwała się od układania jabłek w misie, podeszła do mnie i nieoczekiwanie obdarzyła całusem. Czyżby dlatego, że kupiłem wino i ser?

– A więc to dlatego twój samochód stoi na zewnątrz – zauważyła. – Nie mogłeś się skoncentrować na pracy? Postanowiłeś się przejechać?

– Nie... To znaczy, tak... Pojechałem odwiedzić Chucksę – powiedziałem. – Od kilku dni nie miałem od niego wiadomości. Wypiliśmy razem kawę.

Gdy wspomniałem o Chucksie, piękne policzki Miriam zapały. Zmarszczyła brwi, a jej piwne oczy zabłyły na moment ze złości.

– Ach, tak.

Obróciła się do mnie plecami i wróciła do przerwanej czynności. Zamilkła.

– Ułożyłaś już menu dzisiejszej kolacji? – spytałem polubownie, stając obok niej i starając się jej pomóc z wypakowywaniem owoców.

– Jest zaplanowane już od tygodnia, kochanie.

Głupszego pytania nie mogłem zadać.

– Jak się czuje? – spytała nagle.

– Kto taki?

– Jak to kto? Chucks.

– Chucks? – Nie posiadałem się ze zdumienia, że o niego pyta.

Miriam potwierdziła, że to o niego zapytała, chrząknięciem wyrażając pewne zażenowanie. Nic dziwnego, dotąd nigdy w życiu nie spytała mnie o samopoczucie Chucksę.

– On... No cóż... Dobrze. Czuje się dobrze – wyjąkałem. – Przesyła ci pozdrowienia.

– Jak tam jego płyta?

– Idzie jak burza. Niedługo skończy nad nią pracować. Musi tylko dograć trochę gitar, i już.

O cóż, do diabła, może jej chodzić? Co to za wyrafinowana, machiaweliczna gra ze strony Miriam? Zupełnie nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– Wspaniale. Chciałabym... Mam ochotę jej posłuchać. Wiesz, że Britney wczoraj zaczęła mnie wypytywać o Chucksę? O naszą znajomość. O te czasy, gdy byliśmy młodzi. Ciebie też o to pytała?

– Mnie? Nie. To znaczy, tylko o podstawowe sprawy.

– Co nazywasz podstawowymi sprawami?

– No, o to, jak się poznaliśmy. Powiedziałem jej, że zaprzyjaźniliśmy się w Dublinie, że graliśmy w jednym zespole, gdy byliśmy nastolatkami. Ale to było dawno temu. Pytała mnie o to jeszcze w Londynie. O co chodzi z tym wszystkim?

– Ja też się nad tym zastanawiam. Weszłam do jej sypialni, żeby jej powiedzieć dobranoc, i nagle spytała mnie o Chucksą. Dlaczego nigdy się z nim nie widzimy, mimo iż rzekomo jesteśmy przyjaciółmi, i dlaczego za to ciągle spotykamy się z tymi „nowymi ludźmi”.

– I co jej odpowiedziałas?

– Wyjaśniłam, że Chucks jest przede wszystkim twoim przyjacielem. Że ja i on różnimy się podejściem do życia. Mówiłeś jej ostatnio coś o Chucksie?

– Nie.

– W porządku. Może to tylko chwilowa zachcianka?

– Ktoś w szkole musiał jej o nim wspomnieć – stwierdziłem. – Jest całe mnóstwo szesnastoletnich freaków, którzy znają Chucksą Basila, a plotki o tym, że zamieszkał w okolicy, musiały się już szeroko rozejść. Coś jej musieli o nim powiedzieć, nie mam pojęcia co.

– Pewnie tak.

Miriam skończyła rozpakowywać torby. Kuchenny stół był wypełniony warzywami, bagietkami, winem, słoikami z musztardą, nabiałem, jeszcze większą ilością nabiału i kilkoma pudełkami lodów. To chyba też nabiał?

– No cóż. Tak czy owak, pytanie Britney jest zrozumiałe. Może... Sama nie wiem, ale może pewnego dnia powinniśmy zaprosić Chucksą do nas? Nie ma sensu utrzymywać tej nienaturalnej sytuacji. Jeśli jest twoim przyjacielem, powinniśmy go zapraszać do domu, czyż nie?

– Oczywiście. Wiem, że Chucksą by to uszczęśliwiło. No i mnie, oczywiście, też – powiedziałem z wdzięcznością.

Myślę, że jak na Miriam, to i tak było więcej, niż była w stanie znieść. Mruknęła: „W porządku”, i wzięła się pod boki, patrząc na to wszystko, co było jeszcze do zrobienia. Wielki zegar wiszący w kuchni pokazywał godzinę 15.12, co dawało nam trzy godziny na: a) nakrycie stołu; b) przyrządzenie potrawy według przepisu Bruna Loubeta, zaczerpniętego z jego książki *Mange tout*, który Miriam wybrała, żeby zrobić odpowiednie wrażenie na gościach; c) ubranie się, odkorkowanie wina i przygotowanie przekąsek.

4

Pozytywne nastawienie Miriam do Chucksą miało potrwać bardzo krótko, a to z winy samego zainteresowanego i nieszczęśliwego pomysłu, na jaki wpadł po przebudzeniu się ze sjesty. Ale o tym później. Na razie pomówmy o kolacji, o gościach – rodzinie Mattieu i rodzinie Grubitz – i o znaczeniu, jakie dla Miriam miało nasze życie towarzyskie w Saint-Rémy.

Przez pierwszą połowę pobytu w Saint-Rémy funkcjonowaliśmy jako jedna z tych „nowych rodzin”, które pojawiają się w małej, zamkniętej społeczności i są poddawane procesowi kwarantanny. Wszyscy są dla ciebie mili, wypytyują, skąd pochodzisz, jak to się stało, że znalazłeś się tutaj, ale wiesz, że przez cały czas podlegasz ścisłej i surowej ocenie sąsiadów, zwłaszcza uznanych lokalnych autorytetów. „Ci nowi mieszkańcy Willi pod Jabłoniami to są skąd?”, „Anglicy?”, „Podobno on jest znanym pisarzem”, „Boże drogi! Mam tylko nadzieję, że to nie jedni z tych, co to się upijają i wrzeszczą po nocach”, „Już się zapisali do Raquet Clubu? Sądzilem, że potrzebny jest wprowadzający. Kto nim był?”.

Zanim wyprowadziliśmy się z Londynu, Miriam pracowała w jednej z tych małych galerii sztuki, które na zasadzie komisju wystawiają prace niezbyt uznanych artystów po przystępnych

cenach. Poznała przy tej okazji Luvę Grantis, malarkę, która osiedliła się w Mouriès, kilka kilometrów od Saint-Rémy. To ona zaprosiła nas do Prowansji i to dzięki niej – a przynajmniej w pewnej mierze dzięki niej – także trafiliśmy tu na stałe. Nasz pierwszy pobyt w Prowansji, podczas którego wszyscy troje zamieszkaliśmy w domu Luvy, przypadł na lipiec 2014 roku. Miriam zakochała się po uszy w tej okolicy, przyjemnym, łagodnym klimacie i małych, nastrojowych miasteczkach. A ponieważ nasze dalsze życie w Londynie stało się ogromnie problematyczne, zwłaszcza z powodu towarzystwa, w które wpadła Britney, Miriam opracowała plan dla całej rodziny, który nazwała: „Przeżyjmy rok we Francji!”. Poprzez kontakty mademoiselle Grantis znaleźliśmy ten piękny dom otoczony sadem i dobrą szkołą, w której Britney mogła doskonalić swój francuski. Miriam miała zamiar odkrywać artystów i rzemieślników, których prace nadawałyby się do wystawiania w londyńskiej galerii, a ja... Do diabła, przecież jestem pisarzem! Pisarz powinien móc pracować nawet na Alasce, a co dopiero w Prowansji.

Małżeństwo Mattieu (Annete i Dan) i małżeństwo Grubitz (Charlie i... do licha, zapomniałem, jak ma na imię jego żona) byli częścią niewielkiej społeczności nowo osiadłych przybyszy, do której i my dołączyliśmy. W miasteczku mówiono o nas: „ci z Beverly Hills”. Większość przybyłych zamieszkiwała obrzeża Saint-Rémy, zajmując bogate domy i wille. Miriam poznała obydwie panie podczas jednego z kursów promowanych przez urząd miasta: nauki konserwacji starych mebli i antyków. Przypuszczam, że zrobiła użytek ze swojej znajomości sztuki, żeby zrobić na nich wrażenie i dobrze je do siebie nastawić, co zresztą Miriam przychodziło z łatwością. Zaproszono nas na kilka kolacji, najpierw do Mattieu, potem do Grubitzów na grilla, a teraz nadeszła nasza kolej. Okazja do wykazania, jak dobrymi, interesującymi i wyrafinowanymi sąsiadami jesteśmy.

O piątej byliśmy już prawie gotowi. Danie główne znajdowało się w piekarniku. Deser był przygotowany i czekał w lodówce. Wszystko wskazywało na to, że rodzinny wieczór w towarzystwie nowych przyjaciół będzie prawdziwym sukcesem, gdy nagle usłyszałem coś, co zabrzmiało jak pierwszy pomruk burzy. Był to głos królowej buntowników, bogini niszczycielki konwencji społecznych, mojej pięknej szesnastoletniej córki, Britney Amandale.

– W życiu nie włożę tej sukni. Nadawałaby się dla zakonnicy!

Byłem właśnie w ogrodzie na tyłach, wypróbować lampiony, którymi mieliśmy ozdobić stół, gdy przez okno sypialni doszedł do mnie jej głos, wysoki i melodyjny. Najprawdopodobniej właśnie odkryła suknię, którą kupiła jej Miriam w dość drogim butik w Arles.

Nie jest źle – pomyślałem – powiedziała „zakonnica”, a to nawet nie jest obelgą. Widać, że francuska szkoła wywiera na nią dobry wpływ.

– A w ogóle to przecież wam mówiłam, że nie mam zamiaru brać udziału w tej kolacji.

– Czyżby? – To była Miriam. – A jakie plany masz na dzisiaj, jeśli mogę wiedzieć?

– A co cię to obchodzi? Ja mam swoje życie, a ty masz swoje.

Choć Britney ma wiele cech po mnie (upodobanie do muzyki i ciężkich potraw), odziedziczyła też sporo genów po matce; obie wywodzą się z pewnością z linii jakiejś krwiożerczej skandynawskiej wojowniczką. Kiedy zaczynają się ze sobą kłócić, staram się trzymać z dala od nich, ponieważ obawiam się, że mogę paść ofiarą wymiany ciosów.

– Uprowadziłam cię, że państwo Grubitz przychodzą z synem, Bastianem. A on zgodził się przyjść tylko dlatego, że powiedziałam im, że ty też będziesz na kolacji.

– No to będzie się musiał obejść smakiem. Zresztą znam go aż za dobrze. Chodzi do mojej klasy. Jest nudny do wyrzycania.

– Britney, kochanie, postaraj się zapanować nad swoim językiem.

Cisza. W wyobraźni ujrzałem, jak moja córka chwyta rękojeść szpady.

– Wiesz co, Miriam?... – wycedziła.

Istotnie, obnażoną szpadą zadała śmiertcionośny cios. Odezwała się do matki, mówiąc do niej: „Miriam”. To było jak wypowiedzenie wojny totalnej.

– ...otóż mam po kokardkę twoich usiłowań, żeby zamienić nas wszystkich w rodzinę z twoich marzeń. Teraz wybierasz mi ubrania. Co będzie potem? Wybierzesz mi narzeczonego? Może chcesz mnie wydać za Bastiana?

– Przestań opowiadać głupstwa. Sukienkę kupiłam czarną, bo lubisz czerń. Elegancką sukienkę. Ale czarną. Zresztą rób, co chcesz. Włóż na siebie, co chcesz. I jeśli nie chcesz, to nie schodź na dół na kolację, ale w takim przypadku nie pozwalam ci nigdzie wychodzić.

– A więc to tak?! Zostałam uwięziona w moim pokoju?! – wrzasnęła Britney, ale jej głos ucichł za drzwiami, którymi trzasnęła Miriam.

Ujrzałem moją żonę, jak schodzi po schodach, w brązowym kostiumie ponętnie oblekającym jej szczupłe ciało i z policzkami lekko zarumienionymi z gniewu.

– Odkorkowałeś wino? – spytała tylko. – Powinno się odstać.

Zatrzymałem jej marsz w kierunku kuchni, łapiąc ją w tali.

– Co takiego? – zapytała, a płomienie, jakie rzucały jej oczy, niemal opaliły mi brwi.

Uśmiechnąłem się.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że pięknie wyglądasz. – Usiłowałem ją pocałować.

– Bert, dochodzi piąta i...

Objąłem ją silniej i pocałowałem. To teren, na którym zawsze wygrywam. Miriam trochę się opierała, ale po chwili rozluźniła mięśnie i poddała się moim pocałunkom.

– Nie daję sobie z nią rady. Naprawdę – poskarżyła się. W jej oczach załśniły łzy rozżalenia.

– Próbuję wszystkiego, ale ona mnie odpycha.

– Pozwól, teraz ja spróbuję – powiedziałem.

Britney siedziała na łóżku, tyłem do drzwi. Wchodząc, dostrzegłem, że szybkim ruchem schowała komórkę, na której coś pisała. Z pewnością wysyłała pełne złości WhatsAppy do jakiejś przyjaciółki z Londynu.

– Czego chcesz? – rzuciła. – Teraz ty przychodzisz mnie przekonywać?

– Nie mam zamiaru nikogo przekonywać – odpowiedziałem. – Wpadłem, żeby sprawdzić, jak się miewa moja córka. Jak się masz, kochanie?

Podszedłem i usiadłem obok niej. Ubrana była w czarne dżinsy poszarpane na kolanach, koszulkę bez rękawów i pasek nabijany ćwiekami. Rozpuszczone blond włosy spadały jej na ramiona, a na policzkach błyszczało kilka łez. Sukienka – kość niezgody – leżała na pościeli.

– Niebrzydka – powiedziałem, biorąc ją do rąk. – Może ociupinkę zbyt klasyczna. Ale żadna zakonnica by takiej nie włożyła, uwierz mi. Chyba że jakaś bardzo wyzwolona seksualnie zakonnica.

Britney starała się zachować naburmuszoną minę, ale w końcu się uśmiechnęła.

– Nawet jej nie przymierzysz? – spytałem.

Pokręciła zdecydowanie głową.

– Mamę chyba pogięło, jeśli myśli, że coś takiego na siebie włożę.

W tej samej chwili jej komórka odezwała się krótkim sygnałem, jakby ktoś właśnie odpowiedział. Britney opanowała się i nawet po nią nie sięgnęła.

Wpatrzyłem się w kolekcję plakatów, która zajmowała północną ścianę sypialni. Najstarszy

był plakat Nirwany, ale nie o to chodzi. Dwadzieścia lat temu dokładnie tak samo wyglądał mój pokój w Londynie. Były lata osiemdziesiąte, moimi idolami byli The Police, The Cure i Joy Division. Oczywiście miałem adapter, a nie iPoda z głośnikami. Zamiast internetu istniały pisemka, takie jak „Rolling Stone”. Ale co do zasady nic się nie zmieniło.

– A jak tam w szkole, kochanie?

– Dzięki Bogu, wkrótce koniec.

Usiadła wygodniej, oparła się o kuty zagłówek łóżka i skrzyżowała nogi. Wzięła do ręki telefon i trzymając go tak, żebym nie mógł zobaczyć ekranu, zaczęła wciskać klawisze.

Milczałem. Przyglądałem się gitarze basowej Fender Jazz Bass zawieszanej w kącie pokoju. Miała ślady użytkowania i kilka naklejek na czarnym korpusie. Kupiłem ją na Denmark Street przed kilkoma laty.

– Jak się mają Rick i Chris? Kiedy znowu dacie koncert? Słuchaliśmy was z otwartymi ustami.

Rick i Chris byli braćmi czasowo mieszkającymi we Francji. Ich ojciec, amerykański inżynier telekomunikacji, został przeniesiony służbowo do filii macierzystej firmy w parku technologicznym Sophia Antipolis w pobliżu Nicei. Podobnie jak Britney, obaj mieli wielkie plany związane z muzyką i w trójkę założyli zespół. Jego oficjalny debiut miał miejsce przed dwoma tygodniami, na święcie wiosny zorganizowanym w liceum. Dali takiego czadu, że naprawdę poruszyli z miejsca tyłki wszystkich czterdziesto- i pięćdziesięcioletnich rodziców szkolnej młodzieży.

– Tu nie ma atmosfery, tato. To martwe miejsce. Rick i Chris też tak twierdzą. Oni są z Karoliny Południowej i mówili mi, że u nich w sezonie letnim moglibyśmy grać codziennie, i to za pieniądze!

– No to wykorzystaj czas tutaj i ćwicz. Jeszcze nie jesteś Glennem Hughesem. A po powrocie do Londynu wszystkim udowodnisz, co jesteś warta.

– Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć: kiedy wrócimy do Londynu?

– Już ci mówiłem, że porozmawiamy o tym pod koniec lata.

Britney wydeła swoje urocze usteczka i prychnęła głośno.

– O czym tu rozmawiać? Już wszystko zostało powiedziane. Już po wszystkim, już dostałam nauczkę. Jestem ostatnią osobą, która miałaby ochotę znowu się cała obrzygać i wylądować w szpitalu.

– Nie chodzi tylko o ciebie, Brit. Pomyśl i o innych.

– No dobrze. Ale z wami chyba wszystko w porządku? Już od dwóch tygodni się poważnie nie pokłóciliście.

Nie miałem zamiaru się roześmiać, ale jednak udało się jej mnie rozśmieszyć.

– Zabawna jesteś, córeczko. A teraz rusz się, włoż cokolwiek na siebie i zejdź na kolację. Zrób to dla mnie i znieś jakoś tego typka przez kilka godzin, dobrze?

Punkt szósta zadzwonił dzwonek; wszyscy goście stali już przy drzwiach. Otworzyłem, odebrałem przyniesione butelki wina i tartę od pani Grubitz, zaniósłem wszystko do kuchni, a Miriam czyniła w przedpokoju honory domu. Tak zaczął się spektakl teatralny zatytułowany *Miła, szczęśliwa rodzinka*.

– Bert, kochanie, nalej wszystkim wina, podczas gdy oprowadzę gości po domu.

– Już się robi, słoneczko.

– Dobrze go wyszkoliłaś, Miriam – skomentowała pani Grubitz i wszyscy wybuchnęli

śmiechem.

– Stara czarownica – mruknąłem pod nosem moim akcentem z północnego Dublina.

Bastian, „kawaler na wydaniu” państwa Grubitz, przedstawiał sobą dość zniechęcający widok. Szesnastoletni smarkacz w koszuli i swetrze w romby. Uczesany z przedziałkiem i w butach błyszczących jak żołnierskie kamasze w dniu defilady. Od chwili, gdy przekroczył próg, zaczął się wysilać, żeby zrobić wrażenie: przemawiał po angielsku z amerykańskim akcentem (musiał spędzić sporo czasu w amerykańskich szkołach) i był wyraźnie zadufany w sobie. Przypuszczalnie chciał udowodnić, że ma wysokie IQ, ale udowodnił jedynie, że jest nudziarzem pierwszej wody.

Gdy Britney zeszła do ogrodu, przekonałem się, że posłuchała mnie i ubrała się według własnego gustu. Zamiast sukienki od Miriam włożyła mikroskopijne dżinsowe szorty, które kupiła sobie w ubiegłym roku w Barcelonie. Jej długie nogi obleczone były w czarne nakolanówki sięgające do połowy uda. Kusa bluzeczka odsłaniała pępek. Ja pierniczkę, pomyślałem na jej widok, a Miriam niemal upuściła kieliszek wina.

Bastian przerwał wygłoszaną orację i zaczął się jąkać. Ściągnął sweter, mówiąc, że mu gorąco, ale matka zmusiła go, żeby włożył go z powrotem.

Po tych początkowych perturbacjach przeszliśmy do zakąsek i ogólnej konwersacji. Bastian i Britney rozmawiali o szkole, kobiety o swoich sprawach, ser brie roztapiał się w piekarniku, a ja zabrałem Charliego Grubitza i Dana Mattieu do sadu. Ani jeden, ani drugi nie pochodzili z Saint-Rémy – Grubitz był marsylczykiem, a Mattieu paryżaninem – ale opowiedzieli mi o rodzinie Bernard, która poprzednio zamieszkiwała mój dom, handlarzach winem i cydrem. Stwierdzili też, że moje jabłonie dają doskonałe owoce, i spytali, czy nie myślałem o tym, żeby zacząć amatorsko pędzić cydr. Odpowiedziałem, że to doskonały pomysł (skłamałem) i że się nad tym poważnie zastanowię (kolejne kłamstwo).

Dan Mattieu był lekarzem ginekologiem i pracował w jednym z okolicznych szpitali. Charlie Grubitz był prawnikiem i zarabiał na chleb w branży nieruchomości. Powiedział, że mieliśmy sporo szczęścia, że zdobyliśmy ten dom.

– Jedna z najlepszych posiadłości w Saint-Rémy, to nie ulega wątpliwości. Zakupiliście ją państwo czy wynajmujecie?

Wyjaśniłem, że wynajmujemy, ale z otwartą opcją kupna. Swoją wypowiedź zakończyłem stwierdzeniem, że to będzie zależało od tego, na jak długo będziemy mieli zamiar się tu zatrzymać.

To sprawiło, że mężczyźni popatrzyli po sobie z zaskoczeniem.

– Czyżbyście nie mieli zamiaru zostać tu na zawsze? Teraz, gdy mamy szansę pozyskać nowego adepta do naszej sekty? – zażartował Grubitz, poklepując mnie energicznie po ramieniu.

Zasiedliśmy do stołu i muszę przyznać, że to nie było aż takie straszne. Grubitz był wytrawnym podróżnikiem, dysponował całym arsenalem anegdot i przez dłuższą chwilę monopolizował uwagę. Potem nastąpiło to, czego się z góry spodziewałem, a mianowicie wypytywanie nas o różne sprawy. Pani Mattieu spytała Britney, czy wybrała już przedmioty, których będzie się uczyć w przyszłym roku, w perspektywie wyboru kierunku studiów. Było jasne, że w świecie Grubitzów i Mattieu nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszyscy młodzi ludzie wybierają karierę uniwersytecką.

– Nie mam zamiaru iść na uniwersytet – odparła Britney. – Poświęcę się muzyce.

– Muzyce? – podchwyciła pani Mattieu. – Och, jakie piękne powołanie! W którym

konserwatorium?

– Żadnym... – powiedziała twardo Brit. – Chodzi mi o rock. Będę pisała piosenki. Będę miała zespół.

Policzki pani Mattieu lekko się zaróżowiły. Rzuciła nam rozbawione spojrzenie.

– To nie jest nie do pogodzenia z uniwersytetem – zainteresowała Miriam – albo przynajmniej z nauką na wyższej uczelni. Pomówimy o tym, gdy nadejdzie czas.

– Po skończeniu osiemnastu lat będę mogła robić, co będę chciała – rzuciła wyzywająco Britney.

– Pomówimy o tym później – powtórzyła Miriam z czarującym uśmiechem.

Wyczułem, że moja żona znajduje się w fazie fuzji termojądrowej i że jeśli szybko czegoś nie zrobię, wszyscy padniemy ofiarą gwałtownego wybuchu.

– A ty, Bastianie? – spytałem. – Chcesz zostać prawnikiem, tak jak twój ojciec?

Bastian zaczął perorować o wyższych uczelniach w Stanach Zjednoczonych i w Europie, na których chciałby studiować. Podczas gdy głądził i głądził, popatrywałem na Miriam i Britney. Britney patrzyła na Bastiana ciężkim wzrokiem, jak na muchę w zupie. Natomiast Miriam wychyliła, nieco zbyt pospiesznie, kolejny kieliszek wina i jej policzki płonęły. Spokój, zachowajmy spokój, mówiłem do siebie w duszy. Wszystko będzie dobrze. Jakoś to przeżyjemy. Jesteśmy drużyną.

Ser brie zapiekany z kartofelkami i szynką odniósł ogromny sukces i wywołał ogólny aplauz dla Miriam. Flambirowany półmisek stojący na stole w mrocznym ogrodzie pod gwiazdami oświetlił nasze twarze jak buzujący kociołek twarze czarownic podczas sabatu. Konwersacja skręciła w stronę mojego zawodu i twórczości.

– Nie czytałem żadnej z pana książek – stwierdził Grubitz – ale Elena mówiła mi, że wywołują dreszcze.

– Tak – potwierdziła jego żona. – Są naprawdę przerażające. Musiałam momentami odrywać się od lektury, bo nie wytrzymałam napięcia. Skąd bierze pan pomysły tych krwawych scen?

– Opisuję rzeczy, które chciałbym zrobić swoim sąsiadom – zażartowałem. Jednak natychmiast byłem zmuszony wyjaśnić, że „to był tylko żart”, gdyż obydwie pary małżeńskie zastęły w milczeniu.

Potem przez chwilę opowiadałem o kręceniu filmu opartego na mojej książce *Wschód słońca w Testamento* i o tym, jak poznałem Benicia del Toro, Raquel Welch i Brada Pitta podczas przyjęcia wydanego w rezydencji producenta filmu w West Hollywood. Pani Grubitz, która zajmowała się filmoteką w miasteczku, obiecała we wrześniu urządzić projekcję filmu i zaproponowała mi, żebym uświetnił to wydarzenie, odczytując fragment książki. Miriam uznała, że to świetny pomysł, pani Mattieu także wydało się to fascynujące i podczas gdy kobiety przerzucały się myślami na to, jak miałyby być zorganizowany ten wieczorek filmowy, poczułem wibracje w kieszeni spodni. Pod osłoną obrusu sięgnąłem po komórkę i spojrzałem na wyświetlacz. Figurowało na nim wielkimi literami: CHUCKS.

O nie! – pomyślałem – co to, to nie. Nie teraz.

Wsadziłem komórkę do kieszeni, gdzie nadal brzęczała przez dobrą minutę. Chucks musiał mieć mi coś bardzo ważnego do powiedzenia. Zanim aparat się uspokoił, całkiem straciłem wątek konwersacji...

– Co?... Przepraszam, zagapiłem się...

– Pytałam, czy wpadł pan już na pomysł jakiejś historii, która działałaby się tutaj, w Saint-Rémy?

Poczułem, że komórka ponownie przypuszcza atak na moje spodnie. Do stu piorunów, Chucks, czego ty, człowieku, ode mnie chcesz?

– Przepraszam na moment – powiedziałem, podnosząc się od stołu na tyle niezręcznie, że go potrąciłem. Kieliszek Dana Mattieu przewrócił się i wino wylało się na jego talerz. – Przepraszam! Stokrotnie przepraszam!

Pobiegłem do salonu, wyciągnąłem z kieszeni wibrujący telefon, na którego wyświetlaczu nadal można było przeczytać: CHUCKS.

– Mów, czego chcesz, stary. Jesteśmy w trakcie kolacji – burknąłem dość nieuprzejmie.

Po drugiej stronie usłyszałem jakieś dziwne dźwięki. Jakby szloch.

– Chucks?

– Bert, brachu. To ja, Chucks.

– Wiem, że ty to ty, Chucks. Co się dzieje?

– Potrzebuję... Musisz przyjechać. Przyjedź do Sainte Claire.

– Co? Przecież mówiłem ci, że kolacja... Co się stało?

– Jestem na komisariacie. W *gendarmerie*. Postanowiłem się zgłosić. Pozwolili mi zadzwonić. Mógłbyś powiadomić Jacka Ontama?

– O, jasny gwint, Chucks! Coś ty najlepszego zrobił? – krzyknąłem.

– Miałeś rację – wymamrotałem. – To najlepsze, co mogłem zrobić. Przespałem się i to mi pomogło... Wreszcie mogłem zacząć myśleć. Powiadom Jacka. Jeszcze mnie nie zatrzymali ani nic takiego, chociaż przypuszczam, że wkrótce to zrobią.

– Dobra. Dobra. Spokój, stary. Już jadę... Czeka tam na mnie. Jadę.

– Nie musisz. Nie chcę wam przeszkadzać. Miriam mnie znienawidzi.

Otóż to, pomyślałem. Nie ma co do tego wątpliwości. Natomiast na głos powiedziałem:

– Nie przejmuj się. Już do ciebie jadę.

Przerwałem połączenie i popatrzyłem na telefon z mętlikiem we łbie. To była prawdziwa bomba. Chucks właśnie spieprzył sobie życie, i to z powodu rady, której ja sam mu udzieliłem. Zresztą każdy na moim miejscu udzieliłby mu takiej rady, czyż nie? Tak sobie powtarzałem, wracając do ogrodu, gdzie Miriam, Britney i goście na mój widok przerwali rozmowę.

– Czy coś się stało, kochanie? – spytała Miriam. Z pewnością odczytała z mojej twarzy, widocznej w świetle lampionów, że właśnie „ujrzałem upiora”.

– To Chucks dzwonił – odpowiedziałem instynktownie. Nie przygotowałem sobie żadnej bajeczki. – Muszę wyjść. Nagły wypadek.

Powinienem być się domyślić, jakie konsekwencje będzie miało użycie słowa „wypadek”. Dan Mattieu poderwał się z miejsca.

– Potrzebny jest lekarz?

– Nie. Nie. Na pewno nie. To nie ma nic wspólnego ze stanem zdrowia.

Miriam wyjaśniła, że Chucks jest naszym przyjacielem i mieszka w Sainte Claire.

– Nie powinien pan prowadzić – oświadczyła pani Grubitz. – Charlie, ty go zawieź.

– To nie jest konieczne – wymówiłem się. – Przysięgam. Dziękuję. To mi zajmie trochę czasu... Mam nadzieję, że niedługo wrócę... Naprawdę muszę zaraz jechać.

– Teraz zaraz? – spytała Miriam rozstrojonym głosem. Na jej twarzy wymalowane było wielkimi literami: PRZESTAŃ WALIĆ GŁUPA, BERT! – Jeśli to nie nagła choroba, to czy to może być takie pilne?

– Tak, Miriam. Uwierz mi. Bardzo pilne.

Britney, która aż do tej chwili milczała w swoim kąciku, popatrzyła na mnie zaniepokojona.

– Czy chcesz, żebym z tobą pojechała, tato?

Podziękowałem jej szczerze, ale wyjaśniłem, że nie ma takiej potrzeby.

Wyszedłem, pozostawiając za sobą chłodny i niestrawny nastrój. Zrujnowałem kolację Miriam, co było okropne, ale najgorsze było jeszcze przed nami. Już sobie wyobrażałem, jak żwawo wprawi się w ruch miejscowa wytwórnia plotek jutro od samego rana: „Miriam jest urocza, ale ten jej mąż, pisarz... Uff. Dziwak, jak wszyscy artyści zresztą. Od razu wychylił kieliszek, i to niejeden, moja droga, a potem ni z gruszki, ni z pietruszki powiedział, że musi wyjść. Pojechać do przyjaciela. Czyżby jakieś kłopoty z prawem?”.

Niemal mogłem poczuć, jak nad moją głową zbierają się ogromne, przerażające chmury burzowe. Miriam musiała parować wściekłością.

Postarałem się opanować i skoncentrować na prowadzeniu auta. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowałem, to kolejny wypadek samochodowy, zwłaszcza że miałem już w czubie z pół butelki wina. Dotarłem do Sainte Claire o zmroku. Spytałem dwóch kucharzy, którzy odpoczywali po trudach dnia, paląc papierosy na tarasie restauracji, gdzie znajduje się posterunek policji.

Gendarmerie Nationale de Sainte Claire⁴ mieściła się w białym, piętrowym budynku z czerwonym dachem w centrum miasteczka. Podszedłem do dyżurki i powiedziałem, że jestem przyjacielem Ebetha Jamesa Basila – tak naprawdę brzmi nazwisko Chucksa – który się tutaj znajduje i mnie wezwał. Mówiłem moim łamanym francuskim, było więc oczywiste, że jestem cudzoziemcem. Żandarm, który najprawdopodobniej nie mówił słowa po angielsku, ograniczył się do kiwnięcia głową i mruknięcia czegoś pod nosem, co chyba miało znaczyć, że mam poczekać.

Oczekiwanie trwało jakieś pięć minut, po czym pojawił się inny policjant, starszy i wyglądający poważniej. Miał podkrążone oczy i kwadratową szczękę.

– Pan jest przyjacielem monsieur Basila? – zapytał. Gdy potwierdziłem, policjant przedstawił się jako porucznik Riffle. – Otóż, proszę pana, pana przyjaciel pojawił się tutaj jakieś półtorej godziny temu i stwierdził, że chciałby złożyć zeznanie. Zaprowadziliśmy go do pokoju przesłuchań i tam opowiedział nam bardzo dziwną historię.

– Co takiego wam opowiedział? – spytałem, starając się nie zdradzić, że wiem, o co chodzi.

– No cóż, w sumie stwierdził, że w ubiegły poniedziałek potrafił pieszego na drodze regionalnej. Mówił, że nie mógł uniknąć zderzenia, że człowiek ten pojawił się znikąd w ciemnościach.

– O, Boże!

– Przyznał, że uciekł z miejsca wypadku. Że wpadł w panikę, stwierdziwszy, że ów mężczyzna nie żyje. Tak przynajmniej twierdzi. I że później wrócił tam, żeby go odnaleźć, poruszony wyrzutami sumienia, ale zwłok nigdzie nie było.

– Co takiego?! – wykrzyknąłem, udając zaskoczenie.

Porucznik Riffle, który nie wyglądał na głupiego, musiał mnie z miejsca przejrzeć.

– Wiedział pan o tym? – Postukał mnie wyciągniętym palcem w pierś.

– Ja? Ależ skąd! Nie miałem o tym pojęcia.

– Proszę pana. Od dwóch godzin wydzwaniamy do wszystkich szpitali i innych tego typu placówek w okolicy. Nie zdarzył się żaden wypadek i nigdzie nie znaleziono żadnego trupa. Wysłaliśmy kilku funkcjonariuszy na odcinek drogi, na którym według pana przyjaciela to wszystko się wydarzyło. Ani śladu wypadku. A te zadrapania na zderzaku rovera, które pana

przyjaciół przytoczył jako dowód, niewiele dowodzą. Co ciekawe, monsieur Basil zeznał, że dokładnie umył samochód. Czy zna pan dobrze pana Basila?

– Dość dobrze – odpowiedziałem. – Przyjaźnimy się od wielu lat.

– Czy cierpi na jakiegoś rodzaju zaburzenia umysłowe?

Zapadła krótka cisza. Dobre pytanie. Przełknąłem ślinę.

– Miał pewne kłopoty w przeszłości – przyznałem, wspominając pewne stare zdarzenie. – Ale to było dawno. I miało związek z narkotykami. Rozumie pan...

– Pobraliśmy mu krew. Analiza wykazała, że w ciągu ostatnich godzin wziął jakieś środki uspokajające. Czy nadal bierze narkotyki?

– Już od dawna ogranicza się do paru piwek – odpowiedziałem. Nie była to cała prawda, ale od swojego przyjazdu do Francji, przynajmniej w mojej obecności, Chucks nie tknął niczego oprócz alkoholu. No dobrze, wypalił też trochę trawki, ale nie sięgał po inne wynalazki. – Natomiast w przeszłości kilkakrotnie był na odwyku.

Riffle milczał i widać było, że rozmyśla nad tym, co usłyszał. Spytałem, czy Chucksowi potrzebny jest adwokat, ale pokręcił głową.

– Bez dowodów przestępstwa nie ma podstawy do oskarżenia. Przynajmniej do czasu, aż znajdziemy jakieś zwłoki lub okaże się, że ktoś z naszej okolicy zaginął. Monsieur Basil nie podał opisu rzekomego nieboszczyka ani żadnych konkretnych danych. Mogłoby chodzić o jakieś omamy, o fałszywe samooskarżenie lub o chęć autoreklamy z jakiegoś powodu, rozumie mnie pan? Nie możemy go tu zatrzymać, ale chciałbym liczyć na pana słowo, że nie opuści miasta.

– Moje? – spytałem. – Daję je panu.

– Wiemy, że monsieur Basil ma posiadłość kilka kilometrów stąd i że jest znaną postacią, dlatego nie widzę żadnego powodu, aby musiał spędzić noc w areszcie. Niech go pan zawiezie do domu, niech pan z nim porozmawia. Może powinien udać się do psychologa.

– Zgoda.

Musiałem poczekać jakieś dziesięć minut, zanim pojawił się Chucks w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy. Był ubrany w biały sweter i równie biały na twarzy. Nie wyglądał na zadowolonego.

– No i nici, brachu. Wszystko na nic. Dzwoniłeś do Jacka?

– Później pogadamy, Chucks. Chodźmy stąd.

Riffle towarzyszył nam do drzwi.

– Monsieur Basil, samo zeznanie nie jest wystarczające, żeby kogoś zatrzymać – wyjaśnił. – Nie we Francji. Pana opowieść, z braku dowodów, sama w sobie nie jest obciążająca. Niemniej jednak liczę, że da mi pan słowo, że nie opuści Sainte Claire przez kilka dni, na czas trwania dochodzenia. Zgadza się pan?

– Zgadzam się, poruczniku – powiedział Chucks. – Ma pan moje słowo.

Nie rozmawialiśmy w drodze do jego domu. Chucks jechał swoją teslą, a ja za nim spiderem. Z samochodu usiłowałem dodzwonić się do Miriam, ale nie odbierała. Po którymś z kolei sygnale odebrała Britney.

– Mama gotuje się z wściekłości.

– Wyobrażam sobie. Goście jeszcze są?

– Poszli. Zostali jeszcze tylko chwilę po twoim wyjściu. Mama podała deser, zjedli go szybko, nawet kawy nie chcieli. Co się stało Chucksowi?

– Nic takiego. To znaczy, to bardzo dziwna historia. Opowiem wam po powrocie do domu.

– Wracaj szybko, tato. Sądę, że dzisiejszy dzień jest jednym z tych, które...

– Aha, rozumiem.

Dojechaliśmy i zaparkowaliśmy jeden za drugim. Wszedłem z Chucksem do środka. Otworzyliśmy tylne drzwi i usiedliśmy na tarasie. Chucks przyrządził sobie dzin z tonikiem. Odrzuciłem jego zaproszenie; uznałem, że już i tak za dużo wypięm jak na kierowcę.

– Wracaj do domu, brachu – powiedział Chucks. – Może jeszcze zdążysz na deser.

Odparłem, żeby się nie przejmował.

– Spieprzyłem wam wieczór i w gruncie rzeczy do niczego się to nie przydało.

– Nie mów tak, Chucks. Dobrze zrobiłeś. Postąpiłeś tak, jak ci dyktowało sumienie.

Gdy tak siedzieliśmy, pojawiła się Lola. Polizała nas po rękach i położyła się u nóg Chucks'a.

– Ale ten facet gdzieś jest. Nieżywy. Przyśnił mi się dziś po południu, wiesz?

– Miałeś koszmar?

– Tak. Siedziałem na tarasie restauracji w Londynie. Był tam ten facet. Około trzydziestki, starannie ubrany i bez żadnych ran na twarzy. Siedzieliśmy i piliśmy piwo. Mówił do mnie, wyjaśniał, że nic się nie stało. Że ten wypadek to nie moja wina.

Chucks pociągnął ze szklanki i siedzieliśmy chwilę w milczeniu, paląc papierosy. Dym unosił się pionowo w górę. Chucks miał sine worki pod oczami i nieprzytomne spojrzenie.

– Wydawało mi się, że go skądś znam. Mogłem mu się dokładnie przyjrzeć, brachu. Pamiętam każdy rys jego twarzy. Głęboko osadzone oczy, wydatny podbródek. Mówił nerwowo, jak ludzie, którzy chcą dużo powiedzieć w krótkim czasie. Dławił się słowami. Nie rozumiałem większości tego, co mówił, natomiast widziałem go bardzo wyraźnie. To niesamowite...

– Istotnie.

– Mówił, że teraz będę musiał coś zrobić. Że mam zadanie do wykonania. Ale gdy próbowałem go wypytać, jakie, zamilkł. Nagle okazało się, że ma usta zaszyte białą nicią. I zaraz też się okazało, że ma zawiązane z tyłu na plecach rękawy koszuli i siedzi ze skrzyżowanymi rękami, jak wariat w kaftanie bezpieczeństwa. Po czym zaczął krzyczeć z wybałuszonymi oczami, z pustym spojrzeniem, jak krowa prowadzona na rzeź, a głowę pokrywały mu te niewielkie ranki. I znowu byłem na drodze, i znowu potrąciłem go samochodem. BAM! I znowu wyleciał w powietrze w świetle reflektorów. Wtedy się obudziłem i postanowiłem zgłosić się na policję.

– Dobrze zrobiłeś. I co, stary, lepiej się teraz czujesz?

– Tak, ale gliniarze sądzą, że szwankuję na umyśle. A ty? Też myślisz, że zwariowałem?

Nie odpowiedziałem; myślami byłem przy tamtej starej historii związanej z Chucksem. Przyszła mi do głowy, gdy porucznik spytał mnie, czy Chucks ma jakieś zaburzenia umysłowe, a ja odpowiedziałem, że „miał pewne kłopoty w przeszłości”.

A jeśli te „kłopoty” wróciły?

5

Dawno, dawno temu, chyba w 1995 roku, Chucks właśnie zakończył tournée po Europie. To był okres, gdy niewiele dni udawało mu się spędzić na trzeźwo. Pił i zażywał wszystko, co mu tylko wpadło w ręce. A to oznaczało, że zażywał naprawdę sporo.

Po powrocie przeprowadził się do Amsterdamu, do domu swojej ówczesnej narzeczonej,

pięknej holenderskiej modelki Elise Watenberg. Planowali, że spędzą tam jesień i Chucks dojdzie do siebie przed zaplanowaną na następny rok trasą koncertową po Stanach Zjednoczonych. Na święta Bożego Narodzenia mieli wpaść do Londynu.

Nie dokonam wielkiego odkrycia, jeśli stwierdzę, że Amsterdam w tamtym czasie nie był oazą zdrowego stylu życia. Chucks poczynił spore postępy na drodze autodestrukcji, a sama Elise też mniszką nie była i, jak dowiedziałem się później, ich życie w luksusowym apartamencie na Pijp było całkowitym chaosem. Ciągłe balowali. Trójkąty, orgietki. Elise była nie od tego, żeby urozmaicać sobie życie, a lubiła i panów, i panie. A co do amatorów narkotyków, to ogólnie wiadomo, że ówczesny Amsterdam był ich mekką.

No i jakoś tak się stało, że w październiku tamtego roku Chucks w czasie zwykłych wypraw do miasta lub też podczas nocnych rozrywek zaczął zauważać, że ktoś go śledzi. Opowiedział nam o tym, mnie i Miriam, dużo później. Zwykle śledziły go te same osoby, ale w różnych przebraniach. „Jakiś skośnooki Chińczyk. Ktoś wyglądający na Araba. Jeszcze inny, w okularach...”.

Według Chucksa prześladowców było około dwudziestu. Ludzie ci chodzili za nim z jakiegoś powodu. Chcieli wyśledzić, co robi. Chcieli go porwać. Albo jeszcze gorzej. Na jego ostatnim albumie były dwie piosenki skierowane przeciwko neokonserwatystom i rządowi USA. Piosenki, które wywołałyby krytykę i lawinę nieprzychylnych komentarzy w Stanach, gdzie miały się następnego lata odbywać jego koncerty.

To sprawiło, że w jego wyobraźni wszystko to zaczęło się łączyć. Chucks doszedł do wniosku, że ci ludzie w Amsterdamie to agenci CIA.

„Pewnego dnia siedziałem w jakiejś knajpie z Elise i kilkorgiem przyjaciół. Piliśmy tak strasznie, że jedyne, czego nie ruszyliśmy, to była woda z wazonu. Wtedy ich dostrzegłem, siedzieli przy jednym stoliku i patrzyli na mnie. Ten Chińczyk, Arab i facet w okularach. Podniosłem się od stołu, podszedłem do nich, złapałem jednego z nich za krawat i uniosłem do góry. Krzyczałem, że WIEM, O CO IM CHODZI! Rozpętała się awantura, ale – wbrew temu, co ukazało się w prasie – nie zatrzymała mnie policja. Wsiadłem do samochodu i jechałem przez całą noc, żeby dotrzeć do Paryża”.

Według Chucksa agenci podążyli za nim. Zatrzymał się w hotelu George V i stamtąd zadzwonił do Jacka Ontama, żeby przyjechał po niego z kilkoma goryłami, bo „ktoś mu zagraża”. Następnego dnia prywatnym samolotem odleciał na Heathrow.

Przez kilka następnych miesięcy Chucks był w klinice na odwyku, a w końcu trafił do czegoś w rodzaju sanatorium w Irlandii, na południe od Dublina, gdzie – nawiasem mówiąc – natknął się na Jimmy’ego Page’a i panowie bardzo się zaprzyjaźnili. Tam spędził całą zimę 1995 roku, malując akwarele i ucząc się garncarstwa. Odwiedziłem go kilka razy, a nawet odbyliśmy wycieczkę furgonetką na zachód i na wybrzeże Connemara. Ta podróż była jak symboliczne zakończenie pewnego etapu jego życia, życia ćpuna, podczas której złożył przyrzeczenie, że rzuca to wszystko. Za zgodą Miriam zaprosiliśmy go do nas na święta. Był już wówczas świadomy tego, że wszystko, co mu się zdarzyło, było szaleństwem. „Mój umysł wyrwał mi się spod kontroli, Bert. Całkiem mi odwaliło. Nie chcę, żeby kiedykolwiek znowu przydarzyło mi się coś podobnego”. Opowiadając nam o swojej małej „aferze szpiegowskiej na kontynencie”, wyjawiał też, że zerwał z Elise, która najwyraźniej przechodziła przez etap lesbijski i związała się z jakąś Dunką.

Na prośzoną kolację wigilijną Miriam zaprosiła swoją najlepszą przyjaciółkę, Lindę Fitzwilliams. Piękną jak marzenie rudowłosą studentkę inżynierii o niebieskich oczach

i wysportowanym ciele. Chucks i ona usiedli obok siebie i żadnemu z gości przy stole nie umknęło, że niemal natychmiast pojawiło się między nimi wzajemne przyciąganie. Linda pochodziła z robotniczej rodziny i wychowała się w trudnych warunkach w jednej z gorszych dzielnic Londynu. Nie robiły na niej wrażenia opowieści Chucksa o wielkim świecie i docinała mu bez żenady, ale on, zamiast się obrazić, patrzył tylko na nią i wybuchał śmiechem. A kiedy podeszliśmy do choinki, gdzie leżały prezenty „od aniołka”, byli już w tak dobrej komitywie, że organizowali nam wspólny wyjazd do Szkocji, gdzie Linda знаła doskonałe miejsce na zorganizowanie sylwestra. W końcu nikt do nich nie dołączył i pojechali sami. I tak zaczęła się historia związku Lindy i Chucksa. Nigdy wcześniej nie widziałem mojego przyjaciela tak szczęśliwego; mało brakowało, a po miesiącu od wyprawy do Szkocji poprosiłby Lindę o rękę. Odradziłem mu wtedy ten krok, wydawało mi się, że to za wcześnie, natomiast Miriam od początku była przeciwna temu związkowi. Miała jakieś złe przeczucia. Znała Chucksa, nawet go wówczas trochę lubiła, ale obawiała się jego charakteru. Już wtedy mówiła, że jest chodzącym problemem, że to egoista udający fajnego faceta. A potem, gdy doszło do Tamtego Wypadku, po prostu postanowiła go znienawidzić i odtąd nienawidziła go z całej siły. I to się nie zmieniło aż do dziś.

Dlatego teraz, gdy wróciłem do domu, zastanawiałem się, czyby nie ukryć przed nią prawdy. Siedziała w salonie, czekając na mój powrót z samotnym kieliszkiem wina stojącym przed nią na stole. Britney, która usłyszała, że wchodzę, zeszła na półpiętro i pozostała na schodach wiodących na parter.

– Wracam z komisariatu – powiedziałem od drzwi. – Chucks miał wypadek.

Miriam otworzyła szeroko oczy.

– Co? – spytała. Britney zeszła jeszcze parę stopni po schodach. – Co mu się stało?

Co mam robić? Chucks jest moim przyjacielem, ale Miriam moją żoną. Powinienem powiedzieć jej prawdę? Ale co by to dało? A właściwie... czy coś mu się stało?

– Z samochodem wszystko w porządku – powiedziałem, nie mijając się aż tak bardzo z prawdą. – Więcej strachu niż szkody...

– Boże drogi...

Miriam wyszeptała to, patrząc w przestrzeń. Wiedziałem, gdzie podążyły jej myśli.

– Czy był pijany?

– Nie. Trzeźwy jak gwizdek. Poślizg. Z pewnością na jakiejś płamie oleju. Kilka zadrapań na lakierze. Jest trochę obolały, ale dojdzie do siebie.

– Niech to diabli. Chucks i... – zaczęła mówić, ale przerwała.

– Dokończ – poprosiłem. – Powiedz, co miałaś powiedzieć, Miriam.

– ...samochody – powiedziała Miriam, po czym wychyliła swój kieliszek wina. – Chucks i jego przeklęte samochody.

Tej nocy przyśnił mi się Chucks. On, Miriam, Linda i ja byliśmy w Hiszpanii na jakiejś plaży, paliliśmy ognisko, graliśmy na gitarze i piliśmy piwo. Miriam i Linda, oświetlone płomieniami, miały po dwadzieścia siedem lat i były najpiękniejszymi dziewczynami na świecie. Chucks podrywał się z miejsca, patrzył w gwiazdy i krzyczał: „Wiwat!”, po czym wszyscy wybuchaliśmy radosnym śmiechem. To był 1999 rok; tamtego lata podróżowaliśmy po Hiszpanii, Portugalii i Maroku dwiema furgonetkami. I gdy tak siedzieliśmy na brzegu morza, gdzieś koło Kadyksu, w oddali, na wydmach zaczęły się pojawiać jakieś ludzkie sylwetki. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści postaci, które zaczynały się do nas zbliżać. Czułem, że nam

zagrożają, że chcą nam zrobić coś złego. Usiłowałem ostrzec przyjaciół, ale ci śmiali się radośnie i nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.
wiadai kryminalnych, których pisaniu oddawał się w wolnych chwilach.

Rozdział trzeci

1

Nadszedł ranek, niebo było przejrzyste i błękitne, a ja – mimo że sprawa Chuckska nie dawała mi spokoju – musiałem powrócić do moich zwykłych obowiązków i wziąć się do pisania.

Wstałem wcześnie, zaparzyłem sobie kawę i wypilem ją wraz z pierwszym tego dnia papierosem. Siedziałem przy stoliku w ogrodzie na tyłach domu, napawając się wspaniałym spektaklem rozpościerającym się przed moimi oczami. W Prowansji przyroda nadal ma zapach i blask. Trawa, drzewa, krzaczki lawendy, wszystko lśni w słońcu, pachnie urzekająco, poszczególne części natury walczą o uwagę widza, jakby prosząc o to, żeby je namalować. Nie dziw, że tylu słynnych malarzy postanowiło tworzyć właśnie tu, w tej krainie zalanej magicznym światłem. Ponadto podobno zapach lawendy powoduje u ludzi wzrost zaufania. Udowodniono naukowo, że ludzie są bardziej skłonni pożyczyć pieniądze komuś, kto pachnie lawendą. To być może dlatego moje zaufanie do własnych możliwości jako pisarza tego ranka wzrosło do sześciu punktów na dziesięć i miałem nadzieję, że uda mi się napisać kilka dobrych stron.

Dopiłem kawę i przeniosłem się do swojej szopy. Zasiadłem w wygodnym fotelu i włączyłem komputer. Na wielkim blacie stołu panował chaos, wszędzie leżały zapiski i karteluski. Obok klawiatury spoczywała notatka z najlepszym pomysłem, na jaki udało mi się wpaść do tej pory:

„Bill powraca do Testamento i udaje komiwojażera sprzedającego subskrypcję religijnego czasopisma. W kawiarni Andy’s przypadkowo natyka się na Patty Carcaiste, wolontariuszkę ośrodka pomocy dla samotnych kobiet. To ona stanie się jego szesnastą ofiarą”.

W świetle poranku ten pomysł wydał mi się naprawdę gówniany. Musiałem się zmusić, żeby jeszcze raz przeczytać notatkę. Odetchnąłem głęboko (lawenda, muszę pamiętać o lawendzie) i zacząłem rozmyślać.

Musisz coś napisać – mówiłem sobie – cokolwiek. Podpisałeś umowę na książkę, więc po prostu musisz napisać książkę. Zabieraj się do pracy, chłopie, i to już! Nie ma na co czekać.

Nora Lee z wydawnictwa S&S zakupiła trzecią część *Wschodu słońca w Testamento* za bardzo poważne pieniądze i postawiła mi jeden warunek: Bill Nooran nadal ma być mordercą, a objętość książki ma przekraczać pięćset stron. Myślałby kto, że książki pisze się od metra, droga pani Lee!

Zacząłem pracę w styczniu i bez żadnych przestojów, z ogromnym impetem, pisałem niemal po pięć stron dziennie, dzięki czemu stworzyłem około sześciu pierwszych rozdziałów książki, wznosząc się na wyżyny twórczości, jak surfer na ogromnej morskiej fali. Wysłałem tekst do Marka, ten dostarczył go Norze Lee, która odpowiedziała mi entuzjastycznym mailem z Nowego Jorku. I od tej chwili, dzień po dniu, szło mi coraz gorzej. Z początkowych dwóch do trzech tysięcy słów dziennie moja wydajność spadła do tysiąca pięciuset, a nawet tysiąca. To było w kwietniu, a jakoś w maju zaczęły mi się zdarzać dni, kiedy nie byłem w stanie napisać ani słowa. Jednak mój wewnętrzny alarm dziwnym trafem jeszcze się nie włączył, mimo iż „biała

kartka” jest dla zawodowego pisarza jednym z najgorszych koszmarów. Zawsze też świadczy o czymś jeszcze: o zmęczeniu, o braku ogólniejszej wizji lub o potrzebie oderwania umysłu od spraw bieżących.

Tym razem udało mi się pracować do około wpół do jedenastej, gdy z koncentracji wyrwał mnie dźwięk klaksonu. Wyszedłem do ogrodu i ujrzałem, że pod płot podjechała furgonetka pocztowa.

Młody listonosz wyglądający na młodocianego przestępcę poddawanego reedukacji przez pracę wręczył mi dość ciężką paczkę.

– Ktoś panu coś przysłał z Anglii? – skomentował, dając wyraz niestosownej ciekawości i podsuwając mi przekaz do podpisu.

Nie odzywając się ani słowem, popatrzyłem na przekaz: „M.B., 318 Ukraine Str., London”. No cóż, znałem tylko jedną osobę mieszkającą pod tym adresem – był to mój agent literacki, Mark Bernabe. Pomyślałem, że wysłał mi egzemplarze okazowe, które dostał z jakiegoś zagranicznego wydawnictwa, może z Holandii, gdzie właśnie miała się ukazać druga część *Wschodu słońca w Testamento...* Zataszczyłem paczkę do szopy i dopiero tam ją otworzyłem. Na wierzchu leżała notka od Marka, ale zamiast ją z miejsca przeczytać, wyciągnąłem jeden z ciężkich tomów wypełniających paczkę.

Okładka, ciemna i już na pierwszy rzut oka gotycka, ukazywała stary dom na brzegu morza, unoszące się nad nim kłęby mgły i zmierającą w stronę drzwi kobietę ubraną w coś wyglądającego na nocną koszulę. Tytuł, wypisany wielkimi czerwonymi literami, brzmiał:

NOC MORDERCZEJ ZAZDROŚCI
AMANDA NORTHÖRPE

– Ja pierdołę, co to?! – krzyknąłem.
Złapałem notkę Marka i zacząłem czytać.

Drogi Bercie!

Choć tak to wygląda, nie jest to głupi dowcip. Agentka Amandy dostarczyła mi te książki do Londynu. Z dedykacjami od autorki. Byłoby dobrze, żebyście się pogodzili. W gruncie rzeczy jesteście kolegami po piórze.

Uściski, Mark

P. S. Jak tam Bill?

Zajrzałem do środka *Nocy morderczej zazdrości* i istotnie znalazłem tam osobistą dedykację od miss Northörpe:

Dla Berta od skromnej czeladniczki, która ma nadzieję, że jej mistrz zaszczyci ją lekturą.

Uściski, Amanda

Nie mogłem powstrzymać ironicznego parsknięcia. Zamknąłem tom i spojrzałem na tylną okładkę. Uśmiechała się do mnie atrakcyjna, młoda twarz Amandy Northörpe. Pod zdjęciem zamieszczono trochę marketingowego pustosłowa.

Ponad milion egzemplarzy sprzedanych na całym świecie świadczy o tym, że Amanda Northörpe

stała się najnowszą rewelacją powieści kryminalnej. Dołącz do tysięcy czytelników, którzy ulegli urokowi niepokojących przypadków, jakie stara się wyjaśnić pani inspektor Ratty Calla

Ponownie spojrziałem na śliczną twarzyczkę na zdjęciu. Dwadzieścia sześć lat, piegi, rude włosy, uroczy uśmiech.

– Muszę przyznać, wbrew sobie, miss Northörpe, że jesteś kobietą z klasą – wymamrotałem.

Wszystko zaczęło się na ubiegłorocznych Targach Książki we Frankfurcie. Udzielałem wywiadu i wymuszyła mi się niepochlebna opinia o twórczości Amandy Northörpe. Dziennikarz spytał, czy czytałem już książki tej najmodniejszej obecnie autorki, na co ja – jak ostatni idiota – odpowiedziałem, że nie byłem w stanie przebrnąć przez pierwsze sto stron. Dziennikarz uchwycił się mojej nieszczęsnej wypowiedzi, opublikował ją na czołówce, po czym zaczęła żyć własnym życiem. Osądzono, że jest to „walka nauczyciela z uczennicą”; musiałem to dementować, ale nie da się ukryć, że istotnie Northörpe jako wschodząca gwiazda kryminału zaczęła deptać mi po piętach na rynkach Stanów Zjednoczonych i północnej Europy. Czyżbyśmy naprawdę toczyli wojnę? Nie, skądże. Gorzej. Niestety, właśnie nadszedł czas, gdy musiałem przyznać sam przed sobą, że to już nie ja jestem najnowszą rewelacją literatury i że pojawił się ktoś młodszy, kto może mnie prześcignąć.

Przez resztę przedpołudnia usiłowałem naszkicować uprzejme podziękowania dla miss Northörpe, ale nie byłem w stanie wykrzesać z siebie niczego, co sprawiałoby choć pozór szczerości. W południe Britney zajrzała do szopy i przyłapała mnie na tym, że leżę na kanapie pogrążony w lekturze.

– Co czytasz? Northörpe? Myślałam, że jej nie znosisz.

– To nie takie złe – odpowiedziałem – ale działa na mnie nasennie. Przysłała mi swoje dwie książki, żeby mi zrobić na złość. Z dedykacją i w ogóle.

Britney się zaśmiała.

– Mógłbyś mnie zawieźć do Sainte Claire? Muszę zabrać swoją gitarę i trochę rzeczy do domu Toddów, więc wolałabym nie jechać na skuterze.

Doszedłem do wniosku, że to o wiele lepsze niż dręczenie się jałowymi rozmyślaniami lub też zgłębianie tajemniczego świata miss Ratty i mister Bundta. Odłożyłem książkę i poszedłem po kurtkę.

2

Uwielbiałem jeździć samochodem z Brit. W przeciwieństwie do Miriam, moja córka lubiła szybką jazdę. Podobnie jak ja cieszyła się z wejścia w zakręt na pełnym gazie. Też lubiła puszczać muzykę na cały regulator. I śpiewać do wtóru. Jechaliśmy, podśpiewując Off the Record zespołu My Morning Jacket i wyprzedzając cyklistów, których sporo spotkaliśmy na drodze. Niektórzy uśmiechali się do nas i machali. Młoda blondynka w czerwonym kabrioletcie bez wątpienia ma swój urok.

Po jakimś kwadransie dotarliśmy do Czerwonego Boka, gdzie droga zaczynała się wspinać w górę, na Mont Rouge. To był ten kawałek drogi, który Chucks musiał pokonać w dniu, gdy doszło do wypadku. Odruchowo zwolniłem. Droga miała pełno zakrętów, wila się w górę i w dół wśród wzgórz porośniętych gęstym lasem.

Przejechałem obok wywieszki reklamującej sklep z rękodziełem pana Merme'a i wejścia do

jego małego królestwa antycznych mebli. Pomyślałem, że to musi być któryś z tych zakrętów.

– Coś się stało, tato? – spytała Britney.

– Nie, nic – odpowiedziałem. – Wydawało mi się, że widziałem jeża na drodze.

Postanowiłem, że w drodze powrotnej zatrzymam się i rzucę okiem na okolicę.

Zostawiłem Britney w domu Toddów, zawróciłem i po chwili znowu jechałem przez Mont Rouge, tym razem dużo wolniej, aż dotarłem do wiadomego miejsca.

Droga schodziła tu w dół i zakręcała. Po prawej las, po lewej urwisko odgródzone cementową barierką. Jeśli rzeczy miały się tak, jak o nich opowiadał Chucks, to faktycznie nie miał pola manewru. Prawdopodobnie jego rover jechał nieco zbyt szybko, a on sam – w kowbojskiej koszuli cuchnącej winem, które tamten palant wylał na niego w Czerwonym Buku – trzymał w ręku zapalonego papierosa... Usiłowałem obliczyć, jaki dystans przejechałby samochód jadący osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, jeśli jego kierowca, usiłujący ugasić niedopałek zadkiem, zaczęłby hamować na widok kogoś, kto nagle pojawił się na środku drogi.

Spojrzałem we wsteczne lusterko i sprawdziłem, że nikt za mną nie jedzie. Zwolniłem i wlokąc się dwadzieścia na godzinę, usiłowałem znaleźć jakieś miejsce na poboczu, jakąś boczną drogę lub przecinkę w lesie, gdzie mógłbym się zatrzymać. Las po prawej stronie drogi był jedną wielką zwartą masą w kolorze ciemnej zieleni.

Nie zaryzykowałem zatrzymania się na poboczu na krótkim prostym kawałku drogi, ale po pokonaniu jakichś stu metrów ujrzałem wylot wąskiej leśnej dróżki. Uznałem, że może być trochę kłopotliwe wjeżdżać w nią pod prąd, ale ponieważ szosa była całkiem pusta, zrobiłem to. Może zbyt gwałtownie skręciłem kierownicę, bo poczułem, jak samochód przechylił się na bok, jednak opanowałem sytuację i bez najmniejszego problemu zaparkowałem na dróżce.

Wysiadłem z auta i niemal nieistniejącym poboczem poszedłem w górę, wracając na tamten fatalny zakręt.

Las porastający Mont Rouge dochodził tu do samego asfaltu, a jego gęste poszycie złożone z krzewów i najróżniejszego zielska na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe do pokonania. Zbocze góry po drugiej stronie szosy opadało dość łagodnie; biegła przez nie, niemal prostopadle, kamienista, wydeptana ścieżka, którą zacząłem schodzić, mając przed sobą rzadki laszek piniowy przetykany drzewami kasztana jadalnego. Lasek przesłaniał widok na to, co znajdowało się za nim.

Poślizgnąłem się kilka razy na zboczu, ubrudziłem sobie spodnie ziemią i pokłutem się jeżynami czy czymś kolczastym, na co miałem pecha zlecieć. Zacząłem mieć wątpliwości, czyby nie wrócić na szosę i nie zakończyć na tym tej małej przygody. Lasek z pewnością doprowadzi mnie do jakiejś formacji skalnej lub na inne, przeciwległe zbocze. Czegoż ja tutaj szukam? Może piernikowego domku Jasia i Małgosi? A mój spider pozostawiony samemu sobie na tej leśnej przecince w każdej chwili może zostać stratowany przez traktor czy inną maszynę rolniczą.

Byłem już w środku lasku, a moje zapędy detektywistyczne zaczynały słabnąć, lecz zauważyłem, że teren stał się bardziej płaski, a w oddali zaczął majaczyć wyraźny prześwit. Przyspieszyłem kroku i wkrótce dotarłem do ostatniej linii drzew.

Myliłem się co do tego, co ujrzę za piniowym laskiem. Nie było tam żadnej niemożliwej do pokonania naturalnej przeszkody, lecz piękne pole uprawne, rozległe, porośnięte kwitnącym rzepakiem, lśniącym w słońcu jak złoto. Pole, tu i ówdzie przetykane zagajnikami, z pewnością musiało się rozciągać aż do obrzeży Sainte Claire. A przed sobą, w pewnej odległości, widziałem samotną posiadłość.

Ogromny biały dom. Luksusowa rezydencja, w skład której oprócz głównego budynku

wchodziło kilka mniejszych zabudowań.

Z miejsca, w którym się znajdowałem, nie mogłem dostrzec żadnego ruchu przy zabudowaniach. Kwietnego pola nie przecinała żadna ścieżka. Widoczne były jedynie wąskie miedze między pasami upraw, z pewnością wynikające z tego, że na polu używano traktora. Ogarnęła mnie gwałtowna pokusa, aby rzucić się w morze kwitnących roślin i podążyć w kierunku zabudowań. Czuję się, jakby ktoś mnie podłączył do prądu. Jakbym rzeczywiście w głębi lasu odnalazł chatkę Baby-Jagi. Zaczarowany, przeklęty skarb. Ten dom, położony nie tak daleko od miejsca, gdzie Chucks potrącił faceta, który wydawał się „uciekać przed czymś”.

Może uciekał właśnie z tego domu?

Schowałem się za jedną z sosen z uczuciem, że po plecach przebiega mi dreszcz, jednocześnie podziwiając spokojny krajobraz przypominający kiczowaty landszaft. Dom w kwiatkach musiał być odległy o jakiś kilometr i z tej odległości nie widziałem niczego, ani ludzi, ani samochodów, nic tylko kwiaty, łany złocistych kwiatów chwiejących się na wietrze.

Stałem tak kilka minut, napawając się swym – być może groźnym – odkryciem, gdy nagle usłyszałem coś za plecami. Szelest liści, trzask gałązek. Coś zbliżało się do mnie z wielką szybkością. Odwróciłem się. Teraz już nie tylko słyszałem, że coś się zbliża, ale i mogłem to zobaczyć. Coś wielkiego i ciemnego gnało przez las jak szalone.

Straciłem kilka sekund na uzmysłowienie sobie, co widzę, a kiedy się ogarnąłem, było już za późno na ucieczkę. Nawet nie próbowałem rzucić się do biegu. Czworonożny potwór, psisko wielkości konia, był już blisko. Odgłos uderzeń jego łap o ziemię przypominał dźwięk wydawany przez gąsienice szturmującego czołgu. Naraz pies zaczął szczekać i robił to wprost ogłuszająco.

W panice rozejrzałem się wokół i dostrzegłem jakąś leżącą na ziemi gałąź. Rzuciłem się do niej i uchwyciłem ją w garść. Nie była ani tak długa, ani tak gruba, jak bym sobie życzył, ale przynajmniej stanowiła choćby iluzoryczną obronę przed bestią. Przyłgnąłem plecami do pnia drzewa, chroniąc tyły. Przez umysł przemknęła mi myśl, żeby się wdrapać na drzewo, ale nie byłem w stanie tego dokonać. Pies był już tak blisko, że z przerażeniem zdałem sobie sprawę z jego rzeczywistych rozmiarów. Był to naprawdę ogromny bydlak – gdy stał na czterech łapach, jego głowa znajdowała się na wysokości mojego brzucha. Cóż by dopiero było, gdyby wspiął się na tylne łapy! Wtedy jego pysk, uzbrojony w kły, których mógłby mu pozazdrościć każdy tygrys, bez problemu sięgnąłby mojej szyi. Cholera! Jedno kłapnięcie tych szczęk i pożegnam się z życiem.

– Spokój! Dobry piesek! – wydusiłem z siebie żalonym głosem. Te kilka słów działało jedynie tyle, że jeszcze bardziej rozjuszyło bestię.

Psisko ujadło przerażająco i wydawało się, że gałąź, którą dzierżyłem w dłoni, jest jedyną przeszkodą, która powstrzymuje je przed rzuceniem się na mnie i powaleniem na ziemię. Z pewnością zaraz zaczęłoby mnie pożerać, poczwąwszy od szyi.

Pies ocenił moją osobę i musiał zdać sobie sprawę, że gałąź nie stanowi zbyt dużego zagrożenia, bo skoczył do przodu i dzieliły go teraz ode mnie jedynie ze dwa metry. Ciągle ujadł, a ślina, którą toczył z pyska, rozpryskiwała się na boki i bryzgała na mnie.

Potrząsałem gałęzią w powietrzu, usiłując utrzymać go w szachu. Jednak była to dość wątpliwa demonstracja siły. Tak naprawdę może lepiej byłoby jej nie wykonywać. Nawet dla średnio inteligentnego psa musiało być jasne, że ten kruchy kawałek drewna nie jest bronią z prawdziwego zdarzenia.

Ujrzałem, że przysiada na tylnych łapach, szykując się do skoku. Gdybym próbował schronić się za pniem drzewa, niewątpliwie zaatakowałby, zanim udałoby mi się ta sztuka. Zacząłem więc

kręcić młynka gałęzią jak mieczem, z szybkością wentylatora. To go na chwilę powstrzymało. Jednak te mastify to urodzeni zabójcy. Wiedziałem, że długo tak nie wytrzymam, że w końcu zabraknie mi sił.

I wtedy w oddali rozległ się gwizd. Głośny odgłos gwizdka, który usłyszałem zarówno ja, jak i mastif. Bydlak znieruchomiał, co wykorzystałem, chroniąc się za pniem drzewa. Następny gwizd. Pies szczekał teraz jak oszalały, nie przypuszczając jednak ataku. Sądzę, że w swoim języku mówił coś w rodzaju: „Mam tu kogoś, komu przegryzę szyję za jednym zamachem, a potem go wypatroszę i pożrę jego flaki”.

Spojrzałem w bok i ujrzałem dwóch facetów biegnących w moim kierunku.

– Nie ruszaj się! Zostań! – krzyknął jeden z nich po francusku.

Odetchnąłem z ulgą i zostałem tam, gdzie byłem. Pies też się nie ruszał z miejsca. Był dobrze ułożony i posłuszny.

Podeszli bliżej. Młodszy musiał mieć około dwudziestki, starszy gdzieś ze czterdzieści lat. Obydwaj ubrani jak myśliwi, ale żaden nie miał ze sobą strzelby.

Młodszy zajął się psem i zapiął mu smycz, z której niewątpliwie go wcześniej spuścił. Starszy podszedł do mnie. Miał gładko uczesane, rudawe włosy i wypukłe zielone oczy, a jego sylwetka sugerowała dużą siłę fizyczną. Zamiast przeprosić za niebezpieczeństwo, na jakie mnie naraził, puszczając luzem swojego potwora, warknął:

– Co pan tu robi? To prywatna posiadłość.

– Że co? – odwarknąłem. – Spacerowałem. Nie ma tu żadnej tabliczki informacyjnej.

– Nie ma obowiązku umieszczać wszędzie tabliczek. Po prostu nie ma tu żadnej publicznej drogi, czyż nie?

– No cóż, zgadza się. Ale ten pies mógłby komuś zrobić krzywdę. Dwieście metrów stąd jest szosa. A co, gdyby na moim miejscu było jakieś dziecko, które potrzebowało się wysiusiać? Nie powinno się puszczać luzem takiej bestii, to zagrożenie.

– To nasza sprawa – odpowiedział facet bardzo niemiłym tonem.

– Ach, tak? – Zaczynałem się wpieńać. – A może także i moja, szanowny panie? No i policji.

Facet się uśmiechnął. Z kieszeni przepoczonej koszuli w kolorze khaki wyciągnął komórkę.

– Proszę. – Chciał mi ją wręczyć. – Chce pan zadzwonić na policję?

– Tak właśnie zrobię – odpowiedziałem i ruszyłem z miejsca. – Ale użyję własnego telefonu, dziękuję. Może mi pan podać swoje nazwisko?

Ten numer z prośbą o podanie nazwiska podpatrzyłem u pewnego organizatora trasy koncertowej Chucksa, który zawsze z czymś takim wyjeżdżał, kiedy ktoś zaczynał mu podpadać. Jednak tamten gość musiał mieć jakieś umiejętności, których mi zabrakło, bo numer nie podzielał. Osilek z wytrzeszczem schował komórkę do kieszeni koszuli i powiedział coś do chłopaka, który trzymał psa na smyczy. A potem popatrzył na mnie z tak wściekłą miną, że wydawało się, że zaraz się na mnie rzuci i mnie pogryzie (co nie udało się psu).

– Słuchaj no, człowieku, zjeżdżaj stąd jak najszybciej! – wycedził.

Psisko zaczęło znów ujadać. Nie okazałem się bohaterem i nie podjąłem przepychanki słownej z tymi dwoma nieprzyjemnymi paramilitarnymi osobnikami. Po prostu powiedziałem: „Miłego dnia”, i się oddaliłem. Słyszałem, jak szepczą coś do siebie za moimi plecami, a w którymś momencie coś ich musiało bardzo rozbawić, bo zaczęli się głośno śmiać. Miałem ochotę się odwrócić i obrzucić ich wyzwiskami w swoim ojczystym języku, ale na szczęście przypomniałem sobie, że mają ze sobą tego krwiożerczego bydlaka.

W połowie drogi na górę jednak się obejrzałem i ujrzałem ich w prześwicie między drzewami.

Pies ciągnął młodego na wyprężonej smyczy i starannie obwąchiwał grunt.

– Szukacie czegoś? – mruknąłem przez zęby. – A może raczej kogoś?

3

Siedziałem w przedsionku niewielkiego komisariatu w Saint-Rémy i podsłuchiwałem, jak za półotwartymi drzwiami jakiś mieszkaniec uskarża się na to, że urząd miasta umieścił oznaczone miejsca parkingowe tuż przed jego domem. V.J. spokojnym i lekko znudzonym służbowym tonem głosu usiłował powstrzymać tyradę zirytowanego sąsiada i obiecywał, że sprawa zostanie załatwiona.

– To mała miejscowość – powiedział, gdy nadeszła moja kolej, aby wejść do gabinetu i zasiąść naprzeciw niego. – A ja służę tu za księgę życzeń i zażaleń. Ale w końcu każdą sprawę udaje się tak załatwić, że wszyscy są zadowoleni.

Zwróciłem uwagę, że tego dnia na jego biurku leżało mnóstwo folderów turystycznych o Tajlandii. Wiedziałem, że V.J. planuje wyjazd do tego kraju po przejściu na emeryturę. Twierdził, że ze swojego francuskiego świadczenia będzie tam mógł żyć jak król, podobnie jak spora grupa byłych francuskich policjantów, już mieszkających w tamtejszym luksusowym prywatnym kurorcie.

– Myślałem, że brakuje panu jeszcze dobrych kilku lat do emerytury.

– Tak, to prawda. Ale niewykluczone, że w tym roku odwiedzę Tajlandię. Trzeba trzymać rękę na pulsie, wie pan. A ponadto grudzień tu, w Prowansji, napawa mnie melancholią. Zimno, deszcz... A moje stare kości coraz bardziej skrzypią.

– Nie jest pan aż tak stary, Vincencie.

Zaśmiał się.

– Dziękuję, Bert. Ale proszę mi powiedzieć, co pana sprowadza. Mam nadzieję, że nie moja powieść. Jeszcze jej nie ukończyłem, jak pan wie.

– Nie... To coś innego. Taka dziwna historia. Mam tu w okolicy przyjaciela, nazywa się Chucks Basil. Mieszka w Sainte Claire. Wczoraj wieczorem zgłosił się na komisariat w swojej miejscowości, mówiąc, że potrącił samochodem jakiegoś mężczyznę.

– Ach, tak! – V.J się uśmiechnął. – Dzisiaj rano się o tym dowiedziałem. Twierdzi, że przejechał kogoś na drodze R-81, prawda? Wydaje się, że jego zeznanie jest dość nietypowe. Podobno trup zniknął... czy coś takiego. Nie wiedziałem, że to pana przyjaciel.

– Przyjaciel, od lat zresztą. Tutaj sprowadził się przed jakimś rokiem, ale znamy się od dawna. Czy wie pan coś nowego o tej sprawie?

– Nic. Zupełnie nic. Patrol z Sainte Claire przeczesywał szosę dziś rano. Ale oczywiście minęło już kilka dni od tego wypadku... a przynajmniej tak twierdzi pana przyjaciel. To dawna gwiazda rocka, prawda?

– Tak. Facet śpiewał piosenkę Obietnica jest obietnicą. Przypomina pan sobie?

Zanuciłem melodię i V.J. zaskoczył.

– Oczywiście! Moja była żona ją uwielbiała. No cóż, panie Amandale, proszę mi nie mieć tego za złe, ale muszę spytać, czy pana pytania z wczorajszego przedpołudnia miały z tym wszystkim coś wspólnego?

Zarumieniłem się wbrew swojej woli.

– Istotnie, Chucks opowiedział mi o tym zdarzeniu, a ponieważ wydało mi się nieprawdopodobne, wolałem najpierw zasięgnąć języka.

– Powinien był pan mi o wszystkim powiedzieć, Bert – skarcił mnie V.J. belferskim tonem, po czym odchrząknął. – Zaufać mi. Już panu mówiłem, że to mała miejscowość. Musimy sobie wzajemnie pomagać.

– Wiem. – Uśmiechnąłem się. – Nie chciałem nic mówić dlatego, że nie całkiem uwierzyłem mojemu przyjacielowi. Chucks ma bujną wyobraźnię... Zresztą nie pierwszy raz przydarza mu się coś dziwnego.

– No tak... Gwiazda rocka, wiadomo! – wykrzyknął, machając ręką. – No cóż, dajmy sobie z tym spokój. A dzisiaj czym mogę służyć? Co pana tu sprowadza?

– Właśnie o tym chciałbym panu opowiedzieć. Dzisiaj rano przypadkiem przejeżdżałem przez Mont Rouge i zatrzymałem się na chwilę. To było instynktowne. Zatrzymałem wóz na poboczu i wysiadłem, żeby się przejść. Są tam przepiękne lasy piniowe, szkoda tylko, że to prywatna posiadłość.

V.J. zmarszczył brwi.

– Prywatna posiadłość?

– Nie są prywatne? Te piniowe laski na obrzeżach szosy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego pan tak sądzi?

– Przekonałem się o tym osobiście. Dwóch facetów z psem wielkości konia niemal mnie stamtąd wyrzuciło na kopach za to, że rzekomo wtargnąłem na prywatny teren.

V.J. rozparł się na krześle, oparł łokcie na biurku i oparł podbródek na rękach. W tej pozycji przypominał żabę.

– Gdzie dokładnie miało to miejsce?

– Niech pomyślę. Gdy zdarzyła się ta napaść, właśnie przyglądałem się rozległemu polu kwitnącego rzepaku. W oddali widać było jakieś zabudowania. Wielki biały dom.

– Aha, należy do van Ernów. To ośrodek rehabilitacji.

– Ośrodek czego?

– Rehabilitacji nałogowców. Luksusowa klinika odwykowa dla bogatych alkoholików i narkomanów.

– Nie wiedziałem, że tu w okolicy jest coś takiego – stwierdziłem z namysłem. – Wiedziałem, że istnieje taka klinika w Castellane, ale o tej nie słyszałem.

– Prowansja jest nimi usiana, niech mi pan wierzy. Od kiedy w siedemdziesiątym pierwszym Rolling Stonesi zamieszkali na Lazurowym Wybrzeżu, nasze okolice stały się uznanym miejscem schronienia dla celebrytów z pewnymi kłopotami. Ale co ja będę panu mówił... – Ledwie to powiedział, zaczerwienił się. – To znaczy, nie, nie uważam pana za celebrytę z kłopotami... Nie to miałem na myśli.

– W porządku, Vincencie, rozumiem – powiedziałem. Jednocześnie zaś pomyślałem: „Gdybyś wiedział, człowieku...”.

– Może byli z ośrodka van Erna – powiedział V.J. po chwili.

– Kto taki?

– Ci faceci, którzy pana przepędzili. Wiem, że jest tam ochrona. Muszą odstraszać paparazzich, a ponadto udaremniać próby przemytu narkotyków z zewnątrz. Ze dwa lata temu ochroniarze doprowadzili nam chłopaka, który przemycił haszysz dla jednego z pacjentów. Przetrzyliśmy go przez noc w celi. Płakał jak dziecko. Jakiś typ z Nicei zapłacił mu trzy tysiące euro za to, żeby tu przyjechał i próbował przemycić dragi w piłce tenisowej.

– Ho, ho. To rzeczywiście muszą tu przebywać bardzo znani ludzie.

– Oczywiście publicznie niczego nie wiadomo na temat pacjentów – mówił dalej V.J. – Najważniejszą zasadą w takich miejscach jest utrzymanie całkowitej dyskrecji. Klinika dysponuje śmigłowcem, którym przywożą i odwożą pacjentów. Przymuszcza ich z lotniska w Marsylii lub w Nicei i tam też ich dostarczają po zakończonej kuracji. A co do personelu kliniki, to niemal bez wyjątku są cudzoziemcami. Wszystko po to, żeby uniknąć miejscowych ploteczek i gadania. Chociaż oczywiście coś tam przeniknęło przez rzepakową kurtynę.

V.J. zaspokoił moją ciekawość, wymieniając nazwiska prawdziwych legend dużego ekranu i estrady. Szczęka mi opadła, bo niektórych nigdy bym nie podejrzewał.

– No coś takiego! Facet był alkoholikiem! Myślałem, że to najzdrowszy człowiek w Hollywood – dziwiłem się.

– A oprócz tego był uzależniony od pigułek na sen – dodał Vincent. – Przynajmniej takie krążą wieści. Ale nie trzeba wierzyć we wszystko, co się słyszy, prawda? No cóż, teraz jestem już niemal pewny, że natknął się pan na goryli z kliniki. Czy życzy pan sobie, żebym coś w tej sprawie zrobił? Zadzwońię tam i powiem, że nie jest pan żadnym paparazzi, ale jednym z naszych najbardziej szanowanych mieszkańców. Czy pies biegał luzem?

Poprosiłem Vincenta, żeby o tym zapomniał. Jakoś nagle przestało mi zależeć na uzyskaniu honorowego zadośćuczynienia. Natomiast cała ta historia zaczęła mi się wydawać okropnie nieprzyjemna i po plecach przeszedł mi dreszcz.

– A jeśli ten facet, którego mój przyjaciel rzekomo potrącił, był jednym z pacjentów kliniki? Może to był ktoś słynny, kto wymknął się, żeby zabalować? – zaryzykowałem przypuszczenie.

V.J. się roześmiał.

– Nieźle pan to wymyślił. Proszę mi pozwolić wykonać parę telefonów. Dobrze znam van Ernów. To ludzie niezwykle bogaci, ale jednocześnie bardzo mili i przystępni. Spytałem, czy któryś z ich pacjentów nie pojawił się w ubiegły poniedziałek ze złamaną nogą. Ha, ha, ha – zaśmiał się.

– Wielkie dzięki, V.J. Aha, jeszcze tylko jedno pytanie. Nie wie pan, czy w okolicy jest jakaś pustelnia?

– Pustelnia? – V.J. nadal się śmiał, rozbawiony. – Doprawdy, zadaje mi pan dzisiaj niezwykle pytania, monsieur Amandale. Ale nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Jeszcze raz dziękuję, Vincencie. Proszę, niech pan za dużo o tym wszystkim nie mówi z ludźmi, zgoda? Chucks też przecież jest celebrytą i... No cóż, sam pan wie.

– Niech się pan nie martwi, Bert – odpowiedział V.J., puszczając do mnie oko. – Umiem dochowywać sekretów.

4

Popołudniem tego samego dnia pojechałem z obiema moimi dziewczynami do Nicei, a wieczorem Brit udała się „z przyjaciółmi” (tylko tyle nam powiedziała) do Sainte Claire, więc skorzystałem z okazji, aby zaprosić Miriam na kolację do Le Puit de Daphné w Aix-en-Provence. To była jedna z jej ulubionych restauracji. Spędziliśmy trochę czasu, omawiając prace niektórych artystów, którym Miriam miała zamiar urządzić wystawy w londyńskiej galerii. Żeby być szczerym, muszę przyznać, że tak naprawdę tylko ona mówiła. Ja dolewałem wina do

kieliszków i w myślach miałem sprawę Chucks. Obawiałem się, że usłyszę dźwięk komórki. Że znowu zadzwoni, żeby mnie uraczyć złymi wiadomościami. Wydawało mi się, że Miriam odczytuje z mojej twarzy, że jestem nie w sosie, ale nawet jeśli tak było, to dzielnie powstrzymywała się przed zadawaniem mi pytań. W końcu jednak, gdy kończyliśmy danie główne, spytała, czy wszystko w porządku.

– Jesteś jakiś rozproszony, Bert. Może cię nudzę?

Wyobraźcie sobie ten obraz. Piękna kobieta, elegancko ubrana, ze złocistymi włosami zebranymi w kok i diamentowymi kolczykami w kształtnych uszach. Restauracyjny stolik na rynku jednego z piękniejszych miast Francji. Rozgwieżdzone niebo. Powiew lekkiej bryzy. Gwar rozmów, brzęk kieliszków, szmer fontanny i duet na skrzypce i wiolonczelę dochodzący z sąsiedniego lokalu. Wyobraźcie sobie to wszystko i powiedzcie, czy nie wprawiłoby was to w romantyczny nastrój? No więc mnie jakoś nie wprawiło.

– Przepraszam, kochanie – odpowiedziałem. – Martwię się trochę, to wszystko.

Na jej cudowne policzki wystąpił rumieniec. To też sobie wyobraźcie...

– Chucksem? Na Boga! – wykrzyknęła, chwytając serwetkę z kolan i rzucając ją na stół. – To trzeba było jego zaprosić na kolację! Dlaczego to mnie spotkał ten zaszczyt?

– Miriam, proszę cię... Przykro mi. To przez ten jego wypadek. Widzę, że go przygnębił. Jest jakiś dziwny.

– Chucks zawsze jest przygnębiony i dziwny, Bert. A ja po prostu usiłuję zjeść z tobą kolację w miłym nastroju, ale on, jak zawsze zresztą, staje między nami.

– Proszę, nie gniewaj się. On jest taki samotny.

– Nie rozumiesz mnie, Bert. Nie gniewam się na Chucks. Chucks jest tylko wymówką, której ty używasz, żeby nie robić tego, po co tu przyjechaliśmy: żeby rozpocząć nowe życie. Żeby nawiązać nowe przyjaźnie. Zachowujesz się tak, jakbyś był tu wbrew własnej woli, Bert. Jesteśmy tu niemal od roku i sam powiedz, ilu przyjaciół zdobyłeś?

– Ja... No, przecież mnie znasz. Nie przepadam za towarzystwem. No, jest V.J., no i Chucks... hm...

– Nieważne – zaśmiała się Miriam i wychyliła kieliszek. – Nieważne. To drobiazg.

– Ależ skąd, to jest ważne, ale co ja mam zrobić, jeśli nie mam talentu do ludzi? Nie lubię wkładać koszulek Lacoste, zarzucać swetrów na ramiona i tak paradować. Nie lubię jeździć na nartach wodnych ani pływać żaglówką, ani...

– Nie lubisz niczego, co nie polega na pisaniu książek i chlaniu piwa ze swoim kumplem Chucksem, Bert. A przede wszystkim nie lubisz się zmieniać. Nie masz ochoty na zmianę wizerunku.

– Na litość boską, Miriam. Mam czterdziestkę na karku. Czego ty ode mnie chcesz? Żeby zaczął tańczyć w balecie?

– Nie... Życzyłabym sobie tylko, żebyś dokonał pewnego wysiłku, Bert. Żebyś się trochę postarał.

W tym momencie pojawił się kelner z deserem i zgasił tlący się lont, który jeszcze chwila, a doprowadziłby do wybuchu.

Nie pamiętam jak, ale udało mi się jakoś załagodzić sytuację. Do domu wróciliśmy w dobrych nastrojach i Miriam ze śmiechem zaczęła się zastanawiać, czy Britney nadal siedzi w garażu u Toddów. To mogło oznaczać, że mimo wszystko ma ochotę na chwilę intymności ze mną. Ale w chwili, gdy kładłem się do łóżka, wszystko diabli wzięli. Zadzwoniła komórka, ujrzałem nieznaną numer zaczynający się od +44 i odebrałem. To był Jack Ontam.

Jego głos, który zawsze przywodził mi na myśl powiedzenie „od zera do milionera”, dobiegał do mnie na tle dość głośnego gwaru. Z pewnością był to gwar przyjęcia, które wydał w swoim londyńskim apartamencie.

– Co tam się u was, kurwa, dzieje? Chucks zadzwonił do mnie i powiedział, że zgłosił się na policję – zachrypiął Ontam.

Miriam była w łazience. Wyszedłem z sypialni i szybko zszedłem na dół. Nie chciałem, żeby słyszała tę rozmowę.

– Tak. To znaczy, on twierdzi, że kogoś przejechał. Ale nie ma żadnych dowodów.

– Kurwa! – krzyknął Ontam. Usłyszałem jakieś śmiechy i przypomniałem sobie, że Chucks mówił, że facet ma w domu bar z jacuzzi, gdzie szaleje ze swoimi przyjaciółkami. – Myślisz, że tak się stało?

– Czy ja w to wierzę? No cóż, skoro Chucks tak twierdzi...

– Nie o to mi chodzi. Pytam, czy znowu chleje? Jara? Jakies inne dragi?

– Trochę pije, pali papierosy. Od czasu do czasu zajara trochę ziela. Ja przynajmniej niczego więcej nie zaobserwowałem. Sądziś, że może znowu mieć jakąś psychozę, jak wtedy w Amsterdamie? Od tamtej pory minęło sporo czasu.

– Nie o tym myślę – odpowiedział Ontam. – Widzę, że nie opowiedział ci o swojej ubiegłorocznej szpiegowskiej przygodzie w Londynie...

– Że co?

– Oczywiście, nic ci nie powiedział. Wdał się w awanturę z facetami, którym zarzucił, że szpiegują go przez komputer. Stanął przed sądem i musiał zapłacić grzywnę – pięć tysięcy funtów – za wtargnięcie przemocą i zniszczenie własności prywatnej.

Poczułem, że lodowacieję od głowy do stóp.

– Co? Co, do cholery, się stało?

– To te paranoiczne napady Chucksa. Któregoś dnia ktoś mu opowiedział te wszystkie historie o hakerach i o tym, że należy zaklejać plastrami kamerę w laptopie. Nie mam pojęcia, kto to był, ale źle się stało. Wiesz, że Chucks ma te swoje obsesje. Właśnie wtedy w swoim macbooku zaczął przechowywać wersje demo Beach Ride i zaczął się tym wszystkim przejmować. Kazał sobie zainstalować różne programy do wykrywania hakerów i inne tego typu szajsy i któregoś dnia mu się włączyły te wszystkie alarmy, czerwone światełka, cały ten kram. Z jakiegoś Bóg wie jakiego powodu doszedł do wniosku, że to wina facetów z kawiarenki internetowej naprzeciw jego domu w Kensington. Wiesz, takich chłopaków, którzy cały dzień spędzają w sieci. Poszedł tam i jednemu zatrzasnął laptopa na palcach. Trochę krzyków i podbite oko. Nic więcej. Ale kiedy się zorientowali, kim jest, zgłosili to na policję, żeby wyciągnąć od niego trochę forsy. C'est la vie ⁵.

Milczałem i zastanawiałem się, dlaczego Chucks postanowił to wszystko przede mną ukryć.

– Starłem się go namówić, żeby poszedł do psychologa – ciągnął Ontam. – Do tego z Los Angeles, który mu poprzednio pomógł. Ale mnie nie posłuchał. Myślę, że to właśnie wtedy postanowił wyjechać do Francji. Za twoim przykładem. À propos, jak się miewają Miriam i córeczki?

– Mam tylko jedną córkę, Jack. I żona, i córka czują się dobrze.

– Cieszy mnie to. Słuchaj, wydzwaniam do niego przez cały czas, ale nie odbiera. Martwię się, naprawdę. Właśnie teraz musiało mu odwalić, kiedy stworzył coś tak fantastycznego jak Beach Ride.

– Z pewnością jest w studiu. Wiesz, że kiedy pracuje, jest tym całkiem pochłonięty.

– Chciałbym wierzyć, że tak jest. Tak czy owak, postaram się przylecieć do Marsylii w środę. Chcę go wyciągnąć z tej dziury. Zabiorę go na małą rundkę po Morzu Śródziemnym. Świeże morskie powietrze. Zahaczymy o Capri. Chcecie się przyłączyć?

– Nie, poczekaj. Pozwól mi najpierw z nim pogadać. Przekonam go, żeby zgłosił się do tego lekarza z Los Angeles. Nazywał się Calgari, prawda? Jeśli byś się tu zjawił, Chucks zaczęłby się stawiać, opierać – mówiłem.

Usłyszałem śmiechy i radosne okrzyki. Muzykę w tle. Ludzie, dużo ludzi.

– Zgoda, Bert. Nie ukrywam, że mi to na rękę, bo mam tu... hm... pewne zobowiązania.

– Nie przejmuj się. Wszystkim się zajmę.

Twoja inwestycja jest bezpieczna, Ontam, pomyślałem.

Zakończyłem rozmowę i wróciłem do sypialni. Miriam leżała już w łóżku, przeglądając jakieś czasopismo. Wślizgnąłem się pod kołdrę i pocałowałem ją w policzek.

– Z kim rozmawiałeś? – spytała.

– Z... z Bernabe'em – skłamałem. Dość nieudolnie, ponieważ Mark Bernabe nigdy nie dzwonił w nocy. – Przysłał mi książki Amandy Northörpe, żeby mi zrobić na złość i...

Urwałem, zauważwszy, że Miriam przewraca dość gwałtownie kartki pisma. Pomyślałem, że nie udało mi się jej omamić, ale postanowiłem nie brnąć dalej w kłamstwa. Nie byłem też gotowy na to, żeby teraz poruszać temat Chucksa. W ogóle chciałem trzymać Miriam jak najdalej od Chucksa i jego spraw.

Usiłowałem ją pocałować, ale odwróciła twarz, założyła na nos okulary i pogrążyła się w lekturze.

A niech to szlag!

5

W niedzielę na placu Charles'a de Gaulle'a w Saint-Rémy odbywał się mały targ. Był okazją do spotkań sąsiadów, kosztowania win, kupowania serów i różnych wyrobów. W tym tygodniu uczestnicy warsztatów konserwacji zabytków, w tym Miriam, wystawili stoisko ze starociami. Oczywiście mieli być Mattieu i Grubitzowie oraz dobry tuzin innych mieszkańców tutejszego „Beverly Hills”, na czele z monsieur Merme'em, duchowym przywódcą wielbicieli rękodziela. Typowe wydarzenie społeczne, z którego normalnie bym się wykręcił za pomocą jakiejś wymówki: że muszę pisać, że trawnik wymaga koszenia, albo że chcę odwiedzić Chucksa. Jednak tym razem Miriam nawet nie musiała mi nic mówić, sam doskonale rozumiałem, że oto staje przede mną najlepsza okazja do zrehabilitowania się za gwałtowną ucieczkę z piątkowego przyjęcia i za serię wpadek ubiegłego wieczoru.

Stawiłem się na miejscu wczesnym rankiem, jak przystało na dobrego męża. Pomagałem w noszeniu mebli, pokroiłem ser i nalewałem kieliszki wina ludziom, którzy podchodzili do naszego stoiska. Pani Grubitz oczywiście krążyła w okolicy i nie przepuściła okazji do wypymania mnie o „ten nagły wypadek, który przydarzył się w piątek”.

– Przyjaciół miał małą stłuczkę na drodze – odpowiedziałem, wybierając alternatywną wersję wydarzeń – ale nic mu się nie stało, najadł się tylko trochę strachu. Przykro mi bardzo, że opuściłem tak miłe towarzystwo.

Britney siedziała na obramowaniu fontanny wraz z kilkoma kolegami. Chociaż liceum

znajdowało się w *Sainte Claire* – najludniejszej miejscowości w okolicy – kilkoro uczniów mieszkało w *Saint-Rémy* bądź w okolicach, jak my sami. Byli tam bracia Todd (z oczami niemal niewidocznymi spod opadających grzywek), chudziutka i bledziutka dziewczynka o imieniu Sarah, ubierająca się jak gotka, i wyrosnięte dziewczynisko nazywane Malu, repetujące każdą klasę po trzy razy. Dawno temu powinna już była skończyć szkołę. Ale był tam jeszcze ktoś, kogo dotąd nigdy nie widziałem: smukły młodzieniec o blond włosach i uzębieniu, jakie miewają jedynie Amerykanie. Siedział tuż obok Britney i oboje zaśmiewali się z czegoś. Prawdę powiedziawszy, tworzyli piękną parę.

– Ho, ho, wydaje się, że nasza Britney wreszcie znalazła sobie towarzystwo – powiedziałem do Miriam, która także się im przyglądała.

Miriam skrzyżowała ręce na piersiach i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Ma na imię Elron. Przystojny, prawda?

No cóż, gdyby Britney miała jedenaście lat, uznałbym to za żart i powiedziałbym, że owszem, Elron jest prawdziwym przystojniakiem. Ale ponieważ moja córka ma lat szesnaście, mój instyngt ojcowski kazał mi popatrzeć na sprawę pod innym kątem.

– Mówiła ci o nim?

– Tak. Kilka razy. Chodzą do tego samego liceum, ale do różnych klas. On jest starszy o dwa lata i wkrótce idzie na studia.

Dwa lata, pomyślałem. Osiemnastoletni kawaler. No, no, ciekawe.

Czyniłem starania, aby okazać się ojcem nowoczesnym i nie gapić się na nich jak sroka w gnat. Britney, która zwykle trzymała chłopców krótko, tym razem wydawała się mięknąć pod urokiem młodzieńca, śmiała się z jego dowcipów, a nawet kilka razy trąciła go w ramię. Chłopak także wydawał się zachwycony jej towarzystwem.

Czyżbyś stał się starym zazdrośnikiem, Bert?

Po zamknięciu targu kilka okolicznych winnic zorganizowało lunch połączony z degustacją wina. W cieniu drzew ustawiono pięć długich stołów i przenieśliśmy się tam z Grubitzami i mnóstwem innych znajomych. Przypuszczam jednak, że wąskie ławy przystawione do stołów nie okazały się wygodne, bo większość osób stała lub krążyła wokół, pijąc wino i rozmawiając. W którejś chwili niedaleko mnie stanęła jakaś wysoka, atrakcyjna kobieta o wspaniałej, powiedziałbym arystokratycznej aparycji. Uśmiechnęła się serdecznie, choć nieco nieśmiało, i podeszła kilka kroków bliżej.

– Czyżbym miała przyjemność z panem Bertem Amandale’em, słynnym pisarzem?

No cóż, nie jestem przyzwyczajony, żeby ludzie rozpoznawali mnie ot tak, na ulicy. Na wydaniach moich książek ciągle figuruje to samo zdjęcie sprzed kilku lat, nie zabiegam też o popularność w prasie i mediach, nawet jeśli wydawnictwa byłyby skłonne do wykorzystywania mojego wizerunku jako „pisarza przeklętego”. Nie mogłem więc nie poczuć się poruszony i zaszczycony zainteresowaniem okazanym mi przez tę piękną panią. Uśmiechnąłem się, uściskałem jej delikatną dłoń i przyznałem, jak ktoś, kto przyznaje się do jakiejś psoty, że istotnie, nazywam się Amandale.

– Jestem pana wielbicielką! – wykrzyknęła. – Przeczytałam chyba wszystkie pana książki. Co roku w sezonie letnim czytam jedną.

– Och... Bardzo mi miło! – odpowiedziałem i skorzystałem z okazji, żeby przyjrzeć się jej uważniej. Biały kostium, elegancki kapelusz i jako jedyna biżuteria pierścionek z wielkim diamentem. Perfekcyjne zęby, nos przypuszczalnie skorygowany chirurgicznie. Jest dobrze po

czterdzieście – pomyślałem – ale doskonale zadbana. Czuć od niej starą fortunę.

– Edilia van Ern – przedstawiła się.

Van Ern. Nazwisko rozbrzmiało mi w głowie jak dzwon alarmowy.

– Bert Amandale – powiedziałem, całując jej delikatnie uperfumowane policzki. – Jestem zaszczycony.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała. – Niech mi pan wierzy. Choć muszę przyznać, że posłużyłam się pewnym podstępem. Elena mi powiedziała, że pan tu zamieszkał i że była u państwa na kolacji w ubiegły piątek.

W tej samej chwili podeszła do nas pani Grubitz (Elena Grubitz, muszę o tym pamiętać) w towarzystwie Miriam i dość wysokiego mężczyzny o włosach przyprószonych siwizną, ale nadal młodej, opalonej twarzy, ozdobionej szerokim uśmiechem. Ubrany był w jasny garnitur i blad różową koszulę. Przedstawił się jako Eric van Ern. Doktor Eric van Ern. Uścisnął mi silnie rękę, co zniósłem dzielnie i z uśmiechem.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Amandale. Jak już mówiłem Miriam, czekałem na dobrą okazję, żeby podejść do pana i poprosić o wybaczenie. Bardzo przepraszam za ten epizod w lesie.

– Epizod w lesie?

– Tak. Vincent Julian, miejscowy policjant, powiadomił mnie, że moi ludzie przestraszyli pana wczoraj rano, podczas gdy spacerował pan po piniowym lasku. Zdaje się, że jeden z naszych mastifów zerwał się ze smyczy.

A niech to piorun strzeli, powiedziałem w duszy, przypominając sobie, jak przekłęty Vincent mrugnął do mnie i zapewnił, że „umie dochowywać sekretów”. Miriam patrzyła na mnie bez słowa. Wiedziałem, że później będę zmuszony odpowiedzieć jej na kilka pytań.

– Nic się nie stało, naprawdę. Chociaż ten pies istotnie jest ogromny.

– Nie powinien biegać luzem. Mówiłem im to milion razy. Zobowiązuję się osobiście, że to się nie powtórzy. Jeszcze raz proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Proszę się nie przejmować, wszystko jest w porządku – powtórzyłem.

W tej samej chwili Edilia szepnęła coś mężowi na ucho. Skinął głową, a ona zwróciła się do mnie i do Miriam.

– Proszę pozwolić, że zaproszę państwa na wernisaż, który odbędzie się w środę w Aix. Mała wystawa Richarda Starka. Znać go państwo?

– Stark? – powtórzyła Miriam. Widać było, że zrobiło to na niej wrażenie. No cóż, nawet ja wiedziałem, o kogo chodzi. Najmodniejszy malarz we Francji. Nowy enfant terrible nowoczesnego malarstwa. Prawdziwa sława.

– Ma małą pracownię w Nelcotte i czasami udaje nam się go namówić, żeby wyciągnął kilka swoich płócien i powiesił je w Gueuleton. To zamknięta impreza, na którą państwa zapraszamy, żeby zrekompensować ten wypadek z psem.

– Ależ, niekoniecznie... – zacząłem mówić i poczułem na sobie wzrok Miriam, który wyrażał jasny przekaz: „Zamknij się!”.

– Oczywiście, że koniecznie – nalegała Edilia. – Mamy w tym nasz egoistyczny interes, żeby państwa lepiej poznać. Elena mówiła mi, że interesuje się pani sztuką, Miriam... No cóż, nie mogłoby być inaczej, przecież jest pani żoną pisarza. A ponadto wydaje mi się, że Elron i państwa córka ostatnio się zaprzyjaźnili.

Miriam i ja popatrzyliśmy na siebie zaskoczeni.

– Elron jest państwa synem?

– Starszym z naszych dwojga dzieci – odpowiedział Eric. – I wydaje się, że jest pod wielkim

urokiem państwa córki. Nie przestaje o niej mówić, od kiedy usłyszał ją na szkolnym koncercie.

Wszyscy zaśmialiśmy się wesoło, a w tej samej chwili podeszła do nas dziewczynka, wyglądająca na jakieś dziewięć lat, która okazała się być córką van Ernów. Schwyciła ojca za rękę i przytuliła się do niego. Była piegowata, ruda i miała niepokojącą, bladą twarz. Rzuciła mi spojrzenie, którego znaczenia nie udało mi się rozszyfrować.

Tego samego dnia, po przespaniu sjesty w cieniu jabłoni, wpadłem na pomysł, że moglibyśmy zagrać wieczorem w Monopoly. Domowa pizza, muzyka z płyt i zdobywanie najlepszych nieruchomości w Londynie, czegoż więcej trzeba, żeby spędzić miły niedzielny wieczór z rodziną? Jednak kiedy podzieliłem się tą myślą z Britney, odpowiedziała, że ma inne plany.

– Chcesz pojechać grać do Toddów? – spytałem.

– No, nie... Elron zaprosił mnie na film do domu przyjaciół.

Aha, a więc Elron.

Muszę przyznać, że odebrałem to jak prawdziwy cios. Jakby ugodziła mnie nożem w brzuch. Dlaczego zareagowałem aż tak emocjonalnie?

To poniżające przyznać się nawet samemu przed sobą, że umiera się z zazdrości. A więc tego nie zrobiłem, natomiast skorzystałem z pierwszej okazji, żeby poruszyć z Miriam temat ryzykownych zachowań seksualnych młodzieży.

– Przecież już w Londynie Brit miała chłopaka – odpowiedziała Miriam.

Podlewała doniczki w ogrodzie na tyłach domu. Zachodzące słońce oświetlało jej włosy, które błyszcząły, jakby były ze złota. Usiadłem na ławeczce i zapaliłem papierosa.

– Tak, ale w Londynie była jeszcze dzieckiem. Teraz już dojrzała. A ten cały Elron ma już osiemnaście lat.

– Tak, tatuśku zazdrośniku. Ma osiemnaście lat i dlatego Britney za nim szaleje. To miły i dobrze wychowany chłopiec. Britney dobrze się czuje w jego towarzystwie i to jedyne, co powinno nas obchodzić.

– Ale... Czy to poważne? Od kiedy są razem?

– Wcale nie są. Britney opowiedziała mi, że wpadł jej w oko w szkole, ale że on nie zwracał na nią uwagi. I wczoraj spotkali się na zabawie, a Elron powiedział jej, że „myśli o niej od czasu tego koncertu w liceum”. To ich pierwsza randka. Nie wydaje ci się to romantyczne?

– Czyli to coś nowego?

– Myślę, że szybko jej przejdzie chęć powrotu do Londynu. A ponadto Eric i Edilia wydają się być bardzo interesującymi ludźmi, nie sądzisz?

– No cóż, są wykształceni i z daleka jedzie od nich ciężkim pieniądzem. Ta klinika musi im przynosić niezłe zyski.

– Są eleganccy i niczym od nich nie jedzie, Bert. Elena mi o nich trochę opowiedziała. Przypuszczam, że pomyślała, że będę zainteresowana rodziną Elrona.

– No i czego się dowiedziałas?

– Że mieszkają tu od sześciu lat. Wcześniej mieszkali na północy, w departamencie Loara, gdzie Eric pracował na jakiejś uczelni. Kupili ten teren, gdzie mają klinikę, za ogromną kwotę, bez targowania się. Dawniej była to posiadłość ziemska, dwa domy i zabudowania gospodarcze. Edilia podobno pochodzi z bogatej rodziny, ale przypuszczalnie mają też ukrytego współnika. Dużo jest wokół nich tajemnic, włącznie z listą ich pacjentów. Gwiazdy Hollywood, muzycy, ważni ludzie ze świata finansów, brokerzy uzależnieni od wszystkiego co popadnie i inni tacy. Nikt z nich nawet nogi nie postawi w Saint-Rémy, wszyscy przylatują helikopterem. Kuracja

kosztuje fortunę i mają podobno listę zapisów zapelnioną z góry na całe lata. Krążą opowieści o prawdziwych cudach, jakich dokonuje kuracja metodami Erica.

Edilia, jak się już zorientowałem, odgrywała rolę bogatej mecenaszki, była ozdobą tutejszego życia społecznego i artystycznego. Wystosowanie zaproszenia na wernisaż Starka sprawiło, że w oczach Miriam na liście „osób, które należy znać” zdobyła dodatkowe pięć milionów punktów.

– W porównaniu z innymi osobami jest prawdziwą damą – stwierdziła moja żona i udała się do swojego pokoju, żeby zdobyć przez internet jak najwięcej wiadomości o twórczości Starka. han, wspomagana przez swojego majordoma, a zarazem kochanka, mister Bundta.

Rozdział czwarty

1

Postanowiłem, że jeszcze tego samego popołudnia odwiedzę Chucksą, nawet zanim otrzymałem esemesa od Ontama: „Jakieś wiadomości o Chucksie? Zaczynam się denerwować”.

Była szósta wieczór, gdy podjechałem pod Le Mas des Citronniers, pozornie spokojnie drzemiący z wygaszonymi światłami. Blask dochodził jedynie z dwóch okienek z szybami z mlecznego szkła, znajdujących się na poziomie gruntu i należących do piwnicy. To utwierdziło mnie w mniemaniu, że Chucks, tak jak przypuszczałem, pracuje nad nagraniami w swojej jaskini.

Zadzwoiłem do drzwi i bezskutecznie czekałem dłuższą chwilę. Podszedłem bliżej do okienek, żeby krzyknąć, że to ja. Dopiero wtedy usłyszałem skrobanie łap Loli o posadzkę, a po chwili otworzyły się drzwi wejściowe.

Chucks wysunął głowę na zewnątrz. Jego włosy, posiwiałe i skręcone, przypominały fryzury w kształcie dyni, jakie noszą tubylcy z niektórych wysp na Pacyfiku. Na twarzy miał wyraz potwornego zmęczenia, a wokół niego unosił się lekki odór zaduchu i niemytego ciała. Popatrzył nerwowo na prawo i lewo i zrobił zapraszający gest.

– Witaj, Bert. Szybko. Chodź za mną.

Wciągnął mnie do środka. W przedsionku, kwadratowym pomieszczeniu z posadzką w szachownicę z płytek, na ładnym okrągłym stoliku stała doniczka ze zwiędłą rośliną. Gdy tylko przekroczyłem próg, Chucks zamknął drzwi na zasuwę i łańcuch. Wyglądał naprawdę okropnie. Kulał, a za całe ubranie miał na sobie sfatygowaną koszulkę, bokserki i crocysy w perłowym kolorze. Widok tego ostatniego elementu ubioru podziałał na mnie wyjątkowo przygnębiająco, wydał mi się ostatecznym dowodem upadku.

– Chodźmy do studia – wyszeptał Chucks.

Byłem tym wszystkim zdziwiony, ale posłusznie poszedłem za nim korytarzykiem wiodącym do drzwi od piwnicy. Przekroczyłem próg jako pierwszy, a gdy Chucks wszedł za mną, usłyszałem, że przekręca klucz w zamku. Zeszliśmy po wąskich schodkach do małego saloniku, gdzie stała kanapa z rzuconym na nią niedbale kocem oraz zmiętą poduszką. Wszędzie kubki, szklanki, napoczęte konserwy, a na środku rozwalony karton płatków śniadaniowych. Pod ścianą cały stos puszek piwa.

To już przekroczyło granice zdrowego rozsądku, pomyślałem, widząc cały ten nieład. Zadzwoię do Ontama zaraz po wyjściu stąd. Trzeba koniecznie wyciągnąć Chucksą z tego domu. Trzeba nim dobrze potrząsnąć.

To był jeden mój głos wewnętrzny. Natomiast drugi głos mówił mi, że Chucks jest mężczyzną w sile wieku, że ma ledwie czterdzieści dwa lata – choć zgoda, te czterdzieści dwa lata można było uznać za równoważnik dwustu lat życia człowieka, który nie odbył dziesięciu światowych tras koncertowych – i że, zgoda, nie dbał o siebie tak jak powinien, że w młodości

prowadził rozrywkowy tryb życia i że za to się płaci, ale że przecież, na Boga, chyba nie oszalał? A może jednak oszalał? O Boże! To by było zbyt okropne.

– Urocze – powiedziałem, mając nadzieję, że uda mi się nawiązać z nim kontakt. – Podoba mi się ten nastrój tajskiego więzienia. Od kiedy tu kocujesz? Od dwóch dni?

– Od piątku.

Zwalił się na kanapę i zaczął grzebać w stosie odpadków, poszukując paczki papierosów.

– Zapalisz?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem, siadając obok niego na kanapie.

Rozejrzałem się uważniej dookoła. Ubrania, piwo, papier nutowy, zapiski. Elektryczna gitara Fender Stratocaster Relic rocznik 65 leżąca na podłodze, jakby była dziecięcą zabawką, a nie poważnym instrumentem za sześć tysięcy funtów. Poprzez wielką szklaną szybę można było dojrzeć reżyserkę, a za nią salę nagrań. Wielka biała perkusja DM ze srebrnymi talerzami, w otoczeniu mikrofonów. Kolekcja gitar, wzmacniaczy i elektryczne pianino na tle ścian pokrytych wygłuszającą wykładziną.

– Miałeś jeszcze jakiś kontakt z policją? – spytałem, żeby zacząć poważną rozmowę.

– Tak. Pojawił się tu jakiś policjant w sobotę rano. Zadał mi kilka pytań i jeszcze raz obejrzał rovera. Nic nie znalazł, tylko tych kilka zadrapań, to wszystko. Na pewno dalej prowadzili poszukiwania w szpitalach, dzwonili do komisariatów poza kantonem, żeby sprawdzić, czy gdzieś ktoś nie zgłosił zaginięcia. Policjant powtórzył mi też, że proszą mnie, abym nie opuszczał miejsca zamieszkania. Tylko dlatego zostałem. Gdyby nie to, już wczoraj bym stąd zwiął.

– Dlaczego? Co się dzieje?

Wtedy Chucks podniósł palec i skierował go w górę, ku schodom. Potem machnął dwa razy ręką i wyszeptał budzącym niepokój głosem:

– Tam ktoś jest, Bert. Tam, na zewnątrz.

– Kto?

– Ktoś. Jacyś ludzie. Pilnują mnie.

Doskonale pamiętam swoje odczucia z tamtej chwili. To było tak, jakby świat mi się nagle zawalił. Nie, Chucks – błagałem go w myślach – nie. Proszę, nie trać zdrowych zmysłów, oprzytomnij.

– No dobrze, Chucks – powiedziałem łagodnym tonem, który mnie samemu przywiódł na myśl głos, jakim personel zwraca się do pacjentów w domu wariatów – zacznijmy od początku. Skąd wiesz, że tam ktoś jest?

– Nie mogę tego udowodnić. Ale słyszałem ich. Słyszałem ich rozmowę.

– Słyszałeś, co mówią?

– Tak, poprzez mój wzmacniacz. Chodź, pokażę ci.

Poderwał się z miejsca jak na sprężynie i zaprowadził mnie do sali nagrań. Stały tam wielki stuwatowy wzmacniacz Marshall JCM i oparta o ścianę gitara Gibson SG rocznik 68. Chucks powiesił ją sobie na szyi, podkręcił głośność we wzmacniaczu i przybliżył gitarę do głośnika, powodując ogłuszające spięcie.

– Co jest, do cholery! – krzyknąłem, zasłaniając sobie uszy.

Akord rozbrzmiewał w studiu przez dłuższą chwilę. Potem Chucks położył dłoń na strunach i dźwięk urwał się jak ucięty nożem.

– Grałem na niej w sobotnią noc. Nagrywałem gitarę w tle, gdy w którymś momencie wzmacniacz zaczął mówić. Wiesz, tak się może zdarzyć, gdy gitara elektryczna złapie jakąś

częstotliwość radiową.

Skinąłem głową. Każdemu, kto kiedykolwiek grał na gitarze elektrycznej, zdarzyło się złapać jakieś szumy transmisji

– Mówili o mnie, Bert. Jakiś głos powiedział: „Jest na dole, gra w swoim studiu. Lepiej poczekałmy”. A wtedy inny odpowiedział: „Nie mamy czasu”, albo coś podobnego. Rozmawiali po francusku, ale zrozumiałem coś jakby: „Nie możemy ryzykować”. Ale najlepsze jest to, że udało mi się ich nagrać. Posłuchaj.

Zostawił gitarę na jej podstawie i wszedł do reżyserki. Poszedłem za nim z pewnym ociąganiem. Byłem coraz bardziej zaniepokojony stanem ducha przyjaciela.

Stały tam dwa wypasione skórzane fotele, w których przed tygodniem siedzieliśmy, popijając piwo i słuchając wspaniałych próbnych wersji *Beach Ride*. Chucks wklepał hasło na klawiaturze i otworzył jeden z folderów. Było tam kilka ścieżek dźwiękowych. Wybrał jedną z nich, a potem poruszył kursorem, wybierając sześćdziesiątą pierwszą minutę nagrania, po czym włączył głośno odtwarzanie.

– Zawsze mam włączone nagrywanie, na wypadek gdybym stworzył coś dobrego. Słuchaj!

Przez głośniki w kabinie wylało się mnóstwo hałasu. Rzeczywiście, w tle było słycać coś dziwnego, jakby metaliczny głos mówiący przez radio. Jakby ktoś coś mówił przez krótkofalówkę albo przez walkie-talkie. Jednak nie udało mi się zrozumieć ani słowa.

– Możesz to puścić jeszcze raz?

Zrobił to. Znowu biały szum, a w tle jakiś pogłos, który, musiałem to przyznać, mógł być ludzkim głosem.

– Nie rozumiem, co mówią, Chucks. Istotnie, wydaje się, że coś słycać, ale to może być cokolwiek.

– Nie nagrało się dobrze, bo mikrofon był trochę za daleko, ale ja stałem tuż obok wzmacniacza, Bert, i wszystko słyszałem. Do cholery! Przysięgam. Nie wierzysz mi?

– Wierzę – powiedziałem drżącym głosem. – Ale dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Albo na policję?

– Ja? Ten sam Chucks Basil, który w piątek zeznał, że zabił wymagowaną osobę? Już wystarczająco się ze mnie naigrawali w komisariacie.

– No dobrze. To dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie?

– Ponieważ... No cóż... Ponieważ przypuszczam, że Miriam i tak już mnie znieawdziła do reszty i... Opowiedziałeś jej o wszystkim?

– Powiedziałem jej tylko, że miałeś wypadek samochodowy, nic więcej.

– Uff. Nieważne, mogłeś powiedzieć jej prawdę. Ona i tak uważa, że jestem chodzącym problemem i zawsze nim byłem.

– Nie mów tak, stary. Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele są nimi na dobre i na złe. Chciałbym teraz, żebyś wziął prysznic, przebrał się i wybrał się ze mną na przejażdżkę. Pojedziemy Pod Buką, zjemy po filecie z polędwicy i pogadamy, dobrze?

– Słuchaj, Bert. Niezależnie od tego, co się zdarzy, chciałbym, żebyś mi coś obiecał.

– Zamieniam się w słuch.

– Gdyby mi się coś stało...

– O czym ty mówisz? – przerwałem mu.

– Proszę cię, Bert. Przysięgnij.

– Dobrze.

– Gdyby mi się coś stało. Zawał, wypadek, cokolwiek. Chcę, żebyś uratował tę płytę, dobrze?

– Wskazał na stół mikaserski. – To jedyna przyzwoita rzecz, jaką udało mi się zrobić przez ostatnie dziesięć lat mojego pieprzonego życia. Ocal *Beach Ride*, brachu. Zadzwoń do Jacka i niech zapędzi Rona Castellito do pracy. To jedyna osoba, która będzie w stanie dokończyć produkcję. Przysięgasz?

– Przysięgam, Chucks. Ale, jak to mówią w filmach, sam dokończysz pracę nad płytą. I odbędziesz cholerne tournée promocyjne, na którym mam nadzieję cię oglądać za specjalnym zaproszeniem VIP. A teraz idź się wykąp, stary. Strasznie od ciebie jedzie. A ponadto mam wielką ochotę na dobrą wyżerkę.

Pojechałem okrężną drogą, żeby nie kusić losu i nie przejeżdżać przez ten zakręt, na którym miał miejsce „wypadek”. Nie chciałem też opowiadać Chuckowi o klinice i o odkryciach, jakich dokonałem w ciągu ostatnich dwóch dni. Wiedziałem, że jeśli coś bym o tym wspomniał, jego wyobraźnia rozżarzyłaby się do czerwoności, a to była ostatnia rzecz, jaka nam była potrzebna. I bez tego Chucks był jedną wielką wytwórnią wymyślonych wrogów i prześladowców.

Musiałem więc nadłożyć sporo drogi. Prowadząc, usiłowałem rozerwać Chucksa rozmową. Opowiedziałem mu o Britney i o jej grupce przyjaciół oraz o chłopaku van Ernów, którego uznałem za nieco bezczelnego. Podzieliłem się z nim wnioskiem, że mieszkańcy takich małych miasteczek przypominają nieco ludzi, których opisuje Ira Levin w *Żonach ze Stepford*, i że pod pozorem idealnego życia często kryją się straszne sekrety. Chucks spytał tylko, czy Ira Levin jest kobietą.

– Nie, stary. To facet. Geniusz, ale facet – odpowiedziałem i zdałem sobie sprawę, że Chucks usiłuje być uprzejmy, ale przez cały czas rozgląda się na boki i patrzy w lusterka.

Po jakiejś półgodzinie dojechaliśmy na miejsce. Lokal Pod Czerwonym Bukiem przypominał raczej kanadyjską chatę niż prowansalską gospodę. Stałą klientelą byli wędkarze i myśliwi i podawano tam wspaniałe dania mięsne. Przypuszczalnie to moja podświadomość kazała mi pojechać właśnie tam, do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło; dokładnie przed tygodniem, w poniedziałek. Ale przecież to zupełnie normalne miejsce. Posiedzimy tu, zjemy kawałek mięsa i nic się nie wydarzy... bo niby co miałyby się wydarzyć?

O tej porze knajpa była niemal pusta. Usiedliśmy na uboczu, tuż pod oknem, poprosiliśmy o dwa piwa i mięsne danie dnia. Chucks nie przestawał rozglądać się wokół siebie. Widziałem, że był napięty jak struna.

– Chucks, stary, odpręż się, dobrze? Tu nikogo nie ma. Nikt nas nie śledzi. Posłuchaj mnie, chcę ci coś powiedzieć. Z całą powagą, jako twój przyjaciel. Chyba nadszedł właściwy moment, abyś poprosił o pomoc profesjonalistę.

– O czym ty mówisz, Bert? O prywatnym detektywie?

– Nie, Chucks. Mówię o terapii. – Użyłem tego słowa, bo podobało mi się bardziej niż „psychiatra”. – O kimś, komu będziesz mógł to wszystko opowiedzieć w usystematyzowany sposób. Pamiętasz tego faceta, który ci pomógł w Los Angeles? Doktor Calgari.

Chciałem w zawołany sposób skłonić go do poruszenia tematu prześladowców z Amsterdamu. Być może zresztą Chucks wyczuł, dokąd zmierzam. Oburzył się i krzyknął:

– O czym ty do cholery mówisz, Bert?! To nie ma nic wspólnego z urojeniami! To się dzieje naprawdę!

– Dobrze już. Przepraszam, Chucks.

Uderzył pięścią w stół; zauważyłem, że przyciągnęliśmy kilka ciekawskich spojrzeń.

– To wszystko prawda, Bert! Naprawdę załatwiłem tego faceta! Co ty chcesz mi powiedzieć, że co?

– Mów ciszej, dobrze? Nie muszą się o tym dowiedzieć wszyscy w tym pieprzonym barze.

Wtedy zgiął się, jakby otrzymał cios, i ukrył twarz w rękach. A potem wygrzebał papierosa z kieszeni koszuli i wsadził go do ust.

– Tu nie wolno palić, Chucks.

– Nie wierzysz mi. A niech to szlag – wymamrotał, zapalając papierosa. – Nie mogę wprost dojść do siebie. Naprawdę się na tobie zawiodłem, brachu. To mnie naprawdę ubodło, że mi nie wierzysz.

Jeden z kelnerów, który miał nas na oku już od dobrej chwili, krzyknął złym głosem coś o paleniu. Bert zgasił papierosa w małym wazoniku stojącym na stole, a potem wystawił w kierunku kelnera środkowy palec.

– Super – skomentowałem. – Przygotuj się na degustację plwociny tego typu w twojej potrawie.

– Mam to w dupie. Nie jestem głodny. Chcę stąd wyjść.

– Zaczekaj – powiedziałem, biorąc go za rękę. – Czy pozwolisz mi to wyjaśnić? Wierzę w to, co ci się wydarzyło na drodze. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że kłamiesz lub konfabulujesz. Ale te zaburzenia słuchowe w twoim wzmacniaczu są dla mnie trudne do strawienia.

– To nie żadne zaburzenia słuchowe, tylko częstotliwości radiowe, brachu. Musieli stać tuż przy domu i gadali przez walkie-talkie. Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć? Pewnego razu grałem w Szkocji, w bazie wojskowej, i przez połowę koncertu musiałem wysłuchiwać kontrolera lotu śmigłowców. Wiem, o czym mówię.

– Niech ci będzie. W porządku – powiedziałem. – To jest możliwe. Ale niezwykle mi przypomina to, co ci się zdarzyło w Amsterdamie. Nie mogę ci o tym nie wspomnieć.

– To było coś innego. W tamtych czasach przez pół dnia jechałem na grzybkach, a przez drugą połowę na koksie, do cholery. A teraz, do cholery, dla odmiany jestem trzeźwy. Od lat.

– A w Londynie? Co się zdarzyło z twoim zdalnym połączeniem i kafejką internetową? Zanim mnie zapytasz, skąd o tym wiem, odpowiem: zadzwonił do mnie Jack Ontam. Bardzo się o ciebie martwi.

Chucks wybuchnął śmiechem.

– A to skurwiel. Naprawdę ci to wygadał? To była tylko nieszczęśliwa pomyłka, brachu, nic takiego się nie stało.

Zamilkł. Do lokalu wszedł jakiś mężczyzna i wybrał stolik tuż obok nas. Odwróciłem się, żeby mu się przyjrzeć. Pan około pięćdziesiątki, bródka, okulary z okrągłymi szkiełkami. Uśmiechnąłem się, a on skinął głową. Potem spokojnie usiadł i pogrążył się w lekturze gazety. Kiedy znów spojrzałem na Chucksa, wpatrywał się w faceta ciężkim wzrokiem.

– Niech ci będzie – powiedziałem i przesunąłem się trochę z krzesłem, żeby uniemożliwić Chuckowski obserwację. – No to opowiedz mi o tym, co się stało w Londynie. To dlatego postanowiłeś się przenieść do Francji?

– To była jedna z przyczyn. Przyznaję, że wtedy w Londynie zawałem sprawę, ale nie tylko dlatego postanowiłem się stamtąd wynieść. Pomyślałem, że dobrze mi zrobi, jeśli spędzę jakiś czas poza miastem. Chciałem znaleźć się blisko kogoś, do kogo miałbym zaufanie, Bert. A wy jesteście tym, co najbardziej przypomina mi rodzinę... Głupie, nie? To dlatego przywlokłem się waszym śladem do Francji, jak przekłeta dusza pokutująca, bo jestem sam, Bert. Jestem przerażająco samotny.

– Dobrze zrobiłeś, Chucks. Jesteśmy twoją rodziną. Zawsze nią byliśmy i zawsze będziemy.

Zgoda?

– Zgoda. Chociaż Miriam i tak mnie nienawidzi.

– Nie mów tak. Miriam cię nie nienawidzi. Zresztą kilka dni temu sama zaproponowała, że powinieneś wpaść któregoś dnia na kolację. Co ty na to?

Chucks się uśmiechnął, myślę, że pierwszy raz tego dnia.

– Ale teraz, stary, przyznaj się, że masz od czasu do czasu manię prześladowczą.

– To przychodzi wraz z dopływem forsy, brachu – odparł. – Jestem gwiazdą. Ale to, co się teraz dzieje, nie ma nic wspólnego z żadną paranoją, Bert. To się dzieje naprawdę.

– Niech ci będzie. Ale przyznaj, że może pewne rzeczy sobie dopowiadasz. Przyjmij to jako możliwość.

– W porządku. Przyznaję. Przyznaję, że te głosy we wzmacniaczu mogły być objawem mojej wzmóżonej wyobraźni. Ale tego faceta potrąciłem, Bert. Tego jestem cholernie pewien.

W tej samej chwili podeszła do nas ładna kelnerka, niosąc talerze. Kiwnąłem głową w milczeniu, w nadziei, że Chucks też zamilknie.

– Zrobiłem to – odezwał się jednak, podczas gdy kelnerka stawiała przed nami nasze filety z polędwicy z frytkami. – Zrobiłem to.

– Wierzę ci – odpowiedziałem, choć w głębi ducha zacząłem już powątpiewać we wszystkie rzeczy razem i w każdą z osobna, o których Chucks opowiedział mi w ciągu ostatniego tygodnia.

Byliśmy głodni i dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy mogli odpocząć przez chwilę od tych przykrych spraw. Usiłowałem też nie myśleć o kelnerze i o tym, czy napluł, czy też nie na moje mięso. Poprosiliśmy o więcej piwa i przez dłuższy czas jedliśmy w milczeniu.

Gdy już napełniliśmy żołądki, zacząłem mówić o ostatnim albumie Boba Dylana i ogólnie starałem się kierować konwersację w stronę muzyki, która zawsze stanowiła najulubieńszy temat naszych rozmów. Wspomniałem także o kilku zabawnych wydarzeniach z naszej młodości i z czasów, gdy razem graliśmy w zespole. Udało mi się go rozbawić, co było moim zamiarem, i doprowadzić do tego, żeby się zrelaksował i zaczął patrzeć na świat z perspektywy odmiennej od tej, jaką przyjął, mianowicie że znajduje się w tunelu bez wyjścia. Potem, pod koniec kolacji, miałem zamiar przypuścić atak: albo – zgodnie z życzeniem Ontama – powiedzieć Chucksowi o psychologii bądź co najmniej o podróży i wyjeździe z Prowansji.

Po chwili poczułem, że muszę wyjść do łazienki, i podniosłem się od stołu. Nie było mnie dosłownie przez chwilę. Gdy myłem ręce, usłyszałem przez drzwi odgłosy jakiegoś zamieszania w sali. Wypadłem z łazienki, obawiając się, że chodzi o awanturę z udziałem Chucksa. Niestety, miałem rację.

Chucks stał pod oknem, do którego przypierały go dwie osoby: facet z bródką i w okularach, który usiadł koło nas, oraz kelner, który obrugał go wcześniej za palenie. Chucks coś trzymał w ręku – była to gazeta – i wydawało się, że próbuje załagodzić sytuację.

– Myślą sobie, że mogą tu przyjeżdżać i robić, co im się tylko podoba! – wrzeszczał kelner.

– Ja tylko poprosiłem, żeby mi pozwilił spojrzeć na gazetę – tłumaczył się Chucks.

– A ten pan nie zamierzał jej panu pożyczać. Niech pan sobie kupi swoją! – Kelner był naprawdę rozjuszony.

W tym momencie Chucks dostrzegł mnie i jego twarz się rozjaśniła.

– Bert! – krzyknął, machając do mnie gazetą i dźgając palcem w fotografię na pierwszej stronie. – To on!

– Proszę zwrócić gazetę klientowi – nalegał kelner, usiłując wyrwać Chucksowi gazetę, ale ten był szybszy i zdołał mi ją rzucić.

– Przeklęty angielski pijak! – wrzasnął gość z wąsikami.

– Przyjacielu, licz się ze słowami – odpowiedziałem.

Facet w odpowiedzi obrzucił mnie stekiem wyzwisk i szturchnął mnie w ramię.

– Zaraz się za ciebie weźmiemy, pieprzony żabojadzie! – wycedził Chucks.

Pozostali goście restauracji patrzyli się na nas uważnie, a kilku nawet wstało z miejsc. W pierwszej chwili pomyślałem, że chcą nas rozdzielić, ale natychmiast się zorientowałem, że tym, co oderwało ich od stołów, była urażona patriotyczna duma, bo ten „pieprzony żabojad” im się wcale, ale to wcale nie spodobał. Kelner wyrzucił nas bez ogródek, krzycząc, że „już w zeszłym tygodniu się tu awanturowaliśmy”, więc przypuszczalnie był świadkiem szarpaniny, podczas której na koszuli Chucksa wylądowało wino.

Jakiś typ podszedł do nas z bardzo groźną miną i powiedział, żebyśmy oddali gazetę, zapłacili rachunek i spieprzali stąd jak najszybciej. Za nim stało trzech innych, gotujących się do dania nam w zęby, więc podniosłem ręce do góry w międzynarodowym geście poddania się. Oddałem gazetę, już zupełnie pomiętą, jej właścicielowi. Rzuciłem na stół sto euro i wyszliśmy, wyzywając Francuzów od najgorszych, na co oni odwdzięczyli się, wysyłając nas do diabła i składając nam inne miłe propozycje. Byłem pewien, że już nigdy nie wrócimy do Czerwonego Boka, a przynajmniej nie przez najbliższe dziesięć lat. Pomyślałem, że to jednak godne pożałowania, bo co jak co, ale mięso naprawdę umieją tu przyrządzić.

– To on! – zaczął znowu wykrzykiwać Chucks, gdy siedzieliśmy już bezpiecznie w moim spiderze.

– Kto taki, do ciężkiej cholery?!

– To on! Facet, którego potrąciłem. Był w gazecie!

– Jesteś pewien?

– Tak. Szybko! Jedźmy do Sainte Claire. Muszą tam gdzieś mieć jeszcze jeden egzemplarz.

– Ale... To znaczy, czy jesteś tego całkowicie pewien?

– Przez cały tydzień śniła mi się ta twarz, Bert. Kiedy wstałeś, żeby pójść do łazienki, spojrzałem na tę gazetę i on tam był! Jego twarz, na jednej z kolumn na pierwszej stronie. Nie żartuję, brachu, spójrz na mnie – uniósł rękę w górę – cały się trzęsę.

To prawda, Chucks był błąd, jakby zobaczył ducha.

Dojechaliśmy do Sainte Claire, zaparkowaliśmy na jednej z uliczek przy rynku i udaliśmy się do bistro w centrum, jednego z nielicznych już miejsc otwartych o tej porze. Na stojaku z prasą znaleźliśmy egzemplarz poniedziałkowego wydania „La Provence”. W dolnej części pierwszej strony widniała fotografia około trzydziestoletniego blondyna z oczami zmrużonymi w uśmiechu. Po prawej, w ramce, towarzyszył jej następujący tekst:

PISARZ DANIEL SOMERES OFIARĄ WYPADKU SAMOCHODOWEGO

W sobotnią noc jego samochód spadł w przepaść na La Grande Corniche. Przypuszczalnie jechał do Nicei, gdzie miał odwiedzić kogoś z rodziny, i stracił kontrolę nad pojazdem na jednym z zakrętów.

Milczałem. Nagle to wszystko, co się wydarzyło, skręciło w nieprzewidywalnym kierunku i nabrało ponurego, groźnego znaczenia.

– Daniel Someres – powiedział Chucks. – Kojarzysz nazwisko?

Nagle doznałem przerażającej wizji. Ja także znajdowałem się w tym koszmarze sennym, o którym mi wcześniej opowiedział Chucks. Siedziałem na tarasie restauracji King's Road i wychylając pintę piwa, słuchałem, jak ten chłopak coś mówi i mówi, bez końca. Naprawdę inteligentny facet z oryginalnym podejściem do wielu spraw, ale nieco męczący. Jakby odczuwał niezaspokojoną potrzebę przekazywania swoich myśli bliźnim.

Tylko że to nie był sen. To było wspomnienie. Natychmiast zdałem sobie z tego sprawę.

– Znaliśmy go – powiedziałem.

– Że co?

– To nie zdarzyło się we śnie, stary. Znaliśmy go. Ty, i ja też.

2

Wtedy sądziłem, że to było w 2009 roku, ale potem Mark Bernabe wyprowadził mnie z błędu. To się zdarzyło dokładnie latem 2010 roku. Właśnie sprzedałem prawa do *Wschodu słońca w Testamento* francuskiemu wydawnictwu Actes Sud i wpadłem do Paryża, z Markiem i piękną agentką wydawnictwa, Anne-Fleur Kann (jej nazwisko też przypomniał mi potem Bernabe). Odbyliśmy klasyczne wizyty promocyjne, udzieliłem paru wywiadów, a wieczorem udaliśmy się do Dzielnicy Łacińskiej na kielicha. Trzeba trafu, że zadzwonił do mnie wtedy Chucks i okazało się, że też właśnie jest w Paryżu, więc wieczór zakończyliśmy wszyscy razem na tarasie pubu w angielskim stylu. W King's Road.

Anne-Fleur miała zaplanowane na później spotkanie z jednym z reprezentowanych przez siebie pisarzy, ale przekonaliśmy ją, ponieważ wpadła w oko Chuckowski, żeby została z nami na kolacji, więc zadzwoniła i ściągnęła go do King's Road. Tym pisarzem był właśnie Daniel Someres.

Następne kilka godzin po odkryciu zdjęcia w gazecie spędziliśmy z Chucksem, siedząc w bistro w Sainte Claire i starając się zebrać do kupy nasze wspomnienia. Były one dość niewyraźne, jednak obydwaj zgadzaliśmy się co do jednej rzeczy: facet był jakiś niespokojny, jego osobowość wydawała się neurotyczna. Gadał i gadał bez końca, niemal dławił się własnymi słowami. Właśnie opublikował książkę o Klubie Bilderberg, o zamachach typu *false flag* i o różnych teoriach spiskowych. To był jeden z tych osobników, którzy przypominają chodzące encyklopedie i nie poprzestaną, póki nie zasypią rozmówcy stosem własnej wiedzy na jakiś temat.

– Nie przestawał mówić – przypomniał sobie Chucks. – Miałem chęć pogawędzić trochę z tą spektakularną Francuzeczką, ale mi to uniemożliwił. Że mafia, że jakiś czarny rynek, że to, że tamto. Doprawdy, aż nie chce mi się wierzyć, że do dzisiaj o tym pamiętam.

– Tak, to naprawdę dziwne – powiedziałem, a moje myśli zaczęły podążać w różnych kierunkach.

Aż do tej chwili Daniel Someres był dla mnie jedną z tych setek osób, które spotyka się na drodze życia i których twarze natychmiast się zapomina. Stają się wspomnieniem przywalonym milionami innych podobnych wspomnień. Przypadkowa rozmowa, spędzona wspólnie godzina, Paryż, cztery lata temu. I nagle okazuje się, że to właśnie tego faceta Chucks przejechał samochodem?!

– Jak możesz być tego pewien? – spytałem. – To znaczy, chodzi mi o to, że na tej drodze,

w nocy... Jak możesz być pewien na sto procent, że to był on?

– To była jego twarz, Bert, przysięgam ci na wszystkie świętości. To był on. Widziałem go tylko przez kilka minut, oświetlonego reflektorami mojego samochodu, ale to były długie, straszne minuty. I to był on. Daniel Someres.

– Którego samochód cztery dni później spadł w przepaść dziesiątki kilometrów od miejsca, gdzie ty... – zawiesił głos.

– To przecież oczywiste, że to ustawka! – krzyknął Chucks.

Gestem poprosiłem Chucksa, żeby mówił ciszej. Dochodziła jedenasta w nocy i z wyjątkiem chłopaka przy barze, przypuszczalnie narzeczonego kelnerki, w knajpie nikogo nie było.

– Nareszcie. Nareszcie poznałem twoją teorię spiskową.

– Czyżbyś jej nie podzielał? Potrącam faceta na drodze i on umiera. Jego ciało znika i cztery dni później ktoś zrzuca je w przepaść daleko od miejsca, w którym naprawdę zginął. – Chucks wybuchnął gorzkim śmiechem. – To zupełnie jak w filmie, brachu. A ja jestem jedynym świadkiem.

Zauważyłem, że chłopak przy barze patrzy na nas i się uśmiecha. Przypuszczalnie nie powinienem się tym przejmować. Mówiliśmy po angielsku, szybko i nerwowo, nie sądziłem, żeby mógł nas zrozumieć. Niemniej jednak podczas całej tej rozmowy czułem, że jeżą mi się włosy na karku. Odezwałem się szeptem:

– Dobrze. Przyjmijmy, że masz rację. No i co teraz zrobimy?

– Musimy to zbadać. To oczywiste, że facet nie zginął na La Grande Corniche. Trzeba to zgłosić policji.

– I sądzisz, że ktoś ci uwierzy? Chucks, dlaczego nie wrócimy do początku? Nie wydaje ci się dziwne, że facet, którego potrąciłeś, okazał się być kimś, kogo znałeś?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No więc tylko tyle, że – to tylko taka możliwość – że skojarzyłeś twarz potrąconego z inną twarzą, podobną, którą miałeś gdzieś zapisaną w pamięci. Tak się zdarza w snach. Niekiedy pojawiają się w nich ludzie, których uznajesz za nieznanym, ale równie dobrze mogą to być ludzie, których spotkałeś kiedyś w przelocie i podświadomie zachowałeś w pamięci. Może ten facet po prostu był podobny do Someres.

– Dlaczego się wzzięłeś, żeby mi udowodnić, że zwariowałem? Dlaczego, Bert? Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery?

– Nic się ze mną nie dzieje, Chucks, ale to wszystko jest surrealistyczne. Usiłuję jedynie zaprowadzić w tym trochę porządku.

– Chcesz porządku? To zadzwoń do swojego agenta. Ustalmy wspólnie, co robił Someres na drodze do Nicei i jak umarł. Zapewniam cię, że jeśli trochę w tym pogrzebiemy, odkryjemy bardzo dziwne rzeczy o jego śmierci.

– Zgoda – powiedziałem. – Umowa stoi. Ale jeśli się okaże, że Someres zginął tak, jak napisali w gazecie, to przyrzekniesz mi, że polecisz do Los Angeles odwiedzić doktora Calgariego?

– Słuchaj, brachu. Jestem tak pewny swego, że przyjmuję twoją propozycję. Jeśli historia Someres trzyma się kupy, dam się zamknąć na krótki pobyt w wariatkowie. Ale jeśli się okaże, że jest w niej coś dziwnego, pomożesz mi to wyjaśnić?

Skinąłem głową, ale Chucksowi to nie wystarczyło.

– Powiedz, Bert. Obiecujesz?

Przyrzekłem mu to. Wiedziałem, że tego pożałuję. Ale i tak mu obiecałem.

Kelnerka zaczęła wstawiać krzesła na stoły i zamiatać podłogę, więc powiedziałem Chuckowski, że pora się zwijać. Wsiadliśmy do mojego samochodu i ruszyłem w kierunku jego posiadłości. Dopiero gdy znaleźliśmy się na miejscu, przed pogrążonym w ciemności domem Chucksa, przyszło mi do głowy, że powinienem był zaprosić go na noc do nas.

– To nie jest konieczne, Bert. Nie chcę wam przeszkadzać. Zresztą i tak mam zamiar się stąd wynieść na jakiś czas. Może poproszę Jacka, żeby mi odstąpił swój dom na Capri na kilka dni. Zobaczymy. Czeka nas sporo roboty z tym sprawdzaniem, co jest grane.

– Naprawdę nie chcesz dziś przenoćować u nas w domu?

Chucks pokręcił głową. Potem otworzył drzwi wozu i zanim wysiadł, powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę:

– Wracaj do swojej rodziny, Bert. Ja zostanę ze swoimi widmami.

3

Tej nocy śniły mi się koszmary. Sądzę, że po dniu obfitującym w tak emocjonujące wydarzenia powinienem był się tego spodziewać. Najpierw przyśnił mi się Someres i ten angielski pub w Paryżu. Siedziałem tam sam na sam z Somerese, piliśmy piwo i – przypuszczalnie pod wpływem opowieści Chucksa – widziałem, że jego głowa jest pokryta jakimiś dziwnymi skaleczeniami, jak gdyby ktoś nałożył na nią koronę cierniową z żyłek, które zadały skórze kilkanaście głębokich ran. Rany były zaszyte grubą, czarną nicią.

Someres coś mówił i mówił, ale nie mogłem niczego zrozumieć i zacząłem patrzeć w drugą stronę. Jak to się często dzieje w snach, tą drugą stroną okazało się zupełnie inne miejsce: plac w Aix-en-Provence. Tam, na obramowaniu fontanny, siedział Chucks, rozmawiając z ożywieniem z Miriam. Obydwoje się śmiali, jak w starych, dobrych czasach. Pomyślałem, że to dobrze, że znowu są przyjaciółmi, i że długo trwało, zanim Miriam wybaczyła mu to, co się stało z Lindą.

Wtedy poczułem, że ktoś chwyta mnie za brodę i zmusza do odwrócenia głowy. To był Someres. Jego oczy były puste, jak u widma, a z ran na głowie zaczynała sączyć się krew.

„Posłuchaj mnie, Amandale – powiedział. – Posłuchaj mnie uważnie: pustelnia. Musicie ją odnaleźć. Teraz wszystko zależy od was. I grozi wam niebezpieczeństwo”.

Cały czas we śnie, zacząłem się nerwowo śmiać. Popatrzyłem w stronę fontanny w Aix-en-Provence, ale Miriam i Chucks zniknęli. Na ich miejscu siedział jakiś facet w czarnych okularach, z włosami zaczesanymi na bok.

„Kto to?” – spytałem.

„To Ojciec – odpowiedział Someres. – Trzymaj się od niego z daleka. Rozumiesz? Pożre twoją duszę. Przeżuje twój mózg”.

„Ten starzec?” – zdziwiłem się.

Spojrzałem na Someresa, ale on nie przypominał już siebie, tego gadatliwego chłopaka, którego zapamiętałem z Paryża. Teraz milczał, co zresztą wydało mi się logiczne, bo przecież już nie żył. Ktoś poddał go jakiemuś straszliwemu zabiegowi chirurgicznemu i odciął mu górną część czaszki. Widać było pulsujący mózg. Szarą, galaretowatą masę, pokrytą świeżą krwią. W ten mózg, przypominający krwawą gąbkę, powbijano metalowe igły. Someres miał wybałuszone i wywrócone białkami na zewnątrz oczy, a potwornie obrzmiały język wystawał

mu z ust aż na brodę...

Obudziłem się, przerażony do szpiku kości. We śnie krzyczałem, pamiętam to, ale najprawdopodobniej w rzeczywistości nie wydałem z siebie głosu. W domu panowała cisza.

Na zewnątrz padał deszcz, to była któraś z tych przelotnych burz, które odświeżały powietrze co parę dni. Miriam spała spokojnie u mego boku, a moje serce biło jak podczas szaleńczego biegu.

Podniosłem się z łóżka, starając się jej nie zbudzić, i poszedłem do łazienki napić się wody. Tam, stojąc naprzeciw lustra, usiłowałem wygnać z myśli ohydny koszmar senny. Jednak przerażający widok mózgu Someresa nie chciał się rozwiać. Przemyłem kilka razy twarz, mając nadzieję, że oczyszczę w ten sposób swój umysł.

Stopniowo wracałem do przytomności, ale to wywołało przypływ myśli o Chucksie. Notatka w gazecie. Dom na ukwieconym polu. Van Ernowie. Ochroniarze i ich mordercze psisko. Nad ranem człowieka nachodzą proste myśli, bez ozdobników, rzeczy ukazują się takie, jakie są. Nasza świadomość zostaje zdezaktywowana, a wszystkie mechanizmy obronne umysłu drzemią. Nie jesteśmy w stanie okłamywać sami siebie. Nie możemy opowiadać sobie tych wszystkich półprawd, których w dzień tak potrzebujemy, aby żyć. To dlatego rzeczywistość jawi się nam w marzeniach sennych zniekształcona, bo byłaby zbyt trudna do zniesienia, gdybyśmy widzieli ją w całej jej nagości. I właśnie wtedy zrozumiałem, że to nie wymysł, że naprawdę dzieje się coś przerażającego. Po raz pierwszy przez głowę przebiegła mi myśl, że Chucksowi naprawdę coś grozi. I że – bo dlaczego nie? – ja też mogę być zagrożony.

W ciągu wspólnie spędzonego wieczoru nie wspomniałem mu ani słowem o klinice van Erna i zrobiłem to świadomie, w dobrej intencji, żeby go jeszcze bardziej nie przestraszyć. Ale czy miałem rację, postępując tak wobec przyjaciela? Czy nie nazbyt szybko go osądziłem? Z drugiej strony nie mogłem też liczyć na to, że omówię tę sprawę z Miriam, bo nie chciałem, żeby się dowiedziała o godnym pożałowania postępku Chucksza, o ucieczce z miejsca wypadku. Chociaż, zwłaszcza że już się przekonałem, jak „dyskretny” potrafi być V.J., było tylko kwestią czasu, żeby dowiedziała się o wszystkim, i to nie ode mnie. Póki co szarpałem się w sidłach własnych kłamstw.

Wróciłem do łóżka, ale nie byłem w stanie zasnąć. Postanowiłem poszukać rozrywki w internecie. Na swoim smartfonie sprawdziłem maile i przeczytałem wiadomości w dziale sportowym „Herald Tribune”. Potem zagłębiłem się w prywatne życie londyńskich znajomych na Facebooku. Dowiedziałem się, że David Brown zjadł tego wieczoru pyszny befsztyk, że Sarah i jej nowy chłopak, Kenijczyk, spędzają wspaniałe wakacje na Bali, a nasi przyjaciele, Frank i Brenda, nudzą się w podróży do Oslo. Tak minęła godzina, ale nadal nie mogłem przywołać snu.

Wiem doskonale, czym jest bezsenność, a ta wyglądała mi na jedną z tych najgorszych, postanowiłem więc zrobić coś raz a dobrze, żeby nie musieć wpatrywać się w sufit aż do białego rana. Podniosłem się ponownie z łóżka, tym razem trochę wybudzając ze snu Miriam.

– Kochanie – odezwała się słodkim głosem Śpiącej Królowej, z zamkniętymi oczami przeciągając dłonią po mojej stronie łóżka, gdzie pościel była jeszcze ciepła. – Dobrze się czujesz? Nie możesz spać?

– Nie przejmuj się. Zaraz się położę i zasnę – odpowiedziałem.

Między sypialnią a łazienką była mała garderoba. Poszedłem tam i otworzyłem jedną z szaf. Znajdowała się w niej apteczka z podstawowymi lekarstwami, w której Miriam trzymała pigułki z walerianą, zakupione w marsylskiej zielarni. Byłyby doskonale na zwykłą bezsenność, taką

wywołaną znudzeniem życiem towarzyskim, ale nie na ten stan przerażenia, który ogarnął mnie podczas snu. Czułem, jak lęk płynie mi w żyłach wraz z krwią.

Trochę wyżej, ukryta za stosem starych papierzysek, leżała moja „magiczna skrzynka”. Wyciągnąłem ją i wróciłem do sypialni, żeby rzucić okiem na zawartość. No dobrze – mówiłem sobie – zobaczmy, co my tu mamy: nitrazepam, dormidina, oxifin, valium. Wyciągnąłem jedną pastylkę, taką nie nazbyt silną, po której mój mózg miał szansę nie przypominać rano sadzonego jajka, a ja nie będę snuł się jak zombi, i włożyłem ją do ust. Potem schowałem skrzynkę do szafy i poszedłem do łazienki popić lekarstwo wodą.

Pigułka spełniła pokładane w niej nadzieje, ponieważ wkrótce zapadłem w głęboki sen. No i miałem następny koszmar, którego zbyt dobrze nie pamiętam, wiem tylko, że kochałem się z Edilią van Ern. Nie czułem żadnego podniecenia: było tak, jakbym obejmował poduszkę. Potem wstałem i nago, na bosaka, szedłem wzdłuż czegoś w rodzaju długiego szpitalnego korytarza. Korytarz był pogrążony w ciemności, ale za oknami, w mroku nocy, można było dojrzieć żółtawą plamę kwitnącego rzepaku, a gdzieś za polami, wśród drzew, majaczyły zapalone reflektory samochodu i słychać było warkot silnika.

Wtedy usłyszałem jakiś dźwięk za plecami. Odwróciłem się i ujrzałem dziewczynkę van Ernów, tę małą o diabelskiej twarzy. Trzymała na smyczy mastifa, który szarpał się i ślinił, rwąc się, żeby się na mnie rzucić. Dziewczynka przytrzymała go bez większego przekonania i wlepiła we mnie oczy ze złośliwym uśmiechem.

„Nie! – krzychałem. – Nie! Nie puszczaj go!”.

Ale dziewczynka rozwarła dłoń i smycz ześlizgnęła się na ziemię. Zwierzę ruszyło w moim kierunku. Stałem w ślepych kącie korytarza i nie miałem dokąd uciec. I wtedy pies mnie dopadł i zaczął kąsać po twarzy. Czułem, jak odrywa mi ciało, kawałek po kawałku. Usta, policzki, uszy. Na koniec wygryzł mi oko i w tej chwili ujrzałem całą scenę jakby z perspektywy psiego pyska, zamykającego się na mojej zmasakrowanej twarzy.

Obudziłem się? Nie wiem i już nigdy nie będę tego z całą pewnością wiedział. Potem pomyślałem, że tak mi się tylko wydawało, że przypuszczalnie z jednego koszmaru płynnie przeszedłem w drugi. Pastylka nasenna sprawiła, że czułem się, jakbym był pogrążony w jakiejś mazi albo unosił się na chmurach z waty.

Obudziłem się więc, albo i nie. Byłem w swoim pokoju, na zewnątrz nadal padał deszcz. Miriam, pogrążona w głębokim śnie, leżała u mojego boku. Podniosłem się z łóżka i, jakby w stanie nieważkości, podszedłem do okna. Rozsunąłem kotary i spojrzałem na ogród poprzez zalane deszczem szyby. Trawnik, basen i jabłonie. W głębi moja szopa, a za nią ciemna linia zarośli. I tam je zobaczyłem. Pomyślałem, że to robaczki świętojańskie, ale robaczki świętojańskie ruszają się, latają, a te zielonkawe światełka pozostawały w bezruchu.

To były oczy. Kilka par oczu, wpatrujących się bacznie w mój dom.

I wtedy, jak przestraszone dziecko, zacisnąłem powieki i wróciłem do łóżka. Do Miriam. Wtuliłem się w jej ciepłe ciało i usnąłem. I nic mi się nie śniło. ne, odgłos tramwaju lub rozmowę, która odbywała się w sąsiedniej sali prób.

Rozdział piąty

1

Następnego dnia miałem zaplanowaną podróż do Amsterdamu na promocję książki *Powrót Billa*. Obudziłem się o szóstej rano i niezwłocznie pojechałem na marsylskie lotnisko. W samolocie uciąłem sobie krótką drzemkę, wypilem niezłą kawę dzięki uprzejmości Air France, wylądowałem na Schipholu i od tej chwili zacząłem realizować ściśle zapewniony harmonogram. Moja holenderska agentka, Geertie van Gulik, przewidziała dla mnie występ w radiu, udział w dwóch programach telewizyjnych i sesję zdjęciową w mieście. Ucieszyło mnie, że nie zapomniała o mojej ulubionej tajskiej restauracji w Zeedijk, gdzie zjedliśmy obiad w towarzystwie dyrektora wydawnictwa i kogoś z prasy. Po południu spotkałem się z pisarzem Hermanem Grokiem w Centrum Kultury De Balie, żeby nagrać wywiad dla telewizji. Przez trzy godziny rozmawialiśmy o *Wschodzie słońca w Testamento* i *Powrocie Billa*, a Herman okazał się wielkim miłośnikiem mojej twórczości. Jeszcze trochę zdjęć i kolacja na barce zacumowanej na kanale. Gdy nocą dotarłem do hotelu Amstel, ledwo trzymałem się na nogach. Bezsenna noc w połączeniu z nadaktywnością w ciągu dnia całkowicie mnie wyczerpały. Zostało mi ledwie tyle sił, żeby wysłać WhatsAppa do Miriam i powiadomić ją, że pełen wydarzeń dzień dobiegł końca i jestem już w hotelu. Żadnych rozrywek ani zabawy, bo przecież jest wtorek. Przeczytałem też wiadomość od Chucksa, w której dziękował mi za wspólnie spędzony dzień. „Zacząłem śledztwo na własną rękę – pisał – i zacząłem odkrywać naprawdę mocne rzeczy”.

To mi przypomniało, że powinienem zadzwonić do Bernabe’a, żeby wypytać go o Daniela Someresa, ale naprawdę nie miałem ochoty tego robić o tej porze (ani też o żadnej innej, żeby być szczerym, lecz z drugiej strony obietnica jest obietnicą). Zacząłem pisać wiadomość, ale nie byłem w stanie jej dokończyć i zostawiłem to sobie na następny dzień. Włączyłem telewizor, gdzie nadawano film *Twierdza* z Seanem Connerym, ale nie obejrzałem nawet dziesięciu minut akcji. Runąłem na łóżko i spałem jak zabity przez całą noc.

Następnego dnia przy śniadaniu w hotelu rozmawiałem z mediami, a potem nastąpił wyjazd na Schiphol. Miriam potwierdziła, że tego samego wieczoru o szóstej oczekują nas na wernisażu Starka w Aix-en-Provence. Odpowiedziałem, że mój samolot ląduje na lotnisku Marseille-Provence o 16.40, więc spokojnie zdążę; lot miał jednak opóźnienie i wylądowaliśmy dopiero dziesięć po piątej. Wycisnąłem z mojego spidera siódme poty, w domu zmieniłem koszulę i popędziłem na wystawę; Miriam wyjechała wcześniej.

Wernisaż odbywał się w galerii o nazwie Gueuleton w centrum miasta. W komplecie stawił się klub wielbicieli sztuki z Saint-Rémy, na czele z panem Merme’em. Byli państwo Mattieu, byli Grubitzowie oraz, co oczywiste, zjawiała się elegancka Edilia van Ern, która tej nocy wyglądała oszałamiająco w sukni z aksamitu w kolorze burgunda. Prowansalskie wina, pyszne zakąski i mnóstwo konwersacji prowadzonych podniosłym tonem o malarstwie młodziutkiego Starka, który okazał się być typowym okazem artysty „przekłętego, ale nie za bardzo”:

w czarnych ciuchach, z wąsikami i ze spiętymi mięśniami ramion, na których widocznie musiał dźwigać swoje ciężkie obsesje twórcze. Ledwie zdążyłem przekroczyć próg i schwycić kieliszek wina, gdy podeszły do mnie Miriam i Edilia van Ern, prowadząc go między sobą. Przedstawiły nas sobie i wymieniliśmy kilka uprzejmych komunałów. Przeważnie między pisarzami a malarzami nawiązuje się nic porozumienia, ale tej nocy ewidentnie jej brakowało. Stark wydał mi się rozpieszczonym, odrażającym młokosem i gdy tylko mogłem, porzuciłem jego towarzystwo. No cóż, w galerii sztuki jest to proste: zaczynasz oglądać obrazy i już, masz spokój.

Miriam jak zwykle była w swoim żywiole, witając się i rozmawiając z kim popadnie, tak więc mogłem się nacieszyć samotnością i winem, przyglądając się obrazom, choć w rzeczywistości ich nie widziałem. Po zrobieniu kilku okrążeń wokół sali wystawowej wziąłem kolejny kieliszek i wyszedłem na ulicę, pod poręcznym pretekstem wypalenia papierosa. Galeria znajdowała się na głównym placu tego pięknego miasta, w którym urodził się Cézanne, a Emil Zola spędził dzieciństwo. Usiadłem na obramowaniu fontanny, w której basenie odbijały się pierwsze wieczorne gwiazdy, zapaliłem papierosa i w tej samej chwili przypomniałem sobie, że nie porozmawiałem z Bernabe'em. Pomyślałem, że to fantastyczny pretekst, żeby spędzić jeszcze chwilę na świeżym powietrzu.

Bernabe odebrał, ale przeprosił, mówiąc, że jest na prozowanej kolacji. Spytał, czy dostałem książki Amandy i czy mogę do niego zadzwonić za godzinę, ale nie dałem za wygraną i nalegałem, że musimy porozmawiać teraz.

– Weź kieliszek, papierosa i wyjdź na ulicę. Koniecznie muszę z tobą pomówić – powiedziałem.

– Someres? – spytał, gdy wyjaśniłem, o kogo mi chodzi. – Oczywiście, że go znałem. Myślę, że jego sprawy prowadziła Anne-Fleur. Kiedy mówisz, że zginął?

– W sobotę.

– Popatrz no tylko. O niczym nie wiedziałem. Szkoda go, to był przyjemny młody człowiek.

– Słuchaj, Mark, potrzebuję twojej pomocy. Czy mógłbyś zadzwonić do Anne-Fleur i spytać, czym się ostatnio zajmował? Czy prowadził jakieś poszukiwania do nowej książki, o czym miała być, no wiesz, takie sprawy...

– „Takie”? To znaczy jakie? Co ty kombinujesz, Bert?

– Nic takiego, stary. Ale jeden mój kumpel zaczął wyciągać jakieś teorie spiskowe, a ponieważ Someres zajmował się tymi dziwnymi rzeczami... No, w rzeczy samej zależałoby nam, żeby się dowiedzieć czegoś o życiu Someresa. Co ostatnio porabiał i takie tam... Przyda nam się wszystko, czego uda ci się dowiedzieć.

– W porządku, zrobię to. I tak miałem niedługo dzwonić do Anne-Fleur. Wykorzystam okazję i złożę jej kondolencje. Nie sądzę, żeby jako na autorze zarabiała na nim duże pieniądze, ale wiem, że ceniła sobie jego książki i nawet się przyjaźnili. Zadam jej te pytania, Bert.

– Dzięki, stary. Zadzwon do mnie, jak będziesz coś wiedział.

– A tak na margine

– Wracaj na swoją kolację, Mark – rzuciłem i zakończyłem połączenie.

Nie wypaliwszy do końca papierosa, rzuciłem niedopałek na ziemię, rozgniotłem go obcasem i miałem zamiar wrócić do środka. W tej samej chwili zorientowałem się, że po drugiej stronie obramowania ktoś siedzi. Ku mojemu zdziwieniu tym kimś okazała się Edilia van Ern.

Gdyby nie to, że trudno mi było podejrzewać ją o brak wychowania, powiedziałbym, że zakradła się po cichutku i podsłuchiwała moją rozmowę z Markiem.

– O, pan Amandale. A więc to pan tu był... – powiedziała, gdy odwróciłem się w jej stronę. – Piękna noc, nieprawdaż?

– Tak, przepiękna – odpowiedziałem, spłoszony. – Nie zauważyłem pani, przepraszam.

– Wyszłam na chwilę odetchnąć. Sztuka jest jak wino. Żeby móc ją ocenić, przed skosztowaniem kolejnej porcji należy odświeżyć zmysły. Ma pan papierosa? Rzadko palę, ale teraz się skuszę.

Poczęstowałem ją, a nawet użyczyłem jej ognia. Wypuściła strugę dymu przez nos. Żadnych podziękowań.

– Nie dotrzyma mi pan towarzystwa?

– Właśnie jednego wypaliłem – odparłem. – Napiję się, podczas gdy pani będzie się rozkoszowała dymkiem.

– To miłe z pana strony. Podoba się panu wystawa? Czy któreś dzieło zrobiło na panu wrażenie?

– Saksofonista – odpowiedziałem, mając na myśli wielkie płótno dwumetrowej wysokości, które, jak przypuszczałem, miało być *clou* ekspozycji. – No i jeszcze parę drobiazgów. Ta kolekcja małych portrecików z Meksyku, na przykład.

– Mnie też podoba się saksofonista, ale cena jest przesadnie wysoka, nie uważa pan? Nawet jeśli ktoś jest tak fenomenalnym artystą jak Stark. Jest to jednak jeszcze bardzo młody fenomen.

– Przypuszczam, że to wyjściowa cena – powiedziałem – taka dla naiwnych. Za miesiąc, o ile nie znajdzie się żaden milioner zakochany w muzyce, który go zakupi, zostanie znacznie obniżona.

Muszę przyznać, że podczas tej rozmowy mój wzrok zaczął błądzić i od naszyjnika z pereł, którym pani van Ern tego wieczoru przyozdobiła swoją piękną szyję, przeszedł nieco niżej, aż do miejsca, gdzie zmysłowy dekolt pozwalał ujrzeć zaczątek kształtnych piersi. Zauważyła to i uśmiechnęła się bez najmniejszego skrępowania, jakby była przyzwyczajona do wywoływania tego typu reakcji u mężczyzn.

– Ach, oczywiście, panie Amandale. Pan i muzyka! We wszystkich pana powieściach pojawia się jakiś muzyk. Pan też nim kiedyś był, prawda? Miriam nam o tym wspomniała.

– Tak. To znaczy, jedynie w młodości. Grałem w kilku zespołach, miałem długie włosy. Powiedzmy, że był taki okres w moim życiu, który mógłbym określić zbiorczym hasłem: „brak rozwagi”.

Jej kocie, szafirowe oczy nie przestawały się we mnie wpatrywać, co sprawiło, że jednocześnie poczułem się zdenerwowany i podniecony. Wracaj do środka, Bert, mówiłem sobie.

– A więc były rockman. To seksowne. Chciałabym kiedyś ujrzeć pana grającego – szepnęła.

– Nic z tego. Już nie czuję się na siłach. Za to moja córka Britney jest bardzo utalentowana.

– Britney, oczywiście! I piękna jak laleczka. Jaka to wspaniała dziewczyna! Elron cały czas o niej mówi i wcale mnie to nie dziwi. Ma pana oczy, wie pan o tym? Melancholijne, jakby gdzieś w głębi nich czaił się smutek.

– Irlandzkie oczy – odpowiedziałem. Było już oczywiste, że bezceremonialnie wpatrujemy się w siebie i flirtujemy bez ogródek. – Mój dziadek pochodził z Cork. A skąd się wzięły pani oczy? Holandia?

– Dania – odpowiedziała.

– Są piękne.

Zaśmiała się, jakby była pewna, że wpadnę w pułapkę i powiem jej komplement.

– Jest pan uwodzicielem, mister Amandale. Jak wszyscy pisarze. Czy odpowiada pan jeszcze jakimś stereotypom?

– Stereotypom? Jakiemu na przykład?

Palcem wskazującym postukała w niemal pusty kieliszek, który trzymałem w ręku. W wieczornym powietrzu dźwięk uderzeń w szkło twardym paznokciem rozległ się jak dzwoneczek. Spojrzałem na nią z uśmiechem, całkiem pewny siebie. Cóż mogła wiedzieć pani van Ern o mrocznych stronach mojego życia? O latach zmarnowanych na upijaniu się piwem i whiskey? O nocach, które mogłem znieść tylko dzięki pigułkom?

– Ach, to! Nie, wcale nie piję w nadmiarze. Nie mam takiej potrzeby. Już od dawna przy pisaniu wspomagam się tylko kawą.

– Rozumiem. Szalone lata pozostały w tyle. Obecnie jest pan spokojnym, czterdziestoletnim *pater familias*. Mężczyzną szczęśliwie żonatym i sławnym pisarzem.

Ponownie zbliżyła dłoń do mojego kieliszka, tym razem ujęła czaszę dwoma palcami, jakby ją chciała uszczypnąć, i wydobyła piszczący dźwięk. Jednocześnie potrząsnęła głową, a z jej włosów uniósł się aromat perfum.

Cholera – pomyślałem – to zaczyna być podniecające.

– Mniej więcej spokojny i sławny, tak. I szczęśliwie żonaty, to też – odpowiedziałem.

– Jasne. Ta ostatnia sprawa jest oczywista. Miriam jest wspaniałą kobietą. Obydwoje macie sporo szczęścia, że jesteście razem.

Dokończyła palić papierosa i rozdeptała niedopałek, po czym wstała. Była ze dwa centymetry wyższa ode mnie. Cud natury *made in Copenhagen*. Nie starałem się nawet ukrywać podziwu we wzroku.

– Przypuszczam, że Miriam już panu powiedziała o naszym małym przyjęciu, prawda?

– No cóż... O czym?

– Wydajemy w tę sobotę małe przyjęcie u nas w domu. Mam nadzieję, że przeładowany kalendarz pisarza jednak pozwoli panu w nim uczestniczyć. Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby się lepiej poznać, teraz, kiedy Britney i Elron tak... no wie pan, tak się zaprzyjaźnili.

– I mówi pani, że już mówiła z Miriam? Ona zna mój grafik lepiej ode mnie.

– W takim razie zobaczymy się znowu w sobotę.

Wróciliśmy ramię w ramię do galerii, ale nie rozmawialiśmy po drodze, a nawet usiłowałem na nią nie patrzeć, bo coś mi mówiło, że napotkałbym jej spojrzenie.

W galerii było coraz tłoczniej i zabawa się rozkręcała. W pewnej chwili spotkałem Erica van Erna we własnej osobie. Musiał właśnie przyjechać. Zachował się bardzo uprzejmie i poczęstował mnie kieliszkiem wina. To był chyba trzeci mój kieliszek tego wieczoru. Odniosłem wrażenie, że obrazy też go niespecjalnie obchodzą, natomiast wydawał się bardzo zainteresowany rozmową ze mną o pracy pisarza.

– Wy, pisarze! Macie takie interesujące umysły!

– Tak się panu wydaje?

– Jesteście zdolni do odtworzenia marzeń sennych, a nawet do ich wywołania. Dla psychiatry mózg pisarza to czyste złoto. Coś, co chętnie bym zakonserwował w formalinie.

– Proszę z tym poczekać, aż umrę – zażartowałem.

Eric roześmiał się i, jak dla mnie zbyt poufale, poklepał mnie po ramieniu.

– A co by pan powiedział na to, żeby któregoś dnia odwiedzić mnie w klinice? Powinno to pana zaciekawić jako pisarza. Poza tym będziemy mogli napić się kawy i swobodnie porozmawiać. Od kiedy mój pies o mało pana nie pożarł, czuję, że mam w stosunku do pana

dług.

Wpatrzyłem się w niego. Nagle zaczęło mi się wydawać, że to wszystko nie jest przypadkowe. Być może V.J. wspomniał van Ernowi o moich przypuszczeniach, że Chucks potrafił uciekiniera z kliniki? Ale tak czy owak pomysł mi się spodobał. Pomyślałem nawet, że może mógłbym zabrać ze sobą Chucks'a.

– Nie chciałbym przeszkadzać panu pacjentom – powiedziałem – ale prawdą jest, że taka wizyta byłaby dla mnie niezwykle interesująca. Może natrafiłbym na jakiś ciekawy motyw, który mógłbym wykorzystać w książce?

– A więc zgoda. Poszukam wolnej daty w kalendarzu i zadzwonię do pana. Ale proszę mnie powiadomić z wyprzedzeniem, jeśli zaplanuje pan jakieś morderstwo!

Zaśmiałem się, a mój śmiech zabrzmiał jak pusta puszka tocząca się po kamienistej ścieżce. Eric napotkał jakichś znajomych i po chwili oddalił się z nimi. Ja natomiast pograżyłem się w nudnej jak flaki z olejem rozmowie z panią Grubitz, która nadal przejawiała chęć wykorzystania mnie przy projekcji *Wschodu słońca w Testamento* w Saint-Rémy. Potem odnalazłem Miriam i zacząłem tak rozpaczliwie ziewać, że zgodziła się wrócić wcześniej do domu.

2

Gdy podjechaliśmy pod dom, skutera Britney nie było, więc doszliśmy do wniosku, że pojechała do Toddów albo udała się gdzieś ze swym nowym, wyjątkowym przyjacielem, Elronem van Ernem. Nie byliśmy głodni po uczcie z kawioru, sera brie i pasztecików z krabami, więc poszliśmy na górę, nie zapalając świateł.

Położyłem się na łóżku i patrzyłem, jak Miriam się rozbiera. Tego dnia miała na sobie obłądną, satynową bieliznę, a satyna zawsze mnie oszalała i zaczynam wtedy fantazjować, że jestem poławiaczem pereł. Gdy weszła pod prysznic, natychmiast poszedłem za nią, oczywiście nagi. Zaskoczyłem ją, objąłem silnie od tyłu; w milczeniu poddała się mojemu pożądaniu. Doszedłem błyskawicznie. Ponad tydzień abstynencji robi swoje. Potem zaoferowałem, że zajmę się jej przyjemnością, ale odmówiła. A faktem było, że już od dłuższego czasu nie doprowadziłem jej do dobrego orgazmu.

Zgasiliśmy światło i zostawiliśmy otwarte okna. Lekki wietrzyk kołysał gałęziami drzew rosnących koło domu. Patrzyłem na zasypiającą żonę, moje myśli krążyły jednak wokół Edilii van Ern i naszego dość bezczelnego flirtu przy fontannie. Co ta piękna pani miała na myśli? Czego szukała? Chciała mnie wyczuć? A może to był żart? Albo pułapka? Mniejsza o to, ważne było, że spowodowała małe trzęsienie ziemi w mojej głowie. Czyżbym miał znowu powrócić do starych nawyków?

Często mówiliśmy naszym londyńskim przyjaciołom, że na pomysł wyjazdu do Francji wpadliśmy, oglądając *Dobry rok*, film Ridleya Scotta, w którym agresywny trader giełdowy rzuca swoje burzliwe życie w Londynie i zamienia metropolię na spokojne i romantyczne prowansalskie klimaty. No cóż, to niemal było prawdą. To znaczy, rzeczywiście obejrzelśmy ten film i po wyjściu z kina zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak dobrze byłoby przeprowadzić się na rok do Francji. Pieniądzy nam nie brakowało, Miriam miała ochotę na podróż, a co do Britney, to doszliśmy do wniosku, że dobrze by jej zrobił następny roczny pobyt za granicą (była

już raz na wymianie w Stanach Zjednoczonych, gdy miała trzynaście lat), zanim osiągnie wiek, w którym podejmuje się ważne decyzje życiowe.

Jednak prawdziwym powodem było coś całkiem innego. I miał on dużo wspólnego z tym, co tego wieczoru zdarzyło się przy fontannie w Aix-en-Provence. Z istotą tego wydarzenia.

Przez długi, długi czas Miriam i ja byliśmy idealną parą. Jakkolwiek zdaję sobie sprawę z tego, że mówiąc to, wychodzę na zadowolonego z siebie samochwałę, to tak właśnie było. Ludzie nas uwielbiali, byliśmy najbardziej rozchwytywaną, błyskotliwą i sympatyczną parą w londyńskim towarzystwie. A w zaciszu domowym bawiliśmy się równie dobrze, mieliśmy fantastyczny seks i prowadziliśmy romantyczny tryb życia. Szampan w Paryżu, kawa w Rzymie, światła rampy w Nowym Jorku. Moje książki, jej sztuka, Britney. Mieliśmy wszystko. Nasze życie płynęło jak po jedwabnych falach. Szliśmy pod rękę po złotej drodze.

Nie wiem, kiedy w tej drodze pojawiło się pierwsze pęknięcie. Kiedy zacząłem przyglądać się innym kobietom uważniej, niż powinienem. Kiedy zacząłem bywać nieco zbyt nadskakujący wobec chociażby kelnerek. Pewnej nocy, wychodząc z jakiegoś przyjęcia, trzymałem pod rękę obcą kobietę. Jakby mimochodem. Poznałem ją godzinę wcześniej i przez całą godzinę nie byłem w stanie oderwać wzroku od jej czarnych loków. Miała na imię Louise i to z nią po raz pierwszy zdradziłem żonę po kilkunastu latach małżeństwa. Szybki seks w samochodzie, dość kiepski zresztą, ale wystarczył, żeby odnowić moje potrzeby, mój głód przygód seksualnych, który od tamtej pory zaczął mnie zżerać.

Następnego dnia obudziłem się sam w domu. Miriam była w podróży, w jednej ze swych licznych podróży, a Britney w Cambridge, gdzie odwiedzała mieszkające tam moje kuzynki. Spojrzałem w lustro i powiedziałem sobie: „Ty chuju. Nigdy więcej tego nie rób. I nie mów niczego Miriam”. I tak właśnie było. Tyle że po jakimś miesiącu, po powrocie z kolejnej podróży, to ona oświadczyła, że musi mi coś wyznać. Miał na imię Michael i był jednym z jej pomocników w galerii sztuki. „Wybacz mi, Bert. To była głupota z mojej strony. Przepraszam”.

Poszedłem spać do hotelu i zostałem tam na cały miesiąc. Rozwód wydawał się najlogiczniejszym wyjściem, prawda? Niech więc będzie rozwód. Po co ciągnąć to dalej? Ja przeleciałem Louise, ona przeleciała Michaela, a to wszystko w odstępie dwóch tygodni. Cóż innego mogło to oznaczać, niż że oddaliliśmy się od siebie i obydwójce pożądamy nowych przygód? Obydwójce pragniemy rozejrzeć się po świecie. „Rozstańmy się – zaproponowałem – dajmy sobie trochę czasu”. Zgodziła się.

Ale prawdę powiedziawszy, moje życie przez ten miesiąc było godne pożałowania. Rozmyślenia o świecie bez Miriam lub o świecie, w którym Miriam jest z kimś innym, zżerały mnie od środka. Jak gdyby w moim wnętrzu płonął nigdy niegasnący pożar. Przewracałem się w pościeli, myśląc o niej, wyobrażając, jak sobie dogadza z innym w naszym łóżku. Wreszcie pewnej nocy zadzwoniłem do niej. Była druga nad ranem i ona także nie spała. Powiedziałem, że muszę ją zobaczyć, i spytałem rwącym się głosem, czy jest sama. „Tak, i ja też pragnę cię zobaczyć” – powiedziała. Pojechałem taksówką do naszego domu w Kensington i znalazłem ją siedzącą na progu, palącą papierosa pod nocnym niebem. Britney nie było w domu, tak więc najpierw zrobiliśmy to w przedpokoju, oparci o drzwi, potem na stole w kuchni. I na koniec na piętrze, w korytarzyku prowadzącym do sypialni. Tej nocy postanowiliśmy do siebie wrócić. Ogień w moim wnętrzu wygasł. Byłem szczęśliwy. Przynajmniej przez jakiś czas.

Ale nie było już jak dawniej. Nigdy nie jest. Zaufanie jest kruche jak szkło. I jak stłuczone szkło, nawet gdy się je poskleja, nie jest i nie będzie już nieskazitelne. Zaczęliśmy wariować z zazdrości. Ona nadal pracowała z Michaeliem, więc musiałem się pilnować, żeby nigdy nie

postawić nogi w galerii. Bałem się, że gdy go zobaczę, utracę nad sobą kontrolę i obiję mu mordę. W tym właśnie czasie skończyłem pisać *Wschód słońca w Testamento* i musiałem rozpocząć promocyjne tournée po Europie i Stanach Zjednoczonych. To był cholernie zły moment na usiłowanie posklejania wszystkiego, więc nic dziwnego, że nam się nie udało. Pewnego dnia zadzwoniłem do domu z Madrytu i odebrał jakiś facet. Michael. Natychmiast zaczęło mnie znowu palić w żołądku. Miriam stwierdziła, że musieli pracować nad jakimś projektem po godzinach i że odebrał telefon przez pomyłkę. Powiedziałem, że jej nie wierzę, a ona wyzwała mnie od obsesyjnych zazdrośników. Przerwaliśmy połączenie. Siedziałem właśnie w restauracyjnym ogródku w madryckiej dzielnicy Malasaña, w towarzystwie kilku osób. Jedną z nich była śliczna Hiszpanka, organizatorka tego spotkania. Od samego jego początku rzucała mi przelotne spojrzenia spod rzęs.

Obudziłem się w hotelu z dziewczyną u boku. Moja komórka dzwoniła jak opętana. To była Miriam. Płakała. Powiedziała, że dzwoni do mnie ze szpitala.

Britney. Chodziło o Britney.

3

Coś mnie obudziło kilka godzin później, w środku nocy. Okna nadal były otwarte, zasłony powiewały na wietrze. Usłyszałem coś jakby rozmowę, gdzieś niedaleko, pod naszymi oknami. Potem odgłos jadącego wolno samochodu.

Co to mogło być?

Główne drzwi wejściowe i murek otaczający posiadłość łączyła około piętnastometrowa dróżka prowadząca przez frontowy ogród. Dźwięk brzmiał tak, jakby ktoś podjeżdżał autem pod same drzwi.

Britney?

To było najsensowniejsze wytłumaczenie, prawda? Pomyślałem, że Elron, który skończył już osiemnaście lat, z pewnością posiada samochód. Spojrzałem na radiobudzik stojący na nocnym stoliku: widniała na nim godzina 00.01. Następnie mój rozespany umysł podjął się trudu wymyślenia ciągu logicznego, z którego miało wynikać, skąd Britney i Elron wracają samochodem o tej godzinie... A jak myślisz – mówiłem w duchu – skąd może wracać para nastolatków o tak późnej porze? No cóż, szesnaście lat to dobry wiek na to... ale powinienem zadbać o jej edukację seksualną, żeby nie zapomniała o pewnych szczegółach. Najlepiej będzie, jak sam kupię trochę prezerwatyw. Dave, mój londyński przyjaciel, opowiedział mi, że on kupował kondomy swoim córkom, od kiedy skończyły czternaście lat. Zostawiał je w szufladzie, dbał o uzupełnianie zapasu i mogły je brać, nic nikomu nie mówiąc. „Tak czy owak, będą to robić, stary. Więc lepiej, żeby już z domu wychodziły dobrze zabezpieczone”.

Moje myśli błądziły wokół tego tematu, gdy nagle usłyszałem coś, co sprawiło, że wybudziłem się raptownie, szeroko otworzyłem oczy, a moje serce zaczęło bić jak w rytm dyskotekowej piosenki *Saturday Night Fever*.

Bip, bip.

Tak. Klasyczne elektroniczne piśnięcie walkie-talkie. Naprawdę blisko, może nawet tuż pod naszymi oknami.

Błyskawicznie i zręcznie jak jaszczurka wyplątałem się z pościeli i usiadłem na łóżku,

nadsłuchując. Nadal słyhać było dźwięk silnika samochodu. W tej samej chwili ktoś coś powiedział po francusku; jego głos zabrzmiał zniekształcony, jakby wydobywał się z beczki. Wszystko to natychmiast nasunęło mi myśl o Chucksie i jego niewiarygodnej opowieści o rozmowach wyłapanych przez wzmacniacz Gibson SG. Zamiast dalej się nad tym zastanawiać, wyskoczyłem z łóżka i podszedłem do okna. Nie musiałem nawet odsuwać zasłon, bo niebieskie światło policyjnych kogutów oświetlało całą okolicę.

Zamarłem. Odebrało mi dech.

Obok domu stał policyjny radiowóz. W tej samej chwili rozdzwonił się dzwonek do drzwi.

– Miriam! – krzyknąłem, pospiesznie wkładając spodnie i koszulę.

Miriam zamamrotała coś i zaszamotała się pod kołdrą.

– Wstawaj! – krzyknąłem. – Policja! Coś się stało!

Podsoczyła na łóżku, coś krzyknęła, ale ja byłem już za drzwiami.

Wszyscy znamy to uczucie, gdy w nasze spokojne życie nagle wtargnie przerażenie. Nie różnimy się wtedy od dzikiego zwierzęcia, które u wodopoju dostrzega drapieżnika. Cały organizm nastawia się na jedno: ucieczkę, i wszystko przestaje być ważne, oprócz jednego: biec jak najszybciej przed siebie. To właśnie musiało spowodować, że spadłem ze schodów. Zbiegałem z nich tak szybko i w takim otępieniu, że potknąłem się na przedostatnim stopniu i upadłem jak długi na podłogę w przedsionku. Miriam krzyknęła, widząc mnie na ziemi. Dzwonek znów zabrzączał.

– Nic mi nie jest! – krzyknąłem. – Otwórz! Otwórz drzwi! – Pozbierałem się jakoś i zobaczyłem, że na progu stoi dwóch żandarmów. Ze spuszczoneymi głowami, twarzami bez wyrazu i z zaciśniętymi wargami. Moją pierwszą, automatyczną myślą było, że Britney nie żyje. Tak, właśnie to pomyślałem. Że ten idiota Elron rozwalił samochód albo że stało się coś jeszcze gorszego. Coś o wiele gorszego, i teraz nam powiedzą, żebyśmy pojechali z nimi do szpitala, żeby zidentyfikować jej zwłoki, zmiażdżone nie do rozpoznania albo na wpół spalone. Zapragnąłem znów rzucić się na podłogę i przebić ciałem posadzkę, żeby ziemia mogła mnie pochłonać.

Jeden z policjantów przemówił po francusku:

– Jesteście państwo rodzicami Britney Amandale?

– Tak – odpowiedziała Miriam, tłumiąc łkanie.

– Z nią wszystko w porządku – szybko powiedział policjant. – Dobrze się czuje, nie przejmujcie się państwo.

– Gdzie ona jest?! – krzyknęła Miriam. – Co jej się stało?

– Nic. Czuje się dobrze – powtórzył policjant. – Jej nic się nie stało.

Nie byliśmy w stanie nic z tego zrozumieć. Jeśli z Britney wszystko w porządku, to dlaczego jej tu nie ma? Gdzie jest? I co robią tu ci dwaj policjanci?

– Czy coś zrobiła? – spytała Miriam. – Czy popełniła jakąś zbrodnię?

To zdanie, które wypowiedziała po francusku, zabrzmiało absurdalnie (a i tak jej francuski jest o wiele lepszy od mojego). Ale nikt się nie roześmiał.

– Nie. Nie. Nic takiego. Ale musicie państwo pojechać z nami. Ubierzcie się.

– Już jestem ubrany – powiedziałem. – Jedźmy.

Wtedy policjant popatrzył znacząco na moje stopy i odchrząknął.

No tak, byłem boso.

Miriam poszła na górę po buty i kurtki. Policjanci wymienili między sobą kilka zdań. Mnie przyszło do głowy jedynie, żeby z szuflady komody wyciągnąć wizytownik, gdzie miałem

numer telefonu do Fisher&Noon, mojego londyńskiego biura prawnego.

W milczeniu usiedliśmy na tylnym siedzeniu radiowozu, tam gdzie przewozi się zatrzymanych. Nasza córka czuła się dobrze i to było najważniejsze, ale przeżyty strach uniemożliwiał nam rozmowę, nie byliśmy też w stanie zwrócić się o wyjaśnienia do policjantów. Coś się musiało wydarzyć, bo jeśli wszystko byłoby w porządku, to Britney sama wróciłaby do domu, żeby nam o tym powiedzieć. Baliśmy się dowiedzieć prawdy, przynajmniej ja się bałam. Uchwyciłem dłoń Miriam, gdy samochód ruszał. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Wtedy w Londynie, gdy spędziłem miesiąc w hotelu, Britney zaczęła się zadawać ze złym towarzystwem. Tak paskudnym, że jeden z jej kumpli, zresztą uczeń tej samej szkoły, nosił pseudonim Szczur. Wyobraźcie to sobie. No cóż, przypuszczam, że musiała się czuć usprawiedliwiona. My dwoje spieprzyliśmy nasze życie rodzinne, więc dlaczego ona nie miałaby też dorzucić swojej porcji pieprzu? Potem, gdy wróciłem do domu i pogodziłem się z Miriam, mieliśmy nadzieję, że i Britney dojdzie do siebie, a jej życie wróci na dawne tory. Ale tak się nie stało. Z jakiegoś powodu zaczęła się staczać.

Którejś nocy wybrała się zabawić ze swoją paczką i ktoś, w obskurnym pokoju w akademiku w Brixton, namówił ją, żeby wypaliła heroinę. Z pewnością musiała być już pijana, natomiast – czego dowiedzieliśmy się z wypisu ze szpitala – nie odbyła stosunku płciowego. To znaczy, że – Bóg łaskaw – nikt jej nie zgwałcił, gdy podróżowała po odmiennych stanach świadomości. Jedna z jej nowych znajomych znalazła ją nieprzytomną, leżącą na tym wyrku, i zadzwoniła po pogotowie. Ale nie wiedziała o niej prawie nic, więc ci z pogotowia musieli przeprowadzić dochodzenie, żeby ustalić jej tożsamość. Skontaktowali się z Miriam, Miriam ściągnęła mnie do Londynu, a potem pracownik opieki społecznej ze szpitala Króla Edwarda VII wezwał nas, żeby nam uświadomić powagę sytuacji. Oraz wypytać nas o pewne sprawy. Czy w domu wszystko w porządku? Czy mamy jakieś problemy? „Spokojnie, proszę pana. Nazywam się Albert Amandale, tak, ten pisarz. A ta piękność jest moją żoną. Mieszkamy w Kensington, mamy wielką lodówkę z kostką do lodu, dwa samochody i cztery karty kredytowe. Co pan sobie wyobraża? Że z kim pan rozmawia?”. Wtedy wyjaśnił, że Britney powiedziała, że nie chce nas widzieć. Ani mnie, ani Miriam. Upiera się, że nie chce mieć z nami nic wspólnego.

Bolała mnie kostka u nogi, czułem pulsowanie bólu. Ten upadek ze schodów nie był aż tak niewinny, jak mi się z początku wydawało. Radiowóz opuścił Saint-Rémy i wyjechał na R-81 w kierunku na Sainte Claire. Przejechaliśmy obok Czerwonego Buka, gdzie grupa motocyklistów zabawiała się, podkręcając gaz w swoich chopperach i popijając piwo z puszek. Żandarmi albo tego nie zauważyli, albo postanowili nie dostrzegać. Potem wjechaliśmy na wzgórze. Przejechaliśmy ten zakręt, gdzie miał miejsce „wypadek”, i dotarliśmy do Sainte Claire. Sądziłem, że jedziemy na komisariat, ale samochód skręcił w boczną uliczkę i już byliśmy na mostku, przez który wyjeżdżało się na zachód wąską dróżką, która wiodła do...

– Panie policjancie! – krzyknąłem.

...domu Chucksa.

– Gdzie wy nas wieziecie?!

Przed domem stało kilka wozów patrolowych policji. I karetka pogotowia, która musiała dopiero co nadjechać, bo jej światło jeszcze pulsowało. Jacyś ludzie, z pewnością sąsiedzi z miasteczka, niektórzy w szlafrokach, zgrupowali się posłusznie w odległości kilkunastu metrów od drzwi wejściowych. Wydawało mi się, że jest też kilku fotografów. A skuter Britney stał oparty o mur. Popatrzyliśmy na siebie z Miriam, oszołomieni. Co tu się stało?

Radiowóz zatrzymał się przed wejściem; ktoś z zewnątrz otworzył drzwi. To był ten oficer

o kwadratowej szczęce, który kilka dni temu rozmawiał z nami, ze mną i z Chucksem, w komisariacie w Sainte Claire. Jean-Luc Riffle. Bez słowa, gestem, nakazał nam iść za sobą. Gdy znaleźliśmy się za murem ogrodu, w pewnej odległości od gapiów, spojrzął w ziemię i powiedział służbowym tonem:

– Państwo Amandale, córka państwa, Britney, czuje się dobrze. Jest w środku, odpowiada na pytania.

– Ale dlaczego tutaj? – spytałem.

Oficer żandarmerii odetchnął, przełknął ślinę i potwierdził to, czego już od pewnego czasu się obawiałem:

– Przykro mi, że muszę państwa o tym powiadomić. Pana przyjaciel, Ebeth James Basil, nie żyje. Zmarł tej nocy.

◆ sie – powiedział, chichocząc. – Jak ci idzie lektura książek Amandy?

Rozdział szósty

1

Zachwiałem się jak od ciosu w potylicę i poczułem tępy ból głowy, jakby w tylnej części mojej czaszki nastąpił niesłyszalny wybuch. Aż mnie zamroczyło. Potem zakręciło mi się w głowie, jakbym patrzył w przepaść bez dna. Miriam schwyciła mnie za rękę. Zaczęła płakać. Ja nie byłem w stanie uronić ani jednej łzy, poprosiłem tylko o papierosa. Nie wziąłem ich z domu, a towarzyszący nam policjant okazał się niepalący. Ktoś jednak mi jakiegoś podał i zaciągnąłem się, zanim porucznik Riffle wprowadził nas do domu.

Britney siedziała na kanapie w „salonie do oglądania” w towarzystwie dwóch policjantów. Wchodząc do pokoju, ujrzałem, że kryje twarz w dłoniach i jest przykryta kocem. Odniosłem wrażenie, że pod nim jest na wpół naga. Pierwsze, co zobaczyłem, to jej gołe nogi i bose stopy. Miriam krzyknęła na jej widok i rzuciła się do niej w irracjonalnym i instynktownym odruchu. Krzyczała: „Co ci się stało?”, „Czy coś ci zrobili?”, a Britney kręciła głową, zaprzeczając bez słów. Potem padły sobie w ramiona i obydwie wybuchnęły płaczem.

A ja stałem jak słup, paląc papierosa i przyglądając się swojej córce, niemal nagiej pod kocem. Nie wiem, o czym myślałem, może: „Co ona tutaj robi?”, albo: „Czyżby zabiła Chucksę?”. Zresztą miałem wrażenie, że Chucks lada moment wejdzie do pokoju. Sięgnąłem na półkę po popielniczkę – leżały w niej niedopałki wypalonych przez niego papierosów.

– Co tu się wydarzyło? – spytałem policjanta. – Dlaczego moja córka jest naga?

– To ona go znalazła, w basenie, jakieś półtorej godziny temu. Wskoczyła do basenu.

– Do basenu? Ona? To... to nie ma sensu.

Riffle położył mi rękę na ramieniu.

– To właśnie zeznała, proszę pana. Że przyjechała tu na skuterze. Przypuszczalnie miała klucz od drzwi wejściowych. Weszła i zaczęła szukać właściciela, a potem usłyszała, że pies skomli w ogrodzie. Wyszła do ogrodu i znalazła pana Basila w basenie.

– Moja córka? Miała klucz? Chcę zobaczyć Chucksę. Chcę zobaczyć jego ciało na własne oczy.

– Nie sądzę, aby to było właściwe, proszę pana...

– One zostaną tutaj, zgoda? Ale on był moim przyjacielem. Chcę go zobaczyć.

Riffle odchrząknął, jakby nie był zbyt zadowolony z mojej prośby. Potem nakazał mi iść za sobą. Miriam i Britney siedziały przytulone do siebie. Nic im nie powiedziałem, po prostu wyszedłem.

Z tarasu na tyłach domu mogłem dostrzec, że niżej, w ogrodzie, rozstawiono potężne reflektory. Kręciła się tam grupka policjantów z grupy dochodzeniowej w białych kombinezonach. A obok basenu leżał worek o podłużnym kształcie. Ratownicy z karetki pogotowia, ubrani w kamizelki, które fosforyzowały w świetle reflektorów, postawili obok nosze.

Zeszliśmy po kamiennych schodach i żandarm powiedział coś po francusku załodze karetki. Ratownicy się rozstąpili. Wszyscy obecni powitali milczeniem pełnym szacunku moje pojawienie się na scenie. Riffle uklęknął przy worku i polecił mi gestem, żebym zrobił to samo. Ktoś – chyba jeden z ratowników – stał za moimi plecami, przypuszczam, że na wypadek gdybym zemdleł albo coś. Wtedy Riffle sprawnie rozsunął zamek błyskawiczny i ujrzałem twarz Chucksa. Był blady i wyglądał, jakby spał. Włosy miał mokre, przyklepione do czoła, i spał. Tylko tyle. Jego ciało odpoczywało w spokoju.

– To on – powiedziałem, jakby wymagano ode mnie potwierdzenia tego faktu. – To Chucks Basil.

– Wydaje się, że to była nagła śmierć – powiedział policjant. – Przypuszczalnie wszedł do wody i doznał zawału. Albo coś w tym stylu. Czy chorował na serce?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparłem – ale miał astmę. Może to przez nią. Boże mój...

W tej chwili rozmowę przerwało nam okropne wycie dochodzące z dołu. Kilkanaście metrów od nas dostrzegłem Lolę, przywiązaną do jednego z kamiennych słupów, na których opierał się taras.

– Musieliśmy ją przywiązać. Nikomu nie pozwalała się zbliżyć do ciała. Niemal pogryzła jednego z funkcjonariuszy.

Podniosłem się i podszedłem do niej. Schyliłem się, a Lola wsadziła mi pysk pod pachę, co – jak przypuszczam – jest u psów formą wyrażenia skrajnej rozpacz z powodu utraty przyjaciela.

– Lola – mówiłem do niej. – Lola. Co się stało, Lola? – I patrzyłem na nią, jak gdyby mogła przemówić i wyjaśnić mi, co się wydarzyło.

Usiadłem koło niej na kamiennej posadzce i stamtąd oglądaliśmy, jak ratownicy kładą Chucksa na nosze. I wtedy, dopiero wtedy, zdałem sobie sprawę, że mój stary przyjaciel Chucks odszedł na zawsze. Ten dziwny chłopak, który mieszkał w tej samej dzielnicy Dublina co ja, syn miejscowego pijaczka, zawsze proszącego wszystkich o pieniądze. To z nim, nie wiedzieć czemu, się zaprzyjaźniłem. Razem zaczęliśmy grać w zespole, gdy miałem dwanaście lat. To jemu zwierzałem się z moich pierwszych miłości, z nim się śmiałem i z nim opłakiwałem moje pierwsze sercowe porażki. Gdy miałem szesnaście lat, obydwaj spakowaliśmy plecaki i wspólnie wynieśliśmy się do Londynu. To z nim mieszkalem w obskurnej norze i pracowałem w 7-Eleven do chwili, gdy życie zaczęło się do nas uśmiechać. Był bratem, którego nigdy nie miałem, a teraz odszedł tam, gdzie odchodzą wielkie gwiazdy rocka. Nigdy więcej go nie zobaczę. Jak bardzo bym się temu nie dziwił i jak bardzo głęboko bym nie cierpiał. Nigdy już nie będę mógł z nim porozmawiać. Przypomniałem sobie ostatnie słowa, jakie usłyszałem z jego ust: „Wracaj do swojej rodziny. Ja zostanę ze swoimi widmami”, i poczułem się potwornie winny. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że nie wymogłem wtedy na nim, żeby pojechał na noc do naszego domu. Poczułem się jak ostatni gnojek. Ważniejszy od jego samotności był dla mnie spokój w domu, a przecież wyznał mi tamtego wieczoru, jak bardzo czuje się samotny.

I wtedy, dopiero wtedy, siedząc na ziemi w tym ciemnym kącie i obejmując Lolę, zacząłem płakać w nieutulonym żalu.

Po jakiejś godzinie pojawiła się sędzia śledcza, pani Anette Bovair, wyglądająca tak młodo, że

nie dawałem jej nawet trzydziestki. W jej obecności przystąpiono do zabrania zwłok i do podpisania zeznania przez Britney,

Miriam i ja wysłuchaliśmy w milczeniu, jak Britney powtarza swoją opowieść: przyjechała tu około wpół do jedenastej w nocy. Przedtem spędziła kilka godzin wraz z braćmi Todd (później potwierdzili jej zeznanie). Mieli próbę zespołu w garażu przy ich domu, po drugiej stronie Sainte Claire. Wracając do Saint-Rémy, postanowiła po drodze zajechać do Mas des Citronniers i odwiedzić Chucksą.

Zaparkowała na drodze dojazdowej i weszła do domu, ponieważ miała klucz.

– On sam mi go dał przed kilkoma miesiącami – wyjaśniła w odpowiedzi na pytanie sędzi. Miriam i ja słuchaliśmy wszystkiego uważnie, ale nie zadaliśmy ani jednego pytania. Zachowaliśmy je do czasu powrotu do domu.

Zadzwoiła do drzwi wejściowych, a ponieważ Chucks nie otwierał, otworzyła swoim kluczem i weszła do domu. Wtedy usłyszała, że Lola skomli gdzieś w ogrodzie na tyłach. Wyszła przez tylne drzwi, myśląc, że może Chucks siedzi gdzieś na tarasie i popija wino. Wtedy zorientowała się, że Lola jest przy basenie. Podeszła i ujrzała ciało unoszące się na wodzie.

– Przez ułamek sekundy pomyślałam, że nurkuje, że zaraz się wynurzy, ale niemal natychmiast pojąłem, że nie żyje – wyjaśniła.

Rzuciła się do basenu w odruchu niesienia pomocy, ale nie udało jej się go wyciągnąć, zdołała jedynie oprzeć jego ramiona i głowę o drabinę. Potem, przerażona i zdesperowana, usiłowała się dodzwonić do nas do domu, ale jej telefon uległ awarii w wodzie. Szukała, bezskutecznie, aparatu telefonicznego w domu Chucks (miał jedynie komórkę i znaleziono ją później w jego piwnicy). Udała się więc poza posiadłość w poszukiwaniu pomocy. Zastukała do pierwszego domu, jaki napotkała (był to dom państwa Dodeur, którym później podziękowaliśmy za pomoc, i to oni zadzwonili na numer alarmowy).

Po krótkiej naradzie w bibliotece sędzie Bovair poinformowała nas, że ekipa techniczna nie znalazła żadnych ewidentnych dowodów zbrodni. Pierwsze konkluzje ze śledztwa wydawały się wskazywać na przypadkową śmierć, choć miano przeprowadzić dokładne badania i sekcję zwłok. Pozwolono nam odjechać do domu, ale powiadomiono nas, że nie powinniśmy opuszczać kraju do czasu wyjaśnienia przebiegu wydarzeń i wydania ostatecznego orzeczenia. Potem sędzia nakazała zabezpieczenie domu i jego opuszczenie przez obecnych.

Gdy wychodziliśmy, ujrzelśmy sanitariuszy pchających nosze z ciałem Chucks. Zamiast przejechać przez dom, okrążyli go naokoło, być może po to, żebyśmy ich nie zobaczyli. To się jednak nie udało. Był to straszny widok i cała nasza trójka zatrzymała się jak wryta w ziemię. Staliśmy w milczeniu, a ja musiałem się wesprzeć na Miriam, bo niemal osunąłem się na ziemię.

Żandarmi szykowali się do odwiezienia Loli do miejscowego schroniska dla zwierząt, ale uparłem się, że ją zabierzemy. To była jedyna rzecz, jaką w tej chwili mogliśmy uczynić dla Chucks. Wsiadłem z biednym zwierzakiem do jednego z radiowozów, do drugiego wsiadły Britney i Miriam. Karetka jechała na czele kolumny; w ten sposób opuściliśmy miejsce zdarzenia na oczach sąsiadów, gromadki ciekawskich cierpiących na bezsenność i, przypuszczalnie, przedstawicieli miejscowej prasy.

Wróciliśmy do domu po trzeciej nad ranem, całkiem rozbici. Żadne z nas nawet nie próbowało położyć się do łóżka. Miriam zaparzyła sobie herbaty, ja wyciągnąłem z barku butelkę whiskey Tullamore Dew, a Britney ograniczyła się do popicia wodą pastylki z walerianą, którą podała jej Miriam. Wyszliśmy i usiedliśmy przy stoliku w ogrodzie, bo chciałem zapalić. Lola skuliła się pod stołem u naszych nóg, a my poprosiliśmy naszą niepełnoletnią córkę, żeby

nam wyjaśniła to, czego brakowało, żebyśmy mogli zrozumieć kontekst wydarzeń.

– Wyjaśnij, córeczko: po co pojechałaś w nocy do domu Chuckska?

3

Britney wyznała nam, że widywała się z Chucksem w tajemnicy przed nami już od miesiąca. No cóż, domyślaliśmy się czegoś w tym stylu. Wpadli na siebie przypadkiem w marcu. Pewnego dnia Britney i bracia Todd pojechali Pod Czerwonego Buka, żeby posłuchać jakiegoś zespołu, który tam występował. Tego dnia Chucks też tam był, siedział przy drinku i natychmiast ją rozpoznał. Chucks od zawsze funkcjonował w naszym domu jako postać wykleta. Nie bywał u nas, a Miriam wieszala na nim psy przy każdej okazji. Od kiedy przeprowadziliśmy się do Francji, Britney nie widziała go ani razu, choć oczywiście wiedziała, że też mieszka w okolicy. Miriam upierała się, że były narkoman nie jest właściwym towarzystwem dla Britney w okresie, gdy usiłowaliśmy prowadzić zdrowy tryb życia. Przypuszczam, że właśnie to zainteresowało naszą córkę, która poczuła mroczne przyciąganie tego, co niedozwolone.

Po koncercie, gdy Toddowie się zmyli, Chucks zaprosił ją na kolację i spędzili kilka godzin na rozmowie. To był ten okres, gdy Britney wprost nie mogła znieść Francji i znalazła w Chucksie wdzięcznego słuchacza, któremu wylewała swoje żale, na co nie mogła liczyć w domu, gdzie i Miriam, i ja na wszystko odpowiadaliśmy: „Poczekaj, to minie”. Przypadli sobie do gustu, wymienili się numerami komórek i umówili na kolejne spotkanie. No i, oczywiście, połączyła ich muzyka. Cóż lepszego mogłoby spotkać grupkę muzykujących nastolatków niż życziwe porady żyjącej legendy rocka? Chucks zaoferował, że odwiedzi ich w garażu Toddów i posłucha, jak grają.

– Mówił, że nie wydaje mu się właściwe, żeby robić to za waszymi plecami, ale ja kazałam mu przyrzec, że nic wam nie powie. Przysięgam, że tak właśnie było. To ja kazałam mu obiecać, że utrzyma wszystko w tajemnicy.

Potem nastąpił ten dzień, gdy bracia Todd zostali zaskoczeni odwiedzinami samego słynnego Chuckska Basila, który podpisał się im na czterech longplayach ze swoimi nagraniami. Potem Chucks i Britney nadal podtrzymywali sekretną przyjaźń. Britney mówiła nam, że wybiera się na próbę albo że chce się przejechać na skuterze, a w tajemnicy jechała do Sainte Claire, do domu Chuckska. Tam, w studiu, nagrał parę jej demo.

– Nic takiego nie robiliśmy. Nic niewłaściwego. Nie pozwalał mi nawet wypić kieliszka wina ani palić. Traktował mnie jak dziecko. Jak córkę. Jakbym była jego kochaną córeczką. Pewnego dnia nawet ugotował mi coś do jedzenia. Potem zaczął mnie nagrywać. Powiedział, że mam dobry głos, ale muszę się jeszcze sporo nauczyć. I nauczył mnie mnóstwa rzeczy.

Britney nie kłamała, byłem tego pewien. W gruncie rzeczy nawet nie byłem zbyt zaskoczony jej opowieścią. Ale tak czy owak pocieszyło mnie to, że w ich relacji nie było niczego zdrożnego. Przez chwilę, wtedy gdy ujrzałem ją niemal nagą na kanapie Chuckska, pomyślałem, że go zabiję, jeśli coś jej zrobił. Ale nie, przecież on taki nie był. To był Chucks, mój stary, dobry przyjaciel. Zgoda, Chucks Basil nie był bynajmniej wzorem przykładowego zachowania, ale pod zewnętrzną, chropawą powłoką biło szczere serce.

Niemal dniało, gdy Britney zakończyła swoją opowieść. W ogrodzie słychać było tylko cykadę. Miriam, która rzuciła palenie w 2003 roku, sięgnęła po papierosa. Ja dopijałem już

trzecią szklaneczkę whiskey.

– Wiedziałeś coś o tym, Bert? Przysięgnij! – Miriam wbiła we mnie wzrok.

– Nic a nic. Przysięgam. Wierz mi, że chciałbym, żeby Chucks tu był, abym mógł go za to wszystko wytargać za uszy. Byłbym przeszczęśliwy.

Miriam wypuściła nosem strużkę dymu.

– Britney, idź do łóżka. Koniec rozmów na dzisiaj.

– Nie chcę spać – zaprotestowała Britney. – Nie będę mogła usnąć.

– Idź się położyć – powtórzyła Miriam.

– Zostaw ją w spokoju, do cholery – rzuciłem brutalnie. – Ja też nie będę mógł spać.

Miriam w milczeniu podniosła się i poszła do domu. Zacząłem ją przeproszać, ale – nadal bez słowa – weszła na górę. Wszyscy mieliśmy nerwy w strzępach.

Britney zaczęła płakać. Napełniłem jeszcze raz szklanekę whiskey i też się popłakałem. Siedzieliśmy tak i płakaliśmy, każde na swój sposób, a Lola u naszych stóp wydała z siebie głębokie westchnienie.

czemu towarzyszył adwokat z urzędu, który także przyjechał z Marsylii.

Rozdział siódmy

1

Przez następne dwa tygodnie po śmierci Chucksa wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Miałem wrażenie, że – narażając na szwank nasze władze umysłowe – wsiedliśmy na karuzelę kręcącą się z szybkością stu kilometrów na godzinę. Musieliśmy się mocno trzymać, żeby nie stracić głowy. I moja „magiczna skrzynka” ponownie stała się najistotniejszym elementem mego życia. Znow osiągnąłem stan, w którym nie udawało mi się zasnąć, jeśli nie sięgnąłem uprzednio po alkohol lub środki nasenne.

Co tu kryć, znowu byłem w ciągu.

Najpierw wystawiono protokół z autopsji i wskazano w nim na „nieszczęśliwy wypadek” jako przyczynę zgonu. Chucks, zanim zanurzył się w wodzie basenu, pił whiskey i zażył kilka pastylek valium. Na jego dłoniach znaleziono resztki tej substancji chemicznej, a ponadto odciski palców na fiolce specyfiku, zakupionego zresztą przez niego kilka tygodni wcześniej w aptece w Sainte Claire. Śmierć nastąpiła około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Nie stwierdzono żadnych oznak użycia siły, natomiast – wzięwszy pod uwagę zaszłości psychiatryczne i nie tak dawny epizod na posterunku żandarmerii w Sainte Claire – wzięto pod uwagę możliwość samobójstwa.

Zostałem przesłuchany pod tym kątem przez jednego z funkcjonariuszy z Sainte Claire następnego dnia po śmierci Chucksa. Pamiętano tam doskonale jego zgłoszenie się i samooskarżenie (było to naprawdę niecodziennym wydarzeniem) i chciano poznać moje zdanie na ten temat. Powiedziałem im to, co dla mnie było niewątpliwe: że Chucks do ostatniego dnia swego życia uważał, że tamten wypadek rzeczywiście miał miejsce. Chociaż musiałem też przyznać, skoro i tak musiało to wkrótce wyjść na jaw, że nie po raz pierwszy zaczął wykazywać obsesję na punkcie tego, że jest śledzony. A tego typu myśli ogarnęły go w dniach poprzedzających jego śmierć.

– Czy w ostatnim okresie rozmawiał z panem o tym, że chce sobie odebrać życie?

– Nie. Nigdy o czymś takim nie wspomniał.

– A czy kiedyś próbował popełnić samobójstwo?

– Nie, nigdy – odpowiedziałem. – Nawet w najgorszym momencie swojego życia, gdy jego pierwsza żona zginęła w wypadku samochodowym, a on siedział za kierownicą. Nawet wtedy tego nie rozważał. A proszę mi wierzyć, jeśli kiedykolwiek w życiu miałby ku temu najwięcej powodów, to było wtedy.

Natomiast teraz Chucks nie miał żadnego powodu, żeby się zabijać. Właśnie kończył pracę nad wspaniałą płytą, którą miał powrócić na scenę muzyczną. To musiał być, jak to określili policjanci, nieszczęśliwy wypadek.

– Niestety, panie Amandale, takie rzeczy się zdarzają – usłyszałem.

Jack Ontam, do którego jeszcze nad ranem w noc śmierci Chucksa wysłałem esemesa,

pojawił się na miejscu wczesnym popołudniem następnego dnia, w otoczeniu orszaku złożonego z londyńskich dziennikarzy. Powinienem był przewidzieć, że ten drań Ontam wykorzysta – w jego mniemaniu – opatrnościową okazję, żeby natrzaskać jak najwięcej forsy. Z miejsca znieawidziłem go do reszty, jeszcze zanim się dowiedziałem, że wiadomość o śmierci Chucksa już w godzinę po moim esemesie pojawiła się na portalu TMZ, plotkarskim medium online poświęconym celebrytom. Z miejsca zamieścili tam „prześliczny” materiał kładący nacisk na zaburzenia umysłowe Chucksa.

Muzyk, którego karierę przerwała śmierć pierwszej żony w tragicznym wypadku drogowym, pracował nad nowym albumem. (...) W ostatnich latach jego rozgorączkowana wyobraźnia sprawiła, że stał się bohaterem pewnych dziwnych epizodów. Przekonany, że grupka młodych ludzi w kafejce internetowej w londyńskiej dzielnicy Kensington szpieguje go, zaatakował ich. Został zatrzymany przez policję i skazany za napaść i niszczenie mienia. Innym razem, w niewielkiej miejscowości we Francji, gdzie miał swój dom, zgłosił się na policję i zeznał, że potrafił na drodze jakiegoś mężczyznę, ale ten nigdy nie został odnaleziony, żywy ani martwy.

Śmierć Chucksa Basila, „przypadkowa”, według źródeł policyjnych, bardzo przypomina śmierć innego legendarnego wykonawcy rocka: Briana Jonesa, lidera zespołu Rolling Stones. Ludzie bliscy zmarłemu nie wykluczają samobójstwa.

No cóż, oczywiście Chucks nawet w części nie był tak sławny jak Michael Jackson, ale w początkach lata 2015 roku świat celebrytów już od dłuższego czasu nie dostarczył żadnej owieczki ofiarnej, która nadawałaby się do złożenia na ołtarzu ku czci pospółstwa, tak zawsze spragnionego krwi sławnych ludzi. Wiadomość o jego śmierci szybko trafiła na wszystkie portale internetowe i do programów informacyjnych. Universal wziął się do produkcji wspomnieniowej płyty z dziełami wszystkimi, a internet zapełnił się notami biograficznymi, albumami zdjęć i wszelkiego typu plotkarskimi materiałami na temat szalonego i pozbawionego hamulców życia Chucksa Basila. „Taki jest zwykły koniec rzeczy – wieścili samozwańczy prorocy prasy popularnej – gdy ktoś próbuje osiągnąć nieba ręką”. Upadek. Tak skończył Ikar, który zbyt blisko zbliżył się do Słońca. Upadek Ikara! Tego właśnie świadkami być chcemy, my, mierni, pospolici mieszkańcy świata.

Paparazzi przez kilka dni krążyli po Sainte Claire. Nie udało się też uniknąć tego, że któreś z dociekliwych mediów odkryło możliwy związek między Britney i Chucksem.

To Britney Amandale, córka pisarza Berta Amandale’a, przyjaciela Chucksa Basila, także zamieszkującego w tej okolicy, znalazła ciało piosenkarza w jego ogrodowym basenie. Dziewczyna, zaledwie szesnastoletnia, oznajmiła, że łączył go z nim „specjalny rodzaj przyjaźni”.

Zaskarżyłem kilka odrażających publikacji i udało mi się doprowadzić do usunięcia jednej fotografii z „Daily Sun”, ale to i tak nic nie dało, bo blogerzy rzucili się na temat jak muchy na łajno. Jakiś typ, który twierdził, że pisuje dla „Telegraph”, zaczepił mnie przed moim domem, żeby spytać, czy to prawda, że Britney była w związku z Chucksem, i co ja o tym sądzę. Gościu w okularkach, otyły, wyglądający na notorycznego onanistę. Wysiadłem z samochodu, popchnąłem go i zagroziłem, że wepchnę mu jego długopis w dupę. Kosztowało mnie to trzy tysiące euro grzywny, ale zważywszy na mój stan ducha w tamtych chwilach, facet powinien się cieszyć, że uszedł cało, bo mało brakowało, żebym w

W tym czasie Ontam wywierał presję na policję francuską, żeby nadal prowadziła śledztwo, przypuszczalnie po to, żeby nakręcić większe zainteresowanie tematem. Jednak policja odpowiedziała, że „wyniki badań naukowych nie pozostawiają wątpliwości”, a środki przekazu

wkrótce zajęły się innymi sprawami. Chucks był na okładkach przez jeden dzień i to wszystko, bo nie zapominajmy, że już od lat nie nagrał nowej płyty, nie odbył żadnej trasy koncertowej, nie stał w pierwszym szeregu celebrytów. Tak więc parę dni po śmierci świat pogodził się z jego utratą i cały ten medialny cyrk zostawił nas w spokoju.

Ciało Chucksa nadal przebywało w domu pogrzebowym w Marsylii, którego pracownik skontaktował się ze mną, żeby ustalić, co należy zrobić. Wiedziałem doskonale, że Chucks życzył sobie zostać skremowany, a prochy miały zostać rozsypane obok prochów Lindy w Hiszpanii, ale pomyślałem, że może będzie stosowne zorganizowanie ceremonii w Londynie, z udziałem przyjaciół i nielicznych członków rodziny, w gruncie rzeczy składającej się jedynie z Carli Longharm, jego drugiej żony, i jakiejś dalekiej krewnej z Dublina.

Tak więc zorganizowałem uroczystość pożegnalną w Londynie. Jacka Ontama uprzedziłem, że jeśli natknę się na jakiegoś fotografa, osobiście rozwalę mu mordę, i zażądałem, żeby zaprosił tylko prawdziwych przyjaciół zmarłego i nie ważył się szykować wydarzenia typu *networking*, bo pożałuje. Wystarczy tego, co już namotał we Francji.

Skremowaliśmy Chucksa w Marsylii w pewien wtorek po południu. Przez cały tamten tydzień okropnie lało. Miriam, Britney, Jack Ontam i ja byliśmy jedynymi świadkami tego wydarzenia. Facet z domu pogrzebowego spytał, czy trumna ma zostać otwarta. Powiedziałem, że tak, ale to był błąd. To, co ujrzeliśmy po odsunięciu wieka trumny, było jedynie koszmarną kukłą, tanią kopią prawdziwego Chucksa, ubraną w garnitur, który wybrała Miriam. Jego twarz, obficie powleczone makijażem, była martwą, rozpadającą się maską. Zanim grabarz nacisnął wielki czerwony guzik, którym włącza się taśmę wiozącą ciało do pieca krematoryjnego, wyjąłem z kieszeni niewielką karteczkę i przeczytałem zwrotkę starej piosenki Chucksa.

Miriam i Britney wybuchnęły płaczem, nawet twardego Jacka Ontama uronił łzę. I taki był koniec Ebetha Jamesa Basila na tym świecie.

2

Mimo iż Jack Ontam wywiązał się z tego, o co go prosiłem, w Londynie nie udało nam się zejść poniżej stu zaproszonych osób; było też kilku dziennikarzy, ale zachowali się poprawnie. Przybyli Jimmy Page, z którym Chucks zaprzyjaźnił się, gdy przebywali na odwyku w ośrodku w Dublinie, Lana del Rey i Norah Jones oraz członkowie ich zespołów. Keith Richards zajrzał, żeby położyć czerwoną różę obok powiększonego zdjęcia Chucksa z jego tournée w 2002 roku, które umieściliśmy przy wejściu. Był Ron Castellito, ulubiony dźwiękowiec Chucksa; wykorzystałem okazję, żeby mu opowiedzieć o ostatniej woli zmarłego co do nowej płyty. Nie miałem pojęcia, w jakim stanie znajdowały się ścieżki dźwiękowe *Beach Ride*, ale Ron stwierdził, że mogą na niego liczyć.

– Mogę pojechać do Francji za parę miesięcy i rzucić na to okiem. Zadzwoni do mnie, gdy będziesz gotowy – powiedział.

Porozmawiałem z Carlą, piękną portugalską modelką, która była drugą żoną Chucksa przez krótkie trzy lata. Pojawiła się ze swoim nowym mężem i dwiema córeczkami. Była też Laura Fitzwilliams, matka Lindy, pierwszej żony i największej miłości Chucksa. Spytała, czy zamierzam zawieźć prochy Chucksa do Hiszpanii, na co odpowiedziałem twierdząco. Ona i jej mąż rozsypali połowę prochów Lindy w swoim ogrodzie w Beckinshire, a drugą połowę

w Kadyksie. Było dla mnie oczywiste, że po śmierci Linda i Chucks powinni spoczywać obok siebie.

Przez cały ten okres Miriam była przy mnie i wspierała mnie we wszystkim. Pomogła mi w zorganizowaniu pogrzebu, przyjmowała kondolencje i nalewała kawę i herbatę. Wiedziałem, że wewnątrz aż się cała gotuje, ale udało jej się zachowywać adekwatnie do powagi sytuacji.

Przyjaciele, którzy wynajmowali nasz dom w Kensington, zaoferowali nam możliwość zatrzymania się tam, ale woleliśmy wynająć pokoje w hotelu w centrum miasta. Po czterech dniach, licznych spotkaniach z adwokatami i notariuszami, firmą nagraniową i Jackiem Ontamem marzyłem tylko o tym, żeby już opuścić Londyn i zrobić to, co miałem do zrobienia. Gdy powiedziałem Miriam o swoich planach, powiadomiła mnie, że nie będzie mi towarzyszyć. Postanowiła wrócić z Britney prosto do Saint-Rémy.

- Jedź sam. Musimy postarać się podjąć normalne życie. Wrócić do domu – powiedziała.
- Dobrze. Rozumiem – odparłem. – Wkrótce do was dołączę.

3

Następnego dnia opuściliśmy hotel. Miriam i Britney poleciały do Francji, a ja do Jerez de la Frontera, miasta na południu Hiszpanii. Cały mój bagaż składał się z torby, w której była zmiana bielizny i urna z prochami Chucks. Poprzez agencję, która zajmowała się administrowaniem jego posiadłością w Kadyksie, dostałem klucze od domu przy plaży Los Alemanes.

– Ma pan zamiar sprzedać dom? – spytał mnie pracownik agencji. – Od lat otrzymujemy oferty kupna.

Odpowiedziałem, że nie. Jeśli chodzi o posiadłości, które zostawił Chucks, miałem jasność jedynie co do tego, że dom w Kadyksie powinien pozostać niezmienny.

Stał na jednym ze wzgórz otaczających szeroką plażę, zwaną Playa de los Alemanes⁶, gdyż według legendy generał Franco zezwolił na osiedlenie się w tych okolicach kilku wysoko postawionym nazistom. Chucks niemal nigdy nie zaglądał do domu, ale nie chciał go sprzedać. Opłacał koszty utrzymania i ogrodnika, który przychodził co dwa miesiące. Nigdy nikomu nie wynajął tego domu. To był jego sposób na uczczenie Lindy: podarowanie jej tego pięknego mauzoleum, wznoszącego się samotnie nad brzegiem morza.

Miałem trochę problemów z wynajęciem samochodu w Jerez, potem zabłądziłem kilka razy i do Zahary dojechałem dopiero o ósmej wieczorem. Zatrzymałem się tam, żeby kupić wino, papierosy, coś do jedzenia i świece. Gdy podjeżdżałem pod dom, słońce już zachodziło nad Atlantykiem. Powietrze było przejrzyste i niemal można było dojrzeć góry Maroka po drugiej stronie cieśniny.

Wyszedłem na taras i ustawiłem krzesła wokół stołu. Tak, jak robiliśmy wiele, wiele lat temu, szykując się do zjedzenia kolacji na dworze. Odgarnąłem piasek, którego zwały wszędzie nawiał wiatr, i usiadłem. Umieściłem urnę Chucks na stole i odkorkowałem butelkę.

– Za ciebie, Chucks – powiedziałem, wznosząc kieliszek ku niebu, na którym pojawiły się pierwsze gwiazdy. – I za ciebie, Lindo.

Pogrążyłem się we wspomnieniach letnich nocy, które spędzaliśmy w tym domu, Miriam, ja, Chucks i Linda. Niemal każdej nocy jedliśmy kolację przy tym stole, pod bezkresną Drogą Mleczną, a szum morza wdierał się w nasze rozmowy. To było to lato, gdy już wiedzieliśmy, że

Miriam oczekuje dziecka, lato, które nastąpiło po tamtym Bożym Narodzeniu, kiedy Chucks opuścił ośrodek odwykowy i poznał Lindę.

Z sylwestra w Szkocji Chucks i Linda powrócili szaleńczo w sobie zakochani. Jeszcze nigdy nie widziałem mojego przyjaciela w takim stanie z powodu kobiety. Pewnego razu zwierzył mi się, że jest „tak szczęśliwy, że boi się tylko tego, żeby jej nie utracić”, więc nie byłem zaskoczony, gdy zaledwie po półrocznej znajomości poprosił Lindę o rękę, padając przed nią na kolana.

Zrobił to pewnego popołudnia, gdy zostali sami w domu, a my z Miriam pojechaliśmy do Tarify. Po powrocie znaleźliśmy ich na ogrodowej huśtawce, trzymających się za ręce, popijających szampana i tak rozradowanych, że niemal nie byli w stanie nam o wszystkim powiedzieć, bo co chwilę wybuchali śmiechem. Pamiętam, że to była jedna z najszczęśliwszych nocy w moim życiu. My spodziewaliśmy się dziecka, a Chucks i Linda żartowali, że wkrótce też złożą zamówienie u bociana. Wydawało się, że mimo wszystko życie Chucksa zmierza w dobrym kierunku. Wznieśliśmy toast za przyszłość, która wówczas wydawała nam się świetlana. Przyszłość, która po niespełna ośmiu miesiącach roztrzaskała się na kawałki, jak filiżanka z kruchej porcelany.

W tamtym czasie Chucks był u szczytu kariery i po wypadku, w którym zginęła Linda, Ontam zatrudnił najlepszych adwokatów i przekupił wszystkich, których mu się udało przekupić, żeby nie grzebano zbyt głęboko w tym, co się wydarzyło. Pojawił się opatrnościowy świadek – kierowca, który jechał w tym samym kierunku co Chucks – który stwierdził, że widział, jak z przeciwka nadjeżdżał z ogromną szybkością samochód, i w ostatniej chwili schował się na swój pas. Ponadto znaleziono ślady hamowania, które to potwierdzały. Kierowca tego samochodu uciekł i nigdy go nie znaleziono, nie miał też na tyle przyzwoitości, żeby się samemu zgłosić na policję. Choć Chucks wolałby sam umrzeć tamtej nocy – i w gruncie rzeczy duża część jego duszy umarła wraz z Lindą – formalnie sprawa skończyła się grzywną, utratą prawa jazdy i urazem, który spowodował, że odtąd Chucks trwale utykał na nogę.

Miriam nigdy się z tym nie pogodziła. Linda była jej najlepszą przyjaciółką i moja żona obwiniła Chucksa o jej śmierć. Nigdy zresztą nie uwierzyła w tę historię o samochodzie nadjeżdżającym z przeciwka. Według niej Ontam wszystko zmanipulował, wliczając w to świadka, żeby uwolnić od winy Chucksa, który – według Miriam – sam spowodował wypadek, prowadząc w pijanym widzie. Nie chciała go słuchać, nie chciała mnie słuchać, gdy usiłowałem go bronić. Prawie wtedy ze sobą zerwaliśmy, ale pojawiła się na świecie Britney i to utrzymało nas razem. Jakoś udało nam się przetrwać.

Wypiłem już pół butelki, wypaliłem kilka papierosów jednego po drugim, słońce skryło się już po mojej prawej stronie. Plaża była niemal opustoszała, w dali widać było jedynie kilku rybaków, a na piasku przytulała się jakaś parka.

Podniosłem się, wziąłem urnę i poszedłem z nią po piasku i żwirze, między kaktusami i kameliami porastającymi ogród, aż do sosny, która rosła w samym jego centrum. Otworzyłem urnę i rozsiałem prochy Chucksa u stóp drzewa, podobnie jak on sam zrobił to z prochami Lindy wiele lat temu.

– Linda, Chucks – mówiłem przez łyżę. – Znów jesteście razem.

Miałem zamiar spędzić noc w jakimś hotelu, ale zapadł zmrok, a ja byłem zmęczony i pijany, więc zdjąłem buty i położyłem się na kanapie w salonie z moją butelką wina. Włączyłem komórkę i zobaczyłem całą listę wiadomości czekających na odczytanie. Miriam, Ontam, moi adwokaci, adwokaci Chucksa, Mary Jane, Mark Bernabe... niemal osiemdziesiąt esemesów,

które napłynęły w ciągu ubiegłego tygodnia i na które nawet nie rzuciłem okiem.

Otworzyłem jedną wiadomość, od Miriam, ostatnią, która przysłała na moją komórkę, pozostawiając całą resztę na następny dzień, a być może na święty nigdy.

Dojechaliśmy. Jak dobrze być w domu. Elron był tak miły i przyniósł nam wiązankę w imieniu swoich rodziców, którzy Cię pozdrawiają. Mam nadzieję, że wszystko dobrze poszło w Kadyksie. Oni byli tam tacy szczęśliwi... Mam nadzieję, że mogli się już spotkać tam, gdzie teraz są.

Wracaj szybko. Tęsknię,

MIRIAM

Zerwał się zachodni wiatr i temperatura obniżyła się o kilka stopni. Znalazłem jakiś koc i okryłem się nim, ale nie byłem w stanie zasnąć. Uniosłem się, pociągnąłem kilka łyków z butelki. Odstawiłem ją na podłogę i siedziałem tak, patrząc na ogród. Od czterech nocy sypiałem ledwie po trzy, cztery godziny, ale broniłem się przed popadnięciem w rutynę codziennej dawki środków nasennych. Zbyt dobrze wiedziałem, czym to grozi. Niemniej jednak tamtej nocy żałowałem gorzko, że nie zabrałem ze sobą zestawu ratunkowego.

Zapaliłem więc kolejnego papierosa i znowu się napiłem.

– Odszedłeś, stary łajdaku. Jakie to wygodne wyjście z sytuacji, umrzeć! – przemówiłem do ciemnego pokoju. – I zostawić mnie samego, samotnego, z uczuciem ściskania w żołądku, które nigdy mnie nie opuści. Przypominasz sobie, ile razy wspólnie opłakiwaliśmy Linde? Pamiętasz? Wzajemnie wypłakiwaliśmy się sobie na ramieniu już w młodości, w Dublinie, gdy razem graliśmy w tych portowych spelunkach. Pamiętasz, jak tam było zimno? I jak pewnego razu oparzyłeś sobie zadek o naftowy piecyk? A Londyn? Nasze zwariowane nocne wędrówki po Londynie? I to, jak byliśmy zmuszeni pracować w tej garkuchni, gdzie kucharz kokainista lubował się w pokazywaniu nam swego niezmiernie długiego kutasa.

Zaśmiałem się. Przez moment poczułem się tak, jakby Chucks siedział obok mnie na kanapie i też się śmiał.

– A jak chodziliśmy do Pepe's i zasiadywaliśmy się do białego rana? Siadaliśmy na stacji Embankment z ostatnim papierosem i patrzyliśmy na wschód słońca. Ileż razy się na ciebie obraziłem? Ileż razy się pogodziliśmy? A ta blondynka z Krakowa, pamiętasz ją? Przez tę babeczkę doszło aż do rękoczynów. Wyzwałem cię od konusów, co uznawałeś za najgorszą obelgę, a ty rzuciłeś się na mnie jak rozjuszony byk i przewróciłeś mnie na podłogę w kuchni, i porzbijaliśmy talerze, i wyrzucili nas na ulicę. Tamtego dnia okropnie lało, szliśmy ponuro z rękami w kieszeniach, z nosa kapłała mi krew, spytałem, czy możesz mi kopsnąć szluga, i zaczęliśmy się śmiać jak szaleni...

Dokończyłem butelkę i wypity alkohol zaczął w końcu działać. Pogrążyłem się we śnie, zupełnie wyczerpany.

Gdy po jakimś czasie otworzyłem oczy, coś przygniatało mi klatkę piersiową. Nie mogłem się ruszyć i z trudem udawało mi się oddychać. Pomyślałem, że najprawdopodobniej to zawał serca.

Ale to było coś innego.

Ktoś siedział mi na piersi i uciskał mi żebra. To był Chucks.

„Chucks!” – krzyknąłem, a właściwie usiłowałem krzyknąć, bo z ust wydobył mi się jedynie wątlý skrzek.

To był on we własnej osobie. Wyglądał doskonale i wcale nie był martwy. Wszystko okazało

się wielkim nieporozumieniem. To nie jego ciało zostało wyciągnięte z basenu w Sainte Claire. To nie jego trupa poddaliśmy kremacji w Marsylii. Z jakiegoś powodu została popełniona pomyłka i Chucks nadal żył.

„Chucks!” – krzyknąłem ponownie.

Wydawał się mnie nie słyszeć. Patrzył przed siebie, w kierunku stołu, i gładził się po skroniach czubkami palców, kołysząc się jednocześnie na mojej klatce piersiowej. Wydawał się czymś zmartwiony.

„Popatrz do tyłu, Bert – powiedział. – Nie zapominaj, co mi obiecałeś. Obietnica jest obietnicą”.

„Co chcesz przez to powiedzieć, stary?”. Niemal nie byłem w stanie mówić ani zaczerpnąć tchu, bo przygniatał mnie jego ciężar.

Wtedy spojrział na mnie. Zauważyłem, że ktoś ogolił mu włosy na czubku głowy. Do diabła, to wyglądało wręcz tak, jakby go oskalpowali jacyś pieprzeni Mohikanie! I ta część jego czaszki była pełna ran, cięć pozszywanych niezdarnie na okrętkę, łat w żywym mięsie, jakby ktoś się zabawiał, brutalnie grzebiąc w jego mózgu.

„Spójrz za siebie, Bert – powtórzył. – Obietnica jest...”

„...obietnicą”.

prowadził zamiar w czyn. Czuję się jak wulkan, który lada chwila wybuchnie.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział pierwszy

1

Mój samolot wylądował na lotnisku Marseille-Provence około piątej po południu.

Miriam i Britney czekały na mnie przy wyjściu. Uściskaliśmy się w milczeniu i poszliśmy na parking. Gdy znaleźliśmy się przy samochodzie, Miriam stwierdziła, że to ona poprowadzi. Przypuszczałem, że nie umknął jej uwagi odór alkoholu, który wydzielałem przez każdy por mojej skóry. Piwo podczas lotu z Jerezu do Barcelony. Dwa piwa na barcelońskim lotnisku Prat, gdy czekałem na samolot. I na zakończenie podróży kilka szklanek whiskey Jameson's z lodem na pokładzie samolotu z Barcelony do Marsylii. Wmawiałem sobie, że to uwieńczenie pewnego etapu, że zasłużyłem na te kilka drinków, ale w głębi duszy zdawałem sobie aż za dobrze sprawę, że zacznę się staczać. Miriam miała w pełni rację, kiedy tego samego wieczoru, gdy siedzieliśmy w salonie, stwierdziła:

– Od tygodnia nie przestajesz pić. I znalazłam TO.

Popchnęła po stole moją „magiczną skrzynkę”, która ślizgając się, wylądowała obok mojego łokcia. Musiałem zbyt niedbale ją ukryć i wpadła w ręce Miriam.

– Nie będę na ciebie wrzeszczała, Bert. Ale musimy o tym porozmawiać. Wiem, że przeżywaś trudne chwile, ale TO nie jest dobrym wyjściem.

– Masz rację, nie jest – przyznałem. – Zdaję sobie z tego sprawę.

– I co masz zamiar z tym zrobić? Nasza córka też jest głęboko poruszona i potrzebuje od ciebie wsparcia. Od tamtej strasznej nocy ma koszmary senne. Na szczęście Elron był przy niej przez ostatnie dni. To dużo dla niej znaczy. Ale to ty musisz stanąć dla niej opokę, Bert.

– Opokę? Mówisz tak, jakbyś nie zdawała sobie sprawy, że straciłem przyjaciela, brata. Jak możesz ode mnie wymagać, żebym był twardy?

– No to przynajmniej staraj się unikać brania pigułek. Nie wracaj do tego. Przypomnij sobie, ile cię kosztowało, żeby z tym zerwać.

Pamiętałem aż za dobrze. Dokładnie dwa lata chodzenia na spotkania anonimowych lekomanów. No i wiele tysięcy funtów wydanych na psychiatrów i osobistych trenerów psychologicznych. To wszystko było ceną, jaką zapłaciłem za swoją nagłą sławę literacką, która wywołała napięcie nerwowe niepozwalające mi pracować, zasnąć ani się skoncentrować.

– Postaram się, Miriam. Tylko tyle mogę ci przyrzec. Ale czuję ogromny wewnętrzny ciężar.

– Co ci ciąży, Bert?

– Poczucie winy, Miriam. Ostatniego razu, gdy widziałem Chucksa, udawał się samotnie do tego pustego domu... Myślę, że tamtej nocy powinienem był zrobić dla niego coś więcej.

– Dlaczego to mówisz? Czy sądzisz, że Chucks popełnił samobójstwo?

– Nie wiem...

Poderwałem się z miejsca i zacząłem grzebać w kieszeni kurtki w poszukiwaniu papierosów, ale ich nie znalazłem. Gdybym był sam, nalałbym sobie szklaneczkę tullamore, żeby się

rozluźnić, ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, poszedłem do lodówki i wyciągnąłem colę light.

– Powiedziałem policji, że Chucks nie miał żadnego powodu, żeby się zabijać, ale teraz w to wątpię. Podczas naszej ostatniej rozmowy nie był sobą. Ostatnio zaczął widzieć i słyszeć różne rzeczy. Twierdził, że jest śledzony, że jacyś ludzie przemawiali przez jego wzmacniacz.

– Mówisz o tej historii z potrąceniem, prawda? – Miriam musiała ujrzeć moją zdumioną minę, bo dodała: – Nie przejmuj się. Jack Ontam wygadał się w Londynie, był przekonany, że powiedziałeś mi o wszystkim.

– Niech diabli wezmą Jacka Ontama. To chodząca gazeta plotkarska.

– Przynajmniej dowiedziałam się o prawdziwym powodzie, dla którego zerwałeś się od stołu w tamten piątek. Ulżyło mi. Rozumiem, dlaczego nie chciałeś mi o tym powiedzieć. Rozumiem twoje powody i, w pewnym sensie, szanuję je. Czy sądzisz, że było w tym coś z prawdy?

Po kilkunastu latach małżeństwa Miriam nadal umiała mnie zaskoczyć. Nie można jej było odmówić sporej dozy zdrowego rozsądku. Uśmiechnąłem się. W jakiś sposób mi ulżyło, że wreszcie mogę z nią o tym porozmawiać.

– Nikomu nie udało się znaleźć żadnego dowodu, ale Chucks był święcie przekonany, że do tego doszło – powiedziałem. – A potem zaczął opowiadać, że ktoś go śledzi. Zbudował całą teorię wokół tego...

Miriam kiwnęła głową.

– Wiem. Przeczytałam w TMZ to o kafejce internetowej. Jack sądzi, że Chucks właśnie zaczynał wchodzić w ostrą fazę manii prześladowczej, jak wtedy, w Amsterdamie... Rozmawiał o tym z tobą, przynajmniej tak mi powiedział. I że mieliście skłonić Chucksa do odwiedzenia doktora Calgariego. Zdążyłeś o tym wszystkim porozmawiać z Chucksem?

– Tak... Tego ostatniego dnia, który razem spędziliśmy. Doznał wtedy czegoś w rodzaju objawienia, a mianowicie uznał, że wie, kogo wtedy potrącił na drodze. Jak cała reszta, tak i to zabrzmiało mało wiarygodnie. Miał to być francuski dziennikarz, niejaki Someres. W rzeczywistości ten Someres to ktoś, kogo Chucks znał w przeszłości. Obydwaj go poznaliśmy, przed tysiącem lat, w Paryżu.

– Może nie widział innego wyjścia, Bert. Może już całkiem tracił rozum. Może zdał sobie z tego sprawę i... i może postanowił...

Myśl, że naprawdę mogło tak być, wydała mi się straszna, ale nie mogłem jej odmówić prawdopodobieństwa.

– Proszę cię, Miriam, nie mów tego. Nawet nie sugeruj.

Choć przecież może właśnie tak było... pomyślałem.

– Nie chcę tego powiedzieć – ciągnęła Miriam. – Nie uważam, żeby Chucks sam podniósł na siebie rękę, Bert. W gruncie rzeczy, choć miał dopiero czterdzieści parę lat, jego ciało było zużyte, miał astmę, no i zażył te środki. To naprawdę wygląda na nieszczęśliwy wypadek.

– Być może... – powiedziałem.

– Być może? A co innego mogłoby to być? – spytała.

Spojrzałem na nią i byłem o krok od powiedzenia o tym „czymś innym”, co krążyło mi po głowie, ale co dopiero zaczynało kiełkować. Maleńkie, czarne ziarnko podejrzeń.

Jednak nie powiedziałem niczego.

W tej samej chwili z zewnątrz dobiegło nas szczekanie Loli. Poszedłem do kuchennego okna i ujrzałem, że suka stoi obok szopy i szczeka w kierunku sadu.

– No bo... – ciągnę

– Mów.

– Pomyślałam, że być może powinniśmy się zwrócić do psychologa czy coś. No wiesz, w związku z Chucksem. To był dla niej silny szok i ciągle ma koszmary w nocy. Eric van Ern, kiedy mi składał kondolencje, wspominał o tym.

– Wspominał o czym?

– Że powinniśmy na nią uważać. Przecież natknęła się na zwłoki. To okropne przeżycie.

– Oczywiście – powiedziałem. Z jednej strony miałem sobie za złe, że sam na to nie wpadłem, a z drugiej za złe miałem van Ernowi, że jemu przyszło to do głowy. – Sądysz, że psycholog to dobry pomysł? Wiesz przecież, jak źle to na nią wpływa.

W Londynie, po tej jej przygodzie z dragami, zaprowadziliśmy Britney do psychologa specjalizującego się w problemach młodzieży i inkasującego dwieście funtów za sesję. Tego typu specjalisty, który zajmuje się dziećmi z bogatych domów mającymi dziwaczne problemy. Britney spędziła całą godzinę, opowiadając mu, że ma podwójną osobowość i że słyszy głosy, które każą jej wszystkich pozabijać.

– Moglibyśmy jeszcze trochę poczekać – mówiłem dalej. – Rok szkolny dobiega końca, moglibyśmy zmienić otoczenie. Pojechać samochodem do Toskanii. Coś w tym stylu.

Lola nadal obszcze kiwała drzewa.

– Co jej się stało? – spytała Miriam.

– Z pewnością jest tam kot – odpowiedziałem. – A jak z nią? Coś już jada?

– Zaczęła jeść – odparła Miriam. – Niechętnie, ale je.

Lola szczekała z zapalem, który wydał mi się dziwny. Mogło to oznaczać, że już zaczynała wychodzić z depresji. Może chociaż jej się to uda.

2

Mówi się, że żałoba po śmierci bliskiej osoby jest procesem, który dzieli się na kilka etapów: negację, złość, rozpacz. Przez cały następny tydzień opłakiwałem Chucksa. Dan Mattieu i Charlie Grubitz usiłowali mnie namówić, żebym wybrał się z nimi do Raquet Clubu. Po kilkakrotnej odmowie wreszcie zgodziłem się pojechać z nimi na drinka. Usiadłem obok kortów i niespodziewanie spotkałem się ze wsparciem i ciepłym przyjęciem ze strony wielu nowych znajomych. Van Ernowie natomiast wystosowali do mnie wzruszający list kondolencyjny, w którym mowa była o sprawach życia i śmierci.

W środę zadzwoniła do mnie daleka kuzynka Chucksa, Mary Jane Douglas Basil z Dublina. Powiedziała, że była obecna na pożegnaniu Chucksa w Londynie wraz ze swym mężem, Keithem, ale nie podeszła do mnie, bo mnie nie znała. Przez dłuższą chwilę lkała do telefonu, użalając się nad niezbyt zbożnym życiem, jakie prowadził jej kuzyn, i wyraziła zadowolenie, że pod koniec mógł liczyć na wsparcie przyjaciela (czyli na mnie). Po tej wzniosłej inwokacji przeszliśmy do rzeczy bardziej praktycznych: spytała, czy wiadomo mi coś na temat testamentu Chucksa. Szczęka mi opadła, gdy usłyszałem:

– Nie wiem, czy istotnie dobrze zrozumieliśmy, co powiedział nam adwokat Chucksa, ale stwierdził, że został pan kimś w rodzaju powiernika...

Oszołomiony, natychmiast zadzwoniłem do Jacka Ontama, który dał mi namiary na adwokata Chucksa w Londynie, Lesliego Lavendera, a ten poinformował mnie, że istotnie, istnieje

testament złożony przez Chucksą przed pięcioma laty, tuż po rozwodzie z Carlą, jego ostatnią żoną. Carla i irlandzcy krewni Chucksą zażądali odczytania testamentu i spotkała ich maleńka niespodzianka: Chucks za pomocą pewnej prawniczej formuły ustanowił dwoje powierników całego swojego majątku: mnie i Miriam.

– Najważniejsze jest to, że Chucks pozostawił wam prawo dysponowania całym spadkiem. Możecie go rozdzielić według waszego uznania lub też zachować dla siebie, jeżeli tak zadecydujecie – wyjaśnił mi Lavender.

Uważałem, że Chucks nie był aż tak bezmiernie bogaty, jak ludzie myśleli – zwłaszcza po tych dziesięciu latach posuchy twórczej, wybryków życiowych i złego zarządzania majątkiem – ale że miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby móc z nich dobrze żyć do późnej starości. Wkrótce miałem się jednak dowiedzieć, że na spadek składały się: trzy nieruchomości (posiadłość w Prowansji, londyński apartament i dom w Kadyksie), cztery samochody, długa lista akcji i lokat o sumarycznej wartości kilku milionów funtów, prawa autorskie do wszystkich jego płyt, DVD, tekstów piosenek, muzyki... a do tego należało doliczyć ubezpieczenie na życie na milion funtów, także wchodzące w skład masy spadkowej. No i jeszcze jego wspaniała kolekcja instrumentów muzycznych, która nie została wyceniona, ale według mnie jej wartość przekraczała pół miliona funtów. Okazało się, że Chucks miał o wiele większy majątek, niż sądziłem.

Mary Jane i jej mąż zaczęli mnie nękać telefonami, które odbierałem i uprzejmie informowałem ich, że nie, nie jestem jeszcze gotowy do zajęcia się spadkiem po Chucksie, ale zadzwonię do nich, gdy tylko podejmę jakieś decyzje. W głębi duszy nie miałem chęci zatrzymywać niczego, z wyjątkiem domu w Kadyksie, a i to jedynie po to, żeby pozostał w niezmienionym stanie. Zamierzałem rozdzielić większą część spadku między Carlę, Mary Jane i organizacje zajmujące się dobroczynnością, ale Miriam – jeszcze w nocy, natychmiast po tym, jak dowiedziałem się o spadku – poradziła mi, żebym wstrzymał się z działaniem na co najmniej pół roku, do chwili, gdy będę zdolny do podejmowania racjonalnych decyzji. „Nie spiesz się z tym, bo i po co? – powiedziała. – Wszyscy zainteresowani mogą poczekać sześć miesięcy, a nawet dwa lata, jeśli będzie taka potrzeba”. Zgodziłem się z nią. Lavender przysłał mi poświadczoną kopię testamentu, żebym mógł zająć się zarządzaniem sprawami związanymi ze spadkiem na terenie Francji. Jedną z pierwszych rzeczy, które miałem zamiar zrobić, było odebranie kluczy od domu Chucksą, które leżały w depozycie na posterunku w Sainte Claire.

W piątek rano dostałem telefon z komisariatu, że pieczęcie policyjne właśnie zostały zdjęte. Postanowiłem zaraz pojechać po klucze. Pomyślałem, że powinienem też od razu zajrzeć do domu Chucksą i z miejsca zabrać się za porządki. Pierwszym i najważniejszym punktem programu było odszukanie nagrań *Beach Ride* i wysłanie ich do Rona Castellito, aby spełnić ostatnią wolę Chucksą („Gdyby coś mi się stało”, „Jeśli coś by się wydarzyło”: jego słowa nie opuszczały mnie, powtarzałem je w głowie jak litanie). Pomyślałem też, że powinienem odnaleźć Mabel i zlecić jej sprzątnięcie domu. Chciałem ją też poprosić, żeby zgromadziła ubrania i osobiste rzeczy Chucksą i popakowała je do toreb. Miałem zamiar spalić je w ognisku w noc świętojańską.

W Sainte Claire najpierw podjechałem do domu sąsiadów Chucksą, którzy spędzali ranki, siedząc na wiklinowych krzesłach na ganku i sprzedając domowego wyrobu przetwory. Wszyscy w okolicy już wiedzieli, kim jestem. Pogadałem chwilę i dowiedziałem się od nich, że Mabel pracuje już dla innej rodziny, ale że ma siostrzenicę o imieniu Manon, która mogłaby być zainteresowana pracą. Zostawiłem im swój numer telefonu i podziękowałem za pomoc. Potem

zgłosiłem się na komisariat, gdzie wręczono mi kopię kluczy, których oryginały zatrzymano, i już mogłem pojechać do Le Mas des Citronniers.

Pogoda była brzydka: wygląd nieba wskazywał na to, że po południu zacznie padać, a może nawet będzie burza. Dom Chucks'a przywitał mnie pusty, ciemny i cichy. Gdy wszedłem i zamykałem za sobą drzwi wejściowe, skrzypienie zawiasów rozległo się echem w obszernym przedsionku, wleciało w górę klatką schodową i ucichło w opustoszałych salonach, w których jedynym śladem po życiu, które tak niedawno zgasło, był popiół papierosowy i niedopałki w popielniczkach.

Dlaczego nikt nigdy nie powiadamia listonosza? Listy do osoby zmarłej ranią tych, którzy muszą je otworzyć, przeczytać... A listy do Chucks'a nadal napływały pod numer 17 przy Rue de la Lune. Leżały na posadzce, rozsypane w szachownicę, w miejscu, gdzie wypadły ze szczeliny w drzwiach. Zebrałem je i położyłem na stoliku. Jeden z nich został wysłany przez doktora Saussa, dentystę z Saint-Rémy, u którego także my leczylimy zęby. Doktor napisał: „Już pora, żeby zgłosił się pan na przegląd, monsieur Basil”.

Biedak, niepotrzebne mu już żadne przeglądy, pomyślałem i zmiąłem list w dłoni.

W domu unosił się smród niewietrzonych pomieszczeń i zgnilizny. Przemknąłem korytarzem do kuchni. W lodówce rozkładał się kawałek mięsa. W dużej misie gniła piramida pomarańczy. Na wpół opróżnione pudełko pączków przyciągnęło całe gromady much, a procesja mrówek wdrapywała się na stół. Pomyślałem, że śmierć nadchodzi właśnie tak, kiedy sama chce, chociażby człowiek miał jeszcze kilka pączków do zjedzenia lub płytę do nagrania.

Znalazłem jakiś worek na śmieci i zająłem się tym wszystkim.

Potem otworzyłem drzwi na taras, żeby do środka wleciało trochę świeżego powietrza i wywiało smród. Wszedłem i zapaliłem papierosa na zewnątrz, przyglądając się ogrodowi i lasom na horyzoncie. Zaczął padać deszcz, a od południa nadciągał ze świstem wiatr, posłaniec burzy. Usytuowany poniżej tarasu basen, w którym Chucks powiedział światu „żegnaj”, był przykryty niebieską plandeką, przypuszczalnie umieszczoną tam przez ekipę techniczną policji.

Starałem sobie wyobrazić tamtą chwilę. Ostatni moment samotności mojego przyjaciela pod wodą. O czym myśli człowiek, który decyduje się ze wszystkim skończyć? Jaka była twoja ostatnia minuta na tym świecie, przyjacielu? Spojrzałeś w gwiazdy i pomyślałeś o Lindzie?

Dokończyłem palić i zamknąłem na powrót drzwi tarasowe, bo obawiałem się, że jakiś gwałtowniejszy podmuch wiatru może je zatrasnąć i stłuc szybę. A potem zszedłem do piwnicy, żeby wypełnić zadanie powierzone mi przez Chucks'a.

Studio składało się z trzech części. Najpierw wchodziło się do czegoś w rodzaju saloniku z kamiennymi ścianami, gdzie stały kanapa i mały piecyk na drewno, a podłoga była przykryta dywanem. Chucks spędzał w nim więcej czasu niż we wszystkich pozostałych pomieszczeniach domu razem wziętych. Pod ścianą zalegały stosy zapasów żywności, puszek piwa, kartonów papierosów i dobry tuzin opakowań polskiej kiełbasy drwala (ulubionej przekąski Chucks'a, który żywił się nią dzień po dniu). Na podłodze leżały części ubrania: kilka podkoszulków, skarpetki i jeden but do biegania, którego brat od pary najwyraźniej gdzieś się ukrył. Następnie przechodziło się do reżyserki. Mała kabina, wyłożona panelami z jasnego drewna, zdominowana przez wielki stół mikserski i stelaże z equalizerami i kompresorami dynamiki. Znajdował się tam też komputer, a przed nim dwa wygodne skórzane fotele, w których Chucks i ja tego lata spędziliśmy długie godziny, odsłuchując kolejne wersje *Beach Ride* i analizując postępy. Za kabiną, przez ogromną szklaną tafłę widać było pograżoną w mroku salę prób. Spore pomieszczenie, o powierzchni niemal trzydziestu metrów kwadratowych, które w dawnych

czasach mieściło spore zapasy wina. Jean Petite, inżynier, który dokonał przeróbki, pozostawił część piwnicznego sklepienia nietkniętą i ta część służyła do nagrywania perkusji. Sklepienie w reszcie pomieszczenia zostało podwyższone do około czterech metrów. Sala została wyposażona w ruchome panele podziałowe, między którymi spoczywały wzmacniacze, gitary i gitary basowe Chucks'a.

Usiadłem w fotelu, z którego było mi wygodnie obsługiwać maca. Przysunąłem sobie popielniczkę i zapaliłem następnego marlboro. W trakcie tych czynności usłyszałem warkot wentylatora wewnątrz skrzynki komputera i zdałem sobie sprawę, że urządzenie pozostawało włączone przez cały ten czas, który upłynął od śmierci jego właściciela. Nacisnąłem spację i na ekranie pojawiło się zaproszenie do wpisania hasła. Znałem je, ponieważ wielokrotnie pomagałem Chucksowi podczas nagrywania i to do mnie należało odblokowanie komputera, podczas gdy on grał czy śpiewał. Kazał mi wykuć na pamięć zbitkę: „Lola-Kinks1978”, więc wpisałem ją i moim oczom ukazał się zabałaganiony pulpit oraz sporo otwartych okien ze stronami internetowymi. Z jednego z nich spojrzała na mnie twarz faceta, którego natychmiast rozpoznałem. Ciarki przebiegły mi po plecach.

„Daniel Someres, kontrowersyjny dziennikarz” – taki podpis widniał pod zdjęciem.

Przypomniałem sobie wiadomość od Chucks'a, którą przeczytałem w hotelu w Amsterdamie: „Zacząłem śledztwo na własną rękę...”. Zdałem sobie sprawę, że były to jego ostatnie słowa.

Siedziałem tak, milcząc i wpatrując się w podobiznę młodego człowieka. Błada twarz, wysilony uśmiech, przybliżone blond włosy i chuda szyja wyłaniająca się z kołnierzyka koszuli. Na drugim zdjęciu tej samej notki prasowej widać było, jak dwaj policjanci prowadzą go skutego kajdankami do radiowozu.

Dziennikarz śledczy z Marsylii został zatrzymany podczas próby przeniknięcia na zamknięte zebranie G8 w Nicei.

Znany ze swych metod śledczych, krytykowany przez jednych i wychwalany przez innych, Daniel Someres jest osobą, która nikogo nie pozostawia obojętnym. W swych książkach, których powodzenie zawdzięcza istnieniu grupy zagorzałych fanów, opisuje świat manipulowany przez jakieś tajemnicze siły, najróżniejsze konspiracje, zagadkowe morderstwa w świetle prawa i projekty kontroli nad umysłem.

Jego przepustką do sławy była książka Terytorium Swastyki, w której opowiada o swoim doświadczeniu obserwacji uczestniczącej. Udało mu się przeniknąć do neonazistowskiej grupy działającej w Lipsku i przebywać w niej przez czternaście miesięcy. Pewnego dnia stał się świadkiem skatowania i zabójstwa bezdomnego polskiego imigranta. W 2011 roku został wezwany przez niemiecką policję do złożenia zeznań. W późniejszym czasie zajął się zjawiskiem, które nosi nazwę false flag. Jak sam mówi, wpadł na pewien trop z tym związany podczas miesięcy spędzonych jako kret w grupie ekstremistów. Napisał scenariusz filmu krótkometrażowego Operacja Gladio i współreżyserował jego kręcenie. W filmie sugeruje, że niektóre rządy europejskie biorą systematyczny udział w sabotowaniu grup antyrządowych poprzez dokonywanie prowokacyjnych aktów przemocy w trakcie publicznych imprez masowych w celu przypisania ich autorstwa tymże grupom i doprowadzenia do akcji pacyfikacyjnych.

Notka pochodziła z 2012 roku, a oprócz niej było otwartych jeszcze z dziesięć stron, na które

Chucks zaglądał w ostatnich dniach życia. Same bzdury i śmiecie. Teorie spiskowe, z których wiele zakrawało na science fiction. Jakieś fora, których użytkownicy rozważali alternatywne wersje wydarzeń z 11 września 2001 roku czy śmierci bin Ladena oraz inne tego typu banialuki. Na jednym z nich wspomniano o śmierci Someresa. Autor wpisu stwierdził, że był to „książkowy przykład usunięcia z drogi”, i porównywał to wydarzenie ze śmiercią księżnej Diany wskutek rzekomego użycia miniładunków wybuchowych, które powodują wypadki samochodowe i nie pozostawiają śladów.

Uff.

Na innej stronie była mowa o projekcie kontroli nad umysłem prowadzonym przez CIA pod kryptonimem MK-Ultra i jego przypuszczalnym związkiem z działalnością pewnego człowieka znanego jako Ojciec Dave. Coś mi to nazwisko mówiło – musiałem o nim słyszeć przed kilkoma laty – coś związanego z zabójstwami w Gujanie Francuskiej, co stało się tematem programów informacyjnych. Nie wydawało się jednak mieć żadnego powiązania z Somereselem.

Doszedłem do wniosku, że jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć z tego wszystkiego, jest taki, że Chucks znalazł w tego typu treściach ujście dla kompulsywno-obsesyjnego komponentu swojej osobowości. Przypomniało mi się zdanie, które parę dni wcześniej usłyszałem od Miriam: „Może już całkiem tracił rozum. Może zdał sobie z tego sprawę...”.

Jedno po drugim zacząłem zamykać otwarte okna przeglądarki. Po każdym zamkniętym oknie odczuwałem trochę odprężenia, bo byłem już tak spięty, że niemal zgrzytałem zębami. Właśnie kończyłem sprzątanie pulpitu i zamykałem ostatnie okno, gdy nagle przed oczami pojawiło mi się przerażające zdjęcie. Była to fotografia czarnoskórego mężczyzny, a właściwie jego głowy. Głowa została ogolona, przypuszczalnie w celu zademonstrowania szeregu okropnych szram, które powstały po zabliznieniu jakichś ran powstałych w trakcie brutalnych zabiegów chirurgicznych, którym człowiek ten został poddany. Pod zdjęciem figurował następujący tekst: „Ten Haitańczyk przeżył jedną z potwornych tortur, jakimi dręczył ludzi Ojciec Dave w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Blizny pozwalają domyślić się, czym były nieludzkie metody «oczyszczania umysłu» stosowane w tak zwanym Szpitalu w Dżungli Ojca Dave’a”.

Szramy, pomyślałem, wspominając swoje sny. Szramy i blizny.

Czy to Chucks pierwszy mi o nich wspomniał? Nie byłem w stanie sobie tego uzmysłowić, byłem natomiast pewien, że widziałem je w moich własnych snach. Przynajmniej w tym ostatnim, który przyśnił mi się w Kadyksie. W tym śnie to Chucks miał połowę głowy w takich okropnych, dziwnych ranach... Ale przecież był to tylko koszmar senny... Tego typu parszywe myśli przyczepiają się do człowieka i nie dają mu spokoju nawet we śnie.

Kliknąłem myszką i skończyłem z tym paskudztwem. W krótkim czasie doprowadziłem się do takiego stanu, że czułem, iż włosy jeżą mi się z przerażenia na głowie.

Na zewnątrz rozpętała się burza.

Przypomniałem sobie o pewnej kryjówce, w której Chucks przechowywał trochę trawy. Można ją było nabyć po wygórowanych cenach od niektórych z tych motocyklistów zatrzymujących się Pod Czerwonym Bukiem; nie była zbyt dobra, ale czasem przydawała się do urozmaicenia nudy prowansalskich wieczorów. Pomyślałem, że przyda mi się nieco spokoju ducha, zanim zabiorę się do pracy, tak więc wszedłem do pogrążonej w mroku sali nagrań i odszukałem wzmacniacz gitarowy Fender Blues Junior edycja specjalna Cannabis Rex (ta nazwa to nie żart, membrana głośnika jest wykonana z włókna konopi). Od tyłu wsadziłem rękę do środka głośnika i namacałem plastikowy woreczek. Było tam co najmniej kilka cennych

bryłek. W woreczku znalazłem także grinder i trochę bibulek. Zestaw Szczęśliwego Buddy Chucksa Basila. No cóż, teraz uczyni szczęśliwym mnie.

Przygotowałem sobie skręta, zapaliłem go, wciągnąłem do płuc słodkawy dym, po czym zakasałem rękawy i wziąłem się do roboty. Przez następne dwie godziny wysłuchiwałem wersji demo i końcowych miksów *Beach Ride* i od czasu do czasu zdarzało mi się uronić łezkę. Gdy natrafiłem na cover *Time Waits for No One* Stonesów w wykonaniu Chucksa, poczułem, jak po plecach przebiegają mi dreszcze. A to był dopiero początek.

Chucks robił kopie bezpieczeństwa wszystkiego, tak na wszelki wypadek. Miał katalog nazwany „wersje końcowe”, gdzie umieszczał te miksy, które mu się najbardziej podobały. To je właśnie miałem zamiar przesłać Castellitowi w następnym tygodniu. Ponadto utworzył katalog „eksperymenty, długie noce i czary”, w którym archiwizował pomysły, szkice lub długie sesje eksperymentalne z gitarami i pianinem elektrycznym. Gdy natknąłem się na katalog „gość X” i przesłuchałem zawartość, nie miałem wątpliwości, kim jest ów tajemniczy „X”. Trzy piosenki składające się na zawartość katalogu, w tym *Black Bird* Beatlesów, śpiewała Britney. Chucks połączył oryginalne nagranie dwóch instrumentów (gitara McCartneya i mandolina) i głos Britney *a cappella*. Wyszło z tego świetne nagranie. Mówi to ojciec wokalistki, zgadza się, i to ojciec czujący szmer w głowie od solidnego skręta, ale co tam, nagranie naprawdę było świetne.

Przesłuchałem je kilka razy i rozczuliłem się. Ta piosenka ma swoją historię, o której Chucks pamiętał, a ja sam zapomniałem. Nie wiem, czy opowiedział ją Britney, ale i tak wykonanie mojej córki było godne tego starego standardu Beatlesów. Pierwszy raz w życiu poważnie pomyślałem, że być może Britney ma rację, że chce się poświęcić muzyce.

Dokończyłem skręta i znalazłem jeszcze coś. Plik „gitary w sobotnią noc” w katalogu eksperymentów, czyli to nagranie, podczas dokonywania którego Chucks rzekomo uchwycił rozmowę jakichś intruzów. Zacząłem je przesłuchiwać, jednocześnie starając się sobie przypomnieć, w którym momencie zaczynało się to, o czym mi mówił i co mi odtworzył. Nie sposób byłoby wysłuchać całości (nagranie trwało wiele godzin, do każdej z piosenek Chucks wypróbował różne gitary, wzmacniacze i konfiguracje różnych efektów, aż do znudzenia), tak więc łatwiej było znaleźć to miejsce, patrząc na graficzne odwzorowanie dźwięku na ekranie komputera. Było tam jedno miejsce, w którym zapadała – ujmując to jak najprościej – wielka cisza. Przesunąłem myszkę w to miejsce i kliknąłem odtwarzanie. Usłyszałem kilka dźwięków muzyki i nagle rodzaj zakłócenia, jakby brzęczenie. Chucks także je usłyszał i przestał grać. I wtedy, jakby z bardzo daleka, odezwały się głosy mówiące, jak się wydawało, po francusku, ale nie można było zrozumieć ani słowa.

Podkręciłem głośność niemal do dziesięciu i hałas w głośnikach Equator zainstalowanych w kabinie nabrał potwornej mocy. Dźwięk spięcia i elektryczne brzęczenie głośnika niemal mnie ogłuszyły. Mężczyźni szybko wymienili między sobą kilka zdań, ale nadal nie byłem w stanie uchwycić żadnego znaczenia. Za to, odsłuchując nagranie, usłyszałem jeszcze coś innego. Coś, na co nie zwróciłem uwagi tamtej nocy, gdy Chucks puszczał mi je po raz pierwszy. Szepnął: „Słodki Jezu”, i odstawił gitarę na podstawkę.

Cokolwiek biedak usłyszał, musiało go to okropnie przerazić.

Postanowiłem dołączyć nagranie do tych, które miałem zamiar wysłać Ronowi Castellito. Dołączyłem notatkę, wskazując, w której minucie zachodzą te interferencje, i prośbę: „Słysząc jakieś głosy wydobywające się ze wzmacniacza. Czy mógłbyś oczyścić nagranie tak, żeby można było je zrozumieć?”

Gdy już wszystko przygotowałem, zacząłem kopiować gigantyczne archiwum z maca

Chucks na przenośny dysk twardy, który ze sobą przywiozłem. Miałem zamiar zabrać komputer ze sobą i chciałem być pewien, że będę miał kopię zapasową wszystkiego, zanim ruszę go z miejsca.

Oczekując na skopiowanie się plików, spojrzałem na zegarek. Było wpół do siódmej wieczorem i z góry dochodził szelest deszczu i wiatru. Miałem ochotę na następnego skręta, ale rozsądek powiedział mi, że już dość się najarałem, więc podniosłem się i poszedłem po paczkę papierosów do jednego z tych stosów fajek, zgromadzonych przez Chucks (Tobie już na tym nie zależy, prawda, biedaku?). Wsadziłem papierosa do ust i opadłem na kanapę. W tej samej chwili poczułem, że coś mi się wbija w tyłek. Coś, co musiało się schować między dwiema poduszkami. Było to plastikowe opakowanie z płytą CD, takie, jakie ostatnio już rzadko się widuje. Przyjrzałem mu się dokładniej i rozpoznałem Chucks na zdjęciu studyjnym, które musiało pochodzić z 1995 roku. Ubrany był w stylu, jaki wówczas był w modzie: oczy podkreślone czarną kredką, blond loki i rozpięta biała koszula. Przez pierś miał przewieszoną swoją starą gitarę marki Guild. To była jego pierwsza solowa płyta, *Love Harvest*, która zawierała piosenkę *Obietnica jest obietnicą*. Była to niezbyt mądra ballada, która wyniosła go na szczyty. Która zrobiła z niego tego Chucksu uwielbianego przez uczennice, babcie i panie domu.

„Obietnica jest obietnicą”, zdawał się mówić do mnie Chucks poprzez miniony czas, uśmiechając się do mnie swym promiennym uśmiechem wielkiej gwiazdy rocka. „I nie możesz jej nie spełnić”.

Naraz przypomniałem sobie ten sen, który przyśnił mi się w jego domu w Kadyksie, ten, w którym Chucks, gniotąc mi klatkę piersiową, powtarzał: „Obietnica jest obietnicą”. Ale mówił jeszcze coś...

„Spójrz za siebie, Bert”.

Niemal zapomniana chwila wróciła do mnie z przeszłości. Słońce zatoczyło krąg pod oceanem i wylaniało się na wschodzie. Pusta butelka leżała obok kanapy, a moje gardło było wyschnięte jak pustynia. Ocknąłem się ze snu i miałem wrażenie, że Chucks nadal jest gdzieś w domu. Powiedziałem na głos:

„Co chciałeś mi powiedzieć, Chucks?”, ale potem na powrót usnąłem.

„Spójrz za siebie, Bert”.

Zaciągnąłem się gauloisem i powoli wypuściłem dym z płuc, wpatrując się uważnie w okładkę płyty. Miałaś na myśli twoją nową płytę, Chucks? Już jest bezpieczna, stary, zadbałem o to. Czy też chodziło ci o coś innego? Co miałaś na myśli, mówiąc: „Spójrz za siebie”?

„Obietnica jest...”.

Chucks siedzi mi na piersi, oczy ma białe w stół. Mówi: „Spójrz za siebie”, i pociera sobie skronie palcami, jakby koncentrując się na czymś. On sam spoglądał do przodu, na stół. Na co patrzył? Na stole nie było niczego.

Chwileczkę...

Niczego, oprócz mojego telefonu komórkowego!

Ta myśl przebiegła mi po głowie jak błyskawica, oświeciła mój umysł, połączyła w całość różne domysły i stworzyła z nich pewność o twardości skały. Niewykluczone, że marihuana też miała swój udział w tym objawieniu, któż to może wiedzieć?

Poderwałem się i wróciłem do kabiny. Kopiowanie plików toczyło się swoim biegiem. Moja komórka leżała obok konsoly. Wziąłem ją do ręki i usiadłem w fotelu.

„Spójrz za siebie. Obietnica jest obietnicą”. To właśnie była ostatnia rzecz, którą mu

obiecałem. Nie to, że zadbam o jego płytę, lecz że przeprowadzę śledztwo w sprawie Daniela Somerese.

Spojrzałem do tyłu, tak jak Chucks mnie prosił. Do tyłu w telefonie. Cofnąłem się do samego początku listy nieodczytanych wiadomości. Chucks zmarł 30 maja i od tej nocy nieodczytane wiadomości utworzyły ogromną kolejkę czekającą na moją uwagę. Cofnąłem się aż do tamtego czwartkowego ranka, gdy obudziłem się dopiero około południa (a udało mi się zasnąć jedynie dzięki moim ukochanym pastylkom dormidiny), i znalazłem coś, co najprawdopodobniej pozostałoby na zawsze niezauważone, zapomniane. Coś, co – gdyby nie widmo Chucksa – nie doczekałoby się żadnej reakcji z mojej strony: wiadomość od Marka Bernabe'a, zatytułowana „O Danielu Someresie”. Mój agent wysłał mi ją następnego dnia po naszej rozmowie telefonicznej, którą przeprowadziłem z wernisazu w Aix-en-Provence.

Niemal się roześmiałem, ze strachu i z zaskoczenia, jakie wrażenie wywarło na mnie to znalezisko. (Czy to o to chodziło, Chucks? To miałeś na myśli?). I z sercem bijącym tysiąc razy na minutę otworzyłem wiadomość od Marka.

Drogi Bercie,

Właśnie skończyłem rozmawiać przez telefon z Anne-Fleur, agentką Daniela Somerese. To było tragiczne. Musiał zasnąć za kierownicą lub stracić kontrolę nad samochodem i wypadł z drogi na paskudnym zakręcie na La Grande Corniche. Samochód zniszczony w drobny mak. Jechał do siostry, która mieszka w okolicach Nicei, a przynajmniej tak wszyscy przypuszczają, bo od kilku miesięcy był nieuchwytny. (???)

Anne-Fleur mówi, że ustawił w swojej skrzynce pocztowej automatyczną odpowiedź, która brzmiała (kopiuję i wklejam):

„Witam, dziękuję za maila. Pracuję nad nowym projektem i nie będę mógł odpowiedzieć przez następne kilka tygodni. W sprawach związanych z moimi książkami proszę nawiązać kontakt z moją agentką literacką, Anne-Fleur...”.

Jak sam widzisz, tajemnicza śmierć autora książek o tajemnicach. Chociaż z tego, co mówi Anne-Fleur, wynika, że Daniel często miał zwyczaj znikać w ten sposób. Niewykluczone, że miał pewne problemy psychiczne, a ostatnio sprzedaż jego książek nie szła najlepiej. Według niej nie należy niczego wykluczać. (Sam rozumiesz...).

A tak naprawdę to o co chodzi? Planujesz nową powieść? Jeśli potrzebujesz więcej informacji, skontaktuj się z jego siostrą. Nazywa się Andrea Someres i mieszka w Cap-d'Ail, kilka kilometrów od Monako. Pracuje w sklepie odzieżowym o nazwie Look. Dowiedziałem się tego od Anne-Fleur w zaufaniu, więc nie powołuj się na nią, proszę.

A ja się wyprę, że ci to zdradziłem, to oczywiste.

No dobrze, czekam, żebyś mi wyjaśnił twoje dziwne zainteresowanie Someresem.

Uściski,

MARK

„Ja zostanę ze swoimi widmami”. To były ostatnie słowa, jakie usłyszałem od Chucksa. A ja wierzę w duchy. To oczywiste, że w nie wierzę. Wierzyłem też w to, że Chucks powrócił z zaświatów, żeby mi coś przekazać. Powiedzieć mi, że sprawa nie jest jeszcze zakończona.

I że nie spoczywa w spokoju.

◆ła Miriam. – Jest jeszcze coś, o czym chcę z tobą porozmawiać: Britney.

Rozdział drugi

1

Już zmierzchało, gdy dojechałem do domu. Przestało padać, ale niebo nadal pokrywały burzowe chmury. Podobnie jak pogoda, stan mojego umysłu też pozostawiał wiele do życzenia. Panował w nim zamęt i rozdziły się wątpliwości. Na razie niezbyt wielkie, jeszcze nieznaczące i niesprecyzowane, ale już kielkujące i rwące się na świat.

Pod domem, tuż przy drzwiach wejściowych, stał jakiś samochód, volkswagen beetle, blokując podjazd do garażu. Mruknąłem pod nosem przekleństwo i zamrugałem kilkakrotnie światłami. Ujrzałem, że dwie sylwetki widoczne przez tylną szybę auta raptownie się rozdzieliły. Volkswagen ruszył, przejechał kilka metrów, żeby mnie przepuścić, po czym stanął. Otworzyły się drzwi, z wozu wysiadła roześmiana Britney i zawołała:

– Tato!

Reflektory garbusa zgasły i zza kierownicy wyłonił się chłopak. Był to Elron van Ern, który w swojej lnianej marynarce wyglądał jak uosobienie romantyzmu dla pensjonarek. Pomachał do mnie, a ja, w dość głupim odruchu, odmachnąłem mu i wjechałem do garażu. Kłębiły się we mnie przeciwstawne emocje: z jednej strony nie chciałem rujnować córce randki, z drugiej – obawiałem się, że zechce mi przedstawić swojego chłopaka. Właśnie teraz, gdy jedyne, na czym mi zależało, to żeby o wszystkim zapomnieć i pójść spać.

Tymczasem młodzi weszli do ogrodu, a stamtąd, moim śladem, aż do garażu. Przypuszczam, że Britney zasugerowała Elronowi, że nadszedł moment, żeby poznać „staruszka”. Stanęli w drzwiach, gdy wyciągałem z bagażnika komputer Chuckska i kładłem go ostrożnie na ziemi.

– Tato, chcę ci przedstawić Elrona.

Chłopak podszedł do mnie z uśmiechem. Widziałem go tylko raz, wtedy na porannym targu w Saint-Rémy. Teraz, z bliska, moje wrażenie się potwierdziło: był bardzo przystojny i wysoki. Szczeniak miał poważne zadatki na samca alfa. Nie mogło mnie dziwić, że Britney się w nim zadurzyła.

– Elron – powiedział Elron van Ern i ścisnął mi dłoń równie mocno, jak to miał w zwyczaju jego ojciec. – Bardzo mi miło. Przykro mi ze względu na pana przyjaciela, proszę pana. Przekazuję też panu wyrazy współczucia ze strony moich rodziców.

Ho, ho, pomyślałem, nie brak mu wychowania. No i wzrostu, bo przewyższa mnie o dobre pięć centymetrów, tak jak i jego ojciec.

– Dziękuję, Elronie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Zapadła cisza. Już miałem zamiar się ulotnić, ale najwyraźniej Elron był w nastroju do pogawędki.

– Moja matka jest pana wielbicielek, natomiast ja jeszcze nie znam pana twórczości. Nie przepadam za thrillerami, ale sądzę, że zrobię wyjątek i coś przeczytam. Britney powiedziała mi, że pana książki są znakomite.

Poczułem, że się rumienię.

– Tak powiedziała? – Uśmiechnąłem się, czując, że ogień Smauga pali mi policzki. – To dlatego, że moja córka jest moją największą fanką.

Teraz Britney się zaśmiała i troszkę zaczerwieniła. Zauważyłem, że waha się, jak się zachować: jak córeczka tatusia czy jak dziewczyna Elrona.

– Mam więc nadzieję, że i tobie się spodobają – ciągnąłem. Usiłowałem zapanować nad atakiem ojcowskiej zazdrości. – Będę oczekiwał, że opowiesz mi o swoich wrażeniach.

– Z całą pewnością, proszę pana. Jeszcze przed przyjęciem przeczytam jedną z powieści – odpowiedział Elron.

– Jakim przyjęciem?

– W tę sobotę. Nic pan jeszcze nie wie? – spytał chłopak z uśmiechem. – Są moje urodziny i organizuję barbecue w domu. Britney ze swoim zespołem będzie grała w prezencie dla mnie.

Mówiąc to, spojrział na Britney, a ona odwzajemniła jego uśmiech i słodkie spojrzenie.

– Miałam wam właśnie o tym powiedzieć dziś wieczorem, tato.

Zauważyłem, że stoją, dotykając się ramionami, i że mało brakuje, aby ujęli się za rękę. Zacząłem się zastanawiać, czy już się całują, a nawet – wbrew sobie – czy to możliwe, żeby ten smarkacz-który-nie-lubi-thrillerów widział ją nagą i czy...

– Liczę na pana obecność – dodał Elron. – I pani Miriam.

– A więc to tak? – spytałem, spoglądając na Britney. – Nic o tym nie wiedziałem. Zaplanowałem na jutro podróż.

Zabrzmiało to jak tania wymówka, a jednak było prawdą. Miałem zamiar pojechać w tę sobotę do Cap-d'Ail, aby odszukać siostrę Daniela Someresa i... Najważniejsze było, żeby ją odnaleźć. Potem zobaczę, co dalej. Spytałem, czy wie, gdzie był Daniel w nocy 21 maja, i miałem nadzieję, że mi odpowie: „Tutaj, w moim domu, graliśmy w Monopoly”.

– Ależ, tato! – krzyknęła Britney. – Nie może cię nie być! Za nic na świecie.

– No cóż – powiedziałem z ociąganiem. – Pozwólcie, że się zastanowię, dobrze?

Pożegnałem się z nimi i kątem oka zobaczyłem, że odchodzą do samochodu Elrona. Odwróciłem się, żeby nie stać się świadkiem tego, jak się całują. Poczułem nagłe pieczenie w żołądku.

Renault space Miriam stał zaparkowany w garażu, ale jej samej nie było ani w kuchni, ani w salonie. Doszedłem do wniosku, że musi być w swoim gabinecie na poddaszu, zagłębiona w internecie albo zajęta pracą nad którymś ze swoich projektów. Rzuciłem głośno: „Dobry wieczór”, ale nie usłyszałem odpowiedzi. Zostawiłem komputer Chucksa koło kanapy i poszedłem prosto do swojej szopy. Niech to szlag, od samego początku wiedziałem, że to się tak skończy.

„Wiesz, że zawsze będziesz mógł tu wrócić. To jest spelunka Różyczki i jej kompanek, wesołych kurewek. Tu zawsze na ciebie czekają. Czuj się jak u siebie w domu”.

Britney była zajęta Elronem, Miriam przepadła na poddaszu, ale na wszelki wypadek przetoczyłem kosiarkę w taki sposób, żeby zablokować drzwi od środka. Potem podszedłem do jednego z regałów i sięgnąłem po puszkę lakieru do drewna, identyczną jak pozostałe cztery, wśród których stała. Otworzyłem ją i wyciągnąłem hermetycznie zamykaną torebkę foliową. W niej znajdowało się całe mnóstwo blistrów z kolorowymi pigułkami. Najwięcej było różowych pigułek anxicotiny, ale było też sporo valium i przeterminowane opakowanie dormidiny.

A teraz pozwólcie, że opowiem wam pewną historię. Przed milionami lat, gdy na świecie żyły

dinozaury, byłem prawdziwym pisarzem. Wolnym duchem i zdrowym jak ryba. Mieszkałem wtedy w Londynie i pisałem powieści w starej piwnicy przy ulicy Archer, w pomieszczeniu pełnym zakurzonych waliz i skrzynek. Stał tam nawet stół do ping-ponga, którego nikt nigdy nie używał. W zimie było tam tak zimno, że jaja zamarzały, ale stawiałem sobie mały grzejnik gazowy w odległości dwudziestu centymetrów od nóg i pisałem. Wspomagałem się tylko ciepłem z grzejnika i muzyką z płyt i byłem w stanie pisać trzy tysiące słów dziennie, poza tym nigdy się nie przeziębiałem i nie rozchorowałem na gripę. Moje pięć pierwszych książek narodziło się w tym miejscu.

W tamtych zamierzczłych czasach pisałem nocami. Tak mi najlepiej szło. W głowie świeciło mi coś jakby małe światełko i – rach, ciach, ciach – tłułem w klawiaturę do drugiej lub trzeciej nad ranem. Każda taka sesja oznaczała wypalenie paczki papierosów. Niemal zawsze też wypijałem kilka piw, cztery czy pięć, przeważnie na dobry początek. Żadnego ziela, żadnej koki, żadnych tego typu wymysłów. Piwko i tytoń utrzymywały mój umysł w dobrym stanie. To był cały sekret: mieć umysł w dobrym stanie.

Moje książki sprzedawały się dość dobrze: po kilka tysięcy w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, i jeszcze trochę w różnych miejscach na świecie. Ale w kategoriach finansowych oznaczało to, że zarabiałem w przybliżeniu tyle, ile zarabiałbym, pracując gdzieś w biurze. Szału nie było. Wszystko się zmieniło, gdy wymyśliłem postać seryjnego zabójcy Billa Noorana i napisałem *Wschód słońca w Testamento*. To był tak zwany strzał w dziesiątkę, chociaż nadal nie wiem, dlaczego ludziom tak się to spodobało. W gruncie rzeczy była to historyjka o dość niemądrych ludziach i przesadnie krwawym mordercy, ale musiała widocznie poruszyć jakąś utajoną nutę w sercach czytelników, ponieważ została sprzedana w niemal dwudziestu milionach egzemplarzy. A ponieważ warunki umowy z wydawnictwem były dla mnie korzystne: piętnaście procent od każdego sprzedanego egzemplarza, w przeciągu półtora roku stałem się milionerem.

Było to piękne, doprawdy. Uwielbiam uszczęśliwiać ludzi i to właśnie robiłem. Czytelnicy byli szczęśliwi, wydawca był szczęśliwy, mój agent literacki był szczęśliwy, a Miriam i Britney... Co tu więcej mówić – wyjechaliśmy w podróż promocyjną po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Potem, gdy spędzaliśmy wakacje w Australii i Nowej Zelandii, ogłoszono, że zakupiono prawa do adaptacji filmowej. Bardzo poważna sprawa, z udziałem grubych ryb z Hollywood, które zakasały rękawy i już pracowały nad scenariuszem i wyborem reżysera. Miód na moje serce. Wróciliśmy do Londynu w lutowy dzień 2011 roku, po trzech miesiącach beztróskiego wydawania pieniędzy, i okazało się, że jestem jeszcze bogatszy niż przed wyjazdem. Pamiętam, że w dzień powrotu jedliśmy na kolację pieczone kurczaki i wypiliśmy butelkę wina, a Mark Bernabe zadzwonił do mnie, żeby spytać, jak leci. Powiedziałem, że mam doskonały pomysł na ciąg dalszy, wspomniałem o pomysłach na drugą książkę.

Następnego dnia wróciłem do swojej piwnicy. Do mojego starego laptopa, na którym kurz osadzał się od paru miesięcy. Zszedłem do niej z sześciopakami piwa, które kupiłem na promocji w dzielnicowym Tesco, i z paczką dunhilli, po czym usiadłem i zacząłem pisać. Ale wszystko było już inaczej. Pisałem, zgadza się, i miałem pomysły, ale ciążyło mi coś niesprecyzowanego. To było tak, jak gdyby każde zdanie, które wystukałem na laptopie, było niezwłocznie, poprzez ogromne głośniki, transmitowane na cały świat i słyszane przez miliony osób. To była presja sukcesu. Odnieść sukces – czy jest coś bardziej pożądanego? A z drugiej strony czy jest coś, co robi ci większą krzywdę? Pisałem, wykasowywałem, pisałem, wykasowywałem, a mój mózg pracował na coraz większych obrotach, oszołomiony, przegrzany.

Tej pierwszej nocy wydusiłem z siebie dwa tysiące słów. Jak się później, w przeciągu następnych miesięcy, okazało, i tak wyrzuciłem je do kosza. Ale najgorsze było to, że od tej chwili nie mogłem przestać myśleć, nie mogłem wyłączyć swojego mózgu.

Wstawałem od komputera po długiej dniówce z poczuciem braku zadowolenia. W głowie mi wirowało od przemyśleń. Myślałem i myślałem, nawet w łóżku, gdy już zamknąłem oczy. No i wtedy przyszło to najgorsze: nie byłem w stanie zasnąć.

Pozwólcie, że powiem wam coś o bezsenności: to bardzo samotna dolegliwość. Twoja żona śpi, twoja córka śpi. Śpią sąsiedzi i całe miasto. Wszyscy, tylko nie ty; ty czuwasz w ciemności z szeroko otwartymi oczami, jak jakaś pieprzona sowa. Nadśluchujesz dźwięków nocy. Czyjegoś chrapania. Warkotu motocykla na szosie. Wycia syreny karetki pogotowia. Wstajesz, idziesz się napić wody i widzisz w domu naprzeciwko inne, samotne, oświetlone okno. Zastanawiasz się, czy to taki sam nieszczęśnik jak ty, czy też może rodzina z niemowlęciem. Lub student uczący się do egzaminu. A najgorsze jest to, że wiesz, że nie powinno tak być. Że to błąd. Że następnego dnia twój mózg będzie przypominał kogel-mogel i że nie będziesz w stanie niczego zrobić. Nie będziesz miał siły nawet na to, żeby się zwlec z łóżka i ubrać, nie będziesz się mógł uśmiechnąć, nie będzie cię stać na optymizm, ponieważ pozbawienie snu jest jedną z najgorszych tortur, na jakie można skazać ludzki mózg.

No i jak myślicie, co zrobiłem? Zacząłem łykać pigułki nasenne. Tak, wiem. Zawsze się znajdzie jakiś dyżurny mądrała, który mi wytknie, że to źle. Że powinienem był poszukać przyczyn problemu, stanąć z nimi twarzą w twarz. Ale przecież ja już je znałem. Ciężył mi sukces. Przygniatał mnie do ziemi, jakby był ciężkim workiem zarzuconym na plecy. Aby to wytrzymać, zacząłem się faszzerować środkami na uspokojenie. One pozwalały mi usnąć. Wyciszały mój umysł. Rozluźniały spięte mięśnie i nerwy. Następnego dnia rano miałem po nich coś w rodzaju lekkiego kaca, czułem się trochę jak zombi, ale i tak było to znacznie lepsze, niż przeleżeć całą noc bez zmrużenia oka, wpatrując się w sufit.

I w taki właśnie sposób, w ciągu paru miesięcy, pieprzona różowa pigułka i pokrewne jej dziwki stały się moimi najlepszymi przyjaciółkami, nieodzownymi towarzyszkami mojego życia. Wystarczyło po nie sięgnąć i mogłem postawić kropkę w tekście wtedy, gdy sam chciałem, nie czekając na to, żeby mój wykolejony mózg dał mi zezwolenie. A tak nawiasem mówiąc, to właśnie w tamtym okresie zaczęliśmy być rozrywani towarzysko. Znaie tę piosenkę Bessie Smith: „Nikt cię nie chce znać, gdy jesteś na dnie”? Otóż kiedy jesteś na szczytach, dzieje się coś wręcz przeciwnego. Nagle wszyscy chcą cię poznać. Mówię o tym, żeby jak najprościej opisać, dlaczego zacząłem też pić więcej, niż norma i dobry smak dopuszczają. Życie towarzyskie opiera się na alkoholu, nie mówiąc już o tym, że w wielu przypadkach także na kokainie, a my mieliśmy kalendarz zapełniony od poniedziałku do niedzieli. Wkrótce mój tryb życia przypominał *way of life* Elvisa, bo gdy zamykałem oczy, byłem pod wpływem pigułek i alkoholu, a rano, żeby móc je otworzyć, potrzebowałem czegoś silnego na pobudzenie. A w międzyczasie, sam właściwie nie wiem, jakim cudem, napisałem drugą część przygód krwiożerczego Billa i znowu rozbiłem bank. Wtedy byłem już całkowicie uzależniony od wszystkiego, co tylko jesteście w stanie sobie wyobrazić.

Wyjąłem dwie pigułki anxicotiny – piękne, różowe perełki – i włożyłem foliowy woreczek do pustej puszki po lakierze. Usiadłem przed komputerem i ułożyłem pigułki na klawiaturze. Między literami W i E... i między O i P, tworząc jakby twarz z różowymi oczami i twardymi, nieruchomymi ustami – klawiszem spacji. Osądzała mnie czy się ze mnie wyśmiewała? Nie

wiem.

Sam widzisz, Bert, że nie jesteś w stanie nad tym zapanować, prawda? To silniejsze od ciebie. Przynależ Miriam, że z tym kończysz. Okłamałeś ją, a potem zacząłeś okłamywać samego siebie. Wmawiałeś sobie, że wracasz do tego tylko na chwilę, że to z powodu tego, co się stało z Chucksem, ale prawda jest taka, że w twojej głowie znowu zaczął kręcić się ten diabelski młyn. Sam już nie wiesz, co miałbyś zrobić, żeby go zatrzymać. A raczej – i tu cię poprawię – wiesz. Aż za dobrze wiesz, co zrobisz.

Ująłem w dwa palce pigułkę, która spoczywała między W i E, i podniosłem ją do ust. Dotknąłem jej czubkiem języka. Jej słodkawy smak poczułem aż w żołądku. „Zjedz mnie!”, wołała.

Nie masz silnej woli. Nawet nie udawaj. Znowu znalazłeś się na karuzeli. Sprawa Chucksa przetrząciła ci kręgosłup, Bert. Stacasz się po równi pochyłej bez hamulców. Musisz zatrzymać swój mózg. Musisz nałożyć sam sobie wędzidło.

Ujrzałem siebie jakby z zewnątrz, brutalnie zaprzepaszczającego swoje życie. Złapanego w sidła strachu i własnej słabości. Znowu wysunąłem język i polizałem przekłętą pigułkę, truciznę, która sprawi, że po raz kolejny pożegnaję się ze wszystkim, co odzyskałem. Czułem się przerażony i upodlony do ostateczności.

Ktoś zaczął walić w drzwi. Usiłował je otworzyć, ale natknął się na kosiarkę.

– Tato?

To była Britney.

Szybko schowałem obie pigułki do kieszonki koszuli. Wykorzystałem chwilę, żeby osuszyć łzy, które spływały mi strumieniami po policzkach. Podniosłem się z miejsca.

– Tato? Czy wszystko w porządku?

– Chwileczkę, córeczko.

Odsunąłem kosiarkę. Britney, moja śliczna panienska, stała w progu z zaskoczeniem i zaniepokojeniem malującymi się na twarzy.

– Dobrze się czujesz?

Pociągnąłem nosem i przetarłem ręką podbródek, na którym czułem wilgoć łez.

– Tak, kochanie.

– Mogę wejść? – spytała.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

Weszła i usiadła na wiklinowym kufrze, który przywieźliśmy z Londynu. Była ubrana w czarne spodnie, błyszczące pantofle na obcasie i cienką bluzeczkę w poprzeczne czarne i żółte prążki, jak mała pszczołka. Wbiła we mnie swe zielone oczy i zauważyłem, że mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Wracasz z domu Chucksa? Zauważyłam komputer w salonie.

– Tak.

Przełknęła ślinę. W porównaniu ze mną jest naprawdę twarda.

– Niemal co noc mi się śni, wiesz, tato? To dziwne. Nie znałam go zbyt dobrze, ale czułam, że jest moim przyjacielem. Że mnie lubi. Jak gdyby był moim stryjkiem.

– Byłby zachwycony, słysząc, co mówisz.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

– Kopiałem dzisiaj muzykę z komputera Chucksa – powiedziałem – i znalazłem twoje demo. To Chucks zaproponował, żebyś zaśpiewała *Black Bird*?

– Tak.

Uśmiechnąłem się. Britney uniosła brwi.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała.

– To wszystko zaczęło się pewnej nocy, przed milionem lat, gdy byłeś jeszcze ziarenkiem, a my postanowiliśmy, że musisz mieć własną piosenkę. Byliśmy wszyscy, Chucks, Linda, mama i ja, na plaży w Kadyksie. Chucks zagrał *Black Bird* i wszyscy zaśpiewaliśmy dla ciebie. A potem, przez całe miesiące, a nawet już po tym, jak przyszedłeś na świat, wieczorem zawsze śpiewałem tę piosenkę. Zapomniałem o tym, ale Chucks nie zapomniał.

Tym razem żadne z nas nie mogło powstrzymać łez.

– Linda była miłością jego życia, prawda? – spytała nagle Britney. – Coś mi o tym opowiedział. Nie za dużo. Powiedział, że mamie się nie spodoba, jeśli będę o tym wiedziała.

– Jeśli będziesz wiedziała o czym?

– Że on wie, że mama zawsze obwiniła jego o ten wypadek. Powiedział mi, że nie był całkiem trzeźwy i jechał za szybko. Ale że to ten drugi samochód zawinił i spowodował, że on stracił kontrolę nad kierownicą. Ty też tak myślisz?

Jednego dnia twoja córeczka ma dwanaście lat i pokazujesz jej konstelacje na niebie. Następnego ma już szesnaście i rozmawia z tobą o jednej z najtrudniejszych spraw w twoim życiu.

– Nigdy się tego nie dowiemy – odpowiedziałem. – Ale tak czy inaczej, mamie nigdy nie podobało się to, że Chucks został narzeczonym Lindy. Uważała go za faceta wiecznie stwarzającego problemy, a Linda była jej najlepszą przyjaciółką. Zresztą... Pewnego razu Chucks zwierzył mi się, że Miriam starała się przekonać Lindę, żeby go rzuciła, ale oni byli za bardzo w sobie zakochani. – Zaśmiałem się. – Taka właśnie jest twoja matka. Ma pewne ciągoty do manipulowania ludźmi.

Britney też się zaśmiała.

– A co sądzisz o Elronie? – spytała nagle.

– Elron? – Chrząknąłem i nie udało mi się nie zaczerwienić. – Ufam twojemu gustowi, Britney.

– Obraziłeś się o to, że powiedział, że nie lubi thrillerów?

– Ależ skąd! – wykrzyknąłem, być może trochę zbyt głośno. – Ważne, że jest szczerzy. Wolę to niż niemądre pochlebstwa.

– On jest wyjątkowy, tato. Inny od wszystkich. Jest niezwykle przywiązany do rodziny, ale jednocześnie ma własne marzenia i pomysły... Chce zmienić świat swoimi badaniami.

– A czym ma zamiar się zająć? – spytałem, żeby odwrócić jej uwagę od siebie.

– Chce być psychiatrą, tak jak jego ojciec. To tradycyjny zawód w jego rodzinie już od pokoleń. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś z taką pasją rozprawiał o zawodzie psychiatry.

– Co ty powiesz? To dobrze. Należy mieć pasję, to ważne w życiu.

– No i w tym przypomina mi ciebie – ciągnęła Britney. – To, co mi opowiadasz o swojej młodości. Że porzuciłeś Irlandię i pojechałeś do Londynu w pogoni za marzeniami. On też ma zamiar wyjechać. Do Nowego Jorku, na studia. A ja chcę jechać razem z nim.

– Do Nowego Jorku? To brzmi nieźle – powiedziałem. Jednocześnie pomyślałem, że to bardzo daleko.

– Naprawdę tak uważasz, tato?

– Najpierw musisz skończyć szkołę. A potem... No cóż... Przecież dopiero co się poznaliście, Brit. Musicie dać sobie trochę czasu i...

Nie pozwoliła mi dokończyć. Poderwała się z miejsca i objęła mnie za szyję. Potem usiadła

mi na kolanach i pocałowała mnie w policzek.

– Dziękuję! Ale... Jak myślisz, czy mama się zgodzi?

– No cóż... Ja... No więc przypuszczam, że ją przekonamy, córeczko.

– Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję! Wiesz, może to z tym przyjęciem to nie był dobry pomysł. Jeśli nie chcesz, to nie przychodź, tato. Wiem, że nie przepadasz za zabawami.

– Że co? Że niby ja nie lubię zabaw? To, czego naprawdę nie znoszę, to tak zwane „wydarzenia towarzyskie”. Ponadto umieram z chęci, żeby zobaczyć, jak grasz.

– Na pewno, tato?

– Z całą pewnością, kochanie.

Znowu ucałowała mnie w policzek, a ja nagle poczułem, że Różyczka i jej niegodziwe towarzyszki spędzą dzisiejszą noc zamknięte w puszcze po lakierze.

2

W dniu urodzin Elrona już od rana była piękna pogoda. W nocy co prawda padało, ale w południe słońce stało wysoko na niebie, a trawa już całkiem wyschła. Miriam spędziła przedpołudnie w kuchni, szykując ogromną miskę sałatki owocowej. Ja natomiast pojechałem do miasta po dobre belgijskie piwo i dwie butelki wina. W tym czasie Britney przeżywała autentyczny kryzys przed swoim lustrem. Po powrocie z Saint-Rémy przechodziłem koło drzwi jej pokoju i usłyszałem, jak miota się i przeklina. Zapukałem i w odpowiedzi usłyszałem:

– NIE WCHODZIĆ!

– Czy wszystko w porządku? – spytałem.

– Nie!

Drzwi się uchyliły i mogłem dostrzec pole bitwy Britney z jej garderobą. Moja córka stała w samych majtkach i bluzeczce na ramiączkach – co najmniej dziesiątej lub dwudziestej z rzędu, sądząc po stosach ubrań walających się na podłodze. Bluzki, spodnie i spódnice poległy w starciu z niezdecydowaniem nastolatki.

– Tato, przecież jestem naga! – wrzasnęła i podbiegła do drzwi, żeby mi je zatrasnąć przed nosem.

– Przepraszam – odpowiedziałem, usuwając się w ostatniej chwili i ocalając swój nos. – Mama mówi, że musimy się pospieszyć.

Usłyszałem, że Britney mamrocze coś i pokrzykuje. Po chwili zszedłem do kuchni i natknąłem się na Miriam, która owijała miskę folią aluminiową.

– Co jej się stało? – spytałem. – Sądziłem, że ma mnóstwo ulubionych ubrań.

– Co jej się stało, pytasz? Odpowiedź brzmi: Elron – wyjaśniła Miriam. – No dobrze, teraz mogę pójść jej pomóc.

Gdy po dziesięciu minutach skończyłem sprzątać w kuchni i usiadłem w salonie, zabawiając się swoją gitarą marki Gretsch, ujrzałem Britney schodzącą po schodach w dżinsach i twarzowym czarnym topie. Miriam zebrała jej włosy w warkocz i dyskretnie ją umalowała. Ponadto pożyczyła jej swoje srebrne kolczyki, prezent ode mnie na poprzednie urodziny.

A teraz, zadowolona, stała za jej plecami, trzymając się pod boki.

– Dobrze wyglądam, prawda, tato? – spytała Britney i obróciła się na pięcie przed lustrem w przedsiönku. – Wygodnie mi będzie grać w tym stroju.

Odebrało mi mowę. Trudno zrozumieć kobiety.

Toddowie podjechali pod nasz dom około jedenastej wiśniową furgonetką GMC, załadowaną po dach sprzętem muzycznym i nagłośnieniem, które przechowywali w swoim garażu. Furgonetka była własnością Hermana Todda, taty chłopaków, który siedział za kierownicą.

Spytałem, czy możemy z Miriam przyjechać nieco później. To oznaczało, że papa Todd będzie musiał już po raz drugi wcielić się w rolę kierowcy Mongrel State (tak brzmiała nazwa zespołu Britney), i poczułem trochę wyrzutów sumienia. Jednak facet wydawał się być tym zachwycony, i to do tego stopnia, że specjalnie na tę okoliczność ubrał się w koszulkę E Street Band.

– Nie ma sprawy! Rozstawimy sprzęt. Przyjedźcie, kiedy będziecie mogli, ale za bardzo nie zwlekajcie! – krzyknął.

Bracia Todd, obaj w starannych stylizacjach (coś z pogranicza stylów grunge i hipster), uśmiechnęli się z tylnego siedzenia, pomachali do mnie i zrobili gest mający oznaczać „być na fali”, a potem, gdy Britney dołączyła do nich ze swoją gitarą basową, Herman podkręcił na cały regulator muzykę (w odtwarzaczu tkwiła płyta zespołu Weezer) i furgonetka ruszyła.

Mieliśmy z Miriam małą sprzeczkę, ponieważ nie miałem ochoty wozić swoim spiderem tej niebezpiecznej miski bez przykrywki, natomiast ona nie miała ochoty jechać swoim wozem. „Jedziemy kabrioletem”, tak brzmiało jej hasło. No cóż, musiałem ustąpić i wyruszyliśmy z opuszczonym dachem i przedmiotem sporu solidnie upchniętym pod siedzeniem i przytrzymywanym przez Miriam nogami.

Żeby dotrzeć do domu van Ernów, musieliśmy wyjechać na R-81 w kierunku na Czerwonego Buka i skrócić w prawo cztery kilometry za Raquet Clubem. Potem jechało się wąską polną drogą przez pola lawendy, kawałek przez las i wjeżdżało na łagodne wzgórze, na którym stała posiadłość.

Nie mogłem nie wyrysować sobie w głowie, prowadząc samochód, uproszczonej mapy, na którą naniosłem pole rzepaku i klinikę. Jeśli moje obliczenia były zgodne z rzeczywistością, dom van Ernów powinien dzielić od ich kliniki dystans jakichś trzech kilometrów. Ponieważ dom znajdował się jakby za wielkim białym budynkiem i pozostałymi zabudowaniami wchodzącymi w skład ośrodka odwykowego – czyli, uściślając, bardziej na południe – stał o pięć kilometrów od tego zakrętu, na którym Chucks...

Skończ z tym! – nakazałem sobie w myślach.

Gdy wjechaliśmy na wzgórze, ujrzelśmy kilkanaście samochodów zaparkowanych po obu stronach podjazdu, bezpośrednio na trawie. Przypuszczalnie był to parking dla gości, więc skorzystałem z wolnego miejsca i zatrzymałem spidera między dwoma drzewami.

Miriam wysłała Edilii van Ern WhatsAppa, podczas gdy ja, najostrożniej jak potrafiłem, wyciągałem miskę z samochodu. Trochę mnie zaskoczyło, że Miriam i Edilia już zdążyły wymienić się numerami komórek, ale przypomniałem sobie, że przecież Miriam mówiła mi o tym, że ostatnio zapisała się na kurs pilatesu i jogi wraz z Edilią i panią Grubitz.

Udało mi się zatrzasnąć drzwi auta i nie wylać nawet kropli cennego syropu; w tym momencie Edilia z córką wyszły z domu, uśmiechając się już od progu. Spotkały Miriam w połowie drogi i wszystkie trzy wymieniły pocałunki. Ja, stojąc jak głupi i trzymając oburącz deser, zdołałem jedynie wybąkać: „Dzień dobry”. W trakcie przywitania mała Elvira patrzyła na mnie w milczeniu, z tą swoją miną, na której widok człowiek zaczynał posądzać się o to, że ma każdy but w innym kolorze, albo zastanawiać się, czy aby na pewno zapiął rozporek.

– Bert. – Edilia podeszła do mnie i ucałowała mnie w policzek; tylko raz, ale za to przedłużając pocałunek. – Tak mi przykro z powodu twojego przyjaciela. Jak się czujesz?

– Dziękuję. Już lepiej.

– Mam nadzieję, że będziesz się u nas dobrze bawił.

W drodze do domu minęliśmy murek porośnięty bluszczem. Dróżka wiodła lekko pod górę, między drzewami i dwoma szeregami klasycznych posągów. Ten przejaw artystycznego zbytku nie umknął uwagi Miriam.

– Dom został wybudowany przez jednego z Rothschildów na początku dwudziestego wieku – wyjaśniła Edilia – ale potem mieszkał tu przez długie lata Jim Walton.

– Ten kompozytor? – spytałem.

– Tak. Zajmował posiadłość przez pół życia, do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. To on stworzył te ogrody. Mówiąc szczerze, nie odważyliśmy się niczego tu zmienić.

Po chwili przed naszymi oczami wyłonił się w całej okazałości dom, otoczony doskonale utrzymanym trawnikiem. Był dwupiętrowy, a na parterze przylegał do niego ogromny taras, na którym stały huśtawki ogrodowe i rozpostarte były wielkie parasole. Wielkie przeszklone drzwi prowadzące do salonu były otwarte. Czuć było zapach dymu i pieczystego, a zza węgła dochodził szmer rozmów.

Około trzydziestu osób stało w grupkach w różnych zakątkach pięknego ogrodu na tyłach, gdzie znajdował się też wielki basen z trampoliną, otoczony leżakami i czymś w rodzaju wielkich pikowanych foteli. W pobliżu basenu ustawiono namiot ogrodowy, wokół którego zgromadziło się najwięcej osób. Wszystko było w biało-zielone pasy: namiot, parasole, leżaki i poduszki foteli. Przy rozstawionym ruszcie uwijało się kilku kucharzy, wydając hamburgery, kiełbaski i szaszłyki z warzyw. Jeden ze stołów był cały zastawiony szampanem w kubekach z lodem, a obsługa przygotowywała martini i inne drinki. Po drugiej stronie basenu ujrzałem Hermana Todda, który kończył rozstawiać perkusję swojego syna, oraz Britney rozmawiającą z grupką młodzieży w pobliżu wielkiego głośnika. Był tam także Elron, ubrany w garnitur i z papierosem w dłoni.

Miriam skierowała się wprost do niego, żeby wręczyć mu specjalne wydanie *W drodze* Jacka Kerouaca, do którego dołączony był mały dziennik podróżny. Chłopak ucałował Miriam trzy razy w policzek i podszedł do mnie z otwartymi szeroko ramionami. Usiłowałem uniknąć „niedźwiadka” i podać mu jedynie rękę, ale bezskutecznie, bo objął mnie silnie i wymierzył mi kilka silnych klepnięć w plecy. A niech to – pomyślałem – cóż za niezmierna wylewność uczuć.

Po tych wstępnych ceremoniach Edilia ujęła Miriam pod rękę i stwierdziła, że przedstawi ją wszystkim.

– Idziesz, Bert?

– Chyba będę tu przez chwilę potrzebny – odpowiedziałem, wskazując płataninę kabli i różnych akcesoriów leżących na ziemi w okolicach wzmacniacza. – Za chwilę do was dołączę.

Prawda jest taka, że odczuwam przesycenie pewnym rodzajem życia towarzyskiego, zresztą zawsze czułem do niego niechęć, a teraz jestem w stanie wytrzymać jedynie taką dawkę, która pozwala mi uniknąć opinii osobnika aspołecznego. To jedna z tych moich cech, których Miriam nie może znieść: na wszystkich tych eleganckich przyjęciach, na których ona czuje się jak ryba w wodzie, ja prędzej czy później zamieniam się w nieobecny duchem gościa, który co rusz wychodzi na balkon, żeby zapalić, albo kończy wieczór na rozmowie z kelnerem o wyścigach psów.

Nie wiem, w którym momencie tamtego dnia postanowiłem stać się nieobecnym gościem.

Przypuszczalnie już po paru godzinach, podczas których musiałem znosić nieodzowny program oficjalny. Pomogłem Hermanowi ze sprzętem, poszedłem po pierwsze martini i zostałem wciągnięty w wir uśmiechów, wzajemnego przedstawiania się i wypytywań. „To Bert Amandale, ten autor thrillerów”. Dwie szklanki martini i kilka papierosów później słońce prażyło już tak mocno, że marzyłem jedynie o tym, żeby móc wskoczyć do basenu. Rozmawiałem właśnie z panią Mattieu o projekcji filmu *Wschód słońca w Testamento*, planowanej na koniec września. Wypytywała mnie z wypiekami na policzkach (świadczącymi według mnie o tym, że droga pani Mattieu też jest z tych, którzy lubią się napić), czy będę mógł sprowadzić kogoś zaprzyjaźnionego z obsady filmu. Odpowiedziałem, że oczywiście, że się postaram. Nie miałem najmniejszego zamiaru wyjaśniać, że przyjaźnie w Hollywood są bardziej ulotne niż dymek z papierosa. Wróciłem do baru, gdzie barman w białej liberii rozpoznawał mnie już bez wahania. Wrzucił do szklanki dwie kostki lodu i wężyk wycięty ze skórki pomarańczy, po czym dopełnił ją martini bez zbędnych ceregieli. Dobry barman z daleka umie rozpoznać spragnionego faceta. Mimochodem trafiłem do grupki osób, które okazały się bliskimi znajomymi van Ernów. Ludzie żyjący na wysokiej stopie, konwersujący o swych domach w Nicei i rejsach po Pacyfiku na własnych jachtach. Napomykający o swoich przyjaciołach, którym wkrótce mają złożyć wizytę na Krecie. Jakiś gość w drogich okularach, przypominający Matta Damona w filmie *Ocean's Eleven*, opowiedział mi, że zwykł spędzać pół roku na Ischii, wyspie na Morzu Tyrreńskim, u znajomych, którzy mieszkają w dawnej posiadłości Trumana Capote'a. A potem stwierdził:

– Wy, pisarze, możecie wybierać. Dysponujecie czasem, macie swoje miejsce, swoje książki. Zazdroszczę panu. Chciałbym mieć taką pracę.

Gdy spytałem go, czym się zajmuje, bąknął, że inwestycjami, po czym szybko zmienił temat.

Po tym epizodzie miałem już po kokardkę odgrywania roli „Berta Amandale'a, ozdoby towarzystwa”. Wystarczyłoby mi na cztery przyjęcia, tym bardziej że nie przestawałem pić, natomiast nie pomyślałem, żeby też coś zjeść. Pałące słońce i poczucie, że jestem już nieco podcięty, skłaniały mnie do zapuszczenia się w inne rejony posiadłości. Bo czy byłem tu komuś tak naprawdę potrzebny? Britney i Elron, otoczeni grupką wspaniale wyglądającej młodzieży, bawili się w swoim towarzystwie, siedząc na tych wielkich fotelach przy basenie. Do koncertu, który miał się odbyć o zmierzchu, było jeszcze sporo czasu. Miriam była w swoim żywiole, czarowała obecnych, perorowała o artystach, o Londynie, o warsztatach ceramiki i kuchni *gourmet*. Natomiast ja wpadłem w szpony niskiego facecika, który pracował dla WHO w Lyonie i długo oraz szczegółowo tłumaczył mi, jak ważne są systematyczne szczepienia przeciwko grypie. Nie miałem innego wyjścia, jak zastosować stary, ale jary i niezawodny wykręt: powiedziałem, że muszę się udać do toalety. Podeszedłem do grilla i spytałem jednego z kucharzy o drogę.

– Proszę iść za wskazówkami – odpowiedział po francusku i wskazał mi kartkę przy schodach na taras, na której był napis: TOILETTES.

Wnętrze domu pogrążone było w miłym, rześkim półmroku. Szeroko otwarte przeszkłone drzwi wpuszczały promienie słońca, ale meble pod ścianami odpoczywały w cieniu. Północno-wschodni kąt pomieszczenia zajmował fortepian. Wyobraziłem sobie Jima Waltona komponującego przy nim w długie letnie popołudnia i wpatrującego się w rozległy, feeryczny pejzaż lasów i wzgórz, rozciągający się przed domem.

I gdy tak spoglądałem na bezludny krajobraz, kątem oka dojrzałem fragment innego budynku: kawałek dachu wystający ponad koronami drzew.

Na północnym wschodzie, pomyślałem. Ta myśl odesłała mnie do wyimaginowanej mapy,

którą układałem sobie w głowie podczas jazdy. Klinika. Oczywiście, to musi być klinika. Żłociste pole rzepaku. Zakręt nieboszczyka. Strażnicy i ich monstrualne psisko.

Podszedłem do fortepianu, pod pretekstem, że chcę mu się bliżej przyjrzeć, i stanąłem przy klawiaturze, spoglądając jednak w dal, przez okna. Dzień był słoneczny, niebo jasnobłękitne, bezchmurne; wędrowało po nim jedynie kilka małych obłoczków przypominających kłębki waty. Kilkaset metrów od domu, za doskonale wypielęgowanym trawnikiem, zaczynał się las. Na jego tle widać było kilka budynków, prawdopodobnie stajni, oraz długi drewniany płot otaczający teren.

Las za płotem – gęsty, iglasty, wyglądający jak ściana – z pewnością rozciągał się na jakieś osiemset czy tysiąc metrów. Tamten budynek, którego jedynie niewielką część mogłem stąd dojrzeć, musiał stać po jego drugiej stronie.

Aha! – pomyślałem – być może zobaczyłbym coś więcej z pierwszego lub drugiego piętra...

W tej samej chwili ktoś wszedł do salonu. Facet w koszuli w różnobarwną kratkę, którego ktoś już mi jakiś czas temu przedstawił. Wymamrotałem coś o łazience, a on wskazał na karteczkę i wyjaśnił z uśmiechem, że *toilettes* oznacza właśnie to pomieszczenie i żebym szedł za napisami.

Podziękowałem mu i poszedłem za jego namową w stronę następnych karetek. Toaleta znajdowała się na małym podeście w holu, tuż przy schodach. Na ścianie przy niej zaczynało się coś w rodzaju galerii obrazów, która ciągnęła się w górę klatki schodowej. Mnóstwo obrazów, namalowanych w różnych stylach i różnych rozmiarów. Portrety, martwe natury, jakieś prowansalskie pejzaże.

Stałem przy drzwiach przybytku i przyglądałem się obrazom, podążając wzrokiem za kolejnymi, wiszącymi coraz wyżej, aż moją uwagę przyciągnął jeden z nich, zdobiący półpiętro, jakieś dziesięć stopni ode mnie. Jak mi się wydawało, przedstawiał scenę w dżungli. Ciemnoskórzy tubylcy stali w rzędzie nad brzegiem rzeki i pozdrawiali nadpływającą łódź. W łodzi znajdował się ktoś ubrany na biało, wyglądający na misjonarza.

Owa scenka przywołała wspomnienie stron internetowych, które przeglądałem w komputerze Chucksa przed kilkoma dniami.

– Wchodzi pan?

Odwrociłem się; przede mną stał jeden z młodocianych kolegów Elrona.

– Tak, tak... – powiedziałem. – Przepraszam.

Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Nie byłem w nastroju, ale uczyniłem pewien wysiłek i wypite martini wypłynęło ze mnie z głośnym ciurkaniem. Umyłem ręce i wyszedłem, ustępując miejsca chłopakowi, który natychmiast skorzystał z okazji. A ja, zamiast wrócić do salonu, wszedłem na schody i podążyłem w górę. Dlaczego? Mógłbym się tłumaczyć stanem pewnego zamroczenia alkoholem, ale w rzeczywistości chodziło o coś innego. Mroczne przeczucie. Mrowienie i ucisk w żołądku.

Wchodziłem jakby nigdy nic, aczkolwiek ostrożnie, aż dotarłem na półpiętro. W gruncie rzeczy mógłbym wytłumaczyć swoje zachowanie chęcią obejrzenia dzieł sztuki. No bo co, do licha? Kiedy ktoś cię zaprasza do domu, masz prawo nieco powęszyć, czyż nie? Na półpiętrze przystanąłem i dokładnie przyjrzałem się obrazowi, który, jak mi się wydawało, przedstawiał scenę dziejącą się w Afryce. Odkryłem też, że w jego pobliżu powieszono kilka prymitywnych masek, wyrażających strach, śmiech i groźbę. Spojrzałem w górę. Schody kończyły się na małym przedpokoju, z którego odchodził korytarz. Z lewej strony wpadało nieco światła, więc pomyślałem, że musi się tam znajdować okno, z którego powinno być lepiej widać klinikę.

Naprzód! – rozkazałem sobie w myślach.

Na końcu korytarza znalazłem coś w rodzaju saloniku czy biblioteki. Obszerne pomieszczenie, zajmujące północno-wschodni róg domu. Ściany zasłonięte były regałami na książki i obrazami, którym z początku się nie przyjrzałem. Oślepiło mnie światło wpadające przez okno i procenty krążące we krwi. Z miejsca podszedłem do okna. Przyjęcie odbywało się po przeciwnej stronie domu, więc nie musiałem się zbytnio przejmować, że mój brak dyskrecji zostanie odkryty.

Dlaczego właściwie to robisz, Bert? – zastanawiałem się.

Nareszcie mogłem niemal w całości ujrzeć ostatnie piętro kliniki. Mam cię, pomyślałem. Maleńkie okienka pozwalały się domyślać, że i znajdujące się za nimi pokoiki były niewielkie, może rozmiaru mnisich cel. Z tej wysokości gdzieś na horyzoncie majaczyły nawet żółte pola rzepaku.

Naraz dostrzegłem coś jeszcze. Bliżej, w głębi lasu oddzielającego dom od kliniki. Niewielki budynek, którego nie można było zobaczyć od strony drogi, za to doskonale widoczny z okna domu van Ernów. Jego ściany były całkowicie białe. Gdy mówię, że były całkowicie białe, mam na myśli, że okna też były białe: zaślepione i zamalowane białą farbą. Nieprzyjemny widok. Ale to, co naprawdę przeraziło mnie do szpiku kości, to bryła budynku, neogotycka, z ostrymi łukami, maswerkami i iglicami na dachu. Wyglądało to jak mały kościółek albo jak...

O cholera! Jak... pustelnia.

Radosne głosy na parterze wyrwały mnie z osłupienia. Pomyślałem, że już zbyt długo zabawiam się w szpiegowanie; postanowiłem zejść i dołączyć do towarzystwa na dole, zanim ktoś mnie przyłapie.

Odwróciłem się, żeby wyjść, i wtedy mój wzrok padł na wielki obraz powieszony na południowo-wschodniej ścianie.

Z olbrzymim trudem powstrzymałem okrzyk wyrrywający mi się z gardła.

Dość trudno wyjaśnić, co było na obrazie, ale muszę zacząć od tego, że natychmiast skojarzył mi się z twórczością Francisca Bacona i jego przerażającymi malunkami mającymi za temat krzyk. W szczególności z jednym z nich, zatytułowanym *Krzyk papieża* – będącym interpretacją klasycznego dzieła Velázqueza *Papież Innocenty X* – który widziałem w Des Moines Art Center przed kilkoma laty. Wszystko sprowadzało się do sylwetki człowieka, który zarówno u Bacona, jak i na obrazie wiszącym w domu van Ernów przedstawiony był w pozycji siedzącej, na czymś w rodzaju krzesła tortur, z rękoma przywiązany do drewnianych poręczy. Miał spętane nogi i wyraz prawdziwej grozy na twarzy, wywołanej chyba widokiem krzyża, który przybliżała do niego jakaś ręka. Najprawdopodobniej obraz przedstawiał jakiś rytuał egzorcyzmów.

Puste spojrzenie oczu sportretowanego, jego usta, szeroko otwarte w absurdalnym grymasie, jakby krzyk miał wyrwać mu szczękę z zawiasów, wywarły na mnie takie wrażenie, iż poczułem, że chyba zwymiotuję. Ja pieprzę – pomyślałem, podczas gdy krew lodowaciała mi w żyłach – ja pieprzę, trzeba być naprawdę degeneratem, żeby trzymać coś takiego w salonie we własnym domu.

A to jeszcze nie wszystko. Wokół pełno było wstrętnych obrazów. Na jednym z nich ukazany był taniec wokół ogniska, w którym brali udział mężczyźni przebrani za lwy i pantery oraz kobiety z oczami o wywróconych białkach. Scena była oświetlona światłem księżyca; całość robiła naprawdę wstrząsające wrażenie.

Wtem moją uwagę przyciągnął inny obraz, wiszący na drugiej ścianie. Ten też mną

wstrząsnął, choć z innych powodów.

Był to portret mężczyzny na tle przyrody. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek na portrecie był krewnym Erica van Erna, bo ich podobieństwo rzucało się w oczy. To, że płótno nie przedstawiało Erica, również było niewątpliwe. Obraz został namalowany w innej epoce i miejscu, dobre kilkadziesiąt lat temu, o czym świadczył styl, a także bokobrody mężczyzny, jego biały, tropikalny ubiór i szerokoskrzydły kapelusz. Facet stał sztywno z laską w dłoni i wpatrywał się w widza przenikliwym wzrokiem. Za jego plecami rozciągał się tropikalny krajobraz z palmami, a u jego stóp znajdowały się jakieś małe zwierzęta, wyglądające na stworzenia symboliczne. Jednak uwagę przyciągał inny szczegół obrazu. Coś, co już po chwili przykuło moją uwagę. Coś, co sprawiło, że zadrżałem, a wszelkie ślady lekkiej nietrzeźwości do reszty wywietrzały mi z głowy.

Niewielki kościół.

Wybudowany na wzgórku, znajdujący się na średnim planie, pomiędzy mężczyzną i dalekimi wzgórzami na horyzoncie, wśród palmowego gaju. Mały drewniany budynek pomalowany na biało, z krzyżem na dachu. Wokół niego odbywała się jakaś ceremonia. Ciemnoskórzy ludzie, mężczyźni i kobiety, niewiadomej rasy. Wszyscy mieli na twarzach uśmiechy, które jednak nie wyglądały na radosne, lecz przypominały raczej przerażające grymasy.

– To dziadek – odezwał się jakiś głos za moimi plecami. Niemal wyskoczyłem z butów ze strachu.

Odwróciłem się i ujrzałem Edilię van Ern opartą o framugę drzwi, z kieliszkiem prosecco w rękę, spoglądającą na mnie z wyrazem rozbawienia na twarzy i czymś w rodzaju zadowolenia, jak kot, któremu udało się zagnać w kąt myszkę.

– Czyżbym pana przestraszyła?

– Nieco – odparłem, usiłując odzyskać normalny rytm serca.

– Przykro mi. Choć i tak ma pan szczęście, że nie przywołałam Erica. Pomyślałam, że zakradł się tu złodziej.

Lekko się zaczerwieniłem.

– Hm... zgubiłem się, szukając łazienki – powiedziałem.

Uśmiechnęła się. Wypiła łyk wina i oderwała się od progu. Podeszła i stanęła tuż obok mnie, w zwiewnej sukni koloru kości słoniowej, bujna i emanująca zwierzęcym seksapilem.

– Ależ, Bert, przecież szperałeś po domu. Nic się nie stanie, jeśli się do tego przyznasz. Zresztą można się było tego spodziewać po pisarzu.

– No cóż – odchrząknąłem – powiedzmy, że zgubiwszy drogę, postanowiłem się trochę rozejrzeć. Macie państwo bardzo ciekawy dom.

– Oczywiście – odparła i odwróciła się do mnie plecami. Nagimi, bo z tyłu dekolt sięgał jej do pasa. – Jak się panu podoba nasza kolekcja sztuki?

– Czy mogę być szczerzy?

– Ależ proszę.

– Delikatny sposób na jej opis to powiedzieć, że jest niepokojąca. – Mówiąc to, odwróciłem się do obrazu z wrzeszczącym człowiekiem. – Ale jeśli chce pani, żebym użył słowa dokładniej opisującego ten...

– Nie, nie potrzeba. Ja też tak sądzę. To przerażające. Jednak podobno jest to cenne dzieło sztuki. Nie przypomina panu obrazów Bacona? Był Irlandczykiem, tak jak pan, i także mieszkał w Londynie.

– Zgadza się w pełni. Geniusz grozy.

– Tak czy owak, to spadek po dziadku, a Eric zachował go ze względów sentymentalnych. On też mieszkał w Surinamie, tam dorastał.

– W Surinamie?

– To dawna kolonia holenderska w Ameryce Południowej. Między jedną i drugą Gujaną. Rodzina Erica stamtąd się wywodzi.

– Aha. To dużo tłumaczy.

– Te obrazy... No i maski... Większość z tych rzeczy niezbyt przypada mi do gustu. Ale Eric jest nieugięty. Podejrzewam, że w głębi duszy odczuwa pewną skłonność do tematu bólu i lęku. Myślę, że ma to dużo wspólnego z jego zawodem. Przez całe dni wpatruje się w dusze różnych ludzi. No, wie pan...

– A ja myślałem, że zajmuje się luksusową terapią odwykową.

– Oczywiście, ale pracuje według swojej własnej metody. To ściśle określona metoda. Bardzo skuteczna.

– Mam nadzieję, że nie polega na tym, co jest przedstawione na obrazie.

Edilia się roześmiała. Staliśmy ramię w ramię i nie wydawało się, żeby chciała przerwać nasze zbliżenie. Zastanawiałem się, co by tu powiedzieć, aby nie zapadła między nami cisza.

– Macie państwo wielu klientów?

– W klinice? To nie jest wielkie przedsięwzięcie. Maksymalnie możemy przyjąć dziesięć osób naraz, choć rzadko kiedy mamy pełne obłożenie.

– Dziesięć? Przypuszczalnie niewielu ludzi stać na wydanie fortuny na terapię.

– Powiedzmy, że nasi pacjenci mogą sobie na nią pozwolić. Ludzie, którzy do nas przyjeżdżają, często są z rodzaju tych, którzy mogą zrzuć cały kraj jednym przyciśnięciem guzika – zaśmiała się. – Ale mamy też fundację. Eric przyjmuje bezpłatnie kilkunastu pacjentów rocznie. Zwykłych, normalnych ludzi, choć oczywiście obarczonych problemem alkoholizmu czy narkomanii. Są leczeni w naszej klinice za darmo.

– To godne podziwu.

– Tak. To dawny zwyczaj, wprowadzony jeszcze przez dziadka van Erna – wskazała palcem na obraz z mężczyzną wyglądającym jak misjonarz. – Był protestanckim pastorem w koloniach. Człowiekiem głębokiej wiary.

– Aha. No tak. To dlatego na tym obrazie jest przedstawiona... pustelnia.

– Pustelnia? – powtórzyła Edilia van Ern, patrząc na mnie poważnie. Po raz pierwszy bez uśmiechu. – Cóż to za dziwne słowo? Jak pan na nie wpadł?

– A nie jest to pustelnia?

– Może... – Wychyliła kieliszek do dna. – Ja zawsze nazywam to kaplicą.

– To kwestia słownictwa, jak przypuszczam. Czy ten biały budynek, który widać tam za oknem, w lesie, to także kaplica?

Przez chwilę w kocich oczach kobiety zamigotało zaskoczenie. Potem, jakby się reflektując, usiłowała się uśmiechnąć.

– Dzieje tego budynku są straszne, wie pan? Była to niewielka synagoga, wybudowana przez rodzinę Rothschildów. Pod koniec wojny, gdy Niemcy grupowali tu siły, żeby bronić Marsylii, odkryli ten budynek. Wnętrze, ozdobione polichromią, zostało splądrowane i zniszczone, a na koniec naziści spalili w środku Żydów z okolicy, którym aż do tamtej chwili udało się ukrywać. Konkretnie dwadzieścia osób. W tym dzieci. Teraz budynek jest używany jako magazyn.

– No coś takiego! Widzę, że państwa dom ma sporo z zamku strachów z wesołego miasteczka – powiedziałem i zaśmiałem się nerwowo. Edilia, milcząc, patrzyła na mnie poważnie.

Ja też zamilkłem i staliśmy tak, w milczeniu, pod uważnym, bezlitosnym spojrzeniem pastora van Erna.

– Chodźmy stąd. Widok dziadka wyprowadza mnie z równowagi. A ponadto – rzekła, ujmując mnie za ramię i macając mój biceps – Eric i Miriam mogą pomyśleć, że robimy tu na górze coś zdroźnego.

– Sądzi pani?

Edilia van Ern przysunęła swoją twarz do mojej i wpatrzyła mi się z bliska w oczy. Jej wargi niemal dotykały moich.

– Eric jest bardzo zazdrosny. Nie myśli pan, że Miriam także mogłaby mieć powody do zazdrości?

– Ona ma do mnie zaufanie.

Edilia uśmiechnęła się, puściła moje ramię i odstąpiła krok do tyłu.

– Tym bardziej mamy powody, żeby niezwłocznie wrócić na dół. Wyobraźnia jest potężną siłą, a pan jako pisarz powinien o tym doskonale wiedzieć.

Już po chwili rozpoczął się koncert Mongrel State. Było to dla mnie prawdziwą ulgą móc uciec od pustych konwersacji i posłuchać trójki wykonawców: Britney i braci Todd. Do tego Herman Todd i jego żona, która dołączyła do nas po chwili, stanęli na wysokości zadania i przynieśli kilka puszek piwa, wygrzebanych z beczki z lodem stojącej przy barze. Stanęliśmy pod drzewem i w milczeniu wysłuchaliśmy koncertu, popijając piwo i wygłaszając krótkie komentarze między jednym utworem a drugim.

Przed sobą mieliśmy Elrona i jego młodzieżowe towarzystwo, obok kilkunastu czterdziestolatków w zabawowym nastroju, a naprzeciw audytorium stała przy mikrofonie Britney, absolutna gwiazda tej chwili, z gitarą Fender Jazz Bass. Rick Todd z gitarą Firebird i Chris Todd przy perkusji wspierali ją w tle, gdy głos mojej córki ślizgał się po marmurowych progresjach akordów zgrabnie, jak łyżwiarka po lodzie. Naprawdę fenomenalne trio.

Nie byłem jednak w stanie cieszyć się tym występem w pełni. Ziarno wątpliwości, które wykiełkowało już wcześniej w moim umyśle, teraz rozrastało się na podobieństwo złośliwego nowotworu i nie dawało mi spokoju. W mojej wyobraźni trwała nieustająca projekcja niepokojących obrazów.

Tego samego wieczoru, gdy wracaliśmy do domu, Miriam poinformowała mnie, że Eric zaprosił nas na krótki pobyt na Ibizie, a wycieczkę mieliśmy odbyć jachtem należącym do van Ernów.

– Jachtem? Co ty, Miriam, przecież dopiero co ich poznaliśmy.

Była ósma, a my wracaliśmy sami moim samochodem. Britney, Elron i reszta młodzieży wybrali się na tańce. Jechaliśmy z opuszczonym dachem, ciesząc się chłodnym, aromatycznym powietrzem, w którym czuć było lato.

– To tylko weekend, Bert. Jakoś to wytrzymasz. Ich willa na Ibizie musi być fantastyczna... Powiedziała mi o tym Grubitzowa. Nawiasem mówiąc, ona i jej mąż nigdy nie zostali tam zaproszeni.

– Tak, ale... No, nie wiem. Zapakować się na łódkę z tymi ludźmi... Sama wiesz, co się dzieje na jachtach. Wszystko wydaje się idyllą, ale tylko gdy się patrzy na to z zewnątrz. Co innego, jak zbrzydną ci współpasażerowie.

Wziąłem zakręt chyba zbyt raptownie i opony spidera zapisały na asfalcie.

– Czy mógłbyś zwolnić?

– Przepraszam! – krzyknąłem.

– Wydaje się, że nie masz ochoty na ten rejs. Odmówię im zatem.

– To nie o to chodzi, Miriam. Tylko wydaje mi się, że zbyt szybko się zaprzyjaźniamy z van Ernami.

– Zbyt szybko? Jak to rozumiesz?

– Po prostu. Jednego dnia nawet ich nie znamy, a następnego już zapraszają nas do domu. No i na jacht.

– Weź się ogarnij, Bert. To dla Britney.

– Wiem, wiem, że dla Britney, ale i tak... A co będzie, jak młodzi się pokłócą? Ponadto my przecież nie wiemy, co to za jedni.

– Co masz na myśli?

– Oglądałem obrazy, które wiszą u nich w domu na pierwszym piętrze. Coś naprawdę przerażającego. Jakiś facet przywiązany do krzesła, wrzeszczący ze strachu na widok krzyża... Ja pieprzę, na samą myśl o tym włosy mi się jeżą. I to, że mieszkają tuż obok swojej kliniki... Nie wiem, jak ci to wyjaśnić... Wszystko w ich domu wygląda dziwnie. Wiesz, że pochodzą z Surinamu?

– Słyszałam, że Eric dorastał w koloniach, ale nie wiedziałam, gdzie konkretnie.

– Do dzisiaj nawet nie wiedziałem, gdzie leży ten cholerny kraj. No, a co do tego obrazu, to coś à la Francis Bacon, ale brutalne i dzikie. No i te inne ohydne malowidła... Nie wiem... Coś w tych van Ernach mi się nie podoba.

– Jak na to, że ci się nie podobają, to z Edilią wydajesz się być w świetnej komitywie. Dzisiaj na przykład spędziliście razem sporo czasu.

Roześmiałem się.

– Rozglądałem się po ich domu, z ciekawości, i ona mnie na tym przyłapała. Chyba nie jesteś zazdrosna?

Spojrzałem na żonę. Wyglądała cudownie w świetle zmierzchu. Miała okulary przeciwsłoneczne, głowę okrytą chusteczką i obnażone ramiona.

– Uważaj! – wrzasnęła.

Muszę przyznać, że tym razem rzeczywiście o mało nie wypadliśmy z jezdni.

– Przepraszam!

– Nie jestem zazdrosna – ciągnęła Miriam – ale zauważyłam, jak się prężysz, kiedy z nią rozmawiasz, i jak robisz z siebie macho.

– Daj spokój, Miriam – zaśmiałem się. – To tylko trochę niemądrego szpanu, nic więcej. Wiesz przecież, że według teorii...

Miałem na myśli coś, o czym czytałem wiele lat temu: że ludzie są z natury poligamiczni i że społeczeństwo tłumi te tendencje, żeby wyeliminować konflikty i skierować stłumioną energię w kierunku działalności produktywnej. A w zamian istnieją kokieteria, taniec, zaloty i tym podobne, żeby zaspokoić żądzę podboju. Choć niektórym jednostkom to nie wystarcza.

– Nie, nie mam zamiaru po raz kolejny wysłuchiwać twoich teorii. Może byłyby interesujące dla antropologa, ale ja jestem twoją żoną.

Przed samochód wbiegł zając, musiałem dać raptownie po hamulcach; to do reszty wyczerpało cierpliwość Miriam, która krzyknęła:

– I jedź wolniej, bo pewnego pięknego dnia rozwalisz sobie łeb!

Próbowałem się zbliżyć do Miriam tej nocy. Pogłaskałem ją przez koszulę i pocałowałem

w szyję, ale tylko na mnie warknęła. Być może mógłbym jeszcze wszystko naprawić, mówiąc, że zgadzam się na rejs jachtem, że z radością udam się z van Ernami na Ibizę i że moglibyśmy stać się jedną z tych par, które jednak od czasu do czasu uprawiają seks. Ale nic nie powiedziałem. Zamiast tego wziąłem jakąś książkę i zacząłem czytać, licząc na to, że po chwili usnę, ale nic z tego (natomiast Miriam niemal natychmiast zaczęła pochrapywać). Po godzinie nadal przewracałem kartki, jednak tak naprawdę nie byłem w stanie uchwycić żadnego sensu w tym, na co patrzyłem.

Podniosłem się ostrożnie z łóżka, włożyłem tenisówki, zszedłem po schodach i wyszedłem do ogrodu. Była piękna, gwiaździsta noc, świecił rogalik księżycyca. Pojawiła się skądś Lola, lubiąca nocne spacerować, i przez chwilę głaskałem ją po grzbiecie.

A potem poszedłem do swojej szopy i zabrałem się do tego, co postanowiłem zrobić już w chwili, gdy natknąłem się na dziwaczne obrazy van Ernów.

Google nie był zbyt pomocny tej nocy. Od Chucks'a wiedziałem, że niektórym ośrodkom odwykowym nie zależy na pozycjonowaniu w internecie ani w ogóle na żadnej reklamie, a namiary na nie są podawane z ust do ust w bardzo wąskich kręgach. Menedżerowie, gwiazdy, celebryci, milionerzy... Sprawdziło się to w przypadku kliniki van Erna, która miała tylko prościutką wizytówkę w sieci, z jednym zdjęciem (panoramyczne zdjęcie budynku na tle złocistych pól), numerem telefonu i adresem mailowym do kontaktu.

Wyszukiwanie po wpisaniu hasła „van Ern” także nie dało jakichś szczególnych rezultatów. Elron miał konto na Facebooku, całkowicie niedostępne dla anonimowych użytkowników, choć udało mi się rozpoznać jego twarz na zdjęciu profilowym (zwisiał uczepiony masztu, przypuszczalnie na tym jachcie, który stał się przedmiotem mojego sporu z Miriam). Ani Eric, ani Edilia nie mieli konta, a wyszukiwanie, nawet połączone ze słowem „Surinam” lub „Gujana”, nie dało żadnych wyników.

I wtedy przypomniałem sobie te strony, które Chucks zostawił otwarte w swoim komputerze. A konkretnie tę z człowiekiem o głowie pokrytej bliznami i o miejscu zwanym Szpital w Dżungli Ojca Dave'a.

Po kilku nieudanych próbach wreszcie wpadłem na trop. Nazwa ta w 2001 roku pojawiała się często w serwisach informacyjnych, zwłaszcza francuskich, ale także i międzynarodowych, jak CNN lub BBC. Pisano o zatrzymaniu obywatela francuskiego, Davida Renanve'a, znanego jako Ojciec Dave, Papa Horror lub Mengele z Gujany. To skojarzenie z Josefem Mengele, zbrodniarzem z Auschwitz, który poddawał więźniów okrutnym, pseudolekarskim i śmiertocnym doświadczeniom, sprawiło, że ścisnęło mnie w żołądku.

Nie da się ukryć, że Ojciec Dave był prawdziwym potworem. Głównymi drzwiami dołączył do pocztu najsłynniejszych sadystycznych zbrodniarzy wszech czasów. Urodził się jako David Sennoran Jackson w robotniczej dzielnicy Portland, w Oregonie, w rodzinie baptystów. Już w wieku siedemnastu lat został znanym mówcą religijnym, a ponadto zaczął samokształcenie w dziedzinie psychiatrii, którą się niezwykle zainteresował. W latach siedemdziesiątych został dwukrotnie zatrzymany za prowadzenie praktyki bez uprawnień, przy czym w jednym z przypadków został oskarżony o doprowadzenie do samobójstwa kobiety, którą poddawał pseudonaukowej terapii. Został skazany na trzy lata więzienia i od tego momentu pojawiają się różne wersje jego dalszego życia. Niektóre źródła twierdzą, że w więzieniu był notorycznie wykorzystywany seksualnie. Inne, wprost przeciwnie, podają, że to właśnie tam zaczął w pełni dawać upust swym sadystycznym instynktom, stworzył swoją pierwszą sieć przestępczą i ponosi odpowiedzialność za kilka zabójstw współwięźniów. Tak czy owak, po wyjściu na wolność

zmienił nazwisko na Dave Renanve i został wolontariuszem grupy o nazwie Soul Batalion for Mental Health w Nevadzie. Według strony internetowej KnowTheTruth.com (tak, zdaję sobie sprawę z tego, że ta strona to zbiór paranoidalnych teorii spiskowych) ugrupowanie to było sekretnie finansowane przez CIA w ramach reaktywacji projektu kontroli nad umysłem zwanym MK-Ultra. Wkrótce Dave zaczął gromadzić wokół siebie współpracowników i akolitów, przyciąganych mistyką łączącą treści religijne i psychiatryczne. Jego reputacja jako uzdrowiciela uwalniającego ludzi od chorób umysłowych i nałogów rosła, o czym świadczyła ulotka dystrybuowana w Las Vegas, skierowana do osób, które pragnęłyby się poddać jako ochotnicy nowej, „naukowej” terapii alkoholizmu (widziałem jej kopię). Podobno szkolił go słynny Ernest Reno, twórca metod łączących chirurgię czaszkową i elektrowstrząsy z terapią środkami psychotropowymi w przypadkach halucynacji i schizofrenii. Ale wszystko to są jedynie przypuszczenia.

Następny jego kontakt z wymiarem sprawiedliwości miał miejsce w roku 1985, gdy został oskarżony o zgwałcenie jednej z pacjentek, po czym wyszło na jaw, że ponownie zajmuje się nielegalnym praktykowaniem medycyny. Udało mu się ująć przed karą i wraz z grupą zwolenników schronić w Gujanie Francuskiej. Tam, za pieniądze pochodzące z nieznanego źródła (niektóre informacje z sieci ponownie wskazują na CIA, choć inne mówią o przemyśle narkotyków i nielegalnych leków), kupił ogromną połąć ziemi i założył Szpital w Dżungli Ojca Dave’a. Miejsce to, przeznaczone rzekomo na potrzeby odpoczynku i uzdrowienia umysłu, działało w warunkach całkowitej izolacji przez niemal piętnaście lat, bez najmniejszej kontroli lekarskiej.

W 2001 roku jakiś mężczyzna zgłosił się na główny komisariat policji w Kourou i zeznał, że pod nazwą Szpital w Dżungli kryje się prawdziwe piekło. Najbiedniejsi pacjenci, przyciągani obietnicą darmowego leczenia, byli zmuszani do pracy na polach ryżu i kukurydzy stanowiących własność szpitala albo traktowani jako króliki doświadczalne i poddawani dziwnym eksperymentom. Świadek, któremu udało się przeżyć, opowiedział, że został zamknięty w małym pomieszczeniu, gdzie wbito mu w głowę igły, którymi co pięć minut puszczany był prąd. „Posadzili mnie na «tronie przyjemności», jak to nazywali, w niewielkim domu, czymś w rodzaju kaplicy, która stała w pewnym oddaleniu od głównych budynków. Tam robili mi zastrzyki z narkotyków i gdy byłem na wpół przytomny, wyświetlali różne rzeczy w mojej głowie. Robili tak, że widziałem, jak ze ścian wychodzą jakieś osoby. Kot zżerał mi nogi. Na półkach leżały ludzkie głowy. Ale to były tylko sny. Tak przynajmniej mi mówili, gdy wrzeszczałem z przerażenia”.

Rząd zamorskiej prowincji, być może spełniając rozkazy z Paryża, wysłał ekipę śledczą, która po przybyciu na miejsce została zamordowana. Po pięciu godzinach pojawił się tam batalion policji, ale w tym czasie połowa kompleksu szpitalnego już płonąła, a Ojciec Dave i jego współpracownicy uciekli.

Po tygodniu odnaleziono ich na Martynice, a nawet udało się zatrzymać Ojca na kilka godzin, lecz jego zwolennicy napadli na hotel w Bellefontaine, gdzie go przetrzymywano, i zabili trzech policjantów, a dwóch ranili. Tej samej nocy, według zeznań kilku świadków, Ojciec Dave opuścił Martynikę na pokładzie statku rybackiego, udając się w nieznanym kierunku. Są świadectwa, że w ciągu następnych lat był widziany w Buenos Aires, Rio de Janeiro lub nawet w Madrycie, ale nie ma co do tego pewności i od tej pory wszystko zaczyna opierać się na domysłach.

Według twórców strony KnowTheTruth.com gdzieś około roku 2005 Ojciec Dave

zainstalował się w Europie. Powołują się na zeznania pewnego przemytnika nielegalnych środków farmaceutycznych, zatrzymanego w Amsterdamie pod koniec 2008 roku, który twierdził, że ułatwił mu dostawy różnych eksperymentalnych środków odurzających. Jednak zanim doszło do śledztwa, przemytnik ów został zamordowany w areszcie za pomocą kawałka sztywnego kabla wbitego w tętnicę szyjną.

Inne, równie mało zasługujące na zaufanie strony donoszą o śmierci Ojca Dave'a na jednej z wysp na Pacyfiku w roku 2002. Grupa dwunastu osób popełniła samobójstwo, a ich ciała spłonęły w pożarze bungalowu w Santa Marta, co próbowano połączyć z działalnością sekty Ojca Dave'a. Agenci francuskiej policji, którzy udali się na wyspę w celu przeprowadzenia śledztwa, stwierdzili, że zostały znalezione dowody łączące grupę samobójców z niektórymi z jego współpracowników. Jednak analiza DNA szczątków nie wykazała, żeby jego ciało znajdowało się wśród zwłok spalonych w pożarze.

Policjanci, którzy w 2001 roku w Gujanie Francuskiej weszli do jednego z budynków Szpitala w Dżungli, który nie padł pastwą pożaru, znaleźli w nim dwadzieścia sześć osób: każda z nich była zamknięta w „pokoju przyjemności”, podłączona do różnych kabli, z częściowo otwartą czaszką i pod wpływem potężnych dawek narkotyków. Z tych dwadzieścioro sześciorgo ocalonych aż dziewięcioro popełniło samobójstwo w przeciągu następnych trzech lat. Ośmioro innych usiłowało – bezskutecznie – odebrać sobie życie. Reszta znajduje się po dziś dzień w szpitalach psychiatrycznych; ludzie ci cierpią na schorzenia o typie schizofrenicznym, koszmary i gwałtowne zaburzenia halucynacyjne. Wszyscy utrzymują, że Ojciec Dave jest ukryty w ich głowach, że może wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chce, bo to właśnie im zrobił: zainstalował im w głowach drzwi.

Osiemnastoletnia dziewczyna, która nigdy nie wypowiedziała żadnego słowa od chwili swojego ocalenia, sporządziła rysunek swoich wizji. Mężczyzna o wielkich, pustych oczach uśmiecha się i ustami o wielkich zębach zamierza się wgryźć w małą, dziecięcą główkę.

Była czwarta nad ranem, gdy skończyłem to wszystko czytać. Dałem sobie spokój po tym, jak się przekonałem, że następny wpis na stronie KnowTheTruth.com dotyczy Elvisa Presleya, który według jego autorów zmarł w wieku osiemdziesięciu lat w chacie w Heaton, w Dakocie Północnej, gdzie wiódł żywot samotnika, pijąc drewno w lesie i zajmując się wytwarzaniem węgla drzewnego.

To było dla mnie jedynym pocieszeniem: powiedzieć sobie, że wszystko, co przeczytałem, było wytworem chorego umysłu jakiegoś trzeciorzędnego pismaka. Jednak pociecha ta niewiele mi dała, bo część historii Ojca Dave'a musiała być prawdziwa, a przynajmniej prawdą było to, co dotyczyło rzekomej kliniki w dżungli i jego ucieczki.

Dżungla... dżungla i klinika... Czy mógł to być przypadek? Czy to nie nazbyt dziwny zbieg okoliczności? To, że zobaczyłem te obrazy w domu van Ernów, że znalazłem informacje o Ojcu Davie w komputerze Chucks'a... Usiłowałem być racjonalny, usiłowałem znaleźć wytłumaczenie tego wszystkiego, wrócić do początków. Dlaczego spędziłem noc na czytaniu o Ojcu Davie? Ponieważ najpierw zrobił to Chucks. Chucks, który strawił ostatnie godziny życia, usiłując prześledzić losy Daniela Someresa, ponieważ miał niezbitą pewność, że to właśnie jego potrafił na drodze. Był o tym święcie przekonany. I grzebiąc w sieci, idąc drogą różnych artykułów o teoriach spiskowych i konspiracjach, natrafił na wiadomości o Ojcu Davie. Jednak podstawowe pytanie brzmi: jaki jest związek Someresa z tą historią?

Wyłączyłem laptopa i zapaliłem ostatniego papierosa z paczki. Byłem cały skostniały

i trząłem się, jakby temperatura nagle spadła o dziesięć stopni.

Udałem się więc do Różyczki i jej kurewek, aby poprosić je o azyl umysłowy.

Tej nocy bez ich wsparcia nie byłbym w stanie nawet oka zmrużyć.

„Zabawy u nas trwają do białego rana, *baby*”.

Rozdział trzeci

1

Na poniedziałkowy rano przygotowałem sobie kilka wymówek, żeby ukryć planowaną wyprawę do Monako, ale okazały się one niepotrzebne. Miriam wyjechała bardzo wcześnie na zajęcia pilatesu i zostawiła mi krótką notatkę: „Zjem obiad na mieście i wrócę późno”.

Była na mnie obrażona od chwili, gdy zaoponowałem przeciwko pomysłowi wycieczki na Ibizę z van Ernami. To była jej stara, wypróbowana strategia. Ani seksu, ani dzień dobry. Jednak tym razem sprawa była poważna i musiałem – nawet kosztem znoszenia focha mojej żony – wyjaśnić parę spraw, zanim zbyt szybko zaprzyjaźnimy z tymi ludźmi.

Jedynie kilka drobnych uściśleń.

Zjadłem śniadanie w towarzystwie Britney, lub raczej w obecności Britney i jej iPada. Usiłowałem się dowiedzieć, jak jej minął weekend, ale w odpowiedzi wymruczała tylko coś niezrozumiałego, jednocześnie komentując coś na Twitterze i lajkując wpisy. O wpół do dziewiątej odjechała na swoim skuterze, a ja dokończyłem pić kawę w ogrodzie, z Lolą u stóp („Dobra Lola. Ty jedyna w tym domu jeszcze zwracasz na mnie uwagę”).

Potem zarzuciłem kurtkę na grzbiet i wsiałem do spidera. Włączyłem GPS w komórce i wklepałem jako cel Cap-d’Ail, gdzie według Marka mieszkała siostra Daniela Someres.

Cholera, nie miałem najmniejszego pojęcia, jak się zabrać do sprawy, więc postanowiłem zdać się na los i improwizować. Napędzała mnie dojmująca świadomość, że właśnie tak muszę postąpić. Muszę zrobić to, o co prosił mnie Chucks. Obietnica jest obietnicą. „Ustalmy wspólnie, co robił Someres na drodze do Nicei i jak umarł. Zapewniam cię, że jeśli trochę w tym pogrzebiemy, odkrywamy bardzo dziwne rzeczy o jego śmierci”.

Już od dłuższego czasu nie prowadziłem samochodu na dłuższym dystansie. Gdy mieszkaliśmy w Londynie, często to robiłem. W weekendy miałem zwyczaj wypuszczać się moim sportowym MG do Brighton, a nawet do Szkocji. Odwiedzałem znajomych, robiłem zdjęcia, które potem inspirowały mnie do pisania, i wracałem późną nocą, gdy tłok uliczny w stolicy nieco malał.

Pogoda się ustaliła i mogłem jechać z opuszczonym dachem. Uwielbiam to uczucie swobody, kiedy owiewa mnie wiatr. Zdjąłem też buty i prowadziłem na bosaka, co jest następnym małym kaprysem, któremu lubię się oddawać. Załadowałem do odtwarzacza płytę *Pet Sounds* zespołu The Beach Boys i wtórowałem falsetowi Briana Wilsona we wspaniałej piosence *Sloop John B*.

Pierwszy postój wypadł mi tuż za Brignoles. Skorzystałem z toalety, wypiliśmy kawę i pogadałem chwilę z dwiema młodymi Niemkami, które też były w drodze do Monako. W sklepiku na stacji benzynowej znalazłem kilka egzemplarzy moich powieści, przysypanych stosem twórczości Amandy Northörpe, której wielka fotografia wyeksponowana była nad ekspozytorem na książki. Amanda pozowała z uśmiechem, siedząc przy biurku, a napis głosił tryumfalnie: „Ponad milion czytelników we Francji!”.

Muszę powiedzieć Markowi, że ja też powinienem sobie trzasnąć takie zdjęcie, pomyślałem. A potem napełniłem bak do pełna i ruszyłem w drogę.

Na wysokości Nicei skręciłem w stronę Alp Nadmorskich i wjechałem na krętą drogę Grande Corniche. Oddychałem intensywnym zapachem lasów piniowych, który mieszał się z delikatnym aromatem drzew oliwnych rosnących gdzieś przy drodze. Mijałem wielkie urwiska skalne, które groźnie wznosiły się nad szosą, jakby chcąc zrzucić głazy na mój samochód i zgnieść mnie na miazgę, a po przeciwnej stronie szosy, w dole, migotało w słońcu Morze Śródziemne, doskonale błękitne i piegowate od żagli.

Do tej pory jedynie raz w życiu jechałem tą słynną szosą, unieśmiertelnioną w wielu filmach, na przykład w *Złodzieju w hotelu Hitchcocka*, ale wtedy były ze mną Miriam i Britney i, o ile pamiętam, przez całą drogę trwała kłótnia. Tym razem dla odmiany mogłem się do woli napawać widokami robiącymi ogromne wrażenie. Zatrzymałem się w La Turbie, żeby popatrzeć na Monako i port w Èze, które z oddali wyglądały jak miasteczka z klocków. Potem zjechałem na Basse Corniche, kręcąc jeden zakręt po drugim na przyprawiającej o zawrót głowy szosie, gdzie pewnego dnia przed wieloma laty Grace Kelly utraciła kontrolę nad kierownicą. Do celu, czyli miasteczka Cap-d'Ail, dotarłem około trzeciej po południu.

Postanowiłem, że najlepiej będzie zaparkować samochód i iść coś zjeść. Jedyнным lokalem otwartym o tej porze był bar z indonezyjskim jedzeniem, gdzie na szczęście mieli plan miasteczka z wyszczególnionymi usługami, więc mogłem ustalić, gdzie pracuje siostra Someresa. Udałem się tam zaraz po zjedzeniu pysznego ryżu z przyprawami. Sklepik znajdował się w porcie i był typową budą z tandetnymi kostiumami kąpielowymi, pareo i podobnego typu letnimi ubraniami dla niezamożnych turystów. Za ladą siedziała znudzona dziewczyna czytająca jakieś pismo, a z radia wydobywał się niestrawny francuski pop. Podeszedłem bliżej, przedstawiłem się dość nieśmiało i spytałem, czy mam przyjemność z Andream Someres.

– Nie – odpowiedziała dziewczyna, raptownie podnosząc głowę i przyglądając mi się ze zmarszczonymi brwiami. Ładna brunetka, króciutko obcięte włosy, piercing i smukła szyja. – Andrea jest na urlopie.

Zauważyłem, że się zaczerwieniła.

– W jaki sposób mogę się z nią skontaktować? – spytałem, usiłując nie dać po sobie poznać, że domyślam się, iż mija się z prawdą.

Dziewczyna rozejrzała się na boki.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Bert Amandale – przedstawiłem się powtórnie. – Słyszała pani o mnie? Zresztą nieważne. Jestem... jestem pisarzem. Przyjaźniłem się z Danielem, bratem Andrei.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Aha... przepraszam. Jak pan powiedział, że się pan nazywa?

Po raz trzeci powtórzyłem swoje nazwisko.

– Dowiedziałem się o tym, że miał wypadek i... – mówiłem dalej – ...no cóż, nigdy nie poznałem Andrei, ale mieszkam w okolicy i Anne-Fleur, agentka Daniela, powiedziała mi, że miał tu siostrę. Tak więc przyjech

– Oczywiście, oczywiście. – Wydawało się, że dziewczyna wreszcie załapała. – Ona tu mieszka, w Cap-d'Ail. Mogę panu podać adres. Jest teraz w domu.

Andrea mieszkała na obrzeżach miasteczka, na szczycie jednego z wielu wzgórz, które jak mur otaczały stary port. Wsiadłem do samochodu i okropnie stromym podjazdem dotarłem do

małego domku znajdującego się tuż przy szosie. Obok niego stał stary kurnik, kilka kur poszukiwało robaków w zdziczałym ogródku, a ozdobę posesji stanowiły tandetne łapacze snów i koszarne gipsowe krasnale przy wejściu, które nosiły ślady niejednego zgaszonego na nich papierosa.

Użyłem wiszącej na drzwiach kołatki i po chwili usłyszałem skrzypienie starych, drewnianych schodów. Otworzyła mi niziutka dziewczyna, góra trzydziestoletnia, o pięknej twarzy i dużych piwnych oczach. Z jej wyglądu (fryzura z wygolonym bokiem głowy i piercing) wywnioskowałem – i postawiłbym na to piwo – że ona i dziewczyna ze sklepu są parą.

– Dzień dobry... Pan Amandale?

– We własnej osobie.

– Berta zadzwoniła do mnie ze sklepu, żeby mnie uprzedzić, że pan przyjdzie. Jestem panu bardzo wdzięczna. Proszę wejść i dać się zaprosić na kawę.

Przez ciemny korytarzyk weszliśmy do małego saloniku oświetlonego światłem wpadającym przez panoramiczne okno. Na stoliku stało oprawione duże zdjęcie obydwu dziewczyn.

– Berta jest moją partnerką – powiedziała Andrea, zauważywszy, że przyglądam się fotografii. – Mieszkamy razem. Kawa czy herbata?

– Poproszę o kawę.

Andrea przeprosiła, wyszła i po chwili wróciła z dzbankiem kawy, butelką śmietanki i pudełkiem ciastek. Na zewnątrz kury biegały sobie swobodnie po ogrodzie.

– Nie widziałam pana na pogrzebie – powiedziała, wyciągając filiżanki ze starego kredensu. – Obawiam się, że zorganizowaliśmy go zbyt pośpiesznie. Nie było zbyt wielu osób.

– Otóż... Ja dowiedziałem się z gazety – wyjaśniłem. – Przypadkiem.

– Nie wiedziałam, co Daniel by wołał. – Umieściła przede mną filiżankę na spodeczku. – To znaczy, jak chciałby być pochowany. Spaliliśmy go. Mam nadzieję, że zrobiliśmy, co należało.

– Z pewnością. Bez wątplenia – powiedziałem.

Zapadła cisza. Andrea nalewała kawę, a ja przypomniałem sobie Chucksę w trumnie tuż przed kremacją. Jego zniekształconą, martwą twarz.

– Znał go pan bliżej?

– Słucham? – Pytanie oderwało mnie od moich wizji.

– Daniela. Jak blisko go pan znał?

– Spotkaliśmy się kilkakrotnie w Paryżu. W tamtym czasie Anne-Fleur Kann, wie pani, jego agentka, reprezentowała także mnie. Mieliśmy parę okazji, żeby porozmawiać o książkach.

– O, tego jestem pewna. Daniel i jego sposób rozmowy – zaśmiała się. – Nie dopuszczał rozmówcy do głosu.

– To prawda. Pamiętam go jako kogoś niezmiernie gadatliwego.

– Był bardzo inteligentnym człowiekiem. Szlachetnym. Ale skłonny do obsesji. Żył dla swoich książek i dla swoich śledztw. Ale przecież pan też jest pisarzem, z pewnością nie jest to dla pana niczym dziwnym.

– Ja piszę powieści – odpowiedziałem. – W nich wszystko jest fikcją: wymyślam osoby i scenerie i zaczynam manipulować tym wszystkim jak w teatrze lalek. Daniela pochłaniało coś, co nie było tak dziecinne; te jego śledztwa to była poważna sprawa.

– Tak. To było jego pasją.

Mówiąc to, Andrea poderwała się z miejsca i podeszła do kredensu, skąd przyniosła zdjęcie, żeby mi je pokazać. Stali na nim obydwój, obejmując się ramionami. Daniel był trochę wyższy od siostry. Mieli podobny kształt głowy i wydatne szczęki. Blond włosy. Za ich plecami płynęła

rzeka.

– Marsylia?

– Tuluza – odpowiedziała. – Tam się wychowaliśmy. I mieszkaliśmy tam aż do... aż do śmierci naszych rodziców. Potem ja wyjechałam na jakiś czas do Berlina, a Daniel zaczął pisać książki. Zachowaliśmy rodzinne mieszkanie.

– Wasi rodzice zginęli w wypadku?

– Zniknęli – odparła Andrea. – Byli na pokładzie samolotu, który leciał z Paryża do Sydney i wpadł do Pacyfiku. Kojarzy pan to wydarzenie?

– Chyba tak. Tego samolotu nigdy nie odnaleziono, prawda?

– Dokładnie. Daniel miał siedemnaście lat, gdy to się zdarzyło. Ja jedynie jedenaście. Być może dlatego na mnie nie wywarło to aż takiego wpływu. Ale on wysłuchiwał tych wszystkich dyskusji w telewizji i w radiu, w których snuto najrozmaitsze teorie. Sądzę, że to nie było dla niego dobre i uwarunkowało go... Potem zaczął pisać i... Zresztą zna pan ciąg dalszy tej historii i wie, że czasem działał, wręcz ryzykując życie.

Oczy Andrei zamgłyły się łzami.

– Na jego pogrzebie nie było tłumów, bo w gruncie rzeczy nigdy nie miał zbyt wielu przyjaciół. Dlatego tak się cieszę, że pana poznałam, panie Amandale. Sądziłam, że nikomu nie będzie go brakowało! Nazywano go „chodzącym kłopotem”, bo zawsze próbował się gdzieś wkręcić, przeniknąć na te konferencje i inne takie, wie pan. Ale on zawsze wierzył w to, co robi. To z pewnością można o nim powiedzieć. Był szczerze przekonany, że te wszystkie tajemnicze siły istnieją i że jego misją jest ujawnić ich działanie. Tysiące razy nazywano go wariatem... Biedny Daniel...

Dziewczyna płakała już zupełnie otwarcie, a i mnie zaszkliły się oczy. Podałem jej chusteczkę i milczałem z szacunku dla jej bólu.

– Mogę zapalić? – spytała.

– Oczywiście. Ja też zapalę.

Napełniliśmy po raz drugi filiżanki kawą. Andrea zaczęła dochodzić do siebie. Przyjęła ode mnie papierosa i przeprosiła za załamanie. Powiedziałem, że powinna dać sobie prawo do płaczu. To dobrze robi, gdy się jest w żałobie. A potem spytałem:

– Wie pani, czym się ostatnio zajmował? Anne-Fleur powiedziała mi, że od miesiący nie dawał znaku życia.

– To prawda. Jakies trzy miesiące temu zadzwonił do mnie z Tuluzy. To była dziwna rozmowa. To samo powiedziałam Bercie tamtego dnia, gdy dowiedziałam się o jego wypadku. Pierwsze, co człowiekowi przelatuje przez głowę, gdy się dowiaduje o czyjejś śmierci, to ostatnia z nim rozmowa.

Potaknałem. Sam doskonale pamiętałem ostatnie słowa, jakie usłyszałem od Chucksa: „Zostanę ze swoimi widmami”.

– To było tak, jakby zadzwonił, żeby się pożegnać. Zresztą nawet spytałam go żartem, czy znowu ma zamiar ściągnąć sobie kłopoty na głowę. Czekał go proces w związku z wtargnięciem na tamto spotkanie w Genewie, a ponadto ci neonaziści grozili mu śmiercią. Ale powiedział mi, że to nie jest związane z tamtymi sprawami. Że wpadł na nowy trop, odkrył jakąś „naprawdę dużą rzecz”, jak się wyraził, ale że jeszcze musi się upewnić. I tyle. Potem jakby go ziemia pochłonęła. Ale takie zachowanie było dla niego typowe. Dużo podróżował i niemal zawsze starał się pozostać niezauważonym. Jak mówiłam, miał wielu wrogów.

– Prasa twierdzi, że tamtej nocy jechał, żeby panią odwiedzić. Byliście umówieni?

– Nie.

– Nie zadzwonił, żeby panią uprzedzić, że ma zamiar przyjechać?

– Nie. To nawet byłoby do niego podobne. Natomiast zastanawia mnie, że miał zamiar się tu zjawić o drugiej w nocy. Berta i on nie byli w najlepszych stosunkach. Jakieś głupstwa, ale naprawdę wydało mi się dziwne, że po trzech miesiącach całkowitego milczenia... Może jechał jednak w jakieś inne miejsce. Nie wiem... Sądzę, że nigdy się tego nie dowiemy.

– Mówiła pani o tym policji?

– Tak, ale nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia. Może ktoś tam u nich się przestraszył. Ktoś na górze. Daniel był kontrowersyjną postacią i policja z pewnością obawiała się, że prasa się na nich rzuci, jeśli będą jakieś niejasności. Faktem jest, że sam wypadek miał jasną przyczynę. Tak mi powiedzieli. Daniel jechał za szybko i samochód wpadł w poślizg na plamie oleju czy czymś takim. Utracił panowanie nad kierownicą. Czysta sprawa. Tak mi powiedzieli.

Dokładnie tak samo czysta jak wypadek Chucksa w basenie, pomyślałem. Przeszedł mnie dreszcz.

– Pani w to wierzy?

– Chciałabym wierzyć, panie Amandale. Cóż innego mogłabym począć? Berta mówi, że oszaleję, jeśli zacznę sobie wmawiać różne rzeczy. Że zazwyczaj najprostsze wyjaśnienie jest tym właściwym.

Kiwnąłem głową i pozwoliłem, żeby przez chwilę zapanowała cisza, zanim zadam jej najważniejsze pytanie.

– A czy wie pani, gdzie przechowywał swoje... Owoce swojej pracy. Pytam, bo być może zależałoby mu na tym, żeby ktoś podjął jego dzieło.

Andrea się uśmiechnęła.

– O to samo zapytała mnie Anne-Fleur jakiś czas temu i powiedziałam jej to samo, co i teraz powiem panu: Daniel nie zwierzał się nikomu ze swoich spraw. Jeśli coś przechowywał, cokolwiek by to było, to mogę ręczyć, że albo schował to pod stutonowym gładem, albo zabezpieczył najtrudniejszym hasłem, jakie można sobie wyobrazić. Jego obsesją było to, że jest śledzony. Był pewien, że te „nieczyste siły”, którym rzucił wyzwanie do walki, są wszędzie. Że żyje pod obserwacją.

– A czy mówi coś pani słowo „pustelnia”?

Andrea zmarszczyła brwi, starając się przywołać jakieś skojarzenie.

– Nie. Nic mi nie mówi. Dlaczego pan pyta?

– To słowo wypowiedział Daniel podczas ostatniego... Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem. To miało chyba coś wspólnego z jego śledztwem.

– A kiedy pan się z nim ostatnio widział?

– Ja... Jakiś rok temu.

Przełknąłem ślinę i miałem nadzieję, iż Andrea nie odkryje, że powiedziałem nieprawdę.

– Nie. Nie wiem, o co mogło chodzić. Ale powiem coś, co może się panu przyda. Wiem, że w Paryżu odwiedził kilka razy jakiegoś mężczyznę. W szpitalu.

– W szpitalu?

– Powiedział mi o tym ostatnim razem, gdy mnie odwiedził. Wybierał się do Paryża, do szpitala, żeby z kimś porozmawiać. Z jakimś pacjentem. To miało coś wspólnego z jego najnowszą książką, właśnie zaczynał nad nią pracować. Wydaje się, że się zaprzyjaźnili.

– Wie pani, jak się nazywał ten mężczyzna albo gdzie mógłbym go znaleźć? Może skierowałyby nas na jakiś trop...

– Nie mam pojęcia. Ale gdybym się o czymś dowiedziała, dam panu znać.

Berta wróciła do domu po szóstej. Ona i Andrea zapraszały mnie na kolację, ale powiedziałem, że muszę wracać do siebie. Nad Alpami Nadmorskimi zaczynało się zmierzchać, gdy ruszyłem w drogę.

Jechałem przez dobre pół godziny, nie włączając muzyki, aż dotarłem do miejsca, które opisała mi Andrea: „Zakręt nie jest zabezpieczony barierką, są tam jedynie niewysokie słupki. W zeszłym tygodniu pojechałam tam, żeby złożyć bukiet kwiatów”.

Udało mi się bez większych trudów zlokalizować miejsce, gdzie rzekomo zginął Daniel Someres. Dwa separatory i długa czerwono-biała taśma nadal zaznaczały miejsce wypadku i ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Kwiaty Andrei też tu były, jednoznaczne w swojej wymowie, odbierając przejeżdżającym kierowcom ochotę do brawury.

Jechałem w kierunku Nicei, a punkty widokowe, gdzie można się było zatrzymać, znajdowały się po przeciwnej stronie szosy, musiałem więc przeczekać, aż minie mnie długi rząd samochodów, żeby móc zaparkować. Wypaliłem papierosa, potem z rękami w kieszeniach szedłem wąziutkim poboczem, a ludzie siedzący w mijających mnie autach rzucali na mnie ciekawskie spojrzenia.

Podszedłem do samej krawędzi przepaści i spojrzałem w dół. Ciemnoniebieskie morze biło o wapienną ścianę jakieś trzydzieści metrów poniżej szosy.

Przyjrzałem się dokładnie przebiegowi drogi w okolicach zakrętu, mając na uwadze to, że samochód Someresa rzekomo jechał od strony Nicei. Łuk nie był jakoś ekstremalnie ścisły ani też źle wyprofilowany, ale zakręt był na zjeździe i kończył się pod ostrym kątem. Pomyślałem, że ktoś, kto jechałby za szybko i na chwilę uległ roztargnieniu, istotnie mógłby wypaść na pobocze i zlecieć w dół.

Chociaż, oczywiście, wszystko mogło przebiegać zupełnie inaczej.

Dwa samochody, myślałem. Potrzebne były dwa samochody. W bagażniku jednego przywieźli trupa. Przyjeżdżają nocą i parkują na tym punkcie widokowym. Może symulują konieczność zatrzymania się, a może nic takiego nie było potrzebne. Stawiają kogoś na poprzednim zakręcie, jakieś pół kilometra dalej, żeby ich na czas uprzedził, gdyby zbliżał się jakiś samochód. W odpowiedniej chwili wyciągają Daniela z bagażnika, sadzają go na fotelu kierowcy, zapinają mu pas i blokują kierownicę. Czujka daje im znać, że wszystko w porządku, więc uruchamiają silnik, wrzucają trójkę i popychają samochód w dół, wprost na zakręt...

Znów przejechał koło mnie jakiś samochód, niemal mnie muskając. Jego kierowca zatrąbił, uzmysławiając mi, że wybrałem sobie niebezpieczne miejsce na spacer. Faktycznie, słońce już schowało się za góry i widoczność na szosie była ograniczona.

2

W drodze powrotnej mój umysł pracował na pełnych obrotach. Starłem się połączyć w całość to, co już wiedziałem, i byłem tak skoncentrowany na swoich przemyśleniach, że ledwie zwracałem uwagę na to, co dzieje się na szosie.

Chucks potrąca Someresa na drodze i ucieka. Wtedy oni – ta organizacja, która wcześniej ściagała Someresa – biorą na celownik Chucksa. Ale w jaki sposób dowiedzieli się o wszystkim? Czyżby widzieli, jak doszło do wypadku? Może dotarli do Chucksa po numerze rejestracyjnym

samochoду?

– Ależ nie! – krzyknąłem głośno. To było o wiele prostsze. Przecież Chucks sam zgłosił się na komisariat w Sainte Claire, żeby o wszystkim powiedzieć. Gdyby wtedy nie złożył zeznania, jego sekret mógłby zostać pogrzebany na zawsze. Ale zrobił to i, do cholery, zrobił to, idąc za moją radą! W ten sposób wieści błyskawicznie się rozeszły. Te małe miasteczka... Te plotki, które krążyły jak pył w podmuchach wiatru... To wystarczyło, aby tamci wpadli na jego trop. Zaczęli go śledzić. Może nawet podsłuchiwali jego rozmowy telefoniczne. Te głosy, które Chucks usłyszał poprzez wzmacniacz – one były rzeczywiste! To były głosy spiskowców! To jasne!

Ale... Dlaczego postanowili go zabić? Może uznali, że bezpieczniej będzie usunąć go z drogi? Doszli do wniosku, że nikt nie będzie mógł powiązać jego śmierci ze śmiercią Somerese... W końcu chodziło o gwiazdę rocka, kogoś ekstrawaganckiego, z niestabilną psychiką, skłoną do paranoi. To się rzucało w oczy. Jego śmierć zaaranżowali tak, żeby wyglądała na wypadek, podobnie jak to zrobili z Somerese. Wymyślili coś, co nie wzbudza podejrzeń. „Czysta sprawa”.

A jeśli to wszystko jest prawdą – pomyślałem z dreszczem zgrozy – to wzrok spiskowców musiał w którymś momencie spocząć na nas, na mojej rodzinie. Począwszy ode mnie samego, bo byłem najlepszym przyjacielem Chucksa, a potem na Miriam i na Britney. Jakie to dziwne, że van Ernowie pojawili się w naszym życiu wkrótce po wypadku Chucksa! Edilia i jej uprzejme zaproszenie na wernisaż Richarda Starka. Elron flirtujący z Britney. Przecież ona sama powiedziała, że przez cały rok szkolny nie zwracał na nią uwagi! I nagle taki przypływ uczuć! Wszystko to nastąpiło po tym, gdy Chucks zdradził się ze swoim przeżyciem na drodze.

A teraz ci ludzie byli jak drapieżne ptaki, krążące nad naszym domem. Na co jeszcze czekali, żeby zaatakować?

Musiałem wyprzedzić ich atak. Musiałem jak najszybciej coś zrobić. ałem, by złożyć jej kondolencje i spytać, czy mogę jej w czymś pomóc.

Rozdział czwarty

1

– Ojciec Dave? Ma pan na myśli tego człowieka z Gujany?

– Słyszał pan o nim?

V.J. spoglądał na mnie z lekkim uśmiechem.

– No cóż – zaśmiał się już otwarcie – to jeden z najbardziej poszukiwanych przestępców we Francji. A teraz niech mi się pan przyzna: to pana pomysł na nową książkę?

– Nie... Ależ nie... – zaprzeczyłem, dochodząc jednocześnie do wniosku, że jeszcze nie jestem gotowy, żeby omówić z nim ten temat.

Na razie zajmowaliśmy się maszynopisem powieści V.J., który spoczywał w skórzanej teczce, oflankowany przez dwa piwa Orval, na stoliku w bocznej salce baru La Boutique w Saint-Rémy, gdzie umówiliśmy się w ten wtorkowy wieczór. To był doskonały pretekst, żeby móc się spotkać z V.J. poza budynkiem komisariatu: porozmawiać o jego twórczości literackiej, choć mój cel w rzeczywistości był całkiem inny.

Ale, po zapuszczeniu tej wstępnej sondy, doszedłem do wniosku, że czas na moje „teorie spiskowe” jeszcze nie nadszedł, że najpierw musimy wypić jeszcze przynajmniej po dwa orvale na głowę. Tak więc poświęciłem się omawianiu notatek na marginesach, które porobiłem w trakcie lektury powieści V.J. Od rana przeczytałem jednym ciągiem sto dwadzieścia stron i musiałem stwierdzić, że tekst był dość obiecujący, choć miał poważną wadę konstrukcyjną: cierpiał na ewidentny problem z rytmem narracji. Lektura przypominała odsłuchiwanie nagrania piosenki, podczas którego perkusja włączała się i wyłączała, nadając całości zupełnie bezsensowny rytm. Usiłowałem przekazać autorowi swoją myśl, podając mu przykłady i cytaty, i V.J. chyba załapał, o co chodzi. Potem podszedł do nas kelner, przynosząc talerzyk z wędlinami i serami oraz jeszcze dwa piwa.

V.J. był entuzjastycznie nastawiony do mojej krytyki swojego dzieła, tym bardziej że nie szczędziłem mu pochwał za sposób, w jaki skonstruował swoich bohaterów.

– Ale teraz zmieńmy temat. Nie możemy przecież mówić wyłącznie o mojej książce! O czym to pan napomknął? O jakiejś okropnej historii związanej z Ojcem Dave’em, kimś w rodzaju doktora Mengele, nieprawdaż? Ale on przypuszczalnie już nie żyje. Wraz z kilkoma zwolennikami popełnił samobójstwo na jakiejś wyspie na Pacyfiku.

– To jedna z teorii – stwierdziłem. – Są też inne, że facet nadal żyje i ukrywa się w Europie.

– Ma pan rację – zgodził się V.J. – Sam widziałem w zeszłym roku w telewizji program o tym, że jakiś człowiek, który rzekomo utrzymywał z nim kontakt, zmarł podczas bójki w więzieniu. Tak czy owak, to dość nieprzyjemny temat. Dlaczego jest nim pan zainteresowany, panie Amandale?

Pociągnąłem długi łyk ze szklanki i odstawiłem ją na drewniany blat. Spojrzałem na V.J. i miałem moment zawahania, obawiałem się, że robię potworne głupstwo. Jednak jednocześnie

musiałem, po prostu musiałem się komuś zwierzyć. Musiałem wyrzucić tę teorię z siebie i usłyszeć, jak brzmi.

– Chcę panu coś opowiedzieć, Vincencie, i mam nadzieję, że pozostanie to między nami.

Pocziwy V.J. podniósł brwi do góry w geście zdziwienia i wykrzyknął:

– Ależ oczywiście, Bert! Proszę liczyć na moją dyskrecję. Będę milczał jak grób.

– Zgoda, ale proszę pamiętać, że to tylko teoria, dobrze? Coś, co wpadło mi do głowy i nie daje spokoju, od kiedy Chucks... No, wie pan. Pamięta pan, że tydzień przed śmiercią twierdził, że potrafił jakiegoś mężczyznę na drodze R-81?

– No jakżeby nie, przecież pojawił się pan na komisariacie z tą całą historią.

– Kompletna historia jest taka, że piliśmy Pod Czerwonym Bukiem. Pożegnaliśmy się i ja pojechałem w swoją drogę, a on w swoją. I kiedy był na wzgórzach, na jednym z zakrętów ktoś nagle pojawił się na szosie. Mężczyzna, który mógł przybyć jedynie z lasu. Rozumie pan, co mówię? Na wysokości posiadłości van Ernów.

Zauważyłem lekką zmianę wyrazu twarzy V.J. Może czekał raczej na to, że zdradzę mu fabułę mojej najnowszej powieści. Albo zwierzę się, że zapadłem na nieuleczalną chorobę. Albo wręcz przyznam mu się, iż nieoczekiwanie odkryłem, że gustuję w mężczyznach. Wydawało się, że oczekiwał czegośkolwiek, ale nie tego, o czym właśnie zacząłem mówić.

– Ale przecież to jasne, że miał halucynacje – powiedział. – Pan sam w rozmowie ze mną przyznał, że w przeszłości monsieur Basil cierpiał na halucynacje. Nie ma pan chyba teraz zamiaru twierdzić, że to się naprawdę zdarzyło?

– Powiedzmy, że nabrałem pewnych wątpliwości. A zresztą co tu dużo mówić: wątpię także, żeby śmierć Chucksa była przypadkowa.

V.J. szepnął tylko: „*Mon Dieu*”², złapał za swoją szklanekę i pociągnął łyk. W tej samej chwili jakaś para zajrzała do salki i widać było, że zamierza zająć miejsce. Spytałem V.J., czy wyjdzie ze mną na papierosa. W La Boutique było z tyłu małe patio, na którym można było palić i które o tej godzinie było puste. Wyszliśmy z naszymi piwami i wybrałem ławki w jak najdalszym kącie, obok muru porośniętego bluszczem i kamiennego stolika ozdobionego aniołkami. Rozsiadliśmy się, zapaliliśmy, po czym opowiedziałem V.J. całą moją „teorię spiskową”.

Widziałem, jak na jego twarzy pojawia się wyraz osłupienia, gdy zacząłem mówić o Danielu Someresie, człowieku, którego Chucks potrafił – czego był całkowicie pewien – i który kilka dni później został znaleziony martwy w co najmniej dziwnych okolicznościach ponad sto kilometrów od Saint-Rémy. Wyjaśniłem mu, że sam początkowo nie uwierzyłem przyjacielowi, ponieważ przypomniałem sobie, że przed laty znaliśmy Someresa i wydawało mi się, że Chucks konfabuluje. Potem opowiedziałem o śledztwie, jakie przeprowadził Chucks w internecie, i o tym, jak wpadł na pomysł, że może istnieć połączenie między Danielem Someresem i Ojcem Dave'em.

Czasami wystarczy opowiedzieć na głos jakąś historię, żeby zdać sobie sprawę z tego, jak źle brzmi i jak bardzo nie trzyma się kupy. Właśnie takie wrażenie odniosłem podczas wygłaszania swojej przemowy. A gdy już doszedłem do części związanej z obrazami, na które się natknąłem w domu van Ernów, zdałem sobie sprawę z tego, że moje wnio

– Moment, moment – zatrzymał moją gorączkową przemowę V.J. – Mówi pan, że van Ernowie mają portret Ojca Dave'a w swoim salonie?

Nie myliłem się chyba, słysząc w jego głosie tłumiony śmiech.

– Nie... Ależ nie. To nie on, oczywiście – odpowiedziałem. – Ale mają tam obrazy z Gujany.

Oni tam mieszkali, w Surinamie, wiedział pan o tym?

– Panie Amandale, chwileczkę. Surinam to nie jest Gujana Francuska. To Gujana Holenderska.

– Wiem! Ale czy nie wydaje się to panu dziwnym zbiegiem okoliczności?

V.J. odchrząknął. Zapalałem właśnie trzeciego papierosa z rzędu i nie miałem już ani łyka w szklance. Miałem za to całkiem wyschnięte gardło. V.J. jakby zapomniał o swoim orvalu.

– Czy mogę napić się z pana szklanki? Zaszło mi w gardle – spytałem.

– Ależ bardzo proszę. – Powiedział to jakby zgaszonym głosem.

Opróżniłem jego szklankę jednym długim łykiem i otarłem usta rękawem koszuli. Pociągnąłem dym z papierosa i dalej wyłuszczałem swoją teorię.

– No więc to, co chcę powiedzieć, to że jeśli Chucks mówił prawdę i ten facet, którego potracił, to był Daniel Someres... To się ze sobą wiąże. Może prowadził jakieś śledztwo w klinice van Erna i został wykryty. Uciekał, ktoś go gonił, i wyskoczył z nienacka na drogę! Nie wydaje się panu, że tak mogło być?

– A więc sugeruje pan, że to van Ernowie usunęli trupa z szosy, gdy pan Basil uciekł swoim samochodem, czy tak?

– Dokładnie tak.

– I że kilka dni później pozbyli się go w wypadku?

– Tak właśnie.

– A to wszystko dlatego, że w ich klinice ukrywa się Ojciec Dave?

– Zgadza się.

Głos zaczął mi drżeć i zdałem sobie sprawę, że w istocie dygocze mi całe ciało. V.J. wstał, światło księżycza padło na jego twarz. Była poważna, bardzo poważna.

– To fantastyczna opowieść, panie Amandale – powiedział w końcu. – Wspaniały pomysł na powieść... Nie sądzi pan chyba jednak, że to wszystko ma jakiś związek z rzeczywistością?

– No cóż, ja... No więc... Myślałem... Sądziłem, że... hm... Może pan się jeszcze napije? – wyjąkałem. – Ja chyba potrzebuję jeszcze jednego piwa.

– A ja sądzę, że powinien pan przestać pić, panie Amandale. Z całym szacunkiem, ale widzę, że jest pan bardzo zdenerwowany. Lepiej się przejdźmy. Odprowadzę pana do domu i w drodze porozmawiamy. Obydwu nam dobrze zrobi trochę świeżego powietrza.

Zapłaciłem i wyszliśmy na Place Flavier. Mimo iż był to środek tygodnia, pod gwiazdzistym niebem w Saint-Rémy panował spory gwar. Ludzie pili pastis, wino lub piwo w kawiarnianych ogródkach i na restauracyjnych tarasach, przyglądali się przechodniom, dobrze się bawili. Szliśmy ulicą La Fayette'a aż do granicy miasteczka i V.J. wyjaśnił mi, co sądzi o tym wszystkim, co ode mnie usłyszał.

– Proszę, niech pan to sobie przemyśli, Bert – poprosił. – Nie ma pan najmniejszych dowodów na nic.

– Tak pan sądzi?

– Zacznijmy od początku. Teorię już na wstępie można podważyć z powodu tego, że samo potrącenie kogokolwiek przez pana Basila jest mało prawdopodobne. Nie było śladów krwi ani żadnych śladów na jego samochodzie. Potem ta sprawa, że pana przyjaciel nagle uzmysłowił sobie, że potrącił rzekomo tego Someresa, człowieka, którego już znał skądinąd. Ależ, panie Amandale, niech pan będzie rozsądny. To połączenie dokonało się w głowie pana Basila i było jedynie objawem jego wybujałej fantazji. Pan sam mi przed chwilą powiedział, że wydało się to panu jakimś szalonym *déjà vu*.

Chciałem coś wtrącić, ale V.J. już się rozpędził.

– Idźmy dalej. Sprawa Ojca Dave’a z pewnością była znana Someresowi, skoro – jak pan twierdzi – zajmował się dziennikarstwem śledczym i był miłośnikiem tajemniczych spraw. Zresztą wystarczyło oglądać telewizję, żeby się o niej dowiedzieć. Ale co z tego wynika? W jaki sposób miałyby to mieć związek z van Ernami?

– W tej właśnie sprawie policja powinna przeprowadzić śledztwo! – oznajmiłem. Mówiąc to, przypomniałem sobie, że Chucks wspomniał o dziwnych ranach na głowie Someresa. Jednak z jakiegoś powodu, najprawdopodobniej dlatego, że nie chciałem już do reszty się pogrążyć i wyjść na błazna, nic o tym nie wspomniałem.

– No dobrze – zgodził się V.J. – Powiedzmy, że policja przeprowadzi śledztwo. Ale w jakiej sprawie? Przecież, wbrew temu, co pan twierdzi, nic tu się w żaden sposób nie łączy z van Ernami. Jakież obrazy, pamiątka z pobytu w koloniach, miałyby ich zamienić w podejrzanych? To przypadek, Bert. Nic się za nim nie kryje.

– Zgadzam się, wszystko to są przypadki. Ale – zawiesiłem głos – czy nie za dużo tych przypadków? Umiera Daniel Someres. Umiera Chucks... Ich śmierć następuje w odstępach kilku dni.

Gdzieś rozległo się szczekanie psa, a w oddali na drodze pojawił się samochód, świecąc nam w oczy długimi światłami. Odwróciliśmy głowy, czekając, aż przejedzie.

– Nie mam pojęcia, co się stało z tym dziennikarzem, ale mogę pana zapewnić, że o ile chodzi o pana przyjaciela Chucks’a, to zmarł śmiercią naturalną. Czytałem protokoły ze sprawy, panie Amandale. A Marsylia dysponuje jednym z najlepszych zespołów techniki kryminalnej, jakie mamy w naszym kraju. Jeśli o mnie chodzi, nie mam najmniejszych wątpliwości, że pan Ebeth Basil nie został zamordowany. Ale, niech panu będzie, dokonajmy pewnej pracy umysłowej. Przyjmując, że pana teoria jest prawdziwa, zadajmy sobie pytanie: dlaczego jacyś ludzie mieliby go zabić? Co zyskaliby w wyniku jego śmierci?

– Nie wiem, V.J. Może chodziło o to, że myśleli, że Daniel mu coś powiedział? Że przekazał mu jakąś informację.

– I Chucks coś panu o tym mówił?

– Nie... To znaczy, tak. Powiedział mi, że Daniel Someres powiedział mu coś, zanim umarł. Tylko jedno słowo: „*l’ermitage*”. Od tygodni nad tym rozmyślam. Co to mogło oznaczać? No i naraz, przez przypadek, odkrywam, że van Ernowie mają kilkaset metrów od domu kaplicę. A właściwie okazało się, że to synagoga.

V.J. zaczął się śmiać.

– Jest pan niesamowity, Bert. Co za fantazja! Ale przecież *l’ermitage* – wymówił to słowo po francusku – to nie to samo co synagoga, to przecież oczywiste. Tak czy owak, wymyślił pan sobie mrozącą krew w żyłach historię.

Dotarliśmy już do mojego domu na końcu drogi.

– Bardzo trudno jest się pogodzić ze śmiercią przyjaciela, Bert – ciągnął V.J. – Ale musi pan uważać i nie rzucać tego typu oskarżeń. Van Ernowie mogliby wystąpić przeciwko panu z powództwem sądowym za oszczerstwo. Nie mówiąc już o tym, jakie byłyby konsekwencje społeczne tego typu pomysłów, o ile wieść o nich by się rozeszła. Wie pan przecież, jakie są te małe miasteczka.

– Wiem, Vincencie. Wiem...

V.J. spojrział w rozgwieżdżone niebo i westchnął. Potem popatrzył mi w oczy i dostrzegłem wyraz ubolewania w jego wzroku.

– No dobrze. Pozwoli pan, że rzucę na to okiem. Pogrzebię w sieci, zadam kilka pytań i mam nadzieję, że nieco rozświetlę pana mroczne domysły, zwłaszcza dotyczące tego dziennikarza. Ale jestem pewien, że niczego nie znajdę. Bo nie ma niczego do znalezienia. Ojciec Dave! – zaśmiał się. – A teraz będę musiał wrócić tą ciemną drogą do domu i będę się trząsł ze strachu! – zażartował i poklepał mnie po ramieniu, żeby mnie pocieszyć.

Doceniłem jego starania i udałem, że się uśmiecham.

2

Kiedy szedłem ścieżką przez ogród, czułem się jak kompletny krety. Nie ulżyło mi w żaden sposób. Nie odczuwałem zadowolenia z tego, że otworzyłem się przed V.J., wprost przeciwnie, czułem się tak, jakbym wyraźnie mu udowodnił, że oszalałem. Widziałem to w jego wzroku. Mogłem to odczytać ze sposobu, w jaki do mnie mówił podczas naszej przechadzki z Saint-Rémy. Z tego, jak na koniec usiłował mnie pocieszyć i sprawić, żebym się uśmiechnął. To oczywiste, że Vincent pomyślał, że całkowicie odleciałem i że szwankuję na umyśle.

A to pociągało za sobą proste pytanie: czyżbym rzeczywiście pograżał się w szaleństwie?

W miarę jak zbliżałem się do drzwi, coraz wyraźniej słyszałem, jak Lola ujada między drzewami w sadzie. Pomyślałem, że powinienem pójść, usiąść sobie obok niej i zapalić papierosa oraz trochę ją pogłaskać. Wiedziałem, że z całą pewnością nikt w domu tego nie robi. Britney nigdy nie było, a Miriam stwierdziła, że po psie śmierdzą jej ręce. I ja, i suka byliśmy więc w podobnej sytuacji. Odrzuceni. Mnie Miriam też już nie dotykała od dłuższego czasu.

Lola szczełała w tym samym miejscu ogrodu co poprzednio, przed gęstą kępą zarośli rosnącą za moją szopą. Ujadała i warczała, jakby tam, w tym ciemnym zakątku, było coś, czego nie lubiła i czego się bała. Gdy gwizdnąłem, podbiegła do mnie. Zagłębiłem palce w jej złocistej sierści i zacząłem ją głaskać za uszami, po szyi i grzbiecie.

– Co się dzieje, Lola? Jakiś wstrętny kot się z tobą drażni?

Podszedłem bliżej do tego miejsca, które suka obszczekiwała, i stanąłem, żeby mu się przyjrzeć. To był skrawek ogrodu, który nigdy bliżej nie zaprzętał mojej uwagi. Narożnik porośnięty gęstym i kłującym żywopłotem z jakichś iglaków, gdzie nigdy nawet nie zbliżałem się z kosiarką.

Lola stanęła tuż obok mojej nogi i wydała z siebie coś w rodzaju psiego jęku czy może westchnienia.

– Co tam zobaczyłaś, Lola? Szczura? Czy coś gorszego?

Wszedłem do domu. W salonie i kuchni światła były pogaszone, więc sądziłem, że Miriam i Britney już się położyły, ale w sypialni znalazłem notkę od Miriam tej treści: „Pojechałam z Luvą na kolację do Awinionu”. To, że zostawiła mi wiadomość, było raczej pocieszające, ale poczułem się urażony, że nie wzięła mnie pod uwagę w swoich planach. Nie chodziło nawet o to, że jakoś specjalnie przepadałem za Luvą Grantis (jej włosy ufarbowane na siwo i jej poncza były dość... hm... ekstrawaganckie), ale była naszą wspólną znajomą od lat i poczułem się zepchnięty na margines.

Britney także nie było. Zapukałem do jej drzwi, wszedłem i ujrzałem pograżony w półmroku, pusty pokój. Na łóżku rozgrzebany stos ubrań, przed lustrem mnóstwo akcesoriów do makijażu. Skutera nie było, ale gitara Fender Jazz Bass stała na swoim miejscu, więc wiedziałem, że

Britney nie pojechała na próbę. Z pewnością wybrała się gdzieś z Elronem van Ernem – tym potomkiem spiskowców, jak pomyślałem z goryczą.

Litr piwa nadal szumiał mi w głowie, a język miałem suchy jak deska. Zszedłem do kuchni, żeby napić się wody. Nalewając ją sobie do szklanki, zacząłem rozmyślać, czyby nie poszukać pociechy u Różyczki. Rozmowa z V.J. całkiem mnie rozstroiła, a pusty dom dobił do reszty. Miriam ucztuje w Awinionie z Luvą, Britney się szlaja ze swym umiłowanym Elronem. Wznoszę toast za wasze wspaniałe życie, moje kobiety! Ja miałem Chucksa, ale teraz, gdy go nie ma, stało się oczywiste, że jestem samotny jak skurwysyn w Dniu Ojca.

No dobrze – powiedziałem sobie – spróbujmy najpierw trochę tullamore, a potem jakoś się sprawy potoczą. Zdjąłem buty, rozłożyłem się na kanapie w salonie i nagle naszła mnie myśl, żeby wziąć się za robotkę ręczną. No wiecie: trochę ćwiczenia nadgarstka. Miriam już od dłuższego czasu nie dopuszczała mnie do siebie, nawet już nie pamiętałem, kiedy ostatnim razem mogłem sobie trochę ulżyć, a przecież mężczyzna ma swoje potrzeby!

Tymczasem zamiast tego, bo chyba jednak nie byłem w nastroju, podłączyłem swoją gitarę Gretsch do gniazdka i zacząłem cichutko grać. Ustawianie akordów i przebieganie palcami po strunach jest jedną z najbardziej rozluźniających czynności, jakie znam. Już od tak dawna nie próbowałem zagrać *Black Bird*. Najważniejsze jest to następstwo akordów: G, Ces i C, gdzie trzeba dobrze się przyłożyć, żeby *fingerpicking* zabrzmiał tak jak u Paula McCartneya.

– *Black Bird singing in a dead old treeee...*

Mój głos zabrzmiał nieco fałszywie. Jakbym wziął ton nieco za wysoko (a może za nisko?). Ale, gdybym trochę poćwiczył, może mógłbym zaśpiewać razem z Britney? Od jak dawna nie chwytamy za gitary i nie śpiewamy wspólnie piosenek? Co się z nami stało? Gdy Britney miała dziesięć lat, bez przerwy wisiała mi na szyi. A kiedy pisałem, często siadała w kąciku mojego pokoju i ubierając lalki, spokojnie spędzała tam długie godziny, przyglądając się, jak uderzam w klawisze komputera. Wieczorami – niemal co wieczór – prosiła mnie, żebym jej zagrał jakąś piosenkę.

Przez dłuższą chwilę znęcałem się nad następstwem akordów. Było tam kilka dość trudnych technicznie chwytów, trochę szybkich pasaży, a ponadto trzeba było napracować się prawą ręką, żeby uzyskać efekt *picking* i żeby całość przypominała *arpeggio* na harfie, a nie skrzywienie dwóch strun przybitych gwoździami do pustej puszkii, co było jedynym efektem, jaki mnie udawało się osiągnąć.

W którejś chwili musiałem zasnąć z gitarą na brzuchu. Gdy się obudziłem, nadal było ciemno. Wydawało się, że ani Miriam, ani Britney nie wróciły do domu. Może – pomyślałem – może moja drzemka trwała nie więcej niż pół godziny?

I wtedy usłyszałem, że jakiś dźwięk wydobywa się ze wzmacniacza, który pozostał włączony. Rodzaj elektrycznego gwizdu, jakby początek jakiejś transmisji.

Zacząłem nadsłuchiwać rodzącej się, to wznoszącej, to obniżającej się fali dźwięku, wydobywającej się z mojego wzmacniacza Fender Blues Junior, gdy nagle wydało mi się, że słyszę też jakiś głos ludzki. Ktoś coś mówił.

– ...duj... za... mor...

Pozostawiłem gitarę opartą o kanapę i prześlizgnąłem się na czworakach do kąta pokoju, gdzie stał mój wzmacniacz, ukryty za małym stolikiem z hebanu, który Miriam kupiła na targu w Nîmes. Zbliżyłem do niego ucho i podczas gdy moje serce zaczynało uderzać coraz szybciej, udało mi się rozróżnić nowe dźwięki poza wibrującą falą gwizdu.

– ...mor... duj... za... bić...

Na zewnątrz Lola znów zaczęła szczekać. Tym razem jej ujadanie było głośniejsze niż zwykle, wydawało mi się, że dochodzi też do mnie wzmocnione przez sprzęt elektroniczny. Nieco metaliczne, lekko przekształcone, kryształowo przejrzyste i migoczące dźwięki *made by Fender*.

– Ja pierdolę – powiedziałem na głos. – To musi być sen.

Wstałem i poszedłem do kuchni, żeby wyjrzeć przez okno. Udało mi się dostrzec, że Lola stoi zwrócona pyskiem w stronę ciemnych iglaków, w których gąszcz nie odważyłem się poprzednio zapuścić.

Przypomniałem sobie Chucksa i jego opowieść o głosach płynących ze wzmacniacza. Faceci z walkie-talkie, rozmawiający ze sobą w ukryciu. To musi być to! Mówią o mordowaniu, a Lola ich wykryła. Brawo, dobra Lola!

Na kuchennym blacie, obok pięknej drewnianej miski na owoce, mieliśmy jeden z tych japońskich bloków do noży, które są reklamowane w porannych programach telewizyjnych (tylko że ten kosztował dziesięć razy więcej, bo Miriam kupiła go w La Table; żadna tandeta, bo nigdy nie wiadomo, czy nie zobaczy go któraś z jej bogatych przyjaciółek).

Podnosiłem noże za rękojeści, jeden po drugim, aż wyciągnąłem idealny: model *psycho killer*, ani za gruby, ani za wąski. Dokładnie tego rozmiaru, żeby wbić go komuś w brzuch i poczynić mu niezłe spustoszenie w organach niezbędnych do życia.

Otworzyłem furtkę od ogrodu i Lola podbiegła do mnie, wiedząc, że tym razem nie przychodzę po to, żeby ją głaskać.

– Na kogo szczekasz, Lola? – spytałem, a ona odpowiedziała mi na psi sposób, dysząc z językiem na wierzchu: „Na morderców i spiskowców, Bert. Przybyli z Gujany, żeby nałożyć ci na głowę koronę cierniową”.

Noc była jasna i cicha. Świerszcze i cykady cichły, w miarę jak stąpałem po trawie. Z sercem zbitym w pięść doszedłem do kąta z kolącym żywopłotem i stanąłem z nim twarzą w twarz, żeby nie musieć głośno krzyczeć, ale żeby mój głos był wyraźnie słyszalny:

– Słuchaj, skurwysynu! Mam broń i przysięgam, że nie zawaham się jej użyć! Więc jeśli się tam ukrywasz, lepiej zaraz wyląź!

Mój głos zabrzmiał dziwnie, jakbym to nie ja mówił, ale nic się nie poruszyło ani żadna odpowiedź nie dobiegła mnie z pogrążonego w cieniu żywopłotu. Pochyliłem się i w dole, między pniami świerków, ujrzałem fragment ogrodzenia otaczającego naszą posiadłość. Wydawało się, że w pobliżu nie ma nikogo, ale moim obowiązkiem było przekonać się o tym naocznie.

Zacząłem się przeciskać na czworakach pomiędzy pniami drzew, z nożem w jednej ręce, brudząc sobie spodnie ziemią i potykając się o korzenie. Chyba nigdy dotąd, od kiedy mieszkaliśmy w tym domu, nie zajrzałem w to miejsce, nawet po to, żeby usunąć stosy suchych gałęzi i igliwia. W końcu dobrnąłem do ogrodzenia. Było zrobione z siatki drucianej, a jedno z przeseł było rozerwane. Widniała w nim wielka dziura, która wyglądała tak, jakby jakiś pies wyszarpał ją zębami.

Po drugiej stronie siatki rozpościerała się mała łąka. Sierp księżycy oświetlał wysoką trawę, która aż prosiła się o skoszenie (ewentualnie jej właściciel mógłby wypasać tu krowy), a nieco dalej, pod lasem, biegła droga, na której stał zaparkowany jakiś samochód.

Początkowo mój wzrok tylko po nim przebiegł, nie zatrzymując się, ale gdy spojrzałem po raz drugi, wydało mi się, że go rozpoznałem.

To był beetle Elrona van Erna.

Dziura w ogrodzeniu była na tyle duża, że wystarczyło trochę się wysilić, żeby się przez nią precyzyjnie. Po drugiej stronie stanąłem na nogi i ruszyłem przez wysokie trawy w kierunku samochodu, usiłując dostrzec, kto jest w środku. Okazało się to niemożliwe, bo szyby były od środka zaparowane. Przez oddechy dwojga nastolatków, którzy kryli się w środku? Cóż tam robili? No proszę cię – powiedziałem sam do siebie – chyba nietrudno się domyślić.

Ale samochód stał w bezruchu i w ciszy. Może właśnie skończyli, może obejmują się, siedzą nadzy, palą papierosy. W tej samej chwili promień księżycowego światła padł na okno od strony pasażera. Wydało mi się, że coś dostrzegam. Jakby ślady dłoni rozmazane na szybie. Ciemne ślady. Krew?

Rzuciłem się biegiem przez gąszcz traw, w którym mogły się kryć żmije (tak mnie ostrzegano zaraz po przeprowadzce), ale nie zważałem na to. Wkrótce pokonałem łąkę i dotarłem do samochodu.

– Britney! – krzyknąłem. – Britney! To ja, tata! Co się dzieje?!

Nikt mi nie odpowiedział, więc szarpnięciem otworzyłem drzwi. W środku nie było nikogo, ale na szybie, od wewnątrz, rzeczywiście były ślady. Smugi krwi. Na tylnym siedzeniu leżały majteczki w kwiatuszki, które mogły należeć jedynie do Britney. Podarte rajstopy, spódniczka.

– Boże drogi – szepnąłem. – Boże drogi!

– Gdzie jest twoja córka, Bert? Czy wiesz, gdzie ona jest?

Głos rozległ się tuż za mną.

Odwróciłem się i osunąłem się na ziemię. W stanie takiego przerażenia, że nie mogłem się poruszyć.

O trzy metry ode mnie, na skraju lasu, stał Chucks. Ubrany był w coś w rodzaju szpitalnej koszuli, a jego głowa była straszliwie poraniona.

– Nie powinieneś być spuszczać jej z oka, Bert – szeptał do mnie, z palcem na ustach, jakby nakazując, że nie powinniśmy robić hałasu. – Nie tutaj. To złe miejsce. To prawdziwe nieszczęście, że tutaj trafiliście. Powinniście stąd wyjechać jak najszybciej.

– Gdzie ona jest?

– Tam – odpowiedział i wskazał palcem w kierunku piniowego lasu. Między sosnami biegła wąska ścieżka, a na jej końcu można było wypatrzeć jakby blask światła.

Miałem łzy w oczach. Patrzyłem na Chucks'a, którego głowa nosiła ślady okropnych zabiegów chirurgicznych. Szwy wykonane grubymi nićmi, dziesiątki zaognionych dziur po ukłuciach, sącząca się ropa. Ale to był on, Ebeth James Basil we własnej osobie.

– Kto ci to zrobił, Chucks?

Odpowiedzią było milczenie. Jedynie jego palec nadal wskazywał w głąb lasu.

– Idź! Idź po nią! – szepnął. – Idź, poszukaj Britney!

Posłuchałem i zagłębiłem się w mroczny las. Szedłem w stronę, skąd dobiegało światło. To był dom. Nie, nie dom. Raczej kościółek, ten, który ujrzałem z okna domu van Ernów. Kaplica ukryta w lesie. Pustelnia. Ale okna nie były już zamalowane na biało i cały kościółek pałał światłem, jak dekoracyjny świecznik w kształcie budynku rozświetlony od wewnątrz tealightem.

Szedłem między drzewami w stronę wejścia, które jakby na mnie czekało. Drzwi były uchylone. Nikogo nie było przed budynkiem. Wiedziałem, że wszyscy są w środku. Wszyscy? Jak mogłem o tym wiedzieć? Może to mi się śniło? Jednak wszystko było takie rzeczywiste...

Popchnąłem jedno z wielkich, drewnianych skrzydeł drzwiowych i wszedłem do środka. Znalazłem się w kaplicy, w pustelni, ale było tu mnóstwo ludzi. To byli ci sami przyjaźni goście, którzy zostali zaproszeni na barbecue do van Ernów, tyle że tym razem byli całkiem nadzy.

Mężczyźni w pewnym wieku, którzy utrzymywali się w formie dzięki długim godzinom spędzonym w siłowni. Kobiety z jędrnymi piersiami, uzyskanymi wskutek kosztownych zabiegów chirurgii estetycznej. I wszyscy, wszyscy oni mieli coś, co ich łączyło. Wszyscy mieli głowy pokryte małymi rankami.

Na mój widok wyszczerzyli zęby w uśmiechu, jakby jakimś cudem na mnie czekali. Państwo Mattieu, państwo Grubitzowie. Elena Grubitz podeszła do mnie, naga jak ją Pan Bóg stworzył. Jej piersi zwisały jak dwie skarpety powieszzone na obramowaniu kominka w oczekiwaniu na prezenty gwiazdkowe.

– Witaj wśród nas, sąsiedzie. Spójrz, oto Edilia!

Pojawiła się Edilia van Ern. Przyłgnęła do mnie całym ciałem i pocałowała mnie w usta. Teraz i ja nagle okazałem się być nagi.

– Witaj, Bert. Nie może zabraknąć ojca panny młodej.

– Panny młodej? – spytałem. – O czym wy mówicie? Gdzie jest moja córka?

Wtedy wszyscy się rozstąpili i ujrzałem prezbiterium. Przy ołtarzu, lub w tym miejscu, gdzie kiedyś musiał znajdować się ołtarz, koczowała grupa czarnych mężczyzn, grających i tańczących w rytm afrykańskiej muzyki. Pośrodku ujrzałem Britney. Moją ukochaną córeczkę, nagą, usadzoną na czymś w rodzaju drewnianego tronu. Umieszczono coś na jej głowie, coś w rodzaju korony, z której spływało kilkanaście kabli elektrycznych zakończonych igłami. Igłami, które wkrótce zagłębią się w jej mózgu.

Otaczało ją trzech mężczyzn. Jednym z nich, który właśnie w tej chwili zajmował się przywiązywaniem jej nadgarstka do poręczy fotela za pomocą skórzanej obejmki, był Elron van Ern. Drugim, którego nagie ciało było większe i grubsze niż sylwetka, którą zapamiętałem, był Eric van Ern.

Trzeci mężczyzna był kimś nowym. Kimś, kogo nigdy nie widziałem, ale kogo – w jakiś sposób – znałem już od dawna. Stary mężczyzna. Starzec, z pomarszczoną skórą na całym ciele i starannie uczesanymi, przylizanymi włosami. Miał na oczach okulary przeciwsłoneczne i uśmiechał się, głaszcząc moją córkę po głowie.

– Zostaw ją! Odejdź! – wrzasnąłem i rzuciłem się w kierunku Britney, rozpychając się i rozdając ciosy na prawo i lewo wszystkim tym szaleńcom, którzy się tu zgromadzili.

Nie dałem rady. Łapali mnie za ręce i uniemożliwiali poruszanie. Ktoś chwycił mnie i unieruchomił. Wtedy Ojciec Dave zbliżył się do mnie, niosąc jedną z tych swoich koron. Jego usta wykrzywił ohydny uśmiech, ukazujący długie, pożółkłe zęby.

– Nie myślał pan chyba, że zostawimy ją samą – powiedział, umieszczając mi koronę na głowie. – To jest czymś, co powinno się robić w gronie rodzinnym.

Poczułem, że igły wbijają mi się w mózg. Nie mogłem ruszyć nawet palcem. Patrzyłem na Britney, z której oczu spływały łzy, i na Elrona, który się zaśmiewał.

– Witajcie w naszej wielkiej rodzinie! – wyrecytował Ojciec Dave.

I wtedy otrzymałem pierwszy impuls prądu i krzyknąłem z bólu. I wtedy ciągnięte na siłę za uszy, a opowieść puszcza nici na każdym szwie.

Rozdział piąty

1

– Bert?

Miriam stała na środku salonu, w gabardynowej brązowej kurtce, i wpatrywała się we mnie uważnie.

– Miriam! Gdzie Britney?! – krzyknąłem.

– Bert, dobrze się czujesz?

Patrzyłem na nią w milczeniu, niezdolny do udzielenia odpowiedzi. Serce nadal biło mi w rytmie ponad stu uderzeń na minutę i – jakkolwiek głupio to brzmi – ciągle wydawało mi się, że jestem w tamtym kościele, a na głowie mam cierniową koronę.

– Bert! Pytałam, czy wszystko w porządku! Słyszysz mnie?

– Co? – To było wszystko, co udało mi się powiedzieć. Poruszyłem się i poczułem, że przewala się po mnie coś bardzo ciężkiego. To była moja gitara Gretsch. Zasnąłem z nią na brzuchu. Zanim zareagowałem, spadła na podłogę z wielkim łoskotem, który rozległ się wokół poprzez wzmacniacz, do którego nadal była podłączona.

– Boże litościwy!

Miriam podbiegła do mnie i – przynajmniej tak mi się wydawało – schyliła się, żeby podnieść gitarę. Myliłem się jednak, ponieważ jej żywa reakcja została wywołana chęcią ocalenia dywanu, na który właśnie wylewała się whiskey Tullamore z przewróconej butelki. Musiałem ją postawić obok kanapy przed zaśnięciem. Był to wielki perski dywan, który zakupiliśmy w arabskim składzie w Mediolanie.

– Dywan! Co się z tobą, do diabła, dzieje, Bert?

– Nie wiem... Chyba miałem jakiś koszmar... Okropny...

– Ten dywan kosztował trzy tysiące euro, Bert. I będziemy musieli przestawić wszystkie meble w salonie, żeby go zawieźć do czyszczenia.

– Gdzie jest Britney?

– Co to ma do rzeczy?

– Nie wiesz, gdzie jest?

– Wyszła. Powiedziała mi, że wybiera się na urodziny przyjaciółki.

Oparłem gitarę o kanapę. Serce nadal biło mi *Marsza Radetzkiego*, a potworne obrazy ze snu ciągle jeszcze kłuły mnie w oczy. Czuję się oszołomiony, jakbym miał monumentalnego kaca, a przecież jedynie pociągnąłem dwa łyki z butelki. Co się ze mną dzieje?

Miriam ściągnęła kurtkę i poszła do kuchni po ścierkę. Podniosłem się, cały czas trochę zamroczony, i zacząłem grzebać w kieszeni marynarki w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Było trzydzieści minut po północy.

Znowu przed oczami pojawił mi się obraz tego samochodu, tego garbusa z zaparowanymi okienkami pomazanymi krwią. Wyszukałem numer i nacisnąłem połączenie. Po kilku sekundach

usłyszałem nagrany głos Britney:

„Cześć, tu Brit. Postaraj się powiedzieć coś oryginalnego po sygnale”.

Zakończyłem połączenie, nie pozostawiając wiadomości. Miriam wróciła już z kuchni i w kucki pocierała ścierką płamę z whiskey.

– Wiesz, o jaką przyjaciółkę chodzi? Zostawiła ci numer telefonu?

– Czy możesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi, Bert?

– Mam złe przeczucie dotyczące Britney, Miriam. Okropne przeczucie. Sądzę, że coś jej się stało. Albo też może jej się stać w każdej chwili.

Ujrzałem, że na jej twarz wypływa grymas strachu. Przestała czyścić dywan. Podniosła się.

– O czym ty mówisz, Bert?

Czułem, że klatkę piersiową rozrywa mi przyspieszony rytm serca. Przestraszyłem się, że lada moment dostanę zawału. Starłem się głębiej odetchnąć. Liczyłem oddechy. Jeden, dwa, trzy...

– Miałem straszny sen. Jakby przeczucie. Chucks mówił, że muszę pilnować Brit... I widziałem, jak robią jej coś okropnego...

– Cholera jasna, Bert! – krzyknęła Miriam. – Co ty, kurwa, wygadujesz?!

Udało mi się ją wystraszyć.

– To był tylko koszmar senny, Miriam – ciągnąłem drżącym głosem – ale potwornie realistyczny. Gwałcili ją... czy coś takiego.

Miriam zawsze była realistką. Tą połową naszego związku, która kierowała się rozumem, zimną kalkulacją, nie dawała się ponosić emocjom ani impulsom. Jednak gdy chodziło o córkę, włączały się u niej pierwotne instynkty, jakby jej ciało zmuszało ją do zamienienia się w samicę dzikiego zwierzęcia. Ujrzałem, że spojrzała na mnie takim wzrokiem jak w dniu, gdy rodziła Britney. Przeraziłem się. Tamtego dnia, gdy z bólu spowodowanego skurczami niemal oszalała, schwyciła mnie za rękę i ścisnęła z taką siłą, że sińce były widoczne jeszcze po miesiącu.

– Dawaj to! – krzyknęła i wyrwała mi z ręki telefon.

Spróbowała się połączyć z Britney, ale z takim samym wynikiem jak ja poprzednio.

– Masz numer do Hermana? – wydyszała. – Chyba mi mówiła, że bracia Todd też są zaproszeni.

– Tak – odpowiedziałem. – Pod „T”, jak Todd.

Miriam wyszukała numer i wcisnęła połączenie.

– Cholera – powiedziała, przyciskając telefon do ucha – jest po północy. Będą nas kłać w żywy kamień.

Zauważyłem, w której dokładnie chwili Herman Todd odebrał, bo Miriam zmieniła wyraz twarzy – do tej pory była szara ze strachu – i obdarzyła rozmówcę uroczym uśmiechem.

– Herman? Przepraszam, że dzwonię o takiej nieodpowiedniej porze... Tak... tak... wszystko w porządku, ale martwimy się trochę o Brit. Powiedziała nam, że wróci przed północą, ale jeszcze jej... Ach, tak? Na zabawie, tak... Aha... Rozumiem.

To ostatnie: „Aha... Rozumiem”, Miriam wymówiła całkiem innym tonem. Ponurym.

– Oczywiście. Bardzo ci dziękuję za pomoc... I niech zadzwoni do domu. Tak, na którykolwiek telefon. Jeszcze raz wielkie dzięki, Hermanie.

Zakończyła połączenie i przez chwilę milczała. Potem spojrzała na mnie.

– Chłopcy Toddów są w domu już od godziny. Herman ich obudzi i spyta, czy zabawa się już skończyła, czy nadal trwa. Powinni też mieć numer komórki Elrona.

– To prawda, co powiedziałaś? Że uprzedziła, że wróci przed północą?

– Nie... Ale... Jest wtorkowa noc i... – Zauważyłem, że Miriam obgryza paznokieć,

i wiedziałem, co to oznacza: w jej wnętrzu szaleje burza. – Co się działo w tym śnie? Bo to był tylko sen, prawda?

– Tak... Cholera, kochanie, przepraszam, że cię przestraszyłem.

Obrazy z koszmaru nadal tkwiły mi pod powiekami. Wystarczyło, że zamknąłem oczy, a widziałem wszystko wyraźnie i nawet czułem zapach tamtego lasu. Postanowiłem pójść i sprawdzić.

– Dokąd idziesz? – spytała Miriam. – Bert! Dokąd się wybierasz?

Z kuchni zszedłem do garażu, żeby się upewnić, że nie ma tam skutera Britney. Potem wyszedłem do ogrodu i wykładaną kamieniami ścieżką poszedłem do tego zakątka z żywopłotem, gdzie wcześniej natknąłem się na szczekającą Lolę. Schyliłem się i zacząłem się przedzierać przez kłujący gąszcz.

Miriam wybiegła z domu moim śladem. Była naprawdę przerażona. Krzyknęła parę razy moje imię, ale nie zwracałem na nią uwagi. Dotarłem do ogrodzenia. O, kurwa! W siatce była dziura...

W tej chwili brzęknęła komórka i Miriam natychmiast odebrała. Wyczołgałem się z zarośli i wróciłem na trawnik.

Słyszałem, jak Miriam mówi: „Tak, Hermanie, tak... Dobrze. Tak... Aha. Nie, z całą pewnością nic się nie stało. Nie. Z pewnością”. Trwało to całą wieczność, albo przynajmniej trzydzieści sekund. Potem Miriam zapisała coś na kartce i zakończyła połączenie.

– Młodzi Toddowie mówią, że jeszcze zostało sporo ludzi. Zabawa była w domu Malu, na obrzeżach Saint-Rémy. Herman podał mi adres. Usiłowali dodzwonić się do Malu i Elrona, ale ona ma wyłączony telefon, a on jest poza zasięgiem. Spróbuj jeszcze raz zadzwonić do Brit.

Zadzwoniłem, ale nie odebrała. Potem Miriam poszła poszukać swojej torebki, którą odstawiała na stolik w przedpokoju, i wyciągnęła swoją komórkę.

– Do kogo masz zamiar dzwonić?

– Do Edilii van Ern.

Nic nie odpowiedziałem, a przez głowę przebiegła mi ponura myśl, że nie odbierze. Lata na golasa po swojej pustelni bólu i celebryje pseudopsychiatryczny sabat, wbijając igły w mózg komu popadnie.

– Edilia? – powiedziała Miriam. – Przepraszam, że dzwonię o tej...

Zamilkła, a potem wyrecytowała:

– Dzwoni Miriam Amandale. Niepokoi się o Britney; zadzwoń do mnie, gdy będziesz mogła.

– Automatyczna sekretarka – powiedziała. – Co robimy? Czekamy?

Spojrzałem w kierunku ogrodzenia. Ta pieprzona dziura w siatce! Sen cały czas dawał mi się we znaki, a teraz jeszcze to. Zacząłem dyszeć. To był chyba atak hysterii.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie jestem w stanie siedzieć tu z założonymi rękami i czekać – stwierdziłem. – Jedźmy pod dom Malu. Jeśli będzie tam stał skuter Britney, przestaniemy się zastanawiać, co się z nią dzieje.

– Jeśli Britney tam jest, znienawidzi nas jak nigdy w życiu. Wiesz, dlaczego o tym mówię.

Nawet nie odpowiedziałem. Szedłem już w kierunku samochodu, jak jakiś popieprzony zombi.

Dom Malu znajdował się blisko wyjazdu z Saint-Rémy na południe. Pod numerem 12 na Rue Picouline. W gruncie rzeczy była to wiejska droga obsadzona drzewami, zabudowana jedynie po

jednej stronie rzędem niezbyt ładnych, przylegających do siebie domów.

Gdy dotarliśmy na miejsce, jak dwoje szpiegów połączonych brakiem snu, złym humorem i ciężkim milczeniem, jedyne światło na tej pogrążonej w ciemnościach nocy ulicy pochodziło z okien na parterze domu Malu. Przed nim i w najbliższej okolicy stało zaparkowanych kilka samochodów i motocykli, ale nie dostrzegąłem wśród nich vespy Britney.

- Zadzwoń jeszcze raz, a nuż oddzwoni – poleciła Miriam.
- Przed momentem to zrobiłem. Nadal nie odbiera. Zresztą tu jest słaby zasięg.
- Boże! I co teraz?
- Rozejrzę się. Postaram się odnaleźć jej skuter.
- Bert, jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

Jednak ja literalnie wychodziłem z siebie ze zdenerwowania. Wysiadłem z samochodu i zacząłem się przyglądać motocyklom, zaparkowanym w rzędzie przed domem. Żaden z nich nie był podobny do skutera Britney. Tu, gdzie się znajdowałem, słychać było muzykę i śmiechy. Zaczęło do mnie docierać, jak ogromną wpadkę zaliczę, jeśli Britney przyłapie mnie na naruszaniu jej świętego nastoletniego prawa do wolnego dysponowania swoją osobą, ale jednocześnie nie byłem w stanie wyrzucić ze swej głowy ohydnych obrazów ze snu. Muszę się upewnić, że nic jej nie jest. Ale jeśli nie ma tu jej skutera, to gdzie jest ona sama?

Oświetlone okna były zasłonięte kotarami. Odwróciłem się i spojrzałem w kierunku samochodu, w którym siedziała Miriam. Zrobiła gest, mający oznaczać pytanie, czy znalazłem skuter. Pokręciłem głową i ruszyłem po trawie w kierunku domu Malu.

Przeszedłem przez otwartą furtkę i ścieżką dotarłem pod ścianę budynku. Przez nie do końca zasuniętą zasłonę udało mi się ujrzeć pomalowane na żółto ściany, atrapę kominka, nad nią powieszony jakiś plakat i kilka kanap. W pokoju nikogo nie było.

Rzuciłem spojrzenie na drzwi wejściowe. Ktoś obwiązał klamkę ścierką, żeby się nie zamykały. Popchnąłem je i wszedłem do cudzego domu. Zacząłem rozmyślać, co powiem, jeśli ktoś mnie przyłapie. A co tam, pieprzyć to, powiem im prawdę: „Jestem ojcem Britney. Czy ona tu jest? Już sobie poszła? Dokąd? Z kim?”

Szedłem, kierując się dźwiękiem muzyki, która grała gdzieś na tyłach domu. Na piętrze ktoś upuścił szklankę. Usłyszałem brzęk szkła, jakiś chłopak powiedział: „*Merde!*”, a potem rozległ się dziewczęcy śmiech. Nie wydawało mi się, żeby to był śmiech Britney, ale zapisałem sobie tę informację w umyśle.

W umyśle, który w tej właśnie chwili pracował na tysiącu obrotach na minutę.

Zważywszy na plakaty na ścianach i bałagan panujący w kuchni, dom wyglądał na wynajmowany przez studentów. Z zewnątrz, z ogrodu na tyłach, dobiegały dźwięki *Buffalo Soldier* Boba Marleya. Przy basenie siedziało pięcioro młodych ludzi. W powietrzu unosił się zapach marychy, a wszędzie wały się puste butelki po piwie i innych trunkach. Młodzi rozmawiali po francusku, zaśmiewając się z czegoś po pachy. Przyjrzałem się im dokładniej z progu. Żadna z trzech dziewczyn nie była Britney. Nie widziałem też nikogo podobnego do Elrona.

Nagle poczułem na ramieniu czyjś dotyk. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z dobrze zbudowanym młodzieńcem o szerokich barach, który mówił coś do mnie po francusku. Nie zrozumiałem ani słowa, raz z powodu zdenerwowania, a dwa, ponieważ niewyraźnie bełkotał i wyglądał na dość pijanego, ale domyśliłem się, że nie jest to miłe powitanie. Wygolony niemal na zero, tatuaże na szyi i obciśnięta na mięśniach czarna koszulka.

- Szukam Britney Amandale – powiedziałem, starając się mówić po francusku. – Jestem jej

ojcem.

Nie wiem, czy nie zrozumiał, czy nie dotarło do niego, o co mi chodzi. Złapał mnie za ramię i zaczął mnie ciągnąć korytarzem w kierunku wyjścia.

– Co ty robisz?! – wrzasnąłem, tym razem w ojczystym języku, dodając przekleństwo. – Szukam mojej córki!

Facet ciągnął mnie ze sporą siłą, ale stawiałem mu opór i udało mi się wyrwać. Wtedy zobaczyłem, że robi się naprawdę wściekły i patrzy na mnie jak byk tuż przed szarżą. Wrzasnął coś, co tym razem doskonale zrozumiałem:

– Idź sobie!

– Mówiłem, że szukam córki. – Upierałem się przy swoim, ale w tej samej chwili poczułem, że ktoś obiema rękoma napiera na moje łopatki i pcha mnie do przodu.

– Wynocha! – krzyknął ten ktoś za moimi plecami.

To był jeden z chłopaków siedzących przy basenie, którego przyciągnęła nasza kłótnia. Jego zdradziecki postępek dopiekł mi do żywego. Wyciągnąłem do przodu prawą rękę i obróciłem się na pięcie, z rozpędem i premedytacją uderzając go z całej siły. Dostał w twarz moim zegarkiem Jaeger i to wyeliminowało go z gry. Złapał się rękoma za twarz i zaczął krzyczeć jak baba. Jednak w ciągu tych dwóch sekund, zanim zdążyłem się odwrócić, ten pierwszy mięśniak już się za mnie wziął. Ramieniem otoczył moją szyję i założył mi nelsona, usiłując przewrócić mnie na ziemię. Stawiałem mu opór, a ponieważ jedyne, co mogłem zrobić, to okładać go łokciami po żebrach, więc robiłem to, podczas gdy osiłek mnie dusił.

– Tato! – usłyszałem znajomy głos. – Puście go!

Gdy Britney pojawiła się na korytarzu, już niemal gryzłem ziemię. Ten drugi dzieciak chciał mnie kopnąć w jaja, ale na szczęście źle wymierzył i cios trafił mnie w udo. Britney odepchnęła go i złapała za ramię duszącego mnie typka.

– Mówię, żebyś go puścił, *merde*!

Skądś dobiegł jakiś rozkazujący okrzyk po francusku i wreszcie okropny uścisk zelżał. Upadłem na ziemię jak szmata. Gdy podniosłem oczy, stała nade mną Britney, wbijając we mnie oczy jak sztylety. Chciałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie złapać tchu. Bolała mnie krtań.

– To twój ojciec? – spytał typek podobny do He-Mana.

– Tak.

– A co on tu, kurwa, robi?

– Nie wiem.

2

Było wpół do trzeciej nad ranem, gdy usłyszeliśmy warkot skutera Britney na drodze. Leżałem w salonie na kanapie, wpatrując się w sufit. Miriam była na górze, w sypialni; przypuszczam, że też nie spała. Czuliśmy się jak idioci, umieraliśmy ze wstydu i poczucia winy. Czuliśmy się tak od chwili, gdy ruszyliśmy spod domu Malu, po wysłuchaniu przeprosin ze strony kolegów Britney. „Przepraszam pana bardzo, proszę pana, ale pomyślałem, że jest pan złodziejem albo podglądaczem”. Chłopak był bliski prawdy, czułem się jak podglądacz. Wsiadłem do samochodu, zgnębiony i zawstydzony, i w milczeniu pojechaliśmy do domu. Gnębiły mnie

czarne myśli i obawiałem się, że Britney nie wróci tej nocy do domu. Gdy zobaczyłem, jak spojrzała na Miriam siedzącą w samochodzie, pomyślałem, że z miejsca weźmie plecak i ucieknie na koniec świata. Odetchnąłem z ulgą, słysząc, że wraca, choć zdawałem sobie sprawę, że rozprawa z nami dopiero się zacznie.

Dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Wchodzi. Nawet nie zdążyła zapalić światła, gdy już mówiłem do niej, stojąc na środku salonu:

– Britney, pozwól mi wyjaśnić...

Była już w połowie schodów, gdy odwróciła się i powiedziała:

– Nie spodziewałam się tego po tobie. Jak mogłeś mi to zrobić, tato? Sądziłam, że mi ufasz.

– Córeczko, proszę cię, chciałbym się wytłumaczyć...

Jej oczy były czarnymi dziurami w bladej twarzy.

– Postawiliście na nogi pół miasteczka. Toddów, Edilię. Jutro dowie się o tym całe liceum. Wszyscy się dowiedzą. Właśnie oficjalnie mianowaliście mnie największą idiotką w Saint-Rémy.

– Nie chcieliśmy tego...

– Nienawidzę cię! – krzyknęła i wybuchnęła płaczem. – Obojga was nienawidzę!

Rzuciła się w stronę swojego pokoju, ale Miriam zatrzymała ją u góry schodów.

– Poczekaj, Britney. Musimy porozmawiać.

– Porozmawiać? O czym tu mówić?!

– Twój ojciec i ja martwiliśmy się o ciebie.

– Martwiliście się? Czym? Myśleliście może, że znowu palę heroinę?

– Nie, to nie ma z tym nic wspólnego. Posłuchaj...

Ale Britney nie chciała słuchać, chciała wykrzyczeć, co jej leży na żołądku. Sądzę, że miała do tego prawo.

– Wiecie, czego chciałam tamtej nocy, gdy wypaliłam to świństwo w Londynie? Chciałam umrzeć! Tego właśnie chciałam. Myślicie, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, co wyrabialiście? Że przez ścianę nie było słyhać waszych kłótni?

– Britney! – krzyknęła Miriam.

– Zdradzaliście siebie nawzajem! A teraz jesteście na tyle bezczelni, że czepiacie się mnie! Że nie macie do mnie zaufania! Obłudnicy!

Plaff! Odgłos policzka, który wymierzyła jej Miriam, rozległ się z siłą dwóch ton metalu padającego na ziemię. Britney opanowała się i powiedziała z zimną furią:

– Możesz mnie bić, ile chcesz, ale gdy skończę osiemnaście lat, więcej mnie nie zobaczysz. Przysięgam.

Pobiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami.

– Zostaw ją – powiedziałem do Miriam, zanim zdążyła coś jeszcze zrobić. – To prawda. Wszystko, co powiedziała, jest cholerną prawdą.

Ale to dlatego, że w całym swoim życiu nie miałem takiego snu. To było jak film.

Rozdział szósty

1

Następnego dnia obudziło mnie światło. Leżałem na łóżku w gościnnym pokoju na piętrze i patrzyłem, jak przez okno wpadają radosne promienie letniego słońca. Lekka bryza poruszała gałęziami topoli, a na jednej z nich usiadł ptaszek i śpiewał poranną piosenkę. Pomyślałem, że miałem w nocy zły sen.

Poruszyłem się i poczułem, że uwierają mnie szwy spodni, więc podniosłem koc i stwierdziłem, że spałem w dżinsach. Ponadto zacząłem odczuwać lekki ból szyi, który pojawił się wkrótce po przebudzeniu. Przedramię tego młodego musiało mi solidnie ugnieść krtań.

Gdy sformułowałem tę myśl, wspomnienia wczorajszej nocy opadły mnie jak stado zgłodniałych wilków. Niech to diabli wezmą, to nie był żaden sen! Zapraǳnęłem zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Zerwałem się z łóżka. Podszedłem do drzwi pokoju Britney, z pewnością zamkniętych od środka na siedem spustów. Przejechałem delikatnie palcami po drewnie, ale nie odważyłem się zapukać. Miriam była na dole, w kuchni, słyszałem jej głos. Zacząłem nadśluchiwać i doszedłem do wniosku, że rozmawia przez telefon z Edilią. Usłyszałem, że kilka razy wymawia moje imię. Doszedłem do wniosku, że ma rację, zrzucając winę na mnie. Nie da się zaprzeczyć, iż to ja wszcząłem alarm, twierdząc, że Britney jest w niebezpieczeństwie. Czyżby do reszty mi odbiło?

Uff.

Wszedłem do łazienki i popatrzyłem sobie w oczy w lustrze.

Wdepnąłeś w gówno, mój drogi panie pisarzu, stwierdziłem. A teraz musisz sobie z tym poradzić. Szesnaście lat! Chyba jeszcze pamiętasz siebie z czasów, gdy miałeś szesnaście lat? Co ci się stało? Co to było to wczorajsze historyczne zachowanie? Jak mogłeś do tego stopnia utracić nad sobą kontrolę?

Prysznic trochę mi pomógł, ale gdy wyszedłem z łazienki, dom nadal trwał w martwej ciszy. Niemal fizycznie odczułem, że emanuje grobowym nastrojem.

Na dole, w kuchni, Miriam stała przy blacie pod oknem, zajęta gotowaniem. Zauważyłem, że musiała mnie zobaczyć w odbiciu w szybie, ale nawet się nie odwróciła.

A niech to, żona nawet nie chce na mnie spojrzeć. Wspaniale, nie ma co.

– Dzień dobry – powiedziałem, wchodząc.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Nasypałem kawy do kawiarki i postawiłem ją na płycie kuchennej. Krzątając się tak, liczyłem na to, że Miriam w którejś chwili się złamie, ale była nieugięta. Wałkowała ciasto. W chwili, gdy kawa zaczęła się burzyć, powiedziała:

– Bert, chyba przystąpię do spółki z Luvą i otworzymy mały biznes.

– Co takiego?

– Z Luvą Grantis. Ma lokal w Arles i już od dłuższego czasu miała zamiar otworzyć galerię,

ale sama nie mogła się zebrać na odwagę. Zaproponowała mi podczas wczorajszej kolacji, żebym została jej współpracowniczką, a ja odpowiedziałam, że się zgadzam.

– Powiedziałaś jej, że co?

– Że tak.

– Ależ, Miriam! Nawet nie spytałaś mnie o zdanie?

– A po co? Zresztą znam odpowiedź.

– I jak brzmi moja odpowiedź, co?

– Nie muszę ci mówić, Bert... – Uśmiechnęła się i dalej wałkowała ten cholerny placek.

– A więc postanowiłaś zostać we Francji na zawsze?

Miriam nie odpowiedziała.

– A ponadto masz w nosie to, co ja o tym sędzę!

– Szanuję twoje opinie – odpowiedziała – ale uważam, że nasze poglądy wzajemnie nas unieszczęśliwiają. Sędzę, że nasze punkty widzenia zbyt różnią.

Kawa bulgotała jak szalona na płycie ceramicznej, ale ja stałem jak wmurowany w ziemię. Miriam odsunęła kawiarkę i wyłączyła płytę.

– Co ty mówisz, Miriam? Co starasz się mi przekazać?

– Że musimy to dobrze przemyśleć, Bert. Musimy pomyśleć, czy to jest tego warte.

– To, czyli co? Nasze małżeństwo? Czy mogłabyś na chwilę przestać wymachiwać tym pieprzonym wałkiem?

Miriam posłuchała mnie i przestała wałkować. Wytarła ręce w fartuch, a potem delikatnie wsparła się jedną dłonią o blat.

– Nie chcę wracać do Londynu, Bert – powiedziała.

– Aha, więc tak... To coś nowego. Dziękuję za informację.

– Przykro mi. Przemyślałam to sobie ostatnio. To trudna decyzja.

– No dobrze, to wal prosto z mostu. Co takiego sobie postanowiłaś?

– Zostać tutaj. Lubię to miejsce i tych ludzi. Słońce. Łatwe życie, bez komplikacji. Zdałam sobie sprawę, że nasz styl życia w Londynie był niezdrowy. Chorobliwy. Nie chcę do tego wracać. Ale ty nie pasujesz do tego obrazka, Bert. Nie winię cię za to, ale sprawy właśnie tak się mają. Nic tutaj ci się nie podoba. Nienawidzisz konwencjonalnych ludzi, z ich życiem, prostym i zwyczajnym, ale szczęśliwym.

– Ha, ha, ha! – rzuciłem, parszcząc sarkastycznym śmiechem. – Nareszcie puściłaś parę! Cóż za wzruszająca przemowa!

– Nie wyśmiewaj się ze mnie, Bert.

– Jak mogłaś się tak zmienić? Nie byłaś taka, Miriam.

– Taka, czyli jaka? Szczęśliwa? Może do tej pory nie znalazłam tego, czego szukałam.

– Przyjaciół w koszulkach Lacoste i z posiadłościami z hektarowym ogrodem?

– Świetnie, Bert. Obrażaj ich nadal. To jedyne, co umiesz świetnie robić.

Zagotowałem się. Zacząłem machać wskazującym palcem w górę i w dół. Poczulem, że już dłużej nie wytrzymam.

– Ci ludzie, Miriam... Ci ludzie, którzy tak ci się podobają... Oni coś ukrywają, wierz mi. Nie są tacy, jak sądzisz. Edilia, Eric... Podejrzewam ich o pewne sprawy, rozumiesz?

– Podejrzewasz ich?

– Usiłowałem trzymać cię z daleka od tego, ale to, co usłyszałem, wszystko zmienia. Nie sędzę, żeby to byli uczciwi ludzie. To nie są dobrzy ludzie, rozumiesz? – Nie byłem w stanie przestać mówić i sam słyszałem, że mój głos drży i robi się piskliwy. – Ten człowiek, którego

Chucks potrącił, pamiętasz? Ten Daniel Someres. Wybiegł z ich terenu. Z ich kliniki. A potem zniknął. Jak myślisz, co tam się może wyprawiać w tej klinice? W tym pilnie strzeżonym miejscu? Pojechałem do Monako, do siostry

Miriam patrzyła na mnie dosłownie z otwartymi ustami. Skrzyżowała ręce na piersi. Potem je opuściła, a po chwili podniosła, dotykając palcami ust.

– Bert... Co ty wygadujesz? Twierdzisz, że... Posłuchaj sam siebie! Naprawdę pojechałeś do Monako? Kiedy?

– Przedwczoraj. I nie dziwi mnie, że się nie domyśliłaś. Od wielu dni nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

– Boże litościwy! Bert... Zachowujesz się zupełnie... Zupełnie jak Chucks!

– Może dlatego, że on miał rację – stwierdziłem. – Powinniśmy byli mu uwierzyć... Może nadal by żył.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że mam powody, aby wątpić w uczciwość wszystkich tych ludzi, Miriam. Powody, żeby wierzyć, że Chucks się nie mylił. Musisz mi zaufać, Miriam. Zaufaj mi, proszę.

Nasza rozmowa została przerwana przez warkot silnika skutera Britney. Odwróciłem się i wyszedłem do salonu, żeby wyrzucić przez okno. Nasza kochana córeczka wykorzystała okazję, żeby wymknąć się po kryjomu i dać dyla z domu. Ujrzałem tylko jej plecy i vespę toczącą się w kierunku drogi dojazdowej. Miała ze sobą torbę plażową, mimo iż była środa i w liceum trwały lekcje.

Nawet śniadania nie zjadła, pomyślałem.

Wróciłem do kuchni. Miriam stała przy oknie, zamyślona.

– Chodź – poprosiłem, wskazując drzwi do ogrodu. – Chcę ci coś pokazać w komputerze.

– Nie – odpowiedziała twardo. – Nie mam zamiaru niczego oglądać. I tak aż za dobrze wiem, co się dzieje, Bert.

– Cóż takiego, według ciebie?

Otworzyła jedną z szafek kuchennych. Whiskey Tullamore Dew, którą rozlałem wczoraj na dywan, stała tam jak dowód rzeczowy zbrodni.

– To właśnie. To i pigułki. To wszystko już było, Bert, i... I znowu się zaczęło! Czy ty sam tego nie widzisz? Masz przywidzenia, podobnie jak Chucks.

– To nie są żadne...

– Brakuje ci go – przerwała mi – i jestem w stanie to zrozumieć. Ale co z nami? Co ze mną i z Britney? Wpadłeś w bagno i chcesz nas ze sobą pociągnąć na dno.

– Mówię poważnie, Miriam. To nie są żadne przywidzenia. To nie ma nic wspólnego z alkoholem ani z lekami. Mam dowody na to, że...

– Takie same jak wczoraj, Bert? Dowody i co jeszcze?! Wczoraj wyszedłeś z siebie, miałeś trudności z oddychaniem. Szarpałeś się z jednym z przyjaciół twojej córki! Pobiłeś się z siedemnastoletnim chłopcem, Bert!

Miriam nawrzeszczała na mnie i wybuchnęła płaczem.

Przypuszczalnie nawet nie zrozumiała, o czym mówiłem. Nie odezwałem się więcej ani słowem. Nie starałem się bronić. Ogarnęła mnie nagła chęć, żeby też opuścić dom. Podkuliłem ogon i uciekłem.

Szedłem przed siebie, ogarnięty czarnymi myślami i zdesperowany. Britney mnie nienawidziła i miała ku temu dobry powód. Miriam chyba chciała rozwodu... Do diabła, oczywiście, że to właśnie miała na myśli! Chce zostać we Francji i nawet nie spytała mnie o zdanie. Cóż innego mogłoby to oznaczać jak nie to, że chce się rozwieść? Zacząłem się zastanawiać, czy ma kochanka. No bo dlaczego by nie? Któregoś z tych nowych przyjaciół, którymi ostatnio zaczęła się otaczać. Któregoś z tych wyrafinowanych, uśmiechniętych i wysportowanych czterdziestolatków, którzy uczęszczali do Raquet Clubu w żółtych swetrach narzuconych na ramiona. Nie kochaliśmy się już od... Od kiedy? Może jakiś inny facet jej dogadza?

Pomyślałem, że przechadzka dobrze mi zrobi, pomoże mi rozjaśnić myśli. Jednak gdy dotarłem do Saint-Rémy, moje zranione serce nadal ociekało krwią. Usiadłem na niemal pustym tarasie La Boutique. Poprosiłem o kawę, croissanta i gazetę. Mówiłem po angielsku. Ponadto byłem nieogolony i na oczy miałem nasunięte przeciwsłoneczne ray-bany. Kelner się skrzywił, ale mnie obsłużył.

Zjadłem swojego croissanta bez masła ani dżemu. Wypiłem kawę i poprosiłem o drugą. Saint-Rémy budziło się do życia, przeciągało się leniwie w promieniach słońca. Otwierano sklepy. Apetyczna brunetka w oknie obok ukazała mimochodem ładny pępek, podnosząc rolety; potem zapaliła papierosa i zaczęła głaskać swojego kota. Coś do niego mówiła po francusku. Pomyślałem o tym, że życie mogłoby takie być, swobodne i przyjemne. Te myśli i kofeina trochę mnie ożywiły, ale tylko trochę.

Na dobre pół godziny zagłębiłem się w gazecie, żeby oderwać się od tego, co mi ciążyło. W którymś momencie komórka w kieszeni spodni zawibrowała. Dzwonił Jack Ontam i nie ukrywam, nawet się ucieszyłem, że będę mógł porozmawiać z kimś w ojczystym języku.

– Jak leci, Bert?

– Zdarzały mi się lepsze poranki, Jack. Co u ciebie?

– W porządku. Jestem w Londynie. Wczoraj miałem zebranie w wytwórni Universal. Planują produkcję pamiątkowego wydania największych hitów Chucksa, a ponadto jest ta sprawa z *Beach Ride*. Ron Castellito powiedział mi, że już niemal się uporał z masteringiem.

– Cudownie.

– Słuchaj, stary, będę się streszczał. Wiem, że na mocy testamentu Chucksa jesteś spadkobiercą jego praw autorskich, więc będę potrzebował, żebyś mi parafował umowę przedstawicielską. Wysłałem ci ją pocztą dziś rano. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy się zgadzasz i czy wszystko w porządku.

– Rozumiem. Czy moglibyśmy to omówić kiedy indziej, Jack? Czuję się okropnie.

– Masz kłopoty? Czy mógłbym ci w czymś pomóc? – Nagle Jack zaczął mówić do mnie bardzo uprzejmym tonem. Jego słowa zabrzmiały tak, jakby rzeczywiście był moim agentem.

– Nie mam żadnych kłopotów. Nie miałem czasu, żeby się tym wszystkim zająć... Chyba... Chyba wkrótce wrócę do Londynu – powiedziałem i rozczuliłem się nad sobą.

Szybciej, niż to sobie wyobrażasz, Bert, pomyślałem. I wrócisz sam.

– Naprawdę wszystko w porządku? Wyczuwam w twoim głosie zmęczenie. Smutek – stwierdził Ontam.

– Bo jestem smutny, Jack. Miriam właśnie powiedziała mi bez ogródek, że chce się ze mną rozstać.

– O, cholera! Bardzo mi przykro, Bert. Miriam świetnie wygląda, ale zawsze miała trudny

charakter.

– Lepiej ugryź się w język, stary. Nadal jesteśmy razem.

– Niech ci będzie, ale jeśli do tego dojdzie, możesz na mnie liczyć. Na mój jacht i moje przyjaciółki, Bert.

Zdecydowanie nie graliśmy z Jackiem Ontamem w tej samej lidze emocjonalnej. Natomiast było jasne, że zacząłem mu być potrzebny.

– Aha, jeszcze jedno – ciągnął Jack. – Ron powiedział mi o jakiejś ścieżce dźwiękowej. Że prosiłeś go, żeby ją oczyścić, prawda? Mówi, że rzeczywiście słychać tam było jakieś dziwne rzeczy. Zrobił, co mógł, i wysłał ci to na maila.

Ta informacja sprawiła, że aż podniosłem się z krzesła i odłożyłem „La Provence” na stolik.

– Coś jeszcze ci powiedział?

– Nie. Tylko że ktoś tam coś mówi po francusku. Ale on nie zna francuskiego i ja też nie. Chyba wysłał ci to wczoraj... A może dzisiaj.

Zakończyłem i siedziałem przez chwilę, patrząc przed siebie w przestrzeń. Pomyślałem, że muszę wrócić do domu i sprawdzić pocztę. Odtworzyć ten załącznik od Rona Castellito... Być może to właśnie będzie dowodem, którego potrzebowałem, żeby przekonać Miriam. Tak, to będzie lepsze niż opowiadanie jej o Ojcu Davie, jak zamierzałem zrobić. Wyjaśnię jej wszystko po kolei. A potem będziemy musieli spojrzeć na nasze życie z nowej perspektywy. Oderwać się od tego wszystkiego. Spróbować jeszcze raz. Pojechać samochodem do Włoch. Ona tak lubi Kampanię, a w Positano jest ten fantastyczny hotel. Moglibyśmy pojechać we trójkę, z Britney. Tak, pojedziemy wszyscy troje. Zostawimy za sobą tych toksycznych ludzi, tych van Ernów, Grubitzów i Mattieu, całe to paskudne towarzystwo.

Podniosłem się, położyłem dwadzieścia euro na stoliku i ruszyłem w kierunku domu. Nie przeszedłem nawet stu metrów, gdy w bocznej uliczce odchodzącej od głównego placu dogonił mnie samochód. Pomyślałem, że szuka miejsca do zaparkowania, ale w tej samej chwili kierowca cicho zatrąbił.

To był piękny, biały mercedes, kabriolet. Szykowny oldtimer, model z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Tylko jeden czerwony, skórzany fotel był zajęty. Za kierownicą siedział ktoś, kogo rozpoznałem dopiero po chwili – Eric van Ern.

3

– Cześć, Bert – powitał mnie uprzejmie. Nie widziałem jego oczu, były zasłonięte przyciemnionymi okularami. – Może gdzieś pana podwieźć?

– Och! – jęknąłem. Poczulem, że cała krew spływa mi do stóp.

Eric przechylił się nad fotelem pasażera i otworzył drzwiczki.

– Proszę wsiadać – zaprosił mnie.

Mogłem odmówić. Mogłem powiedzieć: „nie, dziękuję”, ale w głębi duszy odczułem chęć konfrontacji, pragnienie stawienia mu czoła raz a dobrze.

– Dokąd pan się udaje? – spytał van Ern, gdy już siedziałem w środku. – Do domu?

– Właściwie to po prostu spacerowałem – odparłem, macając skórę deski rozdzielczej. – To mercedes pagoda? Z siedemdziesiątego piątego roku?

– Z osiemdziesiątego pierwszego. Kupiłem go w Genewie, na targach starych samochodów.

Zobaczyłem go i zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Zna pan to uczucie?

– Bardzo dobrze – odpowiedziałem. – W Londynie miałem MG, rocznik siedemdziesiąty siódmy. Teraz jeżdżę spiderem z osiemdziesiątego ósmego.

– Jak miło, widzę, że dzielimy upodobanie do klasycznych aut, panie Amandale. Może chciałby pan przez chwilę poprowadzić?

– Tak – odparłem po kilku sekundach namysłu. – Dlaczego nie?

Eric zatrzymał auto u wylotu ulicy. Otworzyliśmy drzwi i przesiadliśmy się. Ująłem kierownicę mercedesa, wypróbowałem pedały. Trochę twardsze niż w moim spiderze, ale silnik zaryczał jak lew babiloński.

– A tak właściwie – zagaił niespodziewanie Eric – to ma pan wolną chwilę? Od dawna obiecywałem, że pokażę panu swoją klinikę. Zapraszam pana na kawę.

– Do kliniki?

– Tak. Mamy tam prywatny kawałek szosy, na której będzie pan mógł sprawdzić, jakie ten wóz ma przyspieszenie.

Było w tym wszystkim coś, co wyglądało na inscenizację, premedytację, jednak możliwość odwiedzenia kliniki van Erna była zbyt pociągająca, żebym mógł się jej oprzeć. Wrzuciłem pierwszy bieg, delikatnie wcisnąłem pedał gazu i ujrzałem, że wskaźnik obrotów zawirował mi przed oczami.

– Którędy pojedziemy?

Wyjechaliśmy z miasteczka szosą R-81 w kierunku na Mont Rouge. Życie ma to do siebie – myślałem, przyspieszając, a pagoda zaczęła się radośnie wspinać drogą wiodącą przez okoliczne pagórki – że jednego dnia snujesz ponure teorie na temat swojego sąsiada, a następnego siedzisz za kierownicą jego samochodu i lekka prowansalska bryza owiewa ci twarz.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończyło – powiedział van Ern, nawiązując w końcu do tego, do czego miał zamiar nawiązać od samego początku. – Elron opowiedział mi o wczorajszym drobnym nieporozumieniu. Bardzo mi przykro.

– Hm, widzę, że wszyscy już wiedzą – odpowiedziałem, odchrząkując z zażenowaniem.

– Niech się pan tak nie przejmuje. Dobrze pana rozumiem. To z powodu Elviry, wie pan. Jest jeszcze mała, ale już zaczynam myśleć, co będzie, gdy dorośnie. Słyszysz się takie rzeczy... W naszych czasach niełatwo jest być ojcem nastolatki.

– Tak... Młodej dziewczynie też nie jest łatwo w dzisiejszych czasach.

Zbliżaliśmy się do rozgałęzienia drogi. Eric wskazał, żebym skręcił w prawo.

– Ale nie powinien się pan tak zamartwiać – ciągnął van Ern. – Przynajmniej nie z powodu Elrona. To szlachetny młody człowiek, wierny zasadom swojego rodu, gwarantuję to panu. Wierność zasadom jest najważniejszą cnotą każdego van Erna i dobrze mu ją wpoiliśmy. Zawsze gdy będzie z Britney, zaopiekuje się nią.

– Słuchaj no, Eric – przerwałem mu. – To, co się wczoraj zdarzyło, było nieporozumieniem. Britney powiedziała, że wróci przed północą, i ogarnął mnie niepokój. W głupi sposób nastraszyłem moją żonę. Ale ja ufam Britney. Nie muszę za nią latać jak stróżujący pies.

Nic nie odpowiedział. Byliśmy już u podnóża Mont Rouge i pokazał, żebym skręcił w prawo, w wąską dróżkę przecinającą jakąś łąkę. Nie było tam żadnego drogowskazu. Żadnego znaku, który wskazywałby, dokąd prowadzi droga.

– Tędy? – upewniłem się.

– Tak – odpowiedział z uśmiechem. – Proszę się nie przejmować. Nie porwałem pana. Po prostu cenimy sobie dyskrecję.

Zagłębiliśmy się w rozległe pola rzepaku i lawendy, na których obrzeżach pojawiały się bujne lasy i zielone wzgórza. Na jednym z nich dostrzegłem dom van Ernów, wznoszący się w oddali jak nieprzyjazny strażnik tego miejsca.

Dróżka zamieniła się w ubity trakt, rozciągający się w linii prostej niemal po horyzont.

– Ma prawie kilometr – oświadczył Eric.

Wcisnąłem pedał gazu i na trzecim biegu podkręciłem obroty do niemal pięciu tysięcy. Puściłem sprzęgło i auto skoczyło do przodu z taką siłą, że aż zachwiało się nieco na boki, a Eric złapał się drzwiczek. Sam nie wiem, co chciałem tym udowodnić. Może właśnie w ten sposób pragnąłem unaocznić szanownemu panu doktorowi, że nie jestem jakimś biedaczyną z Dublina, którym mógłby się zabawiać jak marionetką. Wrzuciłem wyższy bieg i silnik potężnie zaryczał. Doszedłem do stu kilometrów na godzinę i ujrzałem, że zbliżamy się do wielkiego, białego budynku.

– Już prawie jesteśmy na miejscu! – krzyknął van Ern. – Proszę hamować!

– Jeszcze nie pora! – odkrzyknąłem. – Chcę sprawdzić, na ile stać silnik.

Zamiast hamować, jeszcze przyspieszyłem i Erica van Erna wbiło w siedzenie. Silnik mercedesa ryczał z radości, jaką daje wolność po latach służenia za cacko wystawowe. We wstecznym lusterku widziałem chmurę pyłu, która unosiła się za nami jak ogon jakiejś pieprzonej komety.

– Hamuj, człowieku! – Eric stracił trochę ze swej zwykłej pewności siebie.

Pole rzepaku pojawiło się po lewej w chwili, gdy na liczniku było sto czterdzieści na godzinę. Zredukowałem, zacząłem hamować i znaleźliśmy się na ostatnim kawałku drogi, która przywiodła nas do wielkiego, białego budynku. Do kliniki van Erna. Do posiadłości wśród rozległego pola żółtych kwiatów, którą ujrzałem wtedy, przed paroma tygodniami, gdy Chucks jeszcze żył, gdy wszystko wydawało się po prostu grą, kombinacją różnych niewiadomych, zabawą dwóch niedojrzałych, choć zaawansowanych wiekiem i zestresowanych chłopców.

Byliśmy już niemal na wysokości głównego budynku, gdy między drzewami mignął mi tamten drugi. Pustelnia, kaplica, synagoga. Obok niej, wprost na trawniku, stała ciężarówka bez żadnych oznakowań. Jacyś ludzie wyładowywali z niej skrzynki i przypomniałem sobie, jak Edilia powiedziała, że teraz jest to magazyn. Zaraz potem przelotny widok zniknął, przysłonięty fasadą kliniki.

Zahamowałem tuż przed wejściem, obok białych kamiennych schodów ozdobionych koszami z liliami i przetacznikiem. Wyżej, na gzymsie, widniały duże, połączone litery, układające się w napis: KLINIKA VAN ERN.

4

Weszliśmy do recepcji, gdzie przywitała nas promiennie uśmiechnięta pielęgniarka. Zamieniła kilka słów z Erikiem, a ja w tym czasie dyskretnie rozglądałem się wokół. Szerokie marmurowe schody, saloniki, biura. Rzeźbiona drewniana wywieszka z hasłem: WITAJ W NOWYM ŻYCIU! NAŁÓG ZOSTAW ZA SOBĄ!

Eric odebrał korespondencję i poprosił, abym poszedł za nim przeszklonym korytarzem. Wyciągnął plastikową kartę z kieszeni blezera i przesunął ją po czytniku zawieszonym przy framudze drzwi. Usłyszałem szcęknięcie elektronicznego zamka. Weszliśmy do innej części

budynku i trafiliśmy do następnych drzwi, także chronionych przez czytnik.

– Imponujący system bezpieczeństwa – skomentowałem.

– To nasz obowiązek – odparł van Ern, ponownie używając swojej karty. – Choć całość dokumentacji jest anonimowa, prawo zobowiązuje nas do chronienia danych osobowych. A ponadto zależy nam na bezpieczeństwie fizycznym naszych gości, to oczywiste.

Weszliśmy do biura, którego wielkie okno wychodziło na wschód. Ta część posesji była niewidoczna z drogi dojazdowej. Było to wielkie patio otoczone z trzech stron budynkami z szarego kamienia, na którym urządzono piękny ogród. Pośrodku była fontanna, stały tam fotele i leżaki. Na patio krzątali się jacyś ludzie. Wyglądali na ogrodników, ale nie dałbym sobie uciąć głowy, że nie są to pacjenci zmuszani do strzyżenia trawy obcinaczami do paznokci.

Eric nacisnął guzik na biurku i usłyszałem miły kobiecy głos dobiegający z drugiej strony linii.

– Kawa czy herbata, Bert? – spytał Eric.

– Poproszę o kawę.

Van Ern zamówił dwie czarne kawy i usiadł w fotelu stojącym naprzeciw tego, który ja zająłem. Nadal wyglądałem przez okno. Wydawało mi się, że dostrzegam coś między drzewami.

– To park linowy – wyjaśnił Eric, widząc moje zainteresowanie. – Służy do ćwiczeń we wchodzeniu i schodzeniu, ale też do przebywania na wysokości. To daje niezłego kopa, a adrenalina podczas terapii pomaga skuteczniej niż leki. Ponadto stosujemy akupunkturę i medytację jako wsparcie w najtrudniejszych momentach.

– To wygląda jak obóz letni – zażartowałem.

Eric uśmiechnął się lekko.

– I jest czymś zbliżonym. Ten ośrodek jest miejscem, gdzie można rozpocząć wszystko od nowa, Bert. Czasem życie potrafi nas poprowadzić złą drogą, wie pan, o czym mówię? Przychodzą tu najrozmaitsi ludzie, dobrzy ludzie, którzy chcieli postępować jak najlepiej, ale nie udało im się znaleźć na to właściwego sposobu.

Ktoś zapukał do drzwi, Eric powiedział „proszę”, usłyszałem brzęczenie zamka i do pokoju weszła wysoka, elegancka kobieta z tacą, na której stała zastawa kawowa. Postawiła tacę na stoliku.

– Dziękuję, Emmo – powiedział Van Ern.

Kobieta uśmiechnęła się i wyszła. Eric nalał mi filiżankę kawy, po czym zasiadł z powrotem na fotelu. Zapadła cisza.

– Proszę mi coś powiedzieć, panie Van Ern – zacząłem. – Dlaczego odnoszę wrażenie, że nasze dzisiejsze spotkanie nie było przypadkowe?

Van Ern zaśmiał się swobodnie.

– Nie będę pana oszukiwał – stwierdził. – Widzę, że to by mi się nie udało, bo jest pan zbyt inteligentny, by dać się okłamać. To prawda, szukałem pana. Chciałem pokazać panu klinikę, ku czemu istnieje kilka powodów.

– Tak? Słucham więc – powiedziałem, siorbiąc kawę.

– Proszę, niech się pan nie obraża – powiedział Eric. – Proszę nie patrzeć na to ze złej perspektywy. Miriam i Edilia się zaprzyjaźniły, a po tym, co się zdarzyło wczoraj, pana żona podzieliła się z moją swoim zaniepokojeniem. Opowiedziała też Edilii o pana problemach w przeszłości. Uzależnienie od leków jest tak samo niebezpieczne jak każde inne. Może powodować symptomy schizofreniczne. Może prowadzić do manii prześladowczej. Paranoi.

Tego właśnie mi brakowało! Odstawiłem gwałtownie filiżankę i poderwałem się z miejsca.

Byłem rozwścieczony do żywego.

– Chciałbym móc panu powiedzieć, że było mi miło, ale tak nie jest.

– Ależ, Bert, proszę się nie unosić. Czy moglibyśmy porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną?

– Jeśli tego pan chce, dlaczego zaczyna pan od ubliżania mi? – odparłem.

– Wydaje mi się pan wspaniałym człowiekiem, Bert, ale ludzie, którym na panu zależy, naprawdę się o pana martwią. Wiemy, że śmierć przyjaciela była dla pana ogromnym ciosem. A problemy twórcze z tą nową powieścią...

– Cóż pan o tym wie? Co ktokolwiek może o tym wiedzieć?

– Proszę się uspokoić, Bert.

Ale na to było już za późno. Zionąłem furia, jak smok ogniem.

– Ja też się martwię, drogi panie. Martwi mnie to, co wyprawiacie w tej klinice, w tej leśnej pustelni. Martwi mnie, co się tutaj przydarzyło Danielowi Someresowi...

– Komu?

– Wie pan doskonale, o kim mówię. O człowieku, który uciekł z pańskiej kliniki przed miesiącem. O człowieku, którego potrafił mój przyjaciel Chucks!

– W porządku, Bert, w porządku – powiedział van Ern, podnosząc obie ręce w górę. – Pomówmy o tym. Spokojnie. Mówi pan, że jakiś człowiek stąd uciekł? Kiedy?

– Miesiąc temu. Niemal dokładnie miesiąc temu: w poniedziałek, dwudziestego pierwszego maja.

Eric zmarszczył brwi.

– Nic mi o tym nie wiadomo. I mówi pan, że co się z nim stało? Że ktoś go przejechał?

– Na drodze do Mont Rouge mój przyjaciel Chucks Basil potrafił mężczyznę, który pojawił się niespodziewanie na szosie, w pobliżu pańskiej posiadłości. Chucks wpadł w panikę i pozostawił zwłoki na drodze, ale po jakimś czasie wrócił i okazało się, że zniknęły. To było dokładnie po przeciwnej stronie tego pola rzepaku. Ja sam zszedłem z szosy kilka dni później, żeby przyjrzeć się okolicy, i to wtedy zaatakował mnie pana pies.

Eric zrobił zaskoczoną minę.

– Proszę chwilę poczekać.

Podniósł się, podszedł do biurka i nacisnął inny guzik. Powiedział coś po francusku do telefonu wewnętrznego: usłyszałem, że zwraca się do kogoś o imieniu François, każąc mu zaraz przyjść.

– Jeszcze chwila, panie Amandale.

Czekaliśmy w milczeniu i bezruchu przez ponad minutę. Nie wiedziałem, co Eric chce mi udowodnić, ale dostrzegłem na jego twarzy wyraz zaniepokojenia. Zacząłem dopuszczać do siebie myśl, że może jest on odbiciem jego prawdziwych uczuć. A jeśli naprawdę o niczym nie wiedział? To zasiało we mnie ziarno wątpliwości...

Zabręczał zamek i do środka wszedł ten wysoki, muskularny facet, na którego natknąłem się w lesie. Trzymał w ręku kartę magnetyczną i był ubrany w myśliwską kurtkę, tak jak poprzednim razem, niemal przed miesiącem.

– Sądzę, że panowie już się poznaliście. François, to jest pan Bert Amandale. François jest naszym szefem ochrony.

Ochroniarz podszedł do mnie i uściśnął mi dłoń.

– Proszę przyjąć przeprosiny za ten incydent z psem – powiedział. – Miał pan rację, a ja byłem w błędzie. To się już nie powtórzy.

Skinąłem głową, jakbym chciał już zamknąć ten temat. Eric przeszedł do meritum:

– Pan Amandale mówi, że pewien człowiek mógł uciec... Lub lepiej powiedziawszy, bezprawnie przebywał na naszym terenie pod koniec maja. Konkretnie w poniedziałek, dwudziestego pierwszego maja. Czy coś panu o tym wiadomo?

François uniósł brwi w geście zdziwienia i wydawało się, że się zastanawia.

– Nie – odparł. – A gdzie dokładnie?

– Na wysokości sklepu z wyrobami rzemieślniczymi pana Merme’a – odpowiedziałem. – Pojawił się na zakręcie. Przybywał z pola rzepaku. Z kliniki.

François pokręcił głową.

– Mógł przyjść skądinąd, proszę pana. To są bardzo rozległe obszary. Może chodził po lesie i właśnie tam postanowił wrócić na szosę.

– Oczywiście – potwierdził Eric. – Skąd wiadomo, że przybywał z kliniki? Czyżby dowiedział się pan o tym od przyjaciela?

– Nie – odpowiedziałem. Nagle poczułem, że ogarnia mnie zdenerwowanie. – Ten człowiek nie miał czasu niczego powiedzieć. Chociaż... Tak, coś powiedział. Powiedział do mojego przyjaciela jedno słowo: „l’ermitage”.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Co się znajduje w tej kaplicy ukrytej między drzewami? A może jest to pustelnia? – zacząłem wypytywać gorączkowo.

– Pustelnia? Chodzi panu o starą synagogę? To właśnie pana martwi? Nasz magazyn? – Eric się roześmiał.

François też się lekko uśmiechnął, a wtedy Eric coś mu powiedział, na co ochroniarz uprzejmie się pożegnał i wyszedł.

– Proszę mi wybaczyć to pytanie, Bert, ale pana przyjaciel Chucks... Czy to prawda, że miał pewne problemy psychiczne? Czytałem, że w przeszłości zdarzyły mu się epizody psychotyczne.

– Tak. Ale ostatnio czuł się dobrze. Ja...

– Czy policja znalazła jakieś dowody, niechby nawet najbliższe, że istotnie ktoś został zabity? Musiały być jakieś ślady krwi. Włosów. Czegóż.

– Nie... – wyjąkałem, z trudem przełykając ślinę. – Niczego nie znaleźli, ale...

Moje zdenerwowanie rosło z minuty na minutę. Znalezienie się tu, w tej klinice, sprawiło, że wszystkie moje teorie wzięły w łeb. To nie była żadna świątynia Ojca Dave’a, lecz luksusowy, wyrafinowany i nudny ośrodek leczenia uzależnień. Założenie, że człowiek, którego Chucks potrafił, mógł pojawić się na drodze, przyszedłszy skądkolwiek, ale nie stąd, zaczęło mi się wydawać całkowicie uzasadnione.

Równocześnie poczułem, że zrobiłem z siebie kompletnego idiotę.

– Proszę się postawić na moim miejscu, Bert – mówił spokojnie van Ern. – Oskarża mnie pan o coś bardzo poważnego, nie mając na to najmniejszego dowodu. Naraża pan na szwank moją reputację, i to nie tylko w interesach, ale i moje dobre imię tu, wśród mieszkańców miasteczka.

Patrzył na mnie twardo i bardzo poważnie. Był naprawdę poruszony.

– Przepraszam pana bardzo, Eriku, ale to wszystko jest jakieś dziwaczne. Pana obrazy...

– Obrazy! – parsknął lekceważąco. – Edilia opowiedziała mi o rozmowie z panem. Drogi panie, czy pan słyszy, co pan wygaduje?

Opadłem na fotel. Oparłem łokcie na udach i zakryłem dłońmi oczy.

– Tak, ma pan rację, to szaleństwo – powiedziałem. – A wczoraj miałem straszliwy sen. Czegóż takiego jeszcze nigdy nie doświadczyłem. Nigdy. To było takie... Takie mocne... Takie

rzeczywiste.

Wyczułem, że Eric wstaje i podchodzi do mnie. Jego dłoń spoczęła na moim ramieniu.

– Już dobrze, Bert. Proszę się uspokoić. Jestem pana przyjacielem.

Byłem tak oszołomiony, tak zdołowany wydarzeniami tego poranka, tak przygnębiony błędem, który popełniłem poprzedniego dnia, że się poddałem. Uległem temu głosowi. Zawartemu w nim ukojeniu. Zawartej w nim obietnicy ocalenia.

– Chciałbym, żeby pan wiedział, że jestem tutaj, gdyby pan mnie potrzebował. Nie traktuję pana jako klienta, tylko jako przyjaciela. Zgoda?

– Dziękuję, Eriku.

Someres. Ona także ma pewne wątpliwości co do przyczyny śmierci swego brata!

Rozdział siódmy

1

Przypuszczalnie po to, żeby zaoszczędzić sobie kolejnych niezręcznych sytuacji, Eric kazał podstawić samochód, który odwiózł mnie do Saint-Rémy. Powiedział coś o „nagłej sprawie do załatwienia”, ale dobrze rozumiałem, że po tej erupcji emocji nie ma zamiaru przebywać w moim towarzystwie nawet minuty dłużej.

Samochód zostawił mnie na rynku miasteczka, skąd wróciłem piechotą do domu. Od razu się zorientowałem, że skutera Britney nie ma w garażu i że Miriam także jest poza domem. Poszedłem prosto do swojej szopy i odpaliłem macbooka. No i był tam, jak zaanonsował mi Ontam, email od Rona Castellito.

„Głosy” – tak był zatytułowany.

To wszystko, czego udało mi się dokonać z tą ścieżką. Widmowe głosy zaczynają się w 1:13 minucie nagrania. Radzę, słuchaj przez słuchawki. Ściskam,

RON

PS. Kiedy będziesz w Londynie, żeby posłuchać miksów?

Czekając, aż plik się ściągnie, poszedłem do domu i wróciłem ze słuchawkami od komórki. Podłączyłem je do maca i odtworzyłem MP3. Przewinąłem bezpośrednio do czasu 1:10. Dźwięk był o wiele bardziej płaski i suchy, a Ron wzmocnił częstotliwości ludzkiego głosu w taki sposób, aby rozmowa wybijała się ponad tło dźwiękowe. Nie na próżno był jednym z najlepszych w Londynie dźwiękowców czarodziejów. Wysłuchałem, natężając uwagę, tego, co przypuszczalnie było rozmową dwóch osób. I to wszystko. Dialog, prowadzony po francusku, okazał się dla mnie całkowicie niezrozumiały. Ponownie nie udało mi się odróżnić ani słowa, choć nabrałem pewnych podejrzeń. Zaczęło mi się mianowicie wydawać, że jeden z głosów mógł należeć do François, szefa ochrony van Erna.

Ale w rzeczywistości mogłem mieć jedynie (jak sobie mówiłem, wygodniej rozsiadając się w fotelu) jakiś przebłysk intuicji, która nie zawsze jest uzasadniona, albo po prostu złe przeczucie.

Czy to możliwe, że Miriam jednak ma rację, Bert? Czy to możliwe, że zacząłeś się zachowywać zupełnie jak Chucks?

Podniosłem się i wyjąłem puszkę Róźyczki. Postawiłem ją na biurku i otworzyłem. W blisterze widniało kilkanaście pustych miejsc po pigułkach. A ja sądziłem, że wziąłem jedynie kilka.

Co się ze mną dzieje? Powiedz mi, Chucks, stary przyjacielu. Czyżbym zaczynał wariować? Czy zaraziłem się od ciebie twoimi paranoicznymi lękami? Czy też sprawiły to te przeklęte

pigułki?

A może nie piszę tej powieści, którą powinienem? Którą w rzeczywistości chciałbym napisać? Dlaczego miałbym się męczyć opisywaniem wyczynów Billa Noorana, mając tak wspaniały pomysł na thriller jak ten, wzięty wprost z życia?

2

Całe popołudnie spędziłem w ogrodzie, siedząc z Lolą rozciągniętą u stóp i paląc papierosy. Spoglądałem w niebo i śledziłem wzrokiem chmury. Britney wróciła pierwsza, tuż po zachodzie słońca. Usłyszałem warkot silnika i nawet nie dałem jej szansy umknienia po kryjomu na górę.

– Wiem, że mnie nienawidzisz, ale musimy porozmawiać, i to o czymś bardzo ważnym – powiedziałem.

Miriam przyjechała po chwili. Niebo było czerwone i świerszcze wyciągnęły już swoje gitary. Była na plaży, co wywnioskowałem po wiklinowym koszyku i zapachu kremu do opalania, który emanował z jej skóry. Nie mogłem uniknąć przelotnej myśli, że była z innym mężczyzną, ale postarałem się wygnać ją z głowy. Wchodząc, natknęła się na mnie i Britney w salonie. Poprosiłem, żeby do nas dołączyła, ale powiedziała, że najpierw weźmie prysznic.

– To tylko chwila – powiedziałem i popchnąłem nogą walizkę, którą ustawiłem koło kanapy.
– Potem się stąd zabieram.

– Co takiego? Wyjeżdżasz? Dokąd?

– Najpierw chciałbym z wami szczerze porozmawiać.

Miriam usiadła na wprost mnie na drugiej kanapie; nie na tej, na której siedziała Britney. Obydwie patrzyły na mnie w milczeniu.

– Najpierw chciałbym powiedzieć coś tobie, Britney. Bardzo ubolewam nad swoim wczorajszym zachowaniem. To było przesilenie, klimaks czegoś, co krąży mi po głowie od dłuższego czasu. Od śmierci Chuckska. Dzisiaj rano starałem się to wytłumaczyć twojej matce, więc byłoby słuszne, żebyś także ty się o tym dowiedziała.

– Naprawdę zamierzasz jej... – usiłowała mi przerwać Miriam.

Zareagowałem natychmiast.

– To nie to, o czym myślisz... Sądzę, że jestem chory. Że ponownie uległem chorobie. To wszystko. Pozwoliłem, żeby moja wybujała wyobraźnia wzięła nade mną górę i teraz to ona sprawuje nade mną kontrolę. Już dawniej mi się to zdarzało i teraz zdarzyło się ponownie.

– O czym ty mówisz, tato?

Tak naprawdę wcale nie miałem ochoty, żeby dokładnie tłumaczyć to Britney. Wstydzilem się.

– Britney, stworzyłem sobie pewną teorię wokół Erika, Edilii i Elrona van Ernów. Doszedłem do wniosku, że chcą nam uczynić krzywdę. Całej naszej trójce. A nawet zacząłem myśleć, że zabili Chuckska, ponieważ coś o nich wiedział, znał ich tajemnicę.

Britney zamieniła się w wielki znak zapytania, choć nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

– A wczoraj doznałem pewnej wizji, czegoś w rodzaju halucynacji. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się nic podobnego, dlatego zachowałem się jak szaleniec. Myślałem, że coś ci grozi, i postanowiłem cię odszukać za wszelką cenę. Bardzo mi przykro, że poniżyłem cię w oczach

twoich przyjaciół.

– Tato... Ale...

– Bert. – Miriam włączyła się do akcji. – Dokąd się wybierasz?

– Niedaleko. Do domu Chucks'a, do Sainte Claire. To było pierwsze, co mi przyszło do głowy, gdy doszedłem do wniosku, że muszę się oddalić. Że muszę popatrzeć na swoje życie z innej perspektywy.

– Sam? – spytała Miriam. – Sądysz, że to dla ciebie najlepsze?

– Nie wiem. Dzisiaj rozmawiałem z Erikiem... – Zauważyłem zaskoczenie na twarzy Miriam.

– Tak, kochanie. Zwierzyłaś im się z moich małych problemów i, no cóż, ja sam też dołożyłem ręki do tego, żeby nadać im sporego rozgłosu. Rzecz w tym, że Eric zaprosił mnie do spędzenia pewnego c

– Bardzo mi przykro, Bert.

– Nie musi ci być przykro, Miriam. W gruncie rzeczy miał rację. Ponieważ znowu zacząłem... Sama już wiesz co. Znowu mnie to wzięło.

Britney poderwała się z miejsca i przytuliła się do mnie.

– Nie odchodź, tato. Już się nie gniewam.

Miriam i ja spojrzeliśmy na siebie ponad jej głową. To nie było miłe spojrzenie. Niosło dużą dawkę napięcia. W głębi duszy Miriam nie zmieniła zdania i zrozumiałem to w tej samej chwili, gdy na nią spojrzałem. Chciała rozwodu.

Ucałowałem Britney, wyswobodziłem się z jej objęć i wstałem.

– To będzie tylko kilka dni. Potem znowu porozmawiamy, dobrze?

Moja cudowna córka uroniła łezkę i w milczeniu posłusznie skinęła głową. zasu u siebie, w swojej klinice. Zapropował mi to zupełnie poważnie.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

1

Nie miałem chęci przebywać całkiem sam w domu Chucksa i włączyć się z kąta w kąt jak kolejne widmo nawiedzające Prowansję, więc wziąłem ze sobą Lolę. Gdy po raz pierwszy ujrzała dom, zaraz po tym, jak wyciągnąłem ją ze spidera, schroniła się między moje nogi i zawyla. Jednak wkrótce odzyskała swój utracony raj. Zaszczekała kilka razy i runęła pędem do ogrodu.

Ale tak czy owak, przynajmniej rankami miałem towarzystwo. Manon, siostrzenica Mabel, przychodziła co dzień, żeby sprzątać, podczas gdy ja usiłowałem ponownie wdrożyć zdrową dyscyplinę twórczą. To była dziwna dziewczyna. Wiedziała, że ktoś w domu niedawno zmarł, i chodząc po pokojach, żegnała się od czasu do czasu, ale choć po angielsku знаła ledwo parę słów, dobrze się dogadywaliśmy. Przez pierwsze trzy dni zajęła się praniem, prasowaniem i pakowaniem odzieży Chucksa, którą spakowała do pudeł i walizek. Potem odkurzała i myła podłogi, a gdy wszystko już błyszczało, przypuszczam, że przestraszyła się, iż zostanie bez pracy, bo zabrała się do gotowania dla mnie. Za pierwszym razem usiłowałem ją do tego zniechęcić, ale gdy spróbowałem jej tagliatelle z białymi truflami, nabrałem wody w usta. No a potem okazało się, że te dni były nadspodziewanie produktywne. Zabarykadowałem się w „sali imienia Stalina” z moim macbookiem, kawą, tytoniem i gitarą Gibson Les Paul Goldtop rocznik 57, na której grałem, gdy dopadała mnie nuda. Ani jednej pigułki, ani łyka alkoholu. Przetrwiałem najcięższego kaca w najlepszy sposób, w jaki umiałem: pisząc. W jakiś sposób ten dom podziałał na mnie tak jak w przeszłości na Chucksa – wyzwalałac moce twórcze, i nawet już zacząłem mieć nadzieję, że jeśli posiedzę tu wystarczająco długo, skończę powieść. No i w ten sposób będę miał jeden problem mniej na głowie.

Bill Nooran jak gdyby uzyskał nowe życie. Miła starsza pani Castevet, której wpadł w oko, nabrała zwyczaju zapraszania go na herbatkę do swego domku na obrzeżach miasteczka Testamento, pod pretekstem rozmów o literaturze. Pewnego dnia, po wypiciu drugiej filiżanki, Bill stwierdził, że cukier działa na niego zbyt podniecająco. Nie zwlekając ni chwili, zerwał się z miejsca i trzasnął kobiecinę bibliofilskim egzemplarzem *Don Kichota* w szczękę, przerywając jej kruchy, sześćdziesięcioletni stos pacierzowy jednym, dobrze wymierzonym ciosem literackim. I od tej chwili fabuła odzyskała rytm, zaczęła podążać w dobrym kierunku i mogłem już dostrzec światło w tunelu.

W piątek, po ponad tygodniu od wyprowadzki z domu, doznałem objawienia, jaką intrygą zakończyć książkę. Musiało to być około piątej czy szóstej po południu, po tym, jak obudziłem się z dość długiej sjesty. Okna pokoju dygotały pod naporem jednego z tych dziwnych wiatrów, które wieją tu, na południu, jakby zapowiadając, że coś się zdarzy. Niebo zaciągnięte było chmurami. W powietrzu czuć było wilgoć, co oznaczało, że cała ta woda zebrana w atmosferze musi wkrótce spaść na ziemię w postaci letniej ulewy. Ziemia emanowała energią niemal

elektryczną, a cykady grały wściekle, szarpiąc struny swych gitar, jakby to miał być ich ostatni wieczorny koncert w życiu.

Sjesty mają tę zaletę, że pobudzają wyobraźnię. Może nie zawsze, ale tym razem miałem szczęście. Jeszcze leżąc w rozgrzebanej pościeli, wpadłem na wspaniały pomysł na wielki finał: zabiorę ściganego przez policję Billa Noorana na stację benzynową na Rattle Avenue, gdzie weźmie dwóch braciszków jako zakładników. Jeden z młodocianych, Toby Bruster, okaże się piromanem i spowoduje gigantyczną eksplozję za pomocą własnego pomysłu miniwyrzutni ogni sztucznych (o tym wynalazku zreczenie wspomnę w odpowiedniej chwili kilkadziesiąt stron wcześniej) i kanistra benzyny. Ciało Billa nie uda się odnaleźć w ruinach i wszyscy w Testamento będą święcie przekonani, że zginął, spalony na proch, ale w ostatniej scenie wyjawię, że jest cały i zdrowy. No i gotowy na czwarty tom swoich przygód!

Włożyłem dżinsy, starą koszulkę z Bruce'em Springsteenem i crocsy Chucksa. To jest najwspanialsza strona mieszkania samemu: nikt nie może ci powiedzieć, że wyglądasz jak strach na wróble. Zszedłem do „sali imienia Stalina” z intencją, żeby wziąć się z miejsca do roboty. Mój macbook air, z ekranem o przekątnej trzynastu cali, stał otwarty na niskim stoliku przysuniętym do kanapy. To była ta sama kanapa, na której kiedyś ujrzałem Britney owiniętą kocem, zapłakaną, po tym, jak znalazła ciało Chucksa w basenie.

Obok laptopa stały przepełniona popielniczka i pięć pustych filiżanek po kawie.

Zacząłem to uprzątać i nabrałem ochoty na wypicie mocnej kawy. Pomysł na końcową scenę mojej powieści dojrzywał i z każdą chwilą nabierał ciała. Noc będzie długa, pomyślałem. Powinienem dać radę napisać dziesięć, a może nawet piętnaście dobrych stron. Jeszcze kilka takich sesji, a będę mógł wysłać Markowi kompletny maszynopis.

Poszedłem do kuchni. Manon sprzątnęła ją starannie i zostawiła mi na kolację potrawkę z kurczaka z ryżem. Włoska kawiarka leżała, rozmontowana i umyta, na suszarce do naczyń. Nalałem do niej wody i chciałem nasypać kawy, gdy zorientowałem się, że tego samego ranka zużyłem ostatnią jej porcję.

A niech to szlag! *Merde!*

Od kiedy zamieszkałem w Le Mas des Citronniers, tylko raz byłem na zakupach, pięć dni temu, a od tamtej pory jakoś nie pomyślałem, że należałoby pojechać do supermarketu. Na szosie koło Sainte Claire był niewielki sklepik, ale żeby się do niego dostać, też musiałbym wziąć samochód, na co nie miałem ochoty. Postanowiłem pogrzebać w spiżarni Chucksa, do której wchodziło się z kuchni, o czym wiedziałem, bo kilka dni wcześniej przypadkiem tam zajrzałem.

Otworzyłem drzwi i zapaliłem światło. Pomieszczenie to było czymś w rodzaju korytarza, którego ściany były z obu stron zastawione sięgającymi sufitu regałami, na których Chucks zgromadził ogromne ilości niezdrowych produktów żywnościowych. Były tu stosy puszek, cała masa chipsów ziemniaczanych, sporo wina i, oczywiście, kiełbaski drwala w ilości wystarczającej, żeby przetrwać kilka długich nocy polarnych.

Zacząłem grzebać po regałach i przestawiać zapasy z miejsca na miejsce w poszukiwaniu puszek lub torebki z kawą. W trakcie tych czynności przypomniałem sobie, że Chucks prawie nie pijał kawy, od kiedy tamta narzeczona od feng shui wmówiła mu, że to najgorsza trucizna. Natknąłem się na kilka obiecujących pojemników, ale okazały się puste. Wtedy pomyślałem, że może będę miał więcej szczęścia, jeśli przeszukam wyższe półki. O ścianę w głębi korytarza, na której wisiały jakieś fartuchy czy ścierki, oparta była składana drabinka. Poszedłem po nią i odkryłem, że to, co znajd

Były zamaskowane tymi wszystkimi rupieciami i nigdy w życiu bym ich nie odkrył, gdyby nie moje poszukiwania (każdy nałogowy kawosz potwierdzi, że nie ma takiej rzeczy, której by się nie zrobiło, jeśli ma się ochotę na filiżankę dobrej kawy). No dobrze, przesunąłem drabinę, podejmowałem te wszystkie szmaty i znalazłem klamkę. Nacisnąłem ją i poczułem ciąg zimnego powietrza oraz wilgoć, wdzierającą się do korytarzyka.

Druga piwnica? – pomyślałem, dostrzegając początek drewnianych schodów oświetlonych światłem wpadającym ze spiżarni.

Wsadziłem rękę przez framugę i zacząłem macać ścianę w poszukiwaniu włącznika. Czasem robisz coś takiego i trafiasz na wielkiego pająka albo skorpiona, ale tego dnia miałem szczęście i natknąłem się po prostu na włącznik światła. Światłówki na suficie zamigotały, po czym rozświeciły się w pełni. I wtedy zorientowałem się, gdzie się znalazłem.

To nie była żadna piwnica.

To był garaż Chucksa.

Stały w nim obydwa jego samochody, zaparkowane bok w bok. Pierwsza od mojej strony stała elegancka tesla, tuż przy tych czterech drewnianych stopniach, które łączyły garaż z korytarzykiem spiżarnią wiodącym do kuchni (ciekawe, czy Chucks używał tych drzwi?). Z drugiej zaś strony tesli, podobny do gigantycznego hełmu Dartha Vadera, stał range rover evoque. W głębi garażu, jakby się tam ukrył i przyczaił.

Na jego widok dreszcz przebiegł mi po plecach.

To ten wóz, Bert! – powiedziałem sobie, nadal trzęsąc się z emocji wywołanej odkryciem.

Zdałem sobie sprawę, że widzę go po raz pierwszy, od kiedy Chucks opowiedział mi swoją wersję zdarzenia na drodze. Nigdy nie miałem ochoty obejrzeć tych „małych otarć”, o których mówił mi Chucks, być może dlatego, że w głębi duszy obawiałem się, że jeśli je zobaczę, cała ta historia, którą chętnie bym zakwalifikował jako wymysł, nabierze w moich oczach zdecydowanego realizmu.

„...wstawiłem rovera do garażu i przez godzinę czyściłem go do błysku. To nie do uwierzenia, ale samochód jest niemal nietknięty. Tylko tablica rejestracyjna była trochę przekrzywiona, a na zderzaku parę zadrapań. Nic więcej. ...Te bestie tak mają, są nie do zdarcia...”.

Zszedłem po schodkach, minąłem tesłę i podszedłem do pyska range rovera. Pomacałem ciemny, błyszczący lakier nadwozia, na którym dostrzegłem kilka delikatnych zadrapań, rozłożonych w dość niesprecyzowany sposób, jak dziwny ornament na przedniej części maski. Tablica rejestracyjna była troszkę zagięta w jednym rogu, a panel chłodnicy miał parę pęknięć, ale nic z tego nie wyglądało groźnie; nie było tam niczego, co nie mogłoby powstać w wyniku stuknięcia o ścianę albo otarcia o jakiś słupek czy krzaki w ogrodzie.

Nigdy się nie dowiemy, co się stało, Bert (starałem się przywołać samego siebie do porządku), więc lepiej stąd spadaj. Weź się do pracy, skończ pisanie powieści i zapomnij o tym wszystkim.

W głębi garażu, przez okienka nad bramą wjazdową widziałem drzewa poruszane wiatrem. Nagle poczułem, że za chwilę coś się wydarzy. Że przywiodły mnie tu duchy przeszłości. Spiżarnia, drzwi, garaż, range rover.

Spadaj stąd, Bert. Idź kończyć powieść.

Zamiast tego wszedłem w lukę między samochodami i otworzyłem drzwiczki rovera. W nos uderzył mnie silny odór zatęchłego tytoniu. Popielniczka pozostała otwarta i ukazywała leżące w niej pety. Przypomniałem sobie, jak opowiadał mi o tym Chucks: „Pociągnąłem dymka

i wtedy cała kupa popiołu z papierosa spadła mi między nogi, więc zacząłem podskakiwać, usiłując zgasić to tyłkiem”.

Fotele range rovera evoque były obite ciemnoszarą skórą. Pochyliłem się, aby z bliska przyjrzeć się siedzeniu kierowcy. Wyraźnie widoczne ślady nadpalenia, kilka maleńkich kraterów od rozżarzonego popiołu. No dobrze, pomyślałem, to by się zgadzało. Choć z drugiej strony te ślady równie dobrze mogły być powstać w dowolnym innym czasie.

Usiadłem za kierownicą. Cóż ja takiego wyrabiam? – to pytała trzeźwiejsza część mojego umysłu. Uchwyciłem kierownicę, starając się sobie wyobrazić, że to ja jadę śliską od deszczu szosą. Papieros w ręce. Spada mi popiół między uda. Ten moment, gdy potrącam mężczyznę stojącego na drodze. Daniela Someresa. Ujrzałem Chucksą, to, jak wyglądał i jaki był wstrząśnięty wtedy, gdy o wszystkim mi opowiadał, tamtego ranka w maju.

„Nagle podnoszę oczy i widzę przed maską wozu jakiegoś faceta. Ot tak. Oświetlony jak na scenie w teatrze, z rękoma podniesionymi do góry, stoi na środku pieprzonej szosy, prosząc, żebym zahamował. To było jakby mgnienie oka. A potem: Łup!”.

To jest potężny, wysoko zawieszony wóz, pomyślałem. Daniel Someres był mężczyzną niewielkiego wzrostu, ledwo co wyższym od swojej niziutkiej siostry, więc przód samochodu musiał go uderzyć w klatkę piersiową. To wystarczyło, żeby połamać mu wszystkie żebra, dokładnie tak, jak to zrelacjonował Chucks.

Przekręciłem kluczyk, włączając obwód elektryczny. Usłyszałem szmer mikrosilników poruszających reflektory i włączających wsteczne lusterka. W tej samej chwili aktywował się też iPod mini i kabinę zalała muzyka. To była *Beach Ride*.

„Silnik rovera zgasł i na kilka sekund płyta też się wyłączyła, ale po chwili uaktywnił się obwód elektryczny i pieprzona piosenka wróciła”.

Ciarki wędrowały mi po plecach, gdy tak siedziałem w samochodzie Chucksą i słuchałem jego piosenki. Uznałem, że najprawdopodobniej Chucks nie wsiadł już ani razu do tego samochodu od czasu wypadku i nawet nie zabrał z niego swojego iPoda. Jak złodowaciąły sztywno tkwiłem za kierownicą, a do moich uszu dobiegały tony pięknego refrenu niosącego wspomnienia plaży, spaceru za rękę z dziewczyną. Z Lindą, w Kadyksie. Tam, gdzie spoczęli na wieki, mogliby teraz przechadzać się szczęśliwi, gdyby ich życia nie zostały zgaszone przed czasem. Do diabła z tym, co powiedział kiedyś James Dean: „Żyć szybko, umrzeć młodo i być pięknym nieboszczykiem”. Widziałem trupa Chucksą i mogłem o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był to piękny widok. Sflaczała, blada twarz, obrzmiałe ciało uwięzione w trumnie. Nie, zdecydowanie, o żadnym pięknie nie mogło być mowy.

Na tylnym siedzeniu leżały jakieś odpadki. Pudełka po papierosach. Niedopite butelki oranginy. „Ogarnij się, Chucks, masz taki fajny wóz i zamieniasz go w wysypisko śmieci”. Ileż razy żartowałem: „Opuściliśmy naszą podłą dzielnicę, ale ona nas nie opuściła, stary”. Do tego w samochodzie cuchnęło winem. Brakowało jedynie, żebym znalazł zużyty kondom.

Pomyślałem, że muszę opróżnić popielniczkę i wychrzanić całe to gówno do śmieci. Przecież to ja byłem teraz syndykiem masy upadłościowej. A rover był nowiutki, miał osiem miesięcy i jakieś czterdzieści tysięcy na liczniku. Mógłbym sprzedać go za okrągłą sumkę w euro i przekazać kasę jakiejś fundacji, która chroni głuszce przed wymarciem, albo coś w tym stylu. W końcu ani Carli, ani grubej i zachłannej kuzynce Chucksą nie przyda się do niczego francuski wóz z kierownicą po złej stronie. A ja osobiście nie gustowałem w tego typu czołgach.

Poszedłem po worek na śmieci i wróciłem do garażu. Otworzyłem tylne drzwi samochodu i zacząłem od zebrania śmieci z tylnego siedzenia. Potem schyliłem się i z podłogi wygarnąłem

kilka opakowań po słodyczach i innych takich. Następnie opróżniłem popielniczkę i przyszło mi do głowy, że w kufrze z pewnością też będzie pełno odpadków. Wcisnąłem przycisk otwierający klapę przy kierownicy i pokrywa bagażnika podniosła się do góry, ujawniając cały ten bałagan, który Chucks tam woził: skrzynka wina, które kupił i zapomniał zabrać, rolki, płetwy i rurka do nurkowania... Jednak tym, co pierwsze rzuciło mi się w oczy, był niechlujny kłęb ubrań, zrolowanych i umieszczonych na samym środku innych szpargałów.

Uch – pomyślałem – bałaganiarstwo i niechlujstwo Chucksa nie miały granic. Przez chwilę nawet nie wykluczałem tego, że rozebrał się, wsadził ubrania do bagażnika i... I co? Prowadził samochód na golasa? No nie, więc co? Przebrał się i zostawił tu ciuchy z jakiegoś powodu? Machinalnie zacząłem rozwijać splątany kłęb i natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, że znam te rzeczy. Spodnie, kowbojska koszula z charakterystycznym, haftowanym karczkiem...

O, cholera! Przecież to ubrania, które Chucks miał na sobie w noc wypadku!

Rozciągnąłem sztywną kowbojską koszulę i odkryłem wielką plamę z wina na całym gorsie. Powstała wtedy, Pod Czerwonym Bukiem, gdy wylał je na niego niechcący (Chucks utrzymywał, że umyślnie) tamten idiota przy barze. Ale co tu robiła ta odzież? I wtedy, jak błyskawica, przez mózg przemknęło mi wspomnienie. Jak Chucks opowiadał mi, że ukrył ubrania, bo czuł się jak przestępca i, jak powiedział, pomyślał, „że mogą być na nich jakieś ślady DNA czy czegoś, co w filmach zawsze znajdują policjanci”.

Rozbawiło mnie to i zacząłem chichotać samotnie w pustym garażu. Ten pieprzony Chucks i jego odjechane pomysły! Wyobraziłem go sobie, jak w samych gatkach ukrywa dowody przestępstwa. Też sobie znalazł kryjówkę! Ale faktem było, że zrobił dokładnie tak, jak mi powiedział. Wszystko, o czym mi mówił, okazywało się prawdą.

Wrażenie, że otaczają mnie duchy, ciągle rosło. Na zewnątrz wył wiatr. Szczekały psy. Biły dzwony. Deszcz walił o dach. Zacząłem odczuwać pewność, że znalazłem się tu w jakimś celu. Znalazłem te ubrania nie bez kozery. Musiał być jakiś powód. Ale jaki?

No cóż, Manon już uporała się z całą garderobą Chucksa, a te rzeczy przywoływały złe wspomnienia, więc postanowiłem się dłużej nie certolić i wyrzucić je do śmieci razem z resztą tego, co znalazłem w samochodzie. Chwyciłem koszulę, całkowicie zdeterminowany, żeby ją upchnąć w plastikowym worku, machnąłem nią i wtedy z jednej z kieszonek coś wyleciało i upadło na podłogę garażu, podskakując na czerwonych gresowych płytkach.

Jakiś przedmiot, czarny, trochę większy od cukierka, leżał tuż obok moich stóp. Schyliłem się, żeby go podnieść. W pierwszej chwili pomyślałem, że to zapalniczka albo pudełko na pigułki, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że to coś innego. Postawiłem worek ze śmieciami w bagażniku i obejrzałem czarną plastikową obudowę, przedzieloną na dwie części. Pociągnąłem i rozdzieliłem połówki, uwidoczniając końcówkę jednego z tych maleńkich – mieszczących się nawet w kieszonce kowbojskiej koszuli – urządzeń do przechowywania danych. Trzymałem w dłoniach pamięć USB.

Wiatr huczał coraz silniej i na zewnątrz rozpętała się ulewa. Zacisnąłem pendrive'a w pięści i wyszedłem z garażu przez drzwi od spiżarni, całkiem zapominając o kawie. Poszedłem prosto do salonu i zasiadłem przed moim laptopem. Bardzo delikatnie, niemal z taką nabożną ostrożnością, z jaką saper rozbraja zapalnik bomby, wprowadziłem końcówkę pendrive'a do portu USB mojego maca. Na pulpicie pojawiła się nowa ikonka, przedstawiająca dysk. Pod spodem ikonki widniała nazwa. Przeczytałem ją:

DSOMERES2

owało się za nią, bynajmniej nie było ścianą, jak myślałem. To były drzwi.

Rozdział drugi

1

„Brawo, Bert! Brawo! Znalazłeś! Znalazłeś to, co powinienś był znaleźć!”.

Chucks i Daniel dołączyli do innych zjaw krążących wokół, aby pogratulować mi odkrycia, ale ja nie podzielałem ich uniesienia. Czułem się wstrząśnięty, przerażony, kruchy. Zacząłem się trząść jak w febrze. Moje myśli podążyły do chwili, której nigdy nie przeżyłem, ale która, jakby wyryta w brązie, tkwiła w mojej pamięci:

„I wtedy zauważam jego rękę. Nagle chwyta za kieszonkę mojej kowbojskiej koszuli i wpatruje się we mnie, cały czas się trzęsąc. Zaczyna głęboko i szybko oddychać, łapie powietrze jak stary astmatyk, chce mi coś powiedzieć i cały czas trzyma mnie za kieszonkę od koszuli”.

Ten przedmiot był wystarczająco niewielki i lekki, żeby Chucs nie zdał sobie sprawy, że trafił na dno jego kieszeni. Natomiast Daniel Someres miał nadzieję, że człowiek, który go potrafił, odnajdzie pendrive’a. Oczywiście nie był w stanie sobie wyobrazić, że człowiek ten ucieknie z miejsca wypadku, że przebierze się i schowa ubrania do bagażnika. I że pozostaną tam przez długie tygodnie, a ich właściciel umrze, nie dokonując odkrycia.

Z wściekłością uderzyłem pięścią w stół. Mało brakowało, a zacząłbym się walić po głowie, bo dominującym uczuciem, które mnie ogarnęło, była głęboka wściekłość na siebie samego. To był Daniel Someres. Chucks od samego początku miał rację. Powtarzał: „mówię ci prawdę”, powtarzał do znudzenia, że się nie myli, a ja mu nie wierzyłem. To musiało być dla niego czymś strasznym, że nawet jego najlepszy przyjaciel nie ma do niego zaufania.

– Przepraszam cię, Chucks! – krzyknąłem w przestrzeń pustego salonu. – Miałeś rację! Od początku mówiłeś prawdę!

Zapałem papierosa i usiłowałem dojść do siebie. Ten mały czarny przedmiot pojawił się w moim życiu jak zapowiedź katastrofy. Jak diagnoza raka płuc. Jak znak niechybnej śmierci. Jeśli był tym, o czym myślałem, to nie było najmniejszej wątpliwości, że Daniel Someres zmarł w nocy 21 maja pod kołami range rovera Chucksa Basila. Ktoś zabrał stamtąd jego zwłoki i urządził wszystko tak, aby pojawiły się innego dnia o sto kilometrów dalej. Mógł to być jedynie ktoś, kto go ścigał i nie życzył sobie, aby znaleziono trupa w pobliżu pewnej posiadłości...

Kliknąłem dwa razy na wiadomą ikonkę i pojawiło się małe okienko z treścią po francusku, która jednak była łatwa do zrozumienia: „Ten dysk jest zabezpieczony hasłem. Proszę, wprowadź hasło”.

Migający kursor czekał na początku pola. Jak mogło brzmieć hasło? Sam nie wiem dlaczego, ale podjąłem próbę, wpisując imię siostry Daniela: ANDREA. Myślę, że powodowało mną poczucie, że stanowi to jedyny osobisty element życia Someresa, który udało mi się poznać. Wcisnąłem enter, okienko zamigotało, po czym poinformowało mnie, że hasło jest nieprawidłowe. Poniżej widniało ostrzeżenie: „Pozostały dwie próby”.

Te „dwie próby” przekonały mnie, abym zaprzestał wysiłków. Nie chciałem, żeby zawartość pendrive’a została nieodwołalnie zablokowana lub zniszczona. Cóż mogłem wiedzieć o rodzajach zabezpieczeń, jakie stosował Daniel Someres? Jego siostra mówiła, że był prawdziwym maniakem zabezpieczeń, gdy chodziło o pracę, i nie miałem wątpliwości, że hasło dostępu do tej pamięci USB było tego dowodem.

Ale w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. Policja z pewnością dysponuje specjalistami, którzy będą w stanie odszyfrować i odczytać zawartość urządzenia. Najważniejsze było to, że ponad wszelką wątpliwość pendrive Daniela Someresa trafił do kieszeni Chucks’a i że to potwierdzało prawdziwość opowieści mojego przyjaciela. A więc wszystko w historii Chucks’a jest prawdą. Wszystko się zgadza. Dwa razy dwa jest cztery.

Deszcz wciąż padał. Ulewa podlewała spragniony trawnik, zaniedbany i niekoszony już od dawna. Podniosłem się i jak zwierzę w klatce zacząłem krążyć po salonie. Nie wiem, jak długo tak biegałem w kółko, ale z pewnością na tyle długo, że wypaliłem jednego po drugim trzy papierosy, a mój umysł nadal gonił w piętękę. Co, na litość boską, powinienem teraz zrobić?

Nie panikuj, Bert, mówiłem sobie. Myśl! Użyj rozumu! Niech ci się, do cholery, do czegoś przyda to wyspecjalizowane narzędzie, które masz w głowie.

Zakończyłem kolejne okrążenie tuż przy oknie. Stał tam stolik z butelkami, których nie tknąłem przez te osiem dni, które spędziłem w domu Chucks’a, ale teraz poczułem, że należy zrobić wyjątek, i łyknąłem dzinu wprost z gwinta. Poprzez wielką szybę zobaczyłem Lolę, zwiniętą w kłębek w kącie tarasu, chronioną od deszczu przez wystający gzyms i śpiącą sobie smacznie. Poniżej widniał fragment basenu, nadal przykrytego niebieską plandeką. Ten basen... Gdyby tak Lola mogła przemówić!

Myśl, Bert! Wykrzesz z siebie trochę rozsądku! – przemawiałem sobie do rozumu, jednocześnie gorzko żałując, że nie mam pod ręką Różyczki lub którejś z jej kompanek.

Prześladowcy Daniela Someresa z całą pewnością wiedzieli, że ma ze sobą pendrive’a. Przeszukali starannie jego zwłoki, niczego nie znajdując, zanim zrzucili go w przepaść. Przypomniałem sobie François, ochroniarza van Erna, z pomocą psa przeszukującego starannie okolice między kliniką a szosą. Teraz było już dla mnie jasne, czego tam szukali. A ponieważ nigdzie tego nie znaleźli, doszli do wniosku, że Daniel przekazał w jakiś sposób pendrive’a człowiekowi, który go przejechał i uciekł z miejsca wypadku. Że przekazał go Chucksowi!

Chwyciłem komórkę i poszukałem numeru Miriam. To był mój pierwszy, instynktowny odruch: uprzedzić ją o wszystkim, żeby ją ocalić. Ale coż takiego mógłbym jej powiedzieć? „Cześć, Miriam, to ja. Nareszcie mam na wszystko dowody, a van Ernowie są członkami groźnej sekty. Pakuj walizki”. No nie – pomyślałem – to nic nie da; mało tego: mógłbym narazić ją i Britney na niebezpieczeństwo, ponieważ Miriam nie wierzyła, że jestem przy zdrowych zmysłach. Z pewnością wszystko, co bym jej powiedział, wkrótce dotarłoby do uszu Edilii i Erica van Ernów. Niestety, to samo tyczyło się Britney. Nie miałem wątpliwości, że powierzała swojej nastoletniej miłości wszystkie osobiste sekrety. Nie... Ani Miriam, ani Britney nie mogły się niczego dowiedzieć. Były zbyt blisko powiązane z van Ernami. To się n

Musiałem do tego podejść od innej strony: wymiar sprawiedliwości. Tak, powinienem zacząć od tego. Trzeba dostarczyć pamięć USB policji, ale nie na pierwszy lepszy posterunek. Żandarmeria w Sainte Claire była podejrzana. To tam Chucks złożył zeznania i to przypuszczalnie stamtąd wszystkie wieści się rozeszły. To musiał być ktoś, do kogo miałbym całkowite zaufanie, ktoś, kto dopomógłby mi dostarczyć pendrive’a do właściwych władz.

Przyjaciel. Jeden z nielicznych przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali...

V.J. trochę zwlekał z odebraniem telefonu. Głos miał zaspany, jakbym wyrwał go z drzemki.

– Bert? No dobrze, czekam na wyrok – powiedział z miejsca. – Jestem gotowy wysłuchać opinii, jaka by nie była.

– Nie, Vincencie, nie dzwonię w tej sprawie. Nawet się jeszcze nie wzięłem za dalszy ciąg pana książki. Czy jest pan bardzo zajęty?

– Zabawiałem się budową okrętu w butelce. – Zaśmiał się. – A więc nie. Nie jestem bardzo zajęty. A czym mogę służyć, panie Amandale?

– Widzi pan... Vincencie... – Głos zaczął mi drżeć. – Chyba natknąłem się na coś bardzo ważnego. Czy pamięta pan, co panu opowiedziałem przed tygodniem? Te moje niezwykle teorie? Sądzę, że mam coś... Mam dowód, który jest ich potwierdzeniem.

Na linii zapadła krótka cisza. Usłyszałem jakiś stuk, może V.J. odkładał swój stateczek w butelce na biurko.

– Ależ, Bert... – powiedział tonem, w którym wyczułem wyrzut. – I co to takiego miałyby być?

– Proszę mi uwierzyć, V.J. Nawet jeśli to wszystko wydaje się panu nie do uwierzenia. Proszę, niech mi pan zaufa.

V.J. milczał przez krótką chwilę.

– Dobrze, przyjacielu – powiedział w końcu. – Ma pan moje słowo.

– Jestem w domu Chucksa w Sainte Claire. Może pan przyjechać do mnie jeszcze dzisiaj?

– Ale gdzie? Do domu pana przyjaciela? – zdziwił się Vincent.

– Tak. No cóż, to długa historia, ale tak. Właśnie tu jestem. Chciałbym, żeby pan przyjechał coś zobaczyć. Zgoda? Tylko tyle. I bardzo proszę nikomu o tym nie mówić. Dobrze, Vincencie? Nikomu!

W głosie V.J. wyczułem wahanie, ale potwierdził, że przyjedzie.

– Proszę mi podać adres – poprosił.

Nie znałem go na pamięć, ale przeczytałem mu go z koperty jednego z listów, których kupka leżała w holu wejściowym.

– No to za parę minut wyjeżdżam.

– Bardzo jestem panu wdzięczny, Vincencie. I proszę pamiętać: niech pan nikomu nic nie mówi.

– Daję panu słowo, Bert.

Zakończył połączenie.

Czekałem, siedząc przy oknie salonu „do oglądania”, i paliłem papierosa, z nerwami zszarpanymi do szczytu. Usiłowałem wymyślić, co powinienem teraz zrobić. Jedno, co było dla mnie jasne, to że od chwili, gdy cała sprawa wyjdzie na jaw, znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Miriam, Britney i ja sam. Będę musiał poczynić jakieś kroki, żeby ochronić rodzinę. Po jakichś dziesięciu minutach od rozmowy z Vincentem wpadłem na pomysł, co mogę zrobić. Nie miało sensu wtajemniczać Miriam w moje poczynania, ale musiałem się upewnić co do tego, że jeszcze dzisiaj wieczorem opuścimy Francję. Policja zajmie się sprawą od razu, ale niewykluczone, że wszystko może się przedłużyć. Jednak oczywiste jest, że my powinniśmy znaleźć się z dala od tego miasteczka i od tych ludzi. Im szybciej, tym lepiej.

Jedyną trudnością, jaką widziałem, było to, że musiałem jakoś przekonać Miriam, aby wraz z Britney spotkała się ze mną za jakiś czas.

– Bert?

Głos Miriam brzmiał, jakby zaskoczył ją mój telefon, a nawet jakby była na mnie obrażona.

– Miriam, to ja... Jak... Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziała głosem sztywniejszym niż słup elektryczny.

– Słuchaj, dzwonię, bo pomyślałem, że wyjadę do Londynu jeszcze w czerwcu. Mieszkanie tutaj, w tym domu, okropnie mnie deprymuje, no a rozumiem, że ty chcesz zostać u nas, w Willi pod Jabłoniami...

– Do Londynu? Dobrze, oczywiście – powiedziała Miriam i usłyszałem w jej głosie jakby smutek. – Uprzedzę Tristana i Monicę.

– Nie trzeba – odparłem. – Na razie zainstaluję się w lofcie Chucksa. Słuchaj, Britney jest w domu?

– Nie... Pojechała z Elronem do miasteczka. A dlaczego pytasz?

– Bo chcę wyjechać jeszcze dziś wieczorem. Samochodem przez tunel w Calais, żeby jak najszybciej znaleźć się w Londynie. No i chciałbym się z wami pożegnać.

– Już dzisiaj wyjeżdżasz? Tak się spieszysz? No dobrze... – Zamilkła na chwilę. – Jak chcesz. Sądzę, że Britney wpadnie do domu, żeby się przebrać. Wybiera się na jedną z tych zabaw, wiesz...

– W porządku. To będzie tylko chwila. Co myślisz o tym, żebym się zjawił około ósmej?

– Zadzwoń do niej i ją powiadomię. Nie sądzę, żeby był z tym jakiś problem. Ale, Bert, uważaj podczas tej „chwili”, dobrze? Wczoraj odbyłam z Britney rozmowę. Opowiedziałam jej o naszych...

W tej samej chwili w słuchawce usłyszałem, że ktoś dzwoni do drzwi naszego domu w Saint-Rémy.

– Czekasz na kogoś?

– Tak... Umówiłam się z Grubitzową. Właśnie do mnie zadzwoniła, żeby się spytać, czy mogę jej pożyczyć książkę kucharską *Mange tout*. Chyba planuje jakieś przyjęcie. No i z pewnością będzie się chciała napić kawy i trochę poplotkować.

U siebie, w domu Chucksa, też usłyszałem jakiś ruch na dworze: odgłos silnika i szum opon na żwirowym podjeździe. Odsunąłem zasłonę i ujrzałem, że obok mojego spidera parkuje właśnie dość nowy renault scenic. To musiał być V.J.

– No dobrze – ciągnęła Miriam. – Idę otworzyć. Kończę. Rozumiem, że jesteśmy umówieni w domu o ósmej, tak?

Nie zdążyłem nawet powiedzieć: „zgoda”, gdy Miriam się rozłączyła. Nie zostało mi już czasu na rozmyślenia, bo ujrzałem, że Vincent wysiada ze swojego samochodu, ubrany po cywilnemu, w brązowej skórzanej kurtce i sztruksowych spodniach. Zostawiłem telefon na parapecie i wyszedłem mu otworzyć.

– Dziękuję, że pan przyjechał, V.J.

– Bert... – powiedział z zafrasowaną miną. – Jak się pan czuje?

Ujrzałem, że mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i że to, co zobaczył, bynajmniej nie zmniejszyło jego zmartwienia. Nic w tym dziwnego. Byłem ubrany w podarte dzinsy, crocsy i starą rockową koszulkę, całą w strzępach. Nie wziąłem prysznica i miałem rozczochrane włosy. Przypuszczam, że wyglądałem jak kompletny szaleniec.

– Proszę, niech pan wejdzie – odpowiedziałem. I poczułem, że zionę na niego dopiero co wypitym dżinem.

Zamknąłem za nim drzwi wejściowe, poprowadziłem go do salonu i zamknąłem także drzwi wiodące do holu wejściowego. Widziałem, że V.J. rozgląda się wokół, koncentrując się na

bałaganie, który zrobiłem na stoliku. Puste filiżanki, przepelniona popielniczka.

– Spędziłem tu kilka dni – rzuciłem, starając się usprawiedliwić panujący wokół chaos. – Mamy z Miriam pewne problemy małżeńskie.

Ta enuncjacja sprawiła, że V.J. szeroko otworzył oczy.

– Co pan powie? Przykro mi, Bert. O niczym nie wiedziałem. Nie dalej jak wczoraj spotkałem pana żonę na rynku, przywitałem się z nią i...

– Staraliśmy się to utrzymać w tajemnicy. To znaczy, na tyle, na ile cokolwiek da się utrzymać w tajemnicy w takim miasteczku. Ale planujemy się rozstać. Jak by to powiedzieć... To była nasza ostatnia próba. I nie powiodła się. Ale to nie o tym chciałem z panem mówić. Niech pan posłucha...

– Bert. Zanim pan przejdzie dalej, chciałbym powiedzieć, że wiem o tym niemiłym epizodzie w Saint-Rémy w pana wykonaniu i także o tym, co opowiedział pan panu van Ernowi. O tej dziwacznej historii, którą podzielił się pan ze mną wcześniej. Musi pan z tym skończyć. Musi pan natychmiast skończyć z tym wszystkim... Czy mnie pan rozumie?

– Rozumiem, rozumiem, V.J. Przykro mi bardzo, ale muszę przypuścić jeszcze jeden atak – powiedziałem z uśmiechem. – A po tym, co panu pokażę, będzie pan mi towarzyszył.

Usiadłem na kanapie. Podniosłem ekran macbooka air i włączyłem go.

– Jakaś strona internetowa? – spytał V.J.

– Nie... Nie. Zaraz pan zobaczy. Proszę usiąść.

Ale V.J. został na nogach.

– Napije się pan czegoś? – spytał. – Obawiam się, że muszę sobie przyrządzić martini, za pana pozwoleniem.

Podszedł do stolika-barku stojącego przy oknie. Ja siedziałem przy komputerze, czekając, aż załaduje się strona startowa. V.J. wrócił z dwiema szklankami martini.

– Na zdrowie i za to, cokolwiek to jest, co pan znalazł, Bert – powiedział i włożył mi szklankę do ręki.

Nie miałem specjalnie ochoty, ale wypilem. Potem zapaliłem papierosa i oparłem go o jedyne wolne od petów miejsce w popielniczce.

V.J. usiadł koło mnie na kanapie. System operacyjny już zaczął działać, więc sięgnąłem ręką do tej maleńkiej kieszonki w dżinsach, którą pospolicie nazywa się kondonierką. Z pewnością to najlepsze miejsce na świecie, gdzie można schować coś niewielkiego. Dostrzegłem zaskoczenie malujące się na twarzy V.J., gdy ujrzał mały czarny przedmiot w moich palcach.

– A to co?

– To – odpowiedziałem – jest właśnie to, co znalazłem dzisiaj! W koszuli Chucksa, przez przypadek. Miał ją na sobie w tę noc, gdy przejechał Daniela Someresa. Potrącił go autem, Vincencie! Zrobił to, a to jest dowód! Ten człowiek tam był, dokładnie tak, jak twierdził Chucks. I uciekał z kliniki van Erna!

Rozwarłem obudowę i podłączyłem pendrive'a do laptopa. Ponownie na ekranie pojawiła się ikonka dysku z niepozostawiającą żadnych wątpliwości nazwą: DSOMERES2.

– Widzi pan?!

V.J. parsknął na ten widok.

– I gdzie pan mówi, że pan to znalazł?

– W samochodzie Chucksa. Proszę ze mną pójść, pokażę panu. Stoi w garażu.

– Nie ma potrzeby, Bert. Wierzę panu. Może pan otworzyć tego pendrive'a?

– Nie... W tym właśnie problem... Jest zabezpieczony hasłem. Niech pan spojrzy.

Kliknąłem dwa razy na ikonkę i pojawiło się okienko na wpisanie hasła oraz ostrzeżenie, że pozostały już tylko dwie próby.

– Ale to nie powinno stanowić problemu dla policji, prawda?

V.J. potaknął, nie spuszczać oczu z ekranu.

– Ale jeśli nie był pan w stanie go otworzyć, skąd może pan być pewien, że ma pan do czynienia z dowodem potwierdzającym pańskie teorie? – spytał.

– O czym pan mówi? – zapytałem, zirytowany, być może zbyt podniesionym głosem. – Niech pan popatrzy na nazwę: DSOMERES2. Cóż innego mogłoby to oznaczać? Przecież to jasne, że tę nazwę nadał dyskowi jego właściciel. Daniel Someres. A ja go znalazłem w koszuli, którą Chucks miał na sobie w noc wypadku. Czego więcej panu potrzeba?

– Skąd pan może być tego taki pewien? – odparł V.J. – Może to sam pan Basil nadał mu tę nazwę? Może zapisał tu dane ze swojego prywatnego dochodzenia... Przecież sam pan mi mówił, że pański przyjaciel miał obsesję na temat Someres.

Wyjaśniłem mu wszystko. Opowiedziałem o tym, jak powstała plama z wina na kowbojskiej koszuli. O tej chwili, gdy tuż przed śmiercią Daniel Someres schwycił Chucksa za koszulę, z pewnością wsuwając mu ten maleńki przedmiot do kieszeni, i wypowiedział to dziwne słowo: *l'ermitage*.

Słowem tym zakończyłem opowieść i natychmiast krzyknąłem jeszcze raz:

– *L'ermitage!!!*

– Co? – zdziwił się V.J.

Jednym haustem wychyliłem resztę martini, po czym zgasłem papierosa w przepelnionej petami popielniczce. Byłem tak zdenerwowany, że trzęsły mi się ręce i porozwalałem niedopałki po stoliku.

– To może być hasło! Ależ to oczywiste! – wykrzyknąłem. – Bo czymże innym mogłoby być to słowo? Someres chciał ocalić wyniki swojego śledztwa, przekazać je temu nieznanemu, na którego natknął się w nocy na drodze! Temu, który go potrafił ze skutkiem śmiertelnym. Ostatnim oddechem wypowiedział właśnie to słowo: „*l'ermitage*”. Dlaczego? Ponieważ, i jestem o tym święcie przekonany, to właśnie jest hasło do jego dysku.

V.J. zapatrzył się w okno. Na zewnątrz szczykała Lola. Przypuszczalnie z powodu letniej burzy, która właśnie rozpętała się nad nami. Szczykała raz po raz, ale byłem tak skrajnie podniecony, że nawet na nią nie spojrzałem.

Drżącą ręką zacząłem wpisywać hasło w pole dla niego przeznaczone.

– Proszę zaczekać! – powstrzymał mnie V.J. – Tam jest napisane, że pozostały tylko dwie próby. A co, jeśli się pan myli?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Nie wiem, jak działają te rzeczy.

– A więc powinien pan zaprzestać prób – stwierdził V.J. – Mógłby pan doprowadzić do zniszczenia informacji. Zresztą sam pan poprzednio stwierdził, że powinni się tym zająć policyjni specjaliści. Zaraz zadzwonię do kolegi z sekcji informatycznej z Marsylii. Proszę niczego nie dotykać.

Lola ciągle szczykała. Hasło „*l'ermitage*” było już wpisane w pole, a kursor myszki migał, ustawiony na komendzie zatwierdź. Po moim ciele krążyły tony adrenaliny... a ponadto byłem święcie przekonany, że to właśnie to słowo otworzy dostęp do zawartości pamięci USB...

A Lola szczykała, szczykała i szczykała. Spojrzałem w stronę przeszlonych drzwi na taras. Lola stała na tylnych łapach, przednimi opierała się o szybę i ujadała, aż ślina przyskała na wszystkie strony. Nie szczykała zwrócona na zewnątrz, w stronę lasu czy deszczu, ale patrzyła

na salon. Na nas.

– Ten pies wydaje się nerwowy. Coś mu dolega? – spytał V.J.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– Nic tu nie słyhać. Wyjdę na zewnątrz. Za chwilę wracam, Bert.

Wyszedł z salonu, zamykając za sobą drzwi. Nagle ujrzałem, że Lola odbiegła od okna, jakby chciała odnaleźć V.J., którego straciła z oczu. Usłyszałem skrzyp jej pazurów o taras. Ale natychmiast wróciła pod okno i wydobyła z siebie coś w rodzaju głębokiego lamentu.

– Co się dzieje, Lola? – spytałem, wstając i podchodząc do szyby.

Pies wbił we mnie wzrok, jakby chciał przemówić, a wtedy, w głębi ogrodu, za tarasem, ponownie dojrzałem basen Chucksa. Narzuconą na niego plandekę. I naraz coś mi się przestawiło w głowie, jakbym usłyszał ciche kliknięcie, jakbym nagle potrafił zrozumieć, co Lola usiłuje mi przekazać.

A to, co zrozumiałem, wcale mi się nie spodobało.

Podszedłem powoli, niemal na palcach, do drzwi salonu. V.J. nie było w holu wejściowym, ale usłyszałem jego głos, mówiący coś po francusku, dobiegający skądś z głębi domu. Szybko się zorientowałem, że był w salonie „do słuchania”, więc zbliżyłem się do drzwi i przystawiłem do nich ucho. „Trzeba się pospieszyć. Jeszcze dzisiaj. Tak. W porządku. Zaraz się tym zajmę” – usłyszałem.

2

Gdy V.J. wrócił do salonu, zastał mnie siedzącego na kanapie, gapiącego się w ekran i palącego papierosa.

– Już. Załatwione, Bert. Mój przyjaciel mówi, że mogą na to rzucić okiem jeszcze dzisiaj. Ale będę musiał zawieźć im tego pendrive’a do Marsylii. I co pan na to? To pana uspokoi?

Lola ponownie zaczęła szczekać, gdy tylko V.J. postawił nogę w salonie.

– Co z tym psem? Chyba jest nie w humorze – powiedział z uśmiechem, patrząc w stronę okna.

Ale uśmiech zamarł mu na ustach w chwili, gdy odwrócił się do mnie i ujrzał, że podnoszę dubeltówkę Chucksa i mierzę w niego.

– Ręce do góry, V.J. – powiedziałem i mówiąc to, sam usłyszałem, że głos mi drży.

– Cóż pan wyrabia? Skąd pan wziął tę broń?

– To prezent od mojego przyjaciela Chucksa. I przysięgam, że jej użyję, jeśli nie zrobi pan tego, co panu rozkażę. Mój drogi przyjacielu Vincencie, mój najdroższy zdrajco.

– Oszalał pan, Bert. O co panu chodzi?

Zrobił krok w moim kierunku.

– Proszę zostać tam, gdzie pan jest – nakazałem mu głosem, z którego przebijało napięcie. – I proszę podnieść ręce w górę.

– Bert, proszę, niech pan się uspokoi. Jest pan w błędzie. Popełnia pan wielki błąd.

– To nie żaden błąd.

– Tak czy owak, to atak na władzę. Mam obowiązek pana zatrzymać...

– Zobaczymy, kto kogo zatrzyma! A teraz proszę zdjąć kurtkę.

– Sam pan się prosi o wielkie problemy, Bert. Jako przyjaciel radzę panu, niech...

– Ściągaj pan tę przeklętą kurtkę!

Zamilkł; ujrzałem na jego twarzy wyraz ogromnego oburzenia. Zdjął kurtkę i rzucił ją na ziemię.

– A teraz proszę się odwrócić. Ma pan broń?

– Broń? To jest Francja, drogi przyjacielu, nie żaden film o Dzikim Zachodzie. Tu nikt nie chodzi z bronią, oczywiście z wyjątkiem pana samego.

– W porządku. Proszę usiąść. – Machnąłem dubeltówką w kierunku fotela, który stał w kącie salonu. – Proszę się rozgościć i porozmawiajmy, V.J.

Wykonał moje polecenie z rękoma w górze, ale gdy usiadł, pozwoliłem mu je opuścić i oprzeć na poręczach fotela.

– A teraz proszę mi wyjaśnić, skąd Lola pana zna. Szczeka na pana, ponieważ pana rozpoznała, a przecież pan rzekomo nigdy nie był w tym domu, prawda, V.J.? A jednak ona dobrze pana zna.

– O czym pan mówi, Bert? Nie wiem, dlaczego pana pies na mnie szczeka. To cała pana argumentacja? I to dlatego mierzy pan do mnie z broni palnej? Całkowicie stracił pan zdrowe zmysły. Jest pan szalony.

– Wyszedł pan do salonu obok. Dlaczego miałby pan robić coś takiego? Jedynie po to, żebym nie słyszał rozmowy. Ale usłyszałem, jak mówi pan przynaglającym tonem: „Trzeba to zrobić, zaraz”. Z kim pan rozmawiał? Może z van Ernem? Czy to oni opłacają panu te podróże do Tajlandii, Vincencie? Zapewniają panu wypasioną emeryturę w ciepłych krajach?

V.J. parsknął śmiechem.

– Pana wyobraźnia zbyt daleko się zapędziła, Bert. To naprawdę godne ubolewania. Obawiam się, że mieli rację ci, którzy twierdzili, że śmierć przyjaciela całkiem rozstroiła panu umysł.

– Wyobraźnia? A co pan powie o tym pendrivie? Tym pendrivie należącym do Daniela Someresa, który przekazał go mojemu przyjacielowi Chucksowi? To też wytwór wyobraźni? I to, że z pewnością to wy zabiliście Chucksa! Utopiliście go w basenie! A ja się panu zwierzałem! Panu, który od pierwszego dnia był w to wszystko zamieszany. Ale sprawię, że pan za to zapłaci! Z kim pan rozmawiał?

– Już to panu mówiłem: z moim przyjacielem Jeanem Frateau z Wydziału Przepływów Informatycznych Szefostwa Żandarmerii w Marsylii.

– To bardzo łatwo sprawdzić. Telefon. Proszę mi podać telefon.

– Co?

– Pańska komórka. Gdzie jest? Sprawdzimy historię połączeń. To ostatnie połączenie.

Śledziłem wzrokiem twarz V.J., żeby dostrzec na niej oznakę zaskoczenia lub przestachu, ale jego twarz była pozbawiona wyrazu.

– W kurtce, w wewnętrznej prawej kieszeni – odpowiedział beznamiętnym głosem. – Proszę bardzo, proszę do niego zadzwonić. I pozdrowić go ode mnie.

Kurtka leżała na podłodze, w połowie drogi między moją kanapą a jego fotelem. Podniosłem się z miejsca, nie przestając celować do V.J. z dubeltówki, i podszedłem do niej. Schyliłem się, podniosłem ją i zacząłem obmacywać, przyciskając ją do piersi, aż znalazłem telefon. V.J. patrzył na mnie, nie tracąc zimnej krwi. Zacząłem się obawiać, że rzeczywiście po wybraniu ostatniego numeru połączę się z tym gościem z Marsylii.

No to co? Powiem, że przepraszam, i z głowy.

Gdy już wreszcie trzymałem komórkę w dłoni, zdałem sobie sprawę, że to nie będzie takie łatwe. Telefon był zablokowany numerem PIN.

- PIN proszę.
- 3131 – odparł V.J., a ja zacząłem wystukiwać.

Gdy skończyłem, ekran rozżarzył się na czerwono i wyświetlił informację, że numer PIN jest niewłaściwy.

– To zły nu... – zacząłem mówić i podniosłem głowę, w sam raz, żeby zobaczyć, że V.J. zrywa się z miejsca i rzuca się w moją stronę z głośnym krzykiem.

Staranował mnie jak pociąg towarowy; miałem jedynie tyle refleksu, żeby umieścić strzelbę pionowo między moim i jego ciałem. Upadliśmy na ziemię, usiłując wydrzeć sobie dubeltówkę, szarpiąc za jej lufę, a V.J., szybszy w reakcjach ode mnie, usiłował skierować ją w moją szyćę. Stawiałem mu opór, jak mogłem.

- Nie udawaj idioty, Amandale. Poddaj się. Jesteś zatrzymany.
- Ty pieprzony morderco – wydyszałem. – Załatwię was.

Lola rzucała się łapami na szybę drzwi i histerycznie ujadła. V.J. wyrywał mi strzelbę z rąk. Skoncentrował się na odebraniu mi jej, przypuszczalnie dlatego, iż uznał, że jest naładowana, ale ja wiedziałem, że to tylko kawałek drewna i metalu, więc postanowiłem działać przez zaskoczenie. Puściłem lufę i trzasnąłem go oburącz w twarz, stosując rodzaj ciosu, który trudno byłoby zakwalifikować do jakiejś konkretnej sztuki walki: było to coś w rodzaju gwałtownego spłaszczenia mu nosa. Jednocześnie, wkładając w to wszystkie siły, wymierzyłem mu kopa kolanem prawej nogi, żeby go przydusić do ziemi. Cały ten manewr powiódł mi się jedynie częściowo. V.J. podniósł jedną rękę do twarzy, aby oderwać od niej moje dłonie, a drugą nadal trzymał strzelbę.

I wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego. Klnę się, że mnie to pioruńsko zaskoczyło. Kciuk V.J. musiał się zaplątać w jeden z dwóch spustów i nacisnąć nań, a to, co uważałem za tak niebezpieczne narzędzie, jak – powiedzmy – miotła, wystrzeliło prosto w sufit.

Strzelba była naładowana! Chucks musiał znaleźć do niej naboje albo też gdzieś je kupić, cóż mogę powiedzieć.

Ładunek śrutu trafił w piękny kryształowy żyrandol, a na nasze głowy posypały się okruchy szkła i gipsu i owionęła nas chmura prochowego dymu.

Wystrzał i odrzut broni sprawiły, że oderwaliśmy się od siebie. Podnosząc się z ziemi, zorientowałem się, że V.J. stał się panem broni, ruszyłem więc w kierunku szklanych drzwi, za którymi Lola dławiała się histerycznym wrzaskiem, ukazując swoje ostre zęby.

- Stój! – krzyknął V.J.

Słyszając to, pomyślałem, że zaraz do mnie strzeli, więc rzuciłem się szczupakiem za kanapę stojącą obok okna. Filmowi bohaterzy zawsze upadają zręcznie jak koty, lecz ja pacnąłem jak długi na podłogę, uderzając się boleśnie w brzuch.

– Nie komplikuj wszystkiego, Bert – powiedział V.J. łagodnie. – Wyłaź stamtąd z rękoma w górze.

- Co takiego komplikuję, V.J.? Moją własną śmierć?

- Niech pan nie gada głupot, nikt tu nie ma zamiaru zrobić panu krzywdy.

Ułożyłem się wygodniej za kanapą i popatrzyłem na Lolę, która wychodziła z siebie za szybą, ledwie półtora metra ode mnie.

– Wszystko musi wyglądać na wypadek, prawda, V.J.? To właśnie umiecie tak dobrze robić: pozorować wypadki. Tak właśnie zrobiliście w przypadku Daniela Someresa i Chucks. To pan zajął się jego topieniem? Zrobił pan to osobiście?

- Proszę, niech pan się podniesie, Bert. Wszystko będzie dobrze, przyrzekam to panu.

Usłyszałem, jak V.J. porusza się w bok, starając się znaleźć kąt, z którego będzie mógł do mnie wymierzyć. Stolik z butelkami wódki, dżinu i soku z limonek, z których w dawnych, dobrych czasach przyrządzaliśmy sobie z Chucksem poranne gimlety, stał blisko mnie. Wychyliłem się i złapałem butelkę Rose's Lime Juice.

– Niech pan to zostawi!

Nie myśląc, niemal odruchowo, rzuciłem butelką w kierunku głosu, jakby to był odbezpieczony granat. Usłyszałem, jak rozbija się głośno, gdzieś tam. Potem sięgnąłem po litrową butelkę Tanqueray 10 Gin i – tym razem wychylając nieco głowę zza kanapy – wycelowałem prosto w V.J. stojącego na środku salonu. Nie trafiłem, bo odskoczył. Butelka dżinu rąbnęła w ścianę, ale się nie rozprysła. Korzystając z chwili, rzuciłem się do drzwi na taras, żeby je otworzyć.

– Nie uciekaj, bo strzelam! – usłyszałem.

Przez otwarte drzwi do środka wpadła Lola. Nie szczekała, pędziła prosto do V.J. Ujrzałem, jak żandarm odwrócił strzelbę lufą do góry i przygotował się do odparcia kolbą ataku psa. Wykorzystałem ten moment, przeskoczyłem nad kanapą i wylądowałem w kącie, gdzie spoczywała gitara Chucksa, Gibson Les Paul Goldtop rocznik 57. Uchwyciłem ją za gryf.

Lola rzuciła się na Vincenta i z samego sposobu, w jaki to zrobiła, widać było wyraźnie, że go szczerze nienawidzi. W życiu nie widziałem, aby to piękne zwierzę zachowało się tak otwarcie agresywnie. Niestety, V.J. był przygotowany na atak i odparł go, wymierzając suce potworny cios w bok głowy. Lola wydała z siebie żałosny jęk i padła jak worek na podłogę. Nie zwlekając, Vincent zrobił zwrot w moją stronę i niemal udało mu się wycelować we mnie strzelbę, którą musiał najpierw obrócić lufą do przodu, ale nie dałem mu szansy. Masywne, mahoniowe pudło gitary Les Paul przecięło powietrze między mną i nim jak ogromna siekiera. Trzasnąłem go w lewe ramię z taką siłą, że puścił lufę. Strzelba zatańczyła w jego prawej ręce, ale nie zdążył wystrzelić.

Wykorzystałem ten moment, aby przysolić mu solidnie gitarą, tym razem w prawe ramię, i udało mi się doprowadzić do tego, że wypuścił dubeltówkę.

– Złamał mi pan ramię! – wrzasnął po francusku. – Ty skurwysynie, złamałeś mi rękę!

Podniosłem strzelbę i wymierzyłem mu ją prosto w twarz. Pozostał mi jeszcze jeden spust gotowy do naciśnięcia.

– A teraz gadaj albo cię zabiję!

– Co miałbym powiedzieć?

– Prawdę, V.J. Chcę usłyszeć prawdę.

– Prawda jest taka, że jest pan skończony, Bert. Taka jest prawda.

– Już tu jadą, zgadza się? Wezwał ich pan.

– Tak. Właśnie tak – zaśmiał się Vincent. – Dokładnie tak. No i co, zabije mnie pan?

– Zrobię to, jeśli uczyni pan fałszywy krok, drogi przyjacielu. A teraz ręce w górę i marsz! – rozkazałem, wskazując na hol wejściowy.

Stamtąd zagnałem go w korytarzyk, a gdy dotarliśmy do drzwi piwnicy, kazałem mu je otworzyć i wejść do środka.

– Niech pan wyciągnie klucz i rzuci go na podłogę. Potem zamknie za sobą drzwi i zejdzie po schodach na dół. Niech pan krzyknie, gdy będzie pan na dole.

Krzyknął. Jego głos rozległ się echem ze studia nagrań:

– Oszalał pan, Amandale! Słyszysz mnie pan?! Szalencie! Wariat!

Podniosłem klucz i zamknąłem go od zewnątrz. Poszedłem do kuchni, wziąłem stamtąd

krzesło i zapierając je o ścianę, zablokowałem nim dodatkowo drzwi do piwnicy.

Wróciłem do salonu, gdzie nadal unosił się zapach prochu, i podszedłem do Loli. Miała ranę na głowie i mocno krwawiła, ale oddychała. Musiałem jej pomóc, a żadne z nas nie miało szans, jeśli zostalibyśmy dłużej w tym domu. V.J. wezwał pozostałych i z pewnością już byli w drodze. Kim oni są? Ci ochroniarze z psem? Eric van Ern we własnej osobie? Nie miałem zamiaru czekać, by się przekonać.

Wyszedłem przed dom, żeby się rozejrzeć. Przed chwilą przestało padać i przez chmury przebijały się rachityczne promienie słońca. Wokół nie było żywej duszy. Wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie; ot, wieczór w Prowansji, jakich wiele. Ptaki korzystały z przerwy w ulewie i poszukiwały w trawie robaków, z oddali, od strony Sainte Claire, dochodziły odgłosy jakiegoś ludowego święta, a droga wiodąca do domu Chucksxa była pusta jak zawsze.

Wziąłem Lolę na ręce i wyniosłem ją przez frontowe drzwi. Spider miał podniesiony dach, więc otworzyłem bagażnik i ułożyłem w nim sukę. Biedny zwierzak, który najprawdopodobniej ocalił mi życie, popiskiwał z bólu i być może był umierający.

– Już zaraz, piesku. Spokojnie, Lola, jedziemy do lekarza.

Pędem wróciłem do domu, zabrałem strzelbę i macbooka air z pendrive'em wpiętym do gniazda USB. Z piwnicy nie dochodziły żadne odgłosy, więc doszedłem do wniosku, że V.J. czeka cierpliwie na to, żeby uwolnili go jego współnicy.

Wracając do auta, pomyślałem przez chwilę, że dobrze by było poprzecinać mu opony w samochodzie, ale odrzuciłem ten pomysł, bo straciłbym wówczas cenny czas. Ostrożnie położyłem strzelbę na tylnym siedzeniu i włożyłem laptopa do schowka. A potem, nadal ubrany w crocsy, obszarpane džinsy i koszulkę z Bruce'em, ruszyłem z miejsca pełnym gazem. Koła mojej alfy romeo zabuksowały na wilgotnym podłożu i rozrzuciły wokół żwir, a po chwili auto pomknęło przed siebie.

ie uda.

No to myśl dalej, dupku! – wściekłem się na siebie.

Rozdział trzeci

1

Wybrałem drogę do Sainte Claire, bo była to jedyna, którą znałem. Teraz było już dla mnie jasne, że to V.J. był zdrajcą, a nie ktoś z załogi komisariatu z Sainte Claire. Żywiłem nadzieję, że porucznik Riffle mi pomoże albo przynajmniej ochroni mnie i skieruje do odpowiednich władz, które podejmą działania. Zamierzałem też poprosić go, żeby wysłał do mojego domu patrol, który zabierze stamtąd Britney. Jeszcze dzisiaj opuścimy to gniazdo żmij i nigdy więcej żadne z nas nie postawi tu nogi, postanowiłem.

Zbliżałem się już do niewielkiego mostu na rzeczce Vilain, gdy dostrzegłem, że z przeciwka nadjeżdża samochód. Ze strachu serce uciekło mi w pięty.

To był wielki, czarnego koloru kompakt, nadjeżdżający z zapalonymi światłami. Droga, na której się znajdowaliśmy, była wąską, lokalną drogą, z tych, na których przy mijaniu należy zjechać na bok i wymienić uprzejmości. Zwolniłem i trzymając kierownicę lewą ręką, prawą sięgnąłem do tyłu, przeciągnąłem strzelbę między oparciami i położyłem ją na siedzeniu pasażera, tak że częściowo spoczywała na moich kolanach. Lufę skierowałem w stronę okna, przez które miałem zamiar za chwilę powiedzieć „*bonjour*”.

Tamten samochód też zredukował prędkość, ale nie wykonał żadnego manewru, który wskazywałby na to, że ma zamiar zjechać na bok i pozwolić mi przejechać. Wprost przeciwnie, wydawało się, że jeszcze chwila, a dojdzie do czołowego zderzenia. Skierowałem spidera najbardziej na prawo, jak mogłem, i szczęśliwie akurat w tym miejscu pobocze było ciut szersze. Czarny kompakt skoczył do przodu i stanęliśmy bok w bok.

– Amandale! – usłyszałem swoje nazwisko wymówione radosnym głosem. Znałem ten głos. Twarz, którą rozpoznałem dopiero po chwili, rozjaśniał uśmiech. Facet opierał łokieć na oknie, szyba była opuszczona.

– Dan Mattieu? – spytałem, gdy mój mózg uznał za stosowne połączyć ze sobą te kilka neuronów, jakie mi były w tamtej chwili potrzebne.

Twarz ginekologa jeszcze bardziej się rozpromieniła.

– We własnej osobie! – powiedział i wybuchnął śmiechem. – Ale cóż to, wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

Na przednim fotelu obok niego siedział ktoś jeszcze, kogo nie byłem w stanie zidentyfikować.

– A co... Co pan tu robi, panie Mattieu? – wyjąkałem.

Mattieu spojrział na swego tajemniczego pasażera i coś do niego powiedział. Usiłowałem dojrzeć, kto to, ale sylwetka Mattieu całkiem mi go zasłaniała.

– O to samo mógłbym spytać pana. – Lekarz odwrócił się ponownie w moją stronę. – Jedziemy do Raquet Clubu. Mamy zarezerwowany kort, ale myślę, że raczej po prostu się czegoś napijemy. Pogoda nie sprzyja sportom...

Nic nie odpowiedziałem. Siedziałem i patrzyłem na nich. Ten drugi mężczyzna nie wykonał

przez ten cały czas najmniejszego ruchu i nie wyrzekł ani słowa, siedział sztywno i starał się, żebym nie mógł go rozpoznać. Mattieu próbował zajrzeć do wnętrza mojego samochodu; naraz zmarszczył brwi, jakby coś go zmartwiło.

– A pan jest sam? – spytał. – Może zabierze się pan z nami do Raquet Clubu? Na kieliszek...

Nie czekając, wcisnąłem gaz i usłyszałem okrzyk zdziwienia. Spider dał błyskawicznego susa w kierunku mostu i za chwilę już jedynie we wstecznym lusterku mogłem zobaczyć, że lekarz wychylił się niemal do połowy przez otwarte okno swego auta i ścigał mnie wzrokiem.

Moje serce pompowało krew jak szalone, a nadnercza wydzielają ogromne ilości adrenaliny, ale to nie pomagało mi ani w myśleniu, ani w podejmowaniu na zimno trafnych decyzji. Co tu robił ten cholerny Mattieu? Czy ta droga naprawdę prowadzi do Raquet Clubu? A może i on, i ten drugi facet należą do bandy spiskowców i to ich przywołał V.J. na pomoc? Ci Mattieu... A właściwie dlaczego nie? Oni też muszą być w to zamieszani! Przecież przyjaźnią się z van Ernami. Przecież tamtego dnia na targ rękodzieła przybyli wspólnie. Ale jeśli oni, to kto jeszcze mógł być na liście? Czyżby całe pieprzone Saint-Rémy było jedną wielką, radosną, rodzinną sektą? I wtedy przypomniałem sobie rozmowę z Miriam; to, że została przerwana przez wizytę Grubitzowej, dzwoniącej do drzwi. „Nagle jej coś wypadło”, powiedziała Miriam. A zdarzyło się to po dziesięciu minutach od chwili, gdy ja sam zadzwoniłem do V.J., żeby podzielić się z nim moim odkryciem.

A niech to diabli! Grubitzowa pilnuje Miriam!

Spoglądałem co chwila we wsteczne lusterko, żeby upewnić się, że kompakt Dana Mattieu nie zawrócił i nie ściga mnie. Potem, cały czas jadąc ze strzelbą na kolanach, zacząłem szukać swojej komórki. Byłem tak skąpo ubrany, że natychmiast się zorientowałem, że nie mam jej ze sobą. W pośpiechu zabrałem z domu jedynie Lolę, dubeltówkę i laptopa, ale telefon komórkowy zostawiłem.

Zaraz za mostkiem skręciłem w prawo, do Sainte Claire. Szosa była usiana małymi ciemnymi kuleczkami. Gówienka?! Droga wyglądała, jakby przeszło tędy pięć milionów owiec! Dlaczego, na litość boską? Wkrótce miałem się dowiedzieć. W miasteczku odbywało się święto przepędu owiec. Już za chwilę całe stado zagroziło mi drogę. Za nim wolniutko poruszała się kolumna jakichś siedmiu samochodów, a wolontariusze na poboczu kierowali ruchem.

– Niech to piorun jasny strzeli! – krzyknąłem, bezsilnie uderzając pięścią w kierownicę.

Wjazd do centrum miasteczka był zabroniony dla samochodów, więc zawróciłem i pojechałem w przeciwną stronę, mając zamiar dostać się na obwodnicę. W tej samej chwili zauważyłem, że znalazłem się na wysokości niewielkiego zespołu handlowo-usługowego, w którym czasem robiłem zakupy. Wiedziałem, że jest tam gabinet weterynaryjny. Liczyłem też na to, że w jakiś sposób uda mi się skontaktować z Miriam.

Przed budynkami znajdował się obszerny parking. Był tu sklep ogrodniczy (kosze z kwiatami zastawiały chodnik, a cały rząd krasnali ogrodowych szczyrzył zęby w upiornym uśmiechu), weterynarz, sklep spożywczy, kiosk z prasą i skrzynka pocztowa z napisem „La Poste”. Zaparkowałem tuż przed kliniką, której fronton przyozdobiony był ogromną białą kością, zrobioną najprawdopodobniej z jakiejś pianki lub styropianu. W środku paliło się światło i ujrzałem jakiś ruch przez przeszkli

Bąłem się, że otwierając bagażnik, stwierdzą, że Lola nie żyje, ale szczęściem poruszyła się, czując świeże powietrze.

– Przyjechaliśmy, Lola. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem pod drzwi kliniki. Wtedy zorientowałem się, że jest

zamknięta. FERMÉ, oznajmiała ogromna wywieszka, też w kształcie kości, a pod nią wypisane były godziny przyjęć. Jednak byłem pewien, że ktoś jest w środku, więc waliłem w witrynę, aż drzwi się otworzyły. Na zewnątrz wyjrzała młoda dziewczyna, piegowata blondynka ubrana w biały fartuch z logo kliniki. Powiedziała, że zamknięte, ale gdy ujrzała Lolę z wielką raną na głowie, odsunęła się i gestem wskazała, żebym wszedł. Gdy znaleźliśmy się w gabinecie, ułożyłem Lolę na stole zabiegowym.

– *Je suis désolé, mais j'ai hâte*⁸ – wyrecytowałem.

Musiałem, po prostu musiałem wyjść. Lola była już w dobrych rękach, nic więcej w tej chwili nie mogłem dla niej zrobić, a sam musiałem zająć się Miriam i Brit.

Dziewczyna protestowała („*Monsieur!, Monsieur!*”), ale byłem już jedną nogą za drzwiami.

Byłem coraz bardziej zdenerwowany, ponieważ moja teoria spiskowa rozrastała się i obejmowała coraz więcej osób. Grubitzowa, małżeństwo Mattieu, wszyscy oni byli częścią spisku i wiedzieli już o wszystkim, bo z pewnością V.J. ich powiadomił. Alarm w mojej głowie rozżarzył się na czerwono. Miriam i Britney były w niebezpieczeństwie! Wiedziałem, że muszę je o tym uprzedzić, ale nie znałem numerów ich telefonów. Te nowe francuskie numery komórkowe jakoś nie utkwily mi w pamięci, wiedziałem tylko, że w numerze Miriam są trzy piątki, i to by było na tyle.

Na parkingu przed centrum handlowym już tak wirowało mi w głowie, że jeszcze chwila, a uległbym atakowi paniki. I co ja teraz zrobię? Muszę albo pojechać do Saint-Rémy, do domu, albo wrócić do domu Chucksa po swoją komórkę. I tak źle, i tak niedobrze. I wtedy wpadłem na pomysł, że mogę użyć macbooka i ze swojego konta na Facebooku wysłać wiadomość do Brit. Ona ciągle siedziała na Facebooku i na swoim smartfonie miała zainstalowaną jedną z tych aplikacji, które natychmiast powiadamiały o nowej wiadomości w skrzynce. Jedyne, czego potrzebowałem, to żeby w którymś z tych sklepów, które były jeszcze otwarte (sklep ogrodniczy lub kiosk), znajdowało się ogólnodostępne łącze.

Wyciągnąłem maca ze schowka i poszedłem do kiosku. To był typowy kiosk, w którym sprzedawano wszystkiego po trochu: kartki pocztowe, materiały piśmienne, zeszyty, papierosy, gazety i czasopisma. Sprzedawczynią była bujnych kształtów kobieta około czterdziestki, ubrana jak jedna z tych wróżek, które pokazują się nocą w telewizji.

Wszedłem z laptopem pod pachą, spiesznym krokiem, naruszając senny nastrój sklepiku. Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, usiłując rozpoznać, czy ma do czynienia ze złodziejem, pijakiem czy też żebrakiem.

– Wi-fi? Internet? – pytałem gorączkowo.

Powiedziała coś po francusku, co nie do końca zrozumiałem. Miała chyba na myśli, że to kiosk, a nie kawiarenka internetowa.

– Muszę wysłać wiadomość – nalegałem. – To bardzo ważne.

– Dobrze pan trafił – odpowiedziała z lekkim uśmiechem. – Może ją pan wysłać listem. U mnie dostanie pan znaczki i koperty.

Rozciągnąłem usta w grymasie, który miał imitować uśmiech. Powiedziałem: *merci*, i wyszedłem. Próba załatwienia czegoś w sklepie ogrodniczym powiodła się jeszcze gorzej, bo tam nawet nie udało mi się znaleźć ekspedienta. Włączyłem maca i sprawdziłem dostęp do internetu, ale nie było tu żadnej publicznej sieci wi-fi, jedynie dwie prywatne, zabezpieczone hasłem.

Nie, to do niczego nie prowadzi, tylko tracisz czas, Bert. Zmusz się do myślenia!

Znowu byłem na parkingu. Po burzy pojawiło się słońce, oświetlony asfalt wyglądał jak zrobiony z ołowiu. Wsiadłem do samochodu i wziąłem się do analizowania dostępnych opcji. Mógłbym usiłować pojechać do Saint-Rémy, ale to zajęłoby mi pół godziny, a jeśli moje domysły co do roli Grubitzowej są słuszne, to Miriam i Brit wpadły już w szpony spiskowców. Następnym świetnym pomysłem było, żeby udać się do komisariatu w Sainte Claire i domagać się rozmowy z porucznikiem Riffle... Jednak z powodu tego całego zamieszania z owcami musiałbym iść pieszo, ponadto nie bardzo wiedziałem, jak miałbym wytłumaczyć się z faktu, że właśnie pobiełem gitarą stróża porządku i uwięziłem go w piwnicy Chuckska.

Podniosłem wzrok i dostrzegłem kobietę z kiosku. Wyszła na zewnątrz i paliła papierosa, oparta o framugę drzwi. Zorientowała się, że na nią patrzę, i uśmiechnęła się. Odwzajemniłem uśmiech i też zapaliłem papierosa. Już miałem włożyć laptopa z powrotem do schowka, gdy zauważyłem, że nadal podłączona jest do niego pamięć USB. Wyciągnąłem pendrive'a, włożyłem go do kieszeni spodni i naraz wpadłem na pomysł, którego dotąd bezowocnie szukałem.

2

Doszedłem do wniosku, że wszystko, co do tej chwili się wydarzyło, było długim łańcuchem błędów i złych decyzji. Począwszy od Chuckska, który nie powinien był zostawić tego człowieka na drodze, poprzez mój upór, żeby nie wierzyć w nic, co mówił mój przyjaciel. A jednak wszystkie jego zapewnienia okazały się prawdą i nagle zrozumiałem, że do okropnej sytuacji, w której teraz się znalazłem, doprowadziłem sam, głównie przez zawstydzającą bierność i brak inicjatywy. Ale choć siedziałem po uszy w gównie, przyszła pora, abym sobie i światu udowodnił, że Bert Amandale się jeszcze nie skończył. Miałem zamiar zrobić, co należy. Chociaż wiedziałem aż za dobrze, że nikt nie będzie mnie z tego powodu oklaskiwał ani też nie urządzi festynu na moją cześć; przeciwnie, znajdą się tacy, którzy będą chcieli pogrzyżyć mnie do reszty.

Po objechaniu obwodnicą miasteczka Sainte Claire dotarłem do podnóża Mont Rouge. Foldery turystyczne zachwalają ten rejon Alpillles, informując, że przez trzysta dni w roku panuje tu słoneczna pogoda, ale przykro mi, bo tego akurat dnia łało jak z cebra. Sądzę, że należy o to obwiniać zmiany klimatyczne, odpowiedzialne również za to, że w Wielkiej Brytanii zaczęto produkować całkiem niezłe wina, czasem nawet przewyższające niektóre francuskie. Tak naprawdę chodzi mi o to, że w którejś chwili zdałem sobie sprawę, że szosa jest zalana wodą. Nagle wjazd na szczyt góry wijącą się jak wąż drogą zaczął mi się wydawać trudną sztuką.

Jeden zakręt, drugi. Staralem się jechać ostrożnie. Zauważyłem jednak, że spider zachowuje się jakoś dziwnie, inaczej niż zawsze. Jak gdyby też był skrajnie zdenerwowany, jak i ja. Nie dawał się dobrze prowadzić albo... A może to ja zrobiłem się jakiś niezdarny?

Ruch na drodze był spory. Festyn w Sainte Claire przyciągał ludzi z innych miasteczek i wiosek. Tej nocy będą piec mięso na rusztach, pić wino i witać nadejście lata. Jakiś samochód bez trudu mnie wyprzedził. Czyżbym jechał aż tak wolno? Nagle zorientowałem się, że zjechałem na przeciwny pas ruchu. Co się ze mną dzieje? Usiłowałem skoncentrować się na prowadzeniu. Jestem już niedaleko. Dojadę do Saint-Rémy i zrobię to, co trzeba będzie zrobić. Jednak najpierw muszę tam dojechać, a z tym właśnie był jakiś kłopot.

Zaczął mnie wyprzedzać inny samochód. Zauważyłem, że był to czarny rodzinny kompakt. Znajdowaliśmy się na prostej przed kolejnym zakrętem. Odcinek ten miał jakieś dwieście metrów długości, tymczasem wóz wyprzedzał mnie bardzo, bardzo powoli, jakby dysponował dowolną ilością czasu i miejsca. Gdy znalazł się na wysokości mojego spidera, wydawało mi się, że jeszcze zwolnił.

– Gazu, człowieku! – wrzasnąłem. – Dodaj gazu!

Spojrzałem w bok, ale nie dostrzegłem kierowcy. Czarny samochód znajdował się teraz na przeciwległym pasie ruchu, a zakręt był tuż-tuż. Schował się przede mnie w ostatniej chwili i ujrzałem jego tylną szybę. Ktoś tam był, z tylnego siedzenia samochodu gapił się na mnie.

To była córka van Ernów. Spotkałem ją tylko dwa razy w życiu, ale byłem pewien, że to ona. Błada, piegowata twarz, a w niej złe, diaboliczne oczy. Trzymała obie dłonie na szybie. Dwie czerwone dłonie. Dłonie, po których spływała krew.

Uśmiechnęła się do mnie, pocierając dłońmi o szybę i tworząc na niej krwawy ślad. Potem podniosła ręce i cały czas wykrzywiając się w upiornym uśmiechu, zaczęła smarować się krwią po twarzy.

Instynktownie wcisnąłem hamulec.

Tylko przyhamowałem, ale widocznie musiałem mieć kogoś na ogonie. Rzuciło mnie do przodu, rozległ się trzask i głośnie trąbienie.

Samochód z dziewczynką van Ernów był już daleko. Tym razem wcisnąłem gaz, chyba zbyt gwałtownie, i spider skoczył do przodu. Facet z samochodu za mną cały czas trąbił, przypuszczalnie chcąc mnie zmusić do zatrzymania się. Nie wątpiłem, że obydwa nasze auta solidnie oberwały, bo trzasnęło jak diabli. We wstecznym lusterku widziałem, że wybiłem gościowi jeden reflektor. Ale cóż z tego, skoro właśnie utraciłem kontrolę nad samochodem. Kontrolę nad sobą. Zdałem sobie z tego sprawę właśnie w tej chwili. Nie mogłem nawet ruszyć ręką. Obydwie moje ręce spoczywały na kierownicy (we właściwej pozycji, zaznaczam), ale co z tego, skoro nie mogłem nimi poruszać. Nie mogłem wykonać skrętu. Znajdowałem się we śnie, a ten sen miał się skończyć, gdy znajdę się na zakręcie. Pedał gazu spidera, sportowego auta, jest superczuły. Moja stopa zgniatała go, całkowicie nieruchoma, jakby nagle zlodowaciała, a silnik, rycząc, protestował na trzecim biegu. Nic z tego, gałka zmiany biegów była poza moim zasięgiem. Moja druga stopa, spoczywająca obok pedałów, stała się moją jedyną nadzieją. Robiąc tytaniczny wysiłek, usiłowałem wznieść ją na tyle, żeby oprzeć ją na pedale hamulca. Udało mi się dotknąć jego krawędzi, ale opadła bezwładnie. Licznik wskazywał siedemdziesiąt na godzinę. Czy mam zapięte pasy? To było ostatnie, co mi przyszło do głowy. To, i jeszcze to martini, które przygotował mi V.J. tego wieczoru, w domu Chucksa. Już wtedy wydało mi się dziwne, że mój stary przyjaciel, wiejski policjant, jest taki spragniony. Tak bardzo spragniony...

Trąbienie samochodu za mną zamieniło się w coś przypominającego odgłos alarmu pożarowego, gdy kierowca ujrzał, że w linii prostej zmierzam ku przepaści, ścinając zakręt. Czarny samochód z dziewczynką o zakrwawionych dłoniach znikł już gdzieś w górze. Jedyne, co mnie pocieszało, to że w tej właśnie chwili nie zjeżdżał z przeciwka żaden cyklista (i w ogóle nikogo nie było w polu widzenia), bo zmiotłbym go z drogi.

Jak pocisk wystrzeliłem na pobocze, tuż obok ogromnego świerka rosnącego na zakręcie. Jednak nie roztrzaskałem się o drzewo ani nie spadłem w przepaść. Spider uderzył w coś (potem dowiedziałem się, że był to pień, który został po drugim, ściętym świerku), co zatrzymało go w miejscu. Inercja pędu sprawiła, że tył samochodu uniósł się, spider wykonał perfekcyjną przewrotną i opadł na bok. W czasie tych ewolucji najpierw uderzyłem ciałem o kierownicę,

a następnie o sufit. Czułem, że okruchy szkła ze stłuczonych szyb sypią mi się na twarz, ale nie poczułem bólu. Jeszcze jeden obrót, żeby zakończyć kołami do góry, i wszystko się zatrzymało. Hałas i ruch. W jednej chwili skończyło się wszystko.

Potem zobaczyłem trawę i usłyszałem krzyki gdzieś na górze, na szosie. Czułem zapach benzyny. Miałem nadzieję, że moja kochana alfa romeo nie zacznie się palić. Nie chciałem spłonąć żywcem, uwięziony w samochodzie.

W pewnej chwili zorientowałem się, że coś śliskiego pełźnie mi po twarzy. Z jakiegoś powodu byłem święcie przekonany, że to wąż. Tak naprawdę była to krew, która spływała mi z czoła, podczas gdy moje oczy widziały, jak wszystko dokoła powoli blednie. Wkrótce świat stał się cały biały i zniknął.

3

Moje wspomnienia tego, co działo się potem, są bardzo fragmentaryczne. Nie jestem w stanie złożyć ich w całość, jakby były odłamkami stłuczonej szyby lub niekompletnymi kawałkami układanki. Nigdy się nie dowiem, czy to wszystko działo się naprawdę, czy też mi się śniło. A może to jawa i sen wymieszały się i zapęliły.

Jakiś człowiek kucał przy oknie po mojej stronie i pytał: *Monsieur, monsieur, vous m'entendez?*⁹. Potem zjawilo się więcej ludzi. Dużo nóg wokół. Usiłowania postawienia samochodu na kołach. Jakieś syreny rozlegające się w oddali. Miałem nadzieję, że to nadjeżdża porucznik Riffle ze swymi bohaterskimi rycerzami. Opowiem mu o wszystkim... Jeszcze zdąży, jeśli się pospieszy... Jeszcze...

„Musi pan pojechać jak najszybciej po Miriam. Proszę nie ufać nikomu. Te kobiety z miasteczka, te rzekome przyjaciółki... Wszystkie są czarownicami! Słyszysz mnie pan? Te czarownice i należą do spisku! Wszyscy, wszyscy oni należą do wielkiej sekty Ojca Dave'a!”

Tylko wydawało mi się, że to mówię. Nie mogłem poruszyć ustami.

– Spokojnie, proszę pana. Zaraz pana wyciągniemy – usłyszałem.

Komuś udało się otworzyć drzwi samochodu, a może je oderwać. Słyszałem warkot piły do metalu i przez chwilę miałem zamiar ich poprosić, żeby uważali, bo mogą mi porysować lakier. No tak. Potem mnie wyciągnęli. Ujrzałem korony drzew i niebo usiane gwiazdami. Pachniało latem. Pachniało miętą i piniowymi lasami kołysanymi bryzą. Wiatr rozwiewał włosy pięknej kobiety. Jedwabne koszule wypuszczone na spodnie. Butelki szampana z szyjkami owiniętymi złotym papierem. Świeczniki z brązu ustawione tuż przy basenie. Cykady. Zapach leśnej ściółki. Kochać się wśród drzew. Słuchać muzyki starego mistrza o smutnych oczach. Wielki stojący zegar, z drewna pociemniałego ze starości. Jego głęboki, jednostajny dźwięk. Bum, bum, bum.

Umieszczono mnie na noszach i poniesiono daleko przez las. Cała karawana zatrzymanych samochodów, długi świetlisty wąż reflektorów. Ludzie palący papierosy na poboczu. Jakiś ojciec krzyczy do córek, żeby nie wysiadały z samochodu. Musiałem przedstawiać sobą okropny widok. Pomyślałem, że może musieli mi amputować jakąś część ciała, żeby wyciągnąć mnie z alfy romeo. Ta warcząca piła, do czegoż mogła się przydać, jeśli nie do tego właśnie? Ponieważ nadal nie mogłem się poruszyć, nie byłem w stanie tego sprawdzić. Być może byłem tylko skrwawionym strzępem mięsa. Wyobraziłem sobie siebie jako świętego Bartłomieja, obdartego ze skóry, żywcem gotowanego w kotle sosu pomidorowego z dodatkiem oregano.

Bolało mnie wszystko, jakby ktoś napażał mnie po całym ciele małym młotkiem. Jakby obcęgami kruszył mi na kawałki wszystkie kości.

Sufit ambulansu (tak przypuszczałem) i dwóch młodych Francuzów obok mnie. Dwóch bohaterów w białych strojach. Lekarze. Oni mi pomogą. Usiłowałem im wyjaśnić, co się wydarzyło. „Porucznik Riffle”, mówiłem (lub myślałem, że mówię), ale oni nie zwracali na mnie uwagi. Nawet nie spojrzeli mi w twarz. „Proszę się zrelaksować, panie”, mówił jeden z nich łamanym angielskim. „Jedziemy do szpitala i będzie pan wyleczony”. Poczułem, że wstrzykują mi coś w ramię i ból natychmiast ustaje.

Pomyślałem o Britney. Ujrzałem ją taką, jak pewnego wieczoru przed milionem lat, gdy odprowadzała mnie na samolot. Miała sześć lat i wyglądała jak złotowłosa królewna, jak czarodziejka, która rzuciła na mnie urok. Wybiegła za mną z domu, wskoczyła mi na ręce i ucałowała w policzek. A potem stała i machała mi na pożegnanie.

„Przyrzeknij, że zaraz wrócisz, tato”.

„Przyrzekam”.

Mieszkaliśmy w wynajętym domu w Oxfordshire. Wynajęliśmy go tamtego lata. Podeszedłem do ogrodzenia, za którym czekała na mnie taksówka. Obejrzałem się za siebie. Ujrzałem dom. Ujrzałem moją córkę. I poczułem, że po to człowiek żyje na świecie.

Potem odszedłem, wsiadłem do taksówki i zamknąłem oczy.

Poczułem smak krwi w ustach.

Dobranoc, słodkich snów...

one drzwi. Ukryłem strzelbę z tyłu za oparciami i wyskoczyłem z samochodu.

Rozdział czwarty

1

– Mogło być gorzej. O wiele gorzej. Ale miał szczęście. Tak, mamó, tak. Nie przejmuj się. Oczywiście. Nie, to zbyt ciężkie, tu już i tak jest aż za dużo ludzi.

To wspomnienie jest już ze szpitala. Pokój o białych ścianach, pełno różnych urządzeń. Pościel w kwiatki, może po to, żeby zerwać z nudną monotonią szaroburzych kolorów. Miriam rozmawia przez komórkę, stojąc przy oknie. Ogląda sobie paznokcie, a słońce pada jej na twarz. Włosy ma zebrane w kitkę. Ubrana jest w dżinsy i białą bluzkę wyrzuconą na spodnie.

– Teraz śpi. Z początku był nieprzytomny. Tak, tak będzie najlepiej. Teraz się okaże, co będzie można zrobić. Ale poczekaj no, wydaje się, że otwiera oczy... Bert?

– Mmmiriam?

– Mamó, muszę kończyć. Właśnie się obudził. Tak, tak, oczywiście. Zadzwoń.

Schowała komórkę i podeszła do mnie. Ujęła mnie za rękę.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała.

Miała podkrążone oczy, zmęczoną twarz bez makijażu, nie założyła kolczyków.

– Dzień dobry – odpowiedziałem, uśmiechając się. – Jak się masz?

– Przypuszczam, że lepiej od ciebie.

Zaśmiałem się i poczułem, że kłują mnie boleśnie zębra.

– Boli cię?

– Trochę. Co sobie uszkodziłem? Jestem w całości? – spytałem, wskazując palcem na nogi.

– Wiele stłuczeń, pęknięte zebro i imponująca szrama na czole. Nic więcej. Mogłeś się zabić, ale jedynie trochę się podrapałeś. Jesteś człowiekiem z żelaza.

Mówiąc to, ścisnęła moją dłoń.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i ujrzałem Britney. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, że ją widzę. Miriam i Britney, obydwie ocalały. Zwyciężyliśmy. Nadal nie wiedziałem jak ani dzięki czemu, ale zwyciężyliśmy!

– Tato!

Przebiegła przez pokój, ale metr od łóżka stanęła jak wryta i zaczęła płakać.

– Córeczko – wyciągnąłem do niej rękę – nie płacz. Chodź do mnie. Już po wszystkim. Już wszystko załatwione.

– Tak, tato. Tak.

– Tak, Bert – włączyła się Miriam. – Wszystko się ułoży. Bądź spokojny.

Britney podeszła, żeby mnie ucałować, ale ja zafiksowałem się na słowach Miriam. „Wszystko się ułoży”. Jak to? Czyżby nie wszystko było już wiadome?

Britney pachniała kwiatowym szamponem. Jej rozpuszczone włosy pieściły mi twarz. Jej łzy spływały na moje czoło.

– Jak się to wszystko skończyło? – spytałem. – A co z policją? Już się za to wzięła?

– Nie – odpowiedziała Miriam. – Policja się za to nie weźmie, Bert. Ale bądź spokojny. Musimy o tym porozmawiać, ale zrobimy to potem. Teraz nie. Jesteś osłabiony.

– Ale to ważne, Miriam. To bardzo ważne.

Britney podniosła ręce do ust, starając się stłumić łkanie. Odeszła. Odwróciła się do mnie plecami. Co się dzieje? Oczywiście Miriam także wypełniły się łzami. Wyciągnęła skądś chusteczkę higieniczną i osuszyła oczy.

– Musisz teraz odpocząć, kochanie. To konieczne. – Pogłaskała mnie po głowie z niemal matczyną czułością. – Zobaczysz, wszystko się dobrze skończy. Mamy przyjaciół...

Usłyszałem pukanie do drzwi i do pokoju weszła pielęgniarka. Powiedziała, że musi dokonać pewnych zabiegów, i poprosiła, żeby Miriam i Brit wyszły na chwilę. Obydwie mnie ucałowały, zanim wyszły.

– Zaraz wracamy – obiecała Miriam.

Pielęgniarka była Murzynką, ładną kobietą z błyszczącymi oczami koloru kasztanów. Spytałem ją o imię i powiedziała, że ma na imię Fatima.

– Jak Matka Boska – zażartowałem, a ona się uśmiechnęła i zaczęła rozwijać bandaż na mojej głowie. Po chwili zapytałem: – Co to za szpital?

– Szpital Lecznictwa Ogólnego w Salon-de-Provence.

– Aha. A od kiedy tu jestem?

– Niecały dzień. Przywieźli pana wczoraj w nocy. Miał pan szczęście. To znaczy szczęście w nieszczęściu, chciałam powiedzieć.

– Tak się wydaje.

– I szczęśliwie ma pan kochającą rodzinę i przyjaciół. Nawet tu, w szpitalu.

– Tu w szpitalu?

– Tak. Dan Mattieu, pana sąsiad. Jest u nas lekarzem.

– Dan Mattieu? Ale... Jest tutaj?

Tak naprawdę chciałem zapytać, czy nadal jest na wolności, ale zaczynałem podejrzewać, że mogę się tego obawiać.

Fatima oczyściła mi szwy na czole. Spytałem, czy mogę wstać. Ona z kolei zapytała, dokąd się wybieram.

– Nigdzie. Chcę się trochę poruszać – odpowiedziałem, na co Fatima odparła, żebym nawet o tym nie myślał.

– Zresztą pana żebra pierwsze pana zagonią z powrotem do łóżka – dodała.

Pielęgniarka wyszła, weszła zaś Miriam, ale gdy mijaly się w drzwiach, dojrzałem na korytarzu Britney, wspierającą się na opiekuńczym ramieniu – czyim, jak nie Elrona! Ten widok wywołał u mnie napad lęku.

– Co on tu robi?

– Spokojnie, Bert. Pomagają nam.

– Kto nam pomaga? Nie potrzebujemy niczyjej pomocy, Miriam. Proszę cię, czy mogłabyś zamknąć na chwilę drzwi? Jest tu jakaś zasuwka?

– Nie wiem.

– Sprawdź, a jak nie, zatarasuj drzwi krzesłem lub czymś takim. Błagam. Muszę z tobą porozmawiać na osobności.

Zauważyłem, że popatrzyła na mnie z głębokim smutkiem. Odetchnęła głęboko i w końcu zrobiła to, o co ją prosiłem. Okazało się, że drzwi nie można zamknąć od środka na klucz, ale przysunęła do nich krzesło i usiadła na nim.

– W porządku, Bert. Słucham.

– Znalazłem dowód, który ich wszystkich pogrąża. Rzeczywisty, Miriam. Materialny dowód.

– Wiem o tym, Bert. Wiem.

– O czym wiesz?

– O tej pamięci USB, prawda?

Na moment odebrało mi mowę.

– Jak to? Ależ... Skąd wiesz?

– Od Vincenta. Wszystko nam opowiedział.

– Vincent?

– Tak, Bert, właśnie on. To jemu zawdzięczasz, że u drzwi twojego pokoju nie siedzi teraz policjant na służbie.

– Ależ, co ty wy

Miriam podniosła ręce w górę.

– Proszę cię, Bert. Bardzo cię proszę, uspokój się.

Napięcie nerwowe sprawiło, że napiąłem też wszystkie mięśnie, które gwałtownie mnie rozbolały. Teraz bolało mnie już całe ciało. Opadłem bezwładnie na materac.

– Nie wiem, co ci V.J. nagadał, ale mogę ci powiedzieć, co się zdarzyło. Lola zaczęła na niego szczekać, bo go rozpoznała. On też należy do tej organizacji. Do spisku. Sam mi to wyznał.

– On przedstawił mi zupełnie inną wersję wydarzeń – oznajmiła Miriam.

– A jakże! To mnie nie dziwi.

– Powiedział, że zadzwoniłeś do niego i poprosiłeś go, żeby przyjechał do domu Chucksa, ponieważ znalazłeś, jak to ująłeś, „definitywny dowód” na poparcie swoich teorii. Gdy przyjechał, pokazałeś mu pamięć USB zabezpieczoną hasłem. Nazwaną Daniel Someres czy jakoś tak.

– Tak, zgadza się. To właśnie znalazłem w kieszeni koszuli Chucksa.

– Dobrze, ale w rzeczywistości niczego mu nie pokazałeś. Żadnej zawartości. Jedyne tę nazwę, którą mógł nadać Chucks, ty sam albo ktokolwiek bądź. Wtedy on spróbował zadzwonić do zaprzyjaźnionego policjanta w Marsylii. Zrobił to, ponieważ widział, że jesteś niezwykle przejęty i pobudzony. Ponadto byłeś ubrany jak łachmaniarz i czuć było od ciebie alkohol.

– A co to ma do rzeczy?

– Ma tyle do rzeczy, że Vincent zaczął się o ciebie martwić. Lola z jakiegoś powodu zaczęła szczekać, a ty sobie wmówiłeś, że to dlatego, że go rozpoznała. I automatycznie wyciągnąłeś z tego wniosek, że to on zabił Chucksa. Kurczę, Bert, celowałeś do niego z naładowanej dubeltówki. Mogłeś go zabić!

– Nie wiedziałem, że jest naładowana. On to tak przedstawia, że można by pomyśleć, że zwariowałem. Ale wszystko odbyło się całkiem inaczej. To on mnie zaatakował. O tym ci z pewnością nie opowiedział.

– Ależ tak. Mówił, że zażądałeś, żeby dał ci swój telefon. Powiedziałeś, że mu nie ufasz. I wtedy zaczęła się cała trząść. Lufa dubeltówki była skierowana w jego twarz i przestraszył się, że w końcu go zastrzelisz. Nie była to nieuzasadniona obawa, skądże, zwłaszcza że zachowywałeś się niepoczytalnie. A więc był zmuszony przyjacielsko cię zneutralizować.

Zaśmiałem się sarkastycznie. Cóż innego mogłem uczynić, słysząc, jak Vincent mistrzowsko nagina prawdę. Przy opowiadaniu historii najważniejszy jest kąt, pod jakim się ją przedstawia, a wydawało się, że V.J. opanował technikę manipulacji do perfekcji.

– Przyjacielsko! No pewnie! Wyjaśnił ci także, dlaczego potwierdził, że wezwał „pozostałych”, gdy go o to spytałem? Tak mi powiedział, Miriam. Przyznał się, że należy do sekty.

– Ależ skąd. Mówił jedynie to, co chciałeś usłyszeć, Bert. Doszedł do wniosku, że ocali życie, jeśli będzie ci potakiwał. To wszystko, Bert. Kochanie, nie ma w tym nic więcej. V.J. zachował się jak prawdziwy przyjaciel i nadal udowadnia, że nim jest. Postanowił nie składać na ciebie doniesienia. Rozumie, że przechodzisz trudne chwile. Że utraciłeś nad sobą kontrolę.

– Że co?!

– Przykro mi, Bert, ale to właśnie się zdarzyło. Policja zażądała, żeby wykonano ci badanie krwi, i ono wykazało, że prowadziłeś samochód pijany oraz pod wpływem narkotyków. Mogłeś pozabijać ludzi. Nie tylko Vincenta, ale także ludzi na drodze. Będziesz miał proces, ale jakoś się z tym uporasz.

Nie odezwałem się, patrzyłem tylko na nią. Przez chwilę miałem nadzieję, że użyje liczby mnogiej i powie: „Jakoś się z tym uporamy”.

– Charlie Grubitz zapewnił mnie, że odbiorą ci prawo jazdy i najprawdopodobniej zasądzą grzywnę, ale nie wsadzą cię do więzienia – ciągnęła Miriam. – Osobiście mi przyrzekł, że będzie cię bronił przed sądem. Dopiero teraz doceniam w pełni fakt, że spotkaliśmy tu tylu dobrych ludzi. Tych wszystkich przyjaciół, także Dana Mattieu, który zajął się umieszczeniem cię w tej wygodnej separacie.

– Dan Mattieu... Grubitz... Ależ, Miriam, przecież oni wszyscy są współnikami. To przestępcy. Dali mi jakiś narkotyk, coś, co mnie sparaliżowało. To dlatego miałem ten wypadek. A Grubitzowa wpadła w tym czasie do ciebie, ni stąd, ni zowąd, prawda? Z pewnością wysłali ją tam, żeby cię miała na oku, podczas gdy oni sami wzięli się za to, żeby mnie załatwić.

Miriam uśmiechnęła się łagodnie.

– Wiem, że wierzysz w to, co mówisz, i mam szacunek do tego, co robisz. Jesteś odważnym człowiekiem, Bert. Jednak potrzebujesz pomocy, a nie jesteś w stanie sam sobie jej udzielić.

– O czym ty do mnie mówisz, Miriam?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żeby cię nie zranić, Bert, ale uważamy, że potrzebujesz profesjonalnej pomocy.

– Uważamy? To znaczy, kto tak uważa?

– Twoja córka. Nasi przyjaciele. Twój przyjaciele, Bert.

Ze szczególną emfazą wymówiła słowo „twoi”.

– Jest mi potrzebny psychiatra? To starasz się mi powiedzieć? Więc dobrze. Porozmawiam z psychiatrą. Nie mam z tym problemu. To nie będzie ani pierwszy, ani ostatni raz, Miriam. Ale to nie na tym rzecz polega...

– No właśnie, Bert. Nie sądzę, żeby wystarczyło porozmawiać. Gdy uwalniano V.J., znaleziono coś w tej piwnicy.

– Co? – przerwałem jej. – Jak to się stało?

– Ktoś usłyszał strzały. Chyba jakiś sąsiad. Oraz szczekanie Loli. Widziano, jak wyjeżdżasz na pełnym gazie. Dan Mattieu właśnie tamtędy przejeżdżał. Powiedział, że wyglądałeś dziwnie, że nie odezwałeś się do niego i uciekłeś. To go zaniepokoiło.

– Ach, tak? A nie spytałaś go, co tam robił?

– To nie było potrzebne. Sam powiedział, że jechali do Raquet Clubu.

– No jasne... Ale co takiego mówiłaś o V.J.? Że kto go znalazł?

– Dan Mattieu. Gdy odjechałeś, zobaczył, że przed domem Chucksa stoją jacyś sąsiedzi.

Jeden z nich go zatrzymał i powiedział, że słyszał strzał. Dan poznał samochód V.J. Ponieważ drzwi były otwarte, wszedł do środka i usłyszał, że V.J. woła o pomoc z piwnicy.

– Ha, ha, ha! Wszystko się zgadza! – śmiałem się głośno. – Jak wspaniale im się udało to wszystko zaaranżować!

– Tam na dole były narkotyki. Pigułki. Nitrazepam i inne rzeczy. Sam wiesz, o czym mówię.

– Nie były moje – odpowiedziałem zimno. – Podrzucili mi je.

– Podrzucili ci też te z puszek po lakierze w twojej szopie?

To mnie całkowicie obezwładniło. Miriam wytarła łzę wierzchem dłoni.

– Znalazłam je, Bert. Z twojej własnej winy. Zostawiłeś je tam, na stole, zapomniałeś ukryć puszkę.

– No dobrze – powiedziałem polubownie. – Istotnie kilka wziąłem. Ale nie w domu Chucksa. Właśnie dlatego tam się przeniosłem, żeby zerwać z tym wszystkim. Oni mi je podrzucili. To wszystko manipulacja.

– Ależ, Bert. Czy ty słyszysz, co mówisz? Przeskakujesz od jednego kłamstwa do drugiego, od jednej odjechanej teorii do drugiej. Dlaczego, Bert? Co się za tym wszystkim kryje? Oskarżasz naszych przyjaciół o spisek. Narzeczonego twojej córki! Ja też mam teorię, wiesz? Mam teorię na temat tego wszystkiego.

– Ach, tak? Będę zachwycony, jeśli się nią podzielisz.

– Uważam, że się boisz. Zżera cię okropny strach. Tak właśnie uważam, Bert.

– Strach?

– Przed samotnością. Tak, Bert. Nie jestem ani taka mądra, ani taka błyskotliwa jak ty, ale obserwuję cię od pewnego czasu. Britney była twoją księżniczką, twoją ukochaną córeczką, a teraz zaczynasz ją tracić. To się zdarza wszystkim ojcom, ale są też tacy, którzy źle to znoszą. Jeśli chodzi o nas... Bardzo mi przykro, Bert, ale wiesz już, co o tym sędzę. Nasz związek się skończył. Myśleliśmy, że będzie trwał całe życie, ale był już skazany na klęskę, jeszcze zanim przyjechaliśmy do Francji. Wydaje mi się, że upierasz się, żeby tego nie widzieć. Uruchomiłeś swoją fantastyczną wyobraźnię, aby nas przekonać, że powinniśmy się stąd wynieść. Ale tak naprawdę jest to twoja chęć ucieczki przed czymś, co nieuniknione.

– Śliczna teoria. Pozwól mi ją podsumować: uważasz, że zwariowałem.

– Wariat to stare słowo. Przeszarżałe. Eric mówi, że przechodzisz kryzys tożsamości powiązany z epizodem skrajnego lęku. Dużą część winy za to ponoszą pigułki.

– A więc w końcu na scenę wkracza Eric van Ern!

– To on w istocie przekonał V.J., żeby nie składał na ciebie doniesienia. Powiedział, że to byłoby dla ciebie najgorsze w tej chwili. Ale w zamian V.J. zażądał, żebyś się zgodził na terapię. A Eric oświadczył, że bierze wszystko na siebie.

– O czym ty mówisz?

– To jedynie kilka tygodni, Bert. Tyle, ile potrwa twoja rekonwalescencja. Przecież sam przyznałeś, że to mógłby być dobry pomysł. Seria sesji psychoterapii, ćwiczenia i zdrowa dieta. Oczywiście zaproponowałam, że zapłacę, ale Eric nie chce przyjąć pieniędzy. Mówi, że to drobiazg, który może uczynić dla przyjaciół. Bo on cię uważa za przyjaciela, Bert, mimo tego wszystkiego.

Zamilkłem. Wpatrzyłem się w okno.

– Bert? Słyszysz mnie? Słyszałeś, co mówiłam?

– Tak... Gdzie... Gdzie są moje ubrania?

Gdy to powiedziałem, sam poczułem, że zabrzało to, jakbym stracił głowę. Albo miał ją

pełną much, które brzęczą: „śmierć, śmierć, śmierć”.

– Bert, nie możesz wstawać z łóżka.

– Nie zamierzam wstawać z łóżka. Ale gdzie są ubrania, które miałem wczoraj na sobie?

Moje spodnie?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że gdzieś muszą być.

Miriam podniosła się z krzesła i zaczęła przeszukiwać pokój i łazienkę. Zajrzała pod łóżko.

Nic. Ani śladu ubrań.

– Muszą się znaleźć! Rozumiesz, Miriam? – powiedziałem. – To bardzo ważne.

– Dobrze. Spytam pielęgniarek. Z pewnością jest jakiś składzik na rzeczy pacjentów. Przyjęli cię na izbę przyjęć. Z pewnością tam cię rozebrali.

– I jeszcze coś: moja komórka. Została w domu Chucksy. Mogłabyś po nią pojechać? Klucze są... No właśnie, są w kieszeni moich spodni!

– Uspokój się, Bert.

Zacząłem czochrać sobie włosy na skroniach nerwowym gestem.

– Przestań mi mówić, że mam się uspokoić! – Odetchnąłem głęboko i dodałem, już ciszej: – Proszę.

Miriam nawet nie raczyła mi odpowiedzieć. Zrobiła tylko minę, mówiącą coś w rodzaju: „Nie będę się na niego wściekała, bo mu do reszty odwali”, po czym wyszła z pokoju. Na dworze z pewnością był piękny, letni dzień. Słysząc ruch uliczny. Na którym piętrze mógł być mój pokój?

Jakoś udało mi się odsunąć tackę na kółkach, stojącą przy łóżku, na której Fatima zostawiła mi butelkę z wodą i batoniki zbożowe. Uchyliłem prześcieradło, którym miałem przykryte nogi. Z drugiej strony pojawiły się moje bosa stopy. Wszystkie palce były na swoim miejscu. Paluszki, paluszki, moje maluszki. Malutki paluszek kupił jajeczko, średni palec jajko usmażył, a wielki paluch – chaps – je zjadł!

Przekręciłem nogi na bok i udało mi się je spuścić z łóżka. Okropnie mnie bolały. Nocna koszula (czy coś w tym rodzaju), którą miałem na sobie, podwinęła się do góry i uwidoczniła gigantyczny siniak na udzie. Użyłem obu rąk, żeby się podźwignąć i usiąść, a wtedy akordeon połamanych żeber wydał z siebie brutalną, fałszywą i bolesną nutę, która wydostała się przez moje usta w postaci jęku skargi. Zaryczałem jak wół prowadzony na rzeź. Ja pierdołę! To bolało. Bolało jak jasna cholera!

Paluch i jego braciszki pożarli jajeczko i spoczęli na podłodze. Moje ręce szukały czegoś, jakiegokolwiek oparcia, bo obolałe żebra nie dawały mi odetchnąć. Zakończyło się to uczepieniem się tacki na kółkach. Obróciłem ją i umieściłem przed sobą, jakby to był chodzik, po czym noga za nogą wybrałem się w podróż do drzwi pokoju. Wykonałem parę akrobatycznych manewrów, zanim udało mi się je otworzyć i wyjść na zewnątrz.

Dobrze jest, Bert. A teraz naprzód, idź tam i zrób im cholerną awanturę.

Znajdowałem się na korytarzu, zwykłym szpitalnym korytarzu. Otwarte drzwi do pokoi, grające telewizory, znudzeni krewni pacjentów i dzieci zabawiające się grami w komórkach. Ani śladu Britney, Elrona czy Miriam. Żadnej pielęgniarki w polu widzenia. A teraz – na prawo czy na lewo? Zawsze na prawo, jak radzi Arystoteles.

Oparty na zaimprovizowanym chodziku pokonałem kilka metrów, aż wpadłem na jakąś salową, nadciągającą z przeciwka z innym wózkiem.

– Nie może pan chodzić z tym po korytarzu! Nie może pan opuszczać pokoju! I to bez szlafroka! *Mon Dieu!*

O, kurczę, nie pomyślałem, że przez to rozcięte z tyłu cholerstwo ukazuję światu moje pośladki. Dziewczyna owinęła mnie szczelnie koszulą i postanowiła przeprowadzić śledztwo.

– W jakim pokoju pan leży?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Tam, gdzieś za mną.

– Jest pan sam? Czy jest ktoś z panem?

– Gdzieś tu jest moja rodzina. Ale, jak już tak rozmawiamy, to chciałbym odnaleźć swoje ubrania. Ubrania, w których mnie przywieziono karetką.

Udało mi się zgromadzić trochę publiczności. Salowa rozglądała się na boki. W głębi korytarza pojawiły się jakieś pielęgniarki. Przerwały rozmowę i zaczęły się nam przyglądać. Podniosłem głos.

– Są mi potrzebne moje ubrania! To bardzo ważne!

– Ależ, proszę pana, tylko spokojnie. Z którego pokoju pan wyszedł?

– Z jakiegoś tam – machnąłem ręką do tyłu. – Gdzie są moje ubrania? Proszę mi pomóc!

– Tato! – Usłyszałem głos Britney. Nadbiegała gdzieś z drugiej strony. Musieli wszyscy siedzieć w jakiejś poczekalni. Miriam z pewnością im powiedziała, że tatuś nie życzy sobie widoku Elrona. Ujrzałem, jak chłopak wysuwa głowę zza jakichś drzwi. Gdy mnie dostrzegł, z powrotem ją schował.

Tymczasem dotarły już do mnie tamte dwie pielęgniarki. Znowu krzyknąłem, tym razem już na cały regulator:

– Gdzie się podziały moje ubrania?! – I dodałem, że to bardzo ważne.

Na to jedna z pielęgniarek, nieduża, ładna dziewczyna, z kamienną twarzą kazała mi się zamknąć.

– Jest pan w szpitalu. Proszę ciszej.

Britney złapała mnie za rękę. Przedstawiła się jako moja córka.

– W którym pokoju leży pani ojciec?

– W sali czterysta pięćdziesiąt jeden.

– Świetnie – stwierdziła pielęgniarka. – To niech zaraz tam wraca. Słyszysz mnie pan? Poszukamy pana ubrań. Proszę się nie denerwować. Z pewnością są na dole, na izbie przyjęć. Rozumie pan, co mówię? Ale teraz musi pan wrócić do swojego pokoju. I proszę więcej nie krzyczeć.

Wróciliśmy we dwójkę do pokoju, ja i Britney. Usiadłem na łóżku, a ona pomogła mi się położyć. Potem przykryła mnie prześcieradłem.

– Jesteś okropny, tato. Dlaczego wyszedłeś na korytarz? Wszyscy mogli zobaczyć twój tyłek.

– Widuje się gorsze rzeczy, wierz mi – odpowiedziałem, a Brit parsknęła śmiechem.

Ale zaraz potem jej oczy znowu się zaszklily.

– Wyzdrowiejesz, prawda, tato?

– Tak, córeczko. Przysięgam.

– Nie przejmuj się tymi wszystkimi myślami, które cię nachodzą, tato. Jestem pewna, że wszystko ma jakieś wytłumaczenie. Ty teraz twardo w to wierzysz, ale niekiedy ludzie się mylą w swoich przekonaniach. Pomożemy ci. Mama i ja. Jesteśmy twoją rodziną. Nie jesteś sam.

W tamtej chwili miałem jakby przecucie. Przez chwilę myślałem, że widzę Britney po raz ostatni w życiu.

– A co ty sądzisz, córeczko? Uważasz, że wszystko to sobie zmyśliłem?

Na to Britney zrobiła swój charakterystyczny gest: skrzyżowała ręce i zaczęła uciskać sobie łokcie palcami. Miała zwyczaj tak robić, gdy zaczynała się denerwować albo rozmyślała nad

czymś, co ją trapiło.

– No bo to, co mówisz, jest bardzo mocne, tato. Mówisz, że Elron i jego rodzina są przestępcami. Że zabili Chucksa. A ponadto twierdzisz, że miejscowy policjant i nasi sąsiedzi są współnikami. Jak myślisz, co mogę o tym sądzić?

– Myślę, że możesz sądzić, co chcesz.

Znowu złapała się za łokcie. Co się roi w tej główce?

– O czym myślisz, córeczko?

– O niczym.

– Jesteś pewna?

Britney odwróciła się w kierunku drzwi.

– Każdy może sobie wymyślić jakąś teorię! Ja też mogę...

Wpatrywałem się w nią w napięciu. Była zdenerwowana. Co miała na myśli?

– Wczoraj, kiedy ty byłeś w domu Chucksa i była ta rozróżba z V.J., Elron odebrał telefon. Nie przywiązywałam do tego wagi, dopóki mama nie opowiedziała mi dziś rano całej tej historii.

– Dlaczego? Co się wydarzyło?

– Powiedział, że to od niego z domu i że to coś ważnego. Odszedł na bok i nagle zrobił się bardzo poważny. Podeszłam do niego, ale zaczął machać ręką, bardzo agresywnie, żebym się zbliżała. Jakby nie chciał, żebym mogła usłyszeć, o co chodzi. Potem poprosiłam go o wyjaśnienie, a on powiedział, że jego siostra nagle zachorowała.

Serce zaczęło mi bić przyspieszonym rytmem.

– Uwierzyłaś mu?

– Sama nie wiem. Powinam wątpić w to, co mówi mój chłopak?

– Powinnaś zaufać swojemu instynktowi, Britney. – Głos mi drżał. – Sądzisz, że mówił prawdę?

Schyliła głowę i wbiła oczy w podłogę.

– No więc... To mogło być cokolwiek. Coś, czego nie chciał mi z jakiegoś powodu powiedzieć. Nie wiem. Ale potem przeprosił za swoje zachowanie. I zaprosił mnie na przejażdżkę do Nîmes. Do Nîmes!

– Wczoraj? W piątek około szóstej? Jesteś pewna?

– Tak, bo byliśmy na placu w Saint-Rémy i biły dzwony. W pierwszej chwili pomyślałam, że odchodzi na bok, bo przeszkadza mu hałas.

– Kurczę, Brit, co za zbieg okoliczności, nie? To mniej więcej o tej porze zadzwoniłem do Vincenta.

– Wiem, tato. Wiem.

Ponownie skrzyżowała ręce i zaczęła ugniatać sobie łokcie.

– Słuchaj, Britney... – zacząłem.

– Nie chcę dłużej o tym mówić, tato. To Elron, rozumiesz? Znam go.

– Wydaje ci się, że go znasz.

Nic nie odpowiedziała, odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami.

Po pięciu minutach do pokoju weszła Miriam w towarzystwie dwóch lekarzy i pielęgniarki.

Jednym z lekarzy był Dan Mattieu. Wślizgnął się do środka i pozostał przy drzwiach, jakby obawiał się, że się na niego rzucę. Ten drugi lekarz, którego nigdy nie widziałem, był bardzo opalony, jakby właśnie wrócił z wakacji nad morzem. Miał szpakowatą bródkę i twarz czterdziestolatka, który prowadzi raczej beztrudne życie.

– Dzień dobry, panie Amandale, jestem doktor Badoux. Jak pan się dzisiaj czuje?

– W moim życiu było sporo miłszych dni.

Pielęgniarka wydawała się na mnie obrażona. To była ta sama, która skrzyczała mnie na korytarzu.

– Powiedziano mi, że wstał pan z łóżka – stwierdził Badoux, pomijając milczeniem idiotyczne aspekty epizodu w moim wykonaniu, o których z pewnością słyszał od pielęgniarki.

– Proszę tego nie robić. Musi pan najpierw wyzdrowieć, panie Amandale, a do tego jeszcze daleka droga.

– Ja... Musiałem, bo... – zacząłem wyjaśniać.

– Pana ubranie. Tak, mamy je – przerwał mi. – Prawda, pani Amandale?

Miriam kiwnęła głową zza jego pleców. Zauważyłem, że w rękę trzyma foliową torbę. Dan Mattieu ze swojego posterunku wpatrywał się niewzruszenie w sufit ze skrzyżowanymi rękami.

Badoux obejrzał mnie, zbadał i spytał, czy odczuwam silny ból, po czym stwierdził, że miałem naprawdę ogromne szczęście, że niczego sobie nie złamałem. Ale skutki tego uderzenia w głowę trzeba będzie dokładnie zdiagnozować. Zaczął mnie wypytywać, czy widzę podwójnie lub czy mam jakieś zaburzenia słuchowe.

– Słyszysz pan głosy? Głosy, które coś panu nakazują? – zapytał.

Czyżby liczył na to, że odpowiem: „Tak, głos powiedział: «Zabij ich wszystkich, Bert! Nikogo nie pozostaw przy życiu!»”? Na koniec Badoux zaordynował niskie dawki noloilu. Przypuszczalnie wieść o moim uzależnieniu od leków stała się już informacją publiczną.

– Mam dla pana dobrą wiadomość – powiedział. – Może wypiszemy pana już w poniedziałek.

Badoux i pielęgniarka wyszli. Zostałem w pokoju z Miriam i z Danem Mattieu.

– Odnależliście moje rzeczy? – spytałem.

– Tak – odpowiedziała Miriam. Podeszła i wręczyła mi torbę.

Zanim zacząłem w niej grzebać, spojrzałem na Dana Mattieu. Nadal stał ze skrzyżowanymi rękami, ale tym razem gapił się w okno. Udaje – pomyślałem – ale umiera z ciekawości, żeby się dowiedzieć, czego szukam. Prawda, Mattieu? Prawda, że chcesz wiedzieć, gdzie to mam, ty zdrajco?

Ale nic nie powiedziałem.

Wyciągnąłem rzeczy. Spodnie były przecięte nożyczkami, poplamione ziemią i krwią i miejscami podziurawione. Zajrzałem natychmiast do małej kieszonki.

– Nie ma! – krzyknąłem.

– Czego?

To Miriam zadała to pytanie.

– Kto jeszcze miał dostęp do tych ubrań? – wypytywałem. – Ty, Mattieu?

Lekarz patrzył na mnie w milczeniu. Z pewnością Miriam już mu wygadała, że go podejrzewam. Doskonale wiedział, co o nim myślę.

– Bert, nie tym tonem. Opanuj się. Mówisz do naszego przyjaciela – upomniała mnie Miriam.

– Czego pan dokładnie szuka, panie Amandale? – odezwał się Mattieu.

– Małej pamięci USB. Czarnego koloru. Włożyłem ją do tej kieszonki... A może jednak zostawiłem ją wpiętą do laptopa? Znaleźliście laptopa, który był w schowku w samochodzie?

– Nikt nie dotykał pana ubrań – odpowiedział Mattieu. – Były w depozycie izby przyjęć. Ale może to, czego pan szuka, wypadło gdzieś, podczas gdy pana tu transportowano. Albo wcześniej. Nie miał pan żadnej kopii?

Zaśmiałem się głośno. Przypuszczam, że zabrzmiało to jak śmiech szaleńca, bo Miriam i Mattieu spojrzeli na mnie ze smutkiem.

– Kopia! Ależ z pana żartowniś! To musi gdzieś tu być. Gdzieś w szpitalu. Miriam, proszę cię, musisz mi pomóc to odszukać – wyjęczałem.

– Oczywiście, Bert – odpowiedziała. – Dam ogłoszenie.

– No i trzeba się dowiedzieć, czy policja czegoś nie wie. Gdzie jest mój samochód? Pendrive musi być w samochodzie albo gdzieś na miejscu wypadku. Może ktoś go znalazł. Idź zaraz na komisariat – mówiłem gorączkowo.

– Dobrze. Dobrze, Bert. Zrobimy to wszystko. Jeśli go miałeś, znajdziemy go i ci zwrócimy. Ale teraz mnie posłuchaj. Dan przyszedł, żeby ci coś powiedzieć. Coś ważnego. Możesz się na chwilę skoncentrować?

Dan Mattieu podszedł bliżej. W ręce miał jakieś papiery i długopis. Patrzył na mnie z surową miną.

– Czy możemy porozmawiać jak dorośli ludzie, panie Amandale?

– Przypuszczam, że tak.

– Zwracam się do pana jako lekarz i jako przyjaciel domu. Oraz przyjaciel rodziny van Ernów. Oni chcą, żeby to się wreszcie skończyło. Bardzo cierpią. I pana rodzina też cierpi, Bert.

– Bardzo mi przykro.

– Nie musi się pan wstydzić – stwierdził Mattieu, choć niczego takiego nie powiedziałem. – Czy wstydzi się pan, gdy zapadnie na grypę? Nie, bo to jest choroba. I w tym przypadku mamy do czynienia z chorobą, panie Amandale. Z kryzysem, którego pan sam nie jest w stanie pokonać i dlatego potrzebuje pan pomocy. Ponadto, zważywszy na charakter pana urojeń, Eric chce pana zaprosić do spędzenia jakiegoś czasu w jego klinice. Jest pewien, że po kilku dniach pana teorie się rozwieją.

– Tak mu się tylko wydaje.

– To kuracja warta dwadzieścia pięć tysięcy euro, a Eric ofiarowuje ją panu gratis. Ja sam chętnie bym się jej poddał. Odpoczynek, akupunktura, jazda konna, masaże... Podobno posiłki są wyśmienite. – Mattieu zaśmiał się zachęcająco. – Proszę się zastanowić. Ponadto jest to warunek, jaki postawił Vincent, żeby odstąpić od złożenia doniesienia na pana. I tak tkwi pan w problemach po uszy.

– W co pan pogrywa, Mattieu? A raczej w jakiej drużynie pan gra?

– Bert, proszę – wtrąciła się Miriam.

– W porządku – odparł Dan Mattieu, wciąż się uśmiechając. Tacy byli „ci z Beverly Hills”: nigdy nie przestawali się uśmiechać. – Gram na pana korzyść, na naszą korzyść, na korzyść naszej małej społeczności, Bert. Powinniśmy sobie wzajemnie pomagać. Jestem przekonany, że choć nie jest pan obecnie w stanie docenić zalet tego stanu rzeczy, wkrótce się to zmieni.

Rozległ się dzwonek telefonu. Miriam, usłyszawszy go, wyszła z pokoju. Dan Mattieu śledził ją wzrokiem, a gdy drzwi za nią się zamknęły, oparł się o mój materac, a właściwie po prostu usiadł na brzegu łóżka, na wysokości mojego pasa. Rękoma złapał poduszkę po obu stronach mojej głowy i udawał, że ją poprawia. Zatrząsł moją głowę, a potem unieruchomił ją i nachylił się nad moją twarzą.

– Tak będzie wygodniej.

Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Między wargami widać było tylko wielkie, zaciśnięte zęby. Jego zielonkawe oczy wpatrywały się w moje z dzikim, niemal nieludzkim wyrazem.

– Słuchaj, Bert. Mówię ci to jak mężczyzna mężczyźnie. Musisz to zrobić. Uwierz mi. Powiedz: „tak”, a wszyscy odetchną z ulgą. Włącznie z twoją żoną i córką.

Nie odwracałem od niego oczu.

– Co chcesz mi powiedzieć, Dan? Czy to groźba?

Wyszczrzył zęby. Jego oczy płonęły czarnym ogniem. Mógł mnie w tamtej chwili udusić i nawet nie zrujnowałby sobie przy tym fryzury.

– Dlaczego widzi pan wszędzie zagrożenia, Bert? To przyjacielska rada. Od wszystkich tutejszych przyjaciół. Dobrych przyjaciół. Proszę, niech pan sobie wyobrazi przez chwilę, że V.J. składa doniesienie. Trafia pan do więzienia lub zostaje wydalony z kraju. Kto się wówczas zajmie pana żoną i córką?

Miriam wróciła do pokoju. Dan wstał z łóżka, nie przestając się uśmiechać i nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Mam nadzieję, że podejmie pan mądrą decyzję, Bert – powiedział, kładąc na szafce papiery ozdobione logo kliniki van Erna. – Dobranoc.

gadujesz? – Wbrew sobie podniosłem głos. – On usiłował mnie zabić!

Rozdział piąty

1

Spędziłem bezsenną noc, usiłując to wszystko przemyśleć. W głowie mi buzowało, podobnie jak przy wymyślaniu fabuły powieści. Tysiące pytań. A co by było, gdyby...? I co będzie dalej...? Grałem w morderczą grę, w której każdy błąd będzie skutkował utratą całej stawki. Musiałem starannie dobierać słowa. Musiałem drobiazgowo panować nad wszystkimi swoimi poczynaniami. Nawet nad byle mrugnięciem powiek. Musiałem trzymać pod kontrolą każdy przekaz, podobnie jak w trakcie konstruowania historii w swoich książkach. Ale jednocześnie musiałem wpływać na rozwój akcji. Nic by mi nie dało zapadnięcie w bezruch. Zegar – w tym momencie gdzieś za ścianą rozległo się bicie zegara – wyliczał mi upływające minuty i godziny. Sobota już minęła. Wkrótce nadejdzie niedzielny świt. A w poniedziałek... Na ile czasu mogę liczyć? Miriam nie przyniosła mi telefonu, ale nie przejąłem się tym. I tak nie miałem zamiaru z niego korzystać. Nie chciałem ryzykować, że „wszystkowiedzące oko” mogło mieć do niego wgląd.

Była trzecia, gdy pojawiła się pielęgniarka z nocnej zmiany; przyniosła mi nolotil. Weszła po cichutku, a mnie zdążyła przemknąć przez mózg myśl, że oto nadchodzi morderca. Że zamierza mnie udusić poduszką z łóżka. Ale okazało się, że to tylko uśmiechnięta pielęgniarka.

– Przynoszę panu lekarstwo.

Nie, Bert, tym razem nie chodziło o to, żeby cię zabić. Jeszcze nie. Zresztą nie byłoby im na rękę robić to tutaj, w szpitalu.

Wziąłem nolotil i rozmyślałem dalej, do czasu, gdy pod wpływem pigułki moje myśli rozplynęły się, jak zegary Dalego. Tik-tak... tik-tak... myślałem coraz wolniej i wolniej, ale zegar tykał i czas płynął.

2

W niedzielę obudziłem się dość późno. Ktoś zostawił mi przy łóżku kawę, croissanty i prasę. Domyśliłem się, że to Miriam i Britney, które przyszły z samego rana. Jednak teraz ich nie było i nie wiedziałem, gdzie są.

W gazetach nie było słowa o Bercie Amandale’u, słynnym pisarzu, jedynie wzmianka o anonimowym wypadku drogowym na szosie koło Mont Rouge. Małe zdjęcie ukazywało pomoc drogową wywlekającą z miejsca wypadku szczątki mojego spidera.

Miriam pojawiła się w samo południe. Powiedziała, że nawiązała kontakt z policją z Sainte Claire i że samochód (a przynajmniej to, co z niego zostało) został złożony u nich na parkingu. Zostawiła im opis przedmiotu, którego szukam. Jak dotąd nikt go jednak nie znalazł.

W sekretariacie szpitala także nikt niczego nie wiedział o małym czarnym pendrivie. Nie zadałem żadnego pytania ani nie wygłosiłem żadnego komentarza na ten temat.

– Przyniosłam ci telefon – mówiąc to, Miriam wyciągnęła z torebki małą nokię. – To nie jest twoja komórka. Nie odważyłam się pojechać do domu Chucksa, przykro mi bardzo. Ale masz tu wgrany mój numer i numer Britney. Będziesz potrzebował jeszcze jakiegoś?

Pokręciłem głową. Stwierdziłem, że nie chcę żadnego telefonu.

– No bo, tak czy owak – dodałem – z pewnością w klinice van Erna nie pozwolą mi mieć komórki.

Miriam uniosła pytająco brwi.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że...?

– Tak, Miriam. Podjąłem decyzję. Udam się tam.

Wyciągnąłem rękę i sięgnąłem po leżący na szafce formularz zgody na kurację w klinice odwykowej van Erna. Kurację, która miała mi dać „nowe, zdrowe życie”. W ośrodku, który reklamowano jako miejsce, gdzie „zamienisz się w nowego człowieka, bardziej niezależnego, silniejszego i szczęśliwszego”.

– Przemyslałem to. Przemyslałem wszystko, co mi wczoraj powiedziałaś. Miałem całą pieprzoną noc do namysłu. Chcę wyzdrowieć.

Miriam wyciągnęła do mnie swoje piękne dłonie i delikatnie uściśnęła moje ramię. Zobaczyłem, że uśmiecha się tak, jak nie uśmiechała się już od tygodni. Zarumieniły jej się policzki, rozbłysły oczy.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Postępowałem jak idiota. Przez cały ten czas unikałem zaangażowania w życie i dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Mówiąc w przenośni, bałem się wyjść na środek parkietu, żeby zatańczyć. Obawiałem się odrzucenia; tego, że nie spotkam się z akceptacją. Ty poszłaś jak burza, podjęłaś ryzyko, a ja... Ja szukałem schronienia w mojej szopie, szukałem oparcia w Chucksie, żeby tylko nie widzieć tego wszystkiego, co traciłem z powodu mojej postawy. Życie tutaj, tutejsi ludzie... Nie przepadam za nimi, o czym dobrze wiesz. Za dużo markowych swetrów, za dużo butów wypastowanych na błysk... Jednak w głębi, za tym całym sztafajem, są dobrzy ludźmi. Dopiero teraz to odkrywam.

– Tak... To prawda, Bert. Są lepsi, niż myślisz.

– Ale nie zgadzam się na żadne darowizny. Chcę zapłacić za całą kurację; wszystko, aż do ostatniego grosza. Powiedz Erikowi, że to jest mój warunek. Chcę skończyć raz na zawsze z tymi przekłętymi pigułkami i to ma swoją cenę, którą muszę zapłacić. Inaczej to nie byłoby autentyczne.

– Zgoda. To twoja decyzja i szanuję ją. A co do tego... No wiesz... Całego tego zamieszania z pamięcią USB i tymi sprawami? Wczoraj byłeś tak bardzo...

– Zdezorientowany. Zrozpaczony. Zagrożony.

– Co jest twoim zagrożeniem?

– Okoliczności. Życie. Ty i Britney budujecie swoje życie, a ja czułem, że zostałem przez was odsunięty na margines. Czułem, że moje własne życie zabrnęło w ślepy zaułek. Sprawa Chucksa była ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. Pograżyłem się, poszedłem na dno. No i pigułki... A także moja przekłeta, wściekła wyobraźnia... Ale teraz chcę odrzucić pychę, która uniemożliwia mi pogodzenie się ze swoimi słabościami. Nawet w folderze kliniki jest o tym mowa: „Pycha jest zbroją, którą twoje lęki wdziewają na siebie”.

Miriam przygryzła dolną wargę. Wiedziałem, co to oznacza. Popatrzyła na mnie uważnie,

kręcąc głową. Potem pochyliła się i ucałowała mnie w policzek. W specjalny sposób. Pocałunek, który wykraczał o milimetr poza czułość.

– Dziękuję, Bert.

– Dziękujesz mi? Za co?

– Za to, że wróciłeś. Dziękuję.

Popołudniowa wizyta doktora Badoux minęła bez niespodzianek. Młodzieńczo ożywiony lekarz – Może pan doskonale dochodzić do siebie w domu – powiedział. – Będzie pan tylko musiał zgłosić się parę razy na zmianę opatrunku tych szwów na głowie.

Ale ja już zdecydowałem, że prosto ze szpitala udam się do kliniki van Erna. Miriam wróciła do Saint-Rémy, żeby spakować mi walizkę zgodnie z wymogami obowiązującymi pacjentów kliniki: „Odzież sportowa, domowa i jeden komplet formalny. Można wziąć ze sobą własne książki i płyty, jeśli się chce. Żadnych urządzeń elektronicznych, jedynie zwykły zegarek na rękę”.

Ale najpierw musiałem zagrać swoją ostatnią kartą atutową. I już zdecydowałem, jak to zrobię i komu zaufam.

Miriam i Britney wróciły wieczorem z Saint-Rémy; przywiozły mi walizkę. Miriam poinformowała mnie, że następnego dnia, zaraz z rana, wyślą po mnie samochód z kliniki. To oznaczało, że już tego wieczoru musimy się pożegnać na następne kilka tygodni, ponieważ regulamin ośrodka w kwestii odwiedzin rodziny był niezwykle restrykcyjny.

Byliśmy w moim pokoju, dochodziła ósma wieczór. Za pół godziny kończyła się pora wizyt i niewiele już zostało do powiedzenia, ale koniecznie musiałem zostać z Britney sam na sam. Poprosiłem więc Miriam o przysługę, używając dość głupiego pretekstu, muszę przyznać. Otóż spakowała mi do walizki, tak jak ją prosiłem, kilka książek: Patricia Highsmith, Stephen King i Truman Capote. Ja jednak nagle nabrałem ochoty na książki po francusku, które można było nabyć w szpitalnym kiosku.

– Przynieś mi kilka bestsellerów – poprosiłem. – Wiem, że to niemądry kaprys, ale pomyślałem, że powinienem się wziąć za mój francuski.

Było to dość nieoczekiwane ostatnie życzenie skazańca, ale odkąd podpisałem papiery przyjęcia do kliniki, Miriam w stosunku do mnie stała się nową osobą. Tego dnia już trzy razy mnie pocałowała, i to spontanicznie, bez prośb z mojej strony. Tak więc po wypytaniu mnie, o jakie książki chodzi („Historyczne? Thrillery? Romanse?”), poszła bez narzekania.

A ja zostałem sam na sam z Britney.

– Brit, mam mało czasu na wyjaśnienia, ale muszę cię o coś poprosić. O coś, co powinno zostać między nami. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Ani mama, ani Elron, nikt. Tylko ty i ja.

Britney patrzyła na mnie uważnie swymi ślicznymi szarymi oczami.

– Tak, tato, jeśli sobie życzysz.

– Córeczko, słuchaj, to naprawdę bardzo ważne. Pamiętasz, gdy byłaś mała, mówiłaś mi: „Przrzeknij, że wkrótce wrócisz”, a ja cię prosiłem: „Przrzeknij, że będziesz się uczyła”. Robiliśmy sobie obietnice...

Lekki cień uśmiechu przemknął po jej wargach.

– Tak, pamiętam.

– No więc tym razem to jest to samo, Britney. To istotne, żebyś mi obiecała, że zrobisz to, o co cię proszę, i nikomu się z tego nie zwierzysz. Nawet gdybyś myślała, że się mylę. Nawet

gdyby mama i wszyscy inni sądzili, że straciłem rozum. Obiecujesz?

Poważny wyraz jej twarzy był wystarczającą gwarancją.

– Tak, tato, obiecuję.

Złapałem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie. Zacząłem mówić, szepcząc jej prosto do ucha. oświadczył, że wypisze mnie ze szpitala następnego dnia. W poniedziałek.

Rozdział szósty

1

Wypisano mnie ze szpitala w Salon-de-Provence dopiero w poniedziałkowe popołudnie. Przy wyjściu czekał na mnie samochód z kliniki van Erna. Jakiś człowiek w garniturze wziął ode mnie walizkę i poprosił, żebym usiadł w komfortowym wnętrzu bentleya, na skórzanych siedzeniach koloru kości słoniowej. Trzy kwadransy później podjeżdżaliśmy pod główne wejście kliniki. Żółte kwiaty rzepaku tańczyły na wietrze.

Ta sama wysoka i elegancka kobieta, która podała nam kawę w czasie mojej poprzedniej wizyty, wyszła mnie powitać. Przedstawiła się jako Emma i powiedziała, że Eric jest teraz zajęty, ale spotka się ze mną przed kolacją.

Od pierwszej chwili odniosłem dziwne wrażenie, że coś jest inaczej, niż poprzednio, ale nie umiałem go nazwać do czasu, aż weszliśmy głębiej do domu. Emma używała swojej karty magnetycznej, żeby otwierać jedne drzwi po drugich. Nie licząc wywołanych tym elektronicznych popiskiwań i odgłosu naszych kroków, wszędzie panowała cisza. Tamtego dnia, gdy byłem tu na zaproszenie Erica van Erna, wszędzie widziałem ludzi: siedzieli w domu, na zewnątrz, coś czytali lub rozmawiali. Widziałem pielęgniarzy, ogrodników... Ale teraz nigdzie nie było żywej duszy.

– Spora część personelu jest na urlopie – odpowiedziała Emma na moje pytanie. – Ponadto o tej porze roku jest u nas martwy sezon. Ma pan szczęście. Będzie pan miał niemal cały dom dla siebie.

Część mieszkalna znajdowała się na tyłach głównego budynku, rozmieszczona wokół porośniętego trawą patia, przeciętego wysypaną żwirem alejką. Tworzyło ją osiem apartamentów, które niegdyś, w czasach, gdy posiadłość należała do możnej rodziny Rothschildów, musiały być stajniami lub czworakami dla służby.

Tutaj także świeciło pustkami. Żywej duszy. Przecieliśmy patio i Emma otworzyła, oczywiście znowu swoją kartą, wychodzące wprost na dwór drzwi jednego z apartamentów.

– Witamy w domu – powiedziała i zaprosiła mnie, żebym wszedł.

Apartament był obszerny, dobrze oświetlony iumeblowany po spartańsku. Część sypialna składała się z pojedynczego łóżka i szafki nocnej z lampką. Pod niewielkim oknem, z którego rozciągał się widok na okoliczne tereny, stało biurko, a drugie, większe okno wychodziło na patio. Nie było telewizora, jedynie półka z książkami i materiałami piśmienniczymi. Żeliwny grzejnik na czterech nogach stał na drewnianej podłodze. W drzwiach nie było klucza, tylko jeden z tych wszechobecnych czytników kart.

– Nie będzie pan potrzebował klucza – wyjaśniła Emma. – Ze względów bezpieczeństwa apartamenty są zamykane na noc i może pan użyć guzika do przywołania obsługi, jeśli będzie pan czegoś potrzebował. A teraz proszę się rozgościć. Za chwilę podamy kolację. Może pan zapoznać się z naszym przewodnikiem po klinice – dodała, wskazując broszurkę, która leżała na

biurku.

– Mogę palić? – spytałem.

– Może pan, chociaż byłoby wspaniale, gdyby zastanowił się pan nad rzuceniem palenia podczas swego pobytu. Natomiast, jeśli to panu nie przeszkadza, prosimy, żeby robił to pan na zewnątrz.

Powiedziawszy to, wyszła, zamykając za sobą drzwi. Miałem nadzieję, że tylko na klamkę. Słyszałem, jak cichnie odgłos jej kroków na żwirowej ścieżce. Podeszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę. Drzwi stanęły otworem.

A więc znajduję się na wolności... przynajmniej do odwołania.

Usiadłem sobie na słońcu, zapaliłem papierosa i przez chwilę czytałem ten ich folder. Spodziewałem się, że lada moment natknę się na któregoś z pacjentów. Jakiegoś bogatego i zagubionego świra, który przybył do Prowansji w poszukiwaniu sensu życia lub ulgi w swojej barokowej egzystencji. Ale nikt się nie pojawiał. Ptaki lądowały na trawie i szukały robaków. Wiaterek powiewał to tu, to tam, przynosząc zapach lawendy. Wokół panowały doskonały porządek i nuda.

Po jakimś czasie miałem dosyć lektury, więc podniosłem się i zacząłem zwiedzać okolicę. Zacząłem od innych apartamentów. Zaglądałem do środka przez okna, po kolei, ale w żadnym z nich nikogo nie było. Wszystkie łóżka były pościelone, wszystkie pokoje posprzątane. Zauważyłem, że na niektórych biurkach – tam, gdzie udało mi się zajrzeć – zebrała się cieniutka warstwa kurzu. Wydawało się, że od dłuższego czasu ośrodek jest zamknięty. Czyżby interes nie szedł tak dobrze, jak starali się to przedstawić? Czy też powód był zupełnie inny?

Wyszedłem z patia wąską, wykładaną kamiennymi płytami dróżką, która prowadziła do ujeżdżalni. Dalej ciągnęła się wzdłuż ogrodzenia i kończyła w lesie. Po prawej stronie, w odległości jakichś stu metrów, pośrodku wielkiego trawnika wypatrzyłem kawałek asfaltu wielkości kortu tenisowego. Zaczynała się tam droga dojazdowa, prowadząca gdzieś w kierunku frontowego wjazdu na teren posiadłości. Na tyłach ogrodzenia wznosiła się ściana gęstego, ciemnego lasu. Z moich obliczeń wynikało, że za nim powinien znajdować się dom van Ernów. A między nim i kliniką jeszcze coś. Ostatnie promienie słońca ledwie rozświetlały powietrze, ale wydawało mi się, że jednak dostrzegam zarys dachu, gdzieś pomiędzy koronami drzew. To był, oczywiście, tamten mniejszy budynek.

Pustelnia.

Skądś dobiegł mnie jakiś szum, który narastał i w pewnym momencie zaczął przypominać odgłos wentylatora. Spojrzałem w niebo, rozejrzałem się wokoło i naraz ujrzałem wyłaniającą się zza głównego budynku kliniki czarną sylwetkę przypominającą monstrualną wążkę. Prosto na mnie leciał śmigłowiec.

W pierwszym momencie zamarłem, bo nie wiedziałem, co robić. Cofnąłem się dróżką, którą przyszedłem, a śmigłowiec przeleciał mi tuż nad głową z ogłuszającym hukiem wirnika. Zawisł nad trawnikiem, dokładnie nad tym kawałkiem asfaltu, któremu się przyglądałem przed chwilą. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to lądowisko. Maszyna delikatnie obniżyła lot i usiadła na ziemi.

– Panie Amandale?

Głos odezwał się tuż za mną i aż się wzdrygnąłem. Odwróciłem się i spojrzałem w twarz Emmy. Uznałem, że udało jej się zbliżyć pod osłoną hałasu.

– Pan van Ern przyjmie pana teraz.

– Jakiś nowy klient? – spytała

– Nie, przyleciał pusty z Marsylii. Dziś po południu wypisaliśmy ostatniego gościa. Ale wkrótce przybędą nowi i będzie pan miał towarzystwo, proszę się nie martwić.

Wróciliśmy tą samą drogą, którą tu przyszedłem. Weszliśmy do głównego budynku i Emma poprowadziła mnie („bip, bip”) do holu wejściowego, a stamtąd do biblioteki na parterze. Stało tam sporo kanap i foteli ustawionych w krąg, a także wisały duże wywieszki z hasłami, jakich można się było spodziewać po klinice odwykowej: „JAK SIĘ MASZ?” i tym podobne, dzięki czemu doszedłem do wniosku, że musi to być pomieszczenie, gdzie zbierają się pacjenci na terapię grupową. „Dzień dobry, mam na imię Brian i od piętnastu dni nie sięgam po butelkę”, albo coś w tym stylu. Z tym akurat problemem poradziłem sobie sam w przeciągu ostatnich kilku lat, mimo iż przez ponad dekadę prowadziłem życie alkoholika. Jednak, no cóż, wszystko jest kwestią podejścia do sprawy.

Zasiadłem na fotelu i czekałem. Po chwili usłyszałem kilka bip-bipów, drzwi się otworzyły i do sali wkroczył uśmiechnięty van Ern. Chudy, żylasty, z przyprószoną srebrem czupryną, poruszał się w sposób, który chwilami przypominał mi Micka Jaggera. Uścisnął mi dłoń i przywitał mnie „w swoim domu”. Potem opadł na fotel stojący naprzeciwko mojego, skrzyżował nogi i splótł palce dłoni, cały czas nie spuszczać ze mnie wzroku i nie przestając się uśmiechać.

– Jak się panu podoba pokój? Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

– Wygodny, aczkolwiek czuję się nieco osamotniony. Sądziłem, że macie państwo długą listę oczekujących.

– Planujemy wprowadzić zmiany – odparł Eric. – Chcemy odnowić apartamenty i wykonać pewne remonty w samej klinice. Dlatego postanowiliśmy znacznie zmniejszyć obłożenie w ciągu lata. Choć, oczywiście, pana przypadek jest odmienny. Już to panu mówiłem: jest pan bardzo specjalnym gościem. – Gdy wymawiał słowo „specjalny”, zasyczał przy głoskach „s” i „c”, jak wąż. – Ale proszę, proszę mi powiedzieć, jak się pan czuje? – ciągnął. – Czy kontuzje i rana na głowie dają się panu we znaki? Odczuwa pan ból?

– No cóż, już mogę się poruszać i moje żebra przy tym nie trzeszczą – odpowiedziałem. – Cały dzisiejszy ranek robiono mi badania i rezonanse. Wydaje się, że moja głowa też jest na swoim miejscu.

– Zapisano panu jakieś środki uspokajające?

Odpowiedziałem, że tak. Nolotil.

– Postaramy się z nich jak najszybciej zrezygnować – stwierdził Eric. – Jutro przed śniadaniem zaczniemy od solidnego przebadania pana. Zrobimy analizy. To bardzo ważne, zanim przedsięwzięcie się następane kroki. To na razie tyle, jeśli chodzi o kwestie terapeutyczne. Pomyślałem, że najpierw muszę przeprowadzić z panem pierwszą rozmowę. Jeszcze dzisiaj, jeśli się pan zgodzi.

– Dlaczego nie? Nie mam niczego lepszego do roboty – zaśmiałem się.

Eric też się zaśmiał, ale odniosłem wrażenie, że jedynie grzecznościowo. Wydawało mi się, że jest spięty. Jakby czymś się martwił.

– A może najpierw zje pan kolację?

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Zjadłem dwa posiłki w szpitalu, a potem przez całe popołudnie leniuchowałem. W gruncie rzeczy nie ucierpię, jeśli wcale nie zjem dzisiaj kolacji.

– Jak pan sobie życzy, Bert. Zatem zacznę od wyrażenia zdziwienia i zainteresowania tym, co się wydarzyło. Vincent Julian przyjechał do mnie w sobotę, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. Był w strasznym stanie: obolały, oszołomiony... Prosił mnie o radę i udzieliłem mu jej.

Poprosiłem go, żeby nie składał doniesienia.

– Jestem panu za to wdzięczny, Eriku.

– To najmniejsza rzecz, jaką mogliśmy dla pana zrobić, Bert. Pomówiłem z Miriam i ona też się zgodziła, że moglibyśmy spróbować pomóc panu tutaj, w klinice. Ale Vincent Julian powiedział mi jeszcze coś. Chodzi o tę historię, którą pan mu opowiedział przed kilkoma dniami... Historię, w której ja także pojawiając się jako negatywny bohater. Wie pan, o czym mówię?

– Proszę pana... Eriku, niech pan postara się o tym zapomnieć – odparłem. – To była chwila szaleństwa. Powiedziałem już to Miriam i powtórzę teraz panu. Ubolewam nad tym ogromnie i proszę pana o wybaczenie za rzucanie oskarżeń.

Eric van Ern przełknął ślinę. Jego ostra grdyka podniosła się i opadła, a wargi rozciągnęły się w udawanym uśmiechu.

– Doprawdy, Bert. Byłoby bardzo interesujące rozpocząć o tym rozmowę i rozwiązać pana wszelkie wątpliwości w tym względzie. Bądź co bądź jeszcze przed trzema dniami sądził pan, że należymy do jakiejś sekty. Nieprawdaż? A teraz znalazł się pan tutaj... Zastanawiam się, czy będzie pan mógł spać spokojnie.

Zaśmiałem się.

– Powtarzam, że bardzo mi przykro. Przeżywałem kompletny odlot. Teraz jestem już pewien, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Eric starał się sprawiać wrażenie, że mi wierzy, niemniej wbijał we mnie oczy jak sztylety. Czegoś się domyślał, ale nie wiedziałem czego. A ja starałem się nadać mojej twarzy wyraz niewinności. Przybrać najlepszą pokerową minę, do jakiej byłem zdolny. Taką, z jaką w czasach niedostatku grywałem w pokera, rzucając na stół wszystko, co miałem – równowartość miesięcznego czynszu za mieszkanie wynajmowane na spółkę w Londynie.

– No dobrze, zacznijmy od początku – ciągnął Eric przygotowaną przemowę. – Powiedział pan Vincentowi Julianowi, że jesteśmy zwolennikami niejakiego Ojca Dave'a. Zgadza się? Tego człowieka z Gujany. A to wszystko dlatego, że wychowałem się w Surinamie. Aha! No i dlatego, że mam te obrazy.

Zaśmiałem się. Eric van Ern nie potrafił ukryć ciekawości, co odpowiem.

– Można tak to ująć. Tak, w gruncie rzeczy tak. Tak właśnie myślałem.

– No to pójdźmy dalej. Według pana Vincent Julian także jest zamieszany w ten spis. I, z tego, co wiem, Dan Mattieu i Grubitzowie. Ktoś jeszcze?

– No więc w pewnej chwili doszedłem do wniosku, że całe Saint-Rémy bierze w tym udział. Choć to zaczęło mi się jednak wydawać pewną przesadą. Potem zredukowałem swoje podejrzania do tych mieszkańców, którzy żyją tu od niedawna. Do świeżo przybyłych, „tych z Beverly Hills”. Tych, którzy są tu dopiero od kilku lat. Wyobraziłem sobie, że grupa przestępców, którzy umknęli sprawiedliwości, udaje zwykłych francuskich obywateli i osiedla się w tym zapadłym kącie, w zabitym dechami miasteczku, gdzie może się dalej oddawać swej złowrogiej działalności.

– A ośrodkiem tej działalności miałyby być moja klinika, tak?

– Tak.

Znowu się zaśmiałem.

– Doprawdy, bardzo, bardzo pana za to wszystko przepraszam, Eriku. Czuję ogromną potrzebę rozpoczęcia terapii. Nigdy w życiu nie miałem tak silnej motywacji, żeby powrócić do zdrowia. Wszystkie te pomysły... To wszystko wymknęło mi się spod kontroli, rozumie pan?

Oprócz tego zdaję sobie sprawę, że ma to ścisły związek z moją relacją z Miriam. Wie pan już z pewnością, że znajdujemy się w separacji i...

– Proszę się nie przejmować, Bert – przerwał mi Eric. – Znajduje się pan we właściwym miejscu. Ale przez chwilę zatrzymajmy się jeszcze na tym, co zdarzyło się w piątek. Znalazł pan coś w domu Chucksza Basila. Mały pendrive, który sprawił, że połączył pan wszystkie nici w jedno. Zgadza się?

A, tu cię mam! – pomyślałem. Nie wytrzymałeś nawet jednego dnia, żeby nie wyciągnąć tego tematu.

Jednak to mnie trochę zaniepokoiło. Ten pośpiech i wyraźna nerwowość van Erna.

– Tak, zgadza się – odpowiedziałem.

– Proszę mi coś opowiedzieć o tej pamięci USB – powiedział van Ern. – To mnie interesuje. Vincent Julian powiedział nam, że sądził pan, iż zawiera ona informacje, które uzyskał Daniel Someres o naszej rzekomo kryminalnej działalności. I że przekazał ją Chucksowi w dniu wypadku.

– Teraz już nie jestem niczego pewien. Niczego. Zresztą zgubiłem ten pendrive. Musiał mi gdzieś wypaść...

– Ale Vincent Julian go widział – wtrącił Eric van Ern – i powiedział, że nosił nazwę DSOMERES2. Mógł pan uzyskać wgląd do jego zawartości?

Van Ern mówił coraz szybciej, niemal gorączkowo. Nachylił się w moją stronę. Zdał sobie z tego sprawę, więc z powrotem opadł plecami na oparcie fotela.

– Nie – odpowiedziałem. – Był zabezpieczony hasłem.

– Ale pana teoria zakładała, że zawiera on informacje o naszej działalności. Coś, co Daniel Someres wykrał z naszych komputerów, prawda? Jakieś dane. Coś w tym stylu. Prawda?

– Nie wiem. Nie wiem, Eriku. Ja po prostu... – Tylko tyle zdołałem wyjąkać.

– No to zabawmy się, Bert! Zagrajmy w przypuszczenia! – niemal krzyknął. – Czy nie to właśnie pan najbardziej lubi?

– No to przyjmijmy, że jakieś dane. Tak. Dowody.

– Dowody – powtórzył van Ern. – Dowody na co? Cóż takiego okropnego wyczyniamy w tej klinice?

– W tym budynku w lesie. W pustelni.

W jego oczach zapłonął dziwny ogień. Nagle zaczął mówić podniesionym, agresywnym tonem.

– W pustelni! Oczywiście! To tam kryje się sekret, prawda, Bert? To jest miejsce, które pozbawia pana zdrowych zmysłów. Wspomniał pan mi o nim także tamtego dnia. A cóż takiego ukrywamy w tym miejscu, Bert? Ojca Dave'a?

– Błagam, Eriku, niech mi pan wybaczy. Zrobię, co tylko pan sobie zażyczy, żeby zmasać tę obrazę. Napiszę listy do wszystkich sąsiadów, do naszych przyjaciół. Zrobię wszystko, czego pan zechce.

– Teraz niech się pan tym nie przejmuje, Bert. Najważniejsze jest wyjaśnienie tego wszystkiego. Proszę mówić dalej. A więc sądził pan, że jesteśmy członkami tej sekty.

– Tak twierdziłem, ale to nie ma sensu. Pan wychował się w Surinamie, a nie w Gujanie Francuskiej. A zresztą ile pan ma lat? Około czterdziestu pięciu? A więc musiałyby pan mieć nie więcej niż trzynaście, gdy to wszystko się działo. To niemożliwe. Nie mógł pan tam być. Chyba że jako dziecko.

– Chyba że jako dziecko – powtórzył Eric, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Nie przyszło panu

do głowy, że w tamtej klinice mogły być dzieci? Może niektórzy z tych ludzi mieli dzieci... Dzieci, które poszły śladem swoich ojców...

Zamilkł, jakby złapał się na tym, że powiedział za dużo. Ja też się nie odezwałem i w bibliotece zapadła głucha cisza. Głęboka, ponura cisza. Eric van Ern siedział napięty jak struna na swoim fotelu. Czyżby na jego czole pojawiły się krople potu?

– Gratuluję panu – odezwał się w końcu. – Jedyne genialny pisarz mógłby wymyślić tak misterną teorię.

– To tylko stek bzdur, Eriku – powiedziałem drżącym głosem. – Naprawdę, to same głupstwa.

– Głupstwa... No jasne. Ale proszę mi powiedzieć coś jeszcze, Bert. Ostatnie pytanie. Jak ma na imię pies pana przyjaciela?

To mnie całkowicie zaskoczyło.

– Pies?

– Labrador Chucksa. Jak ma na imię?

– Chodzi panu o Lolę?

– Lola – powtórzył van Ern. – Jakie ładne imię. Zdaje się, że zawiózł ją pan do kliniki weterynaryjnej w piątek i tam pozostawił. Po bójkę z Vincentem Julianem. Czy to prawda?

Krew odpłynęła mi z twarzy, ale usiłowałem się opanować. Teraz rozumiałem już, dlaczego van Ern tak się spieszył. Teraz rozumiałem już wszystko. A mój plan, żeby zyskać na czasie, właśnie diabli wzięli.

Ograniczyłem się do skinięcia głową. Eric van Ern mówił dalej:

– Na szczęście okazało się, że pies był zaczepowany. Dzisiaj rano pani weterynarz usiłowała się skontaktować z właścicielem wpisanym do rejestru, panem Basilem, ale bez powodzenia. Udała się więc na posterunek żandarmerii w Sainte Claire, gdzie powiedzieli jej o panu, a także zadzwonili do Vincenta Juliana. Niech pan sobie wyobrazi jego zaskoczenie! Jako że jesteśmy pana przyjaciółmi, udaliśmy się do kliniki weterynaryjnej w pana imieniu. Nie musi się pan przejmować psem, żyje. Natomiast pani weterynarz wyraziła swoje zaniepokojenie stanem, w jakim był jego „właściciel”, gdy dostarczył zwierzę. Powiedziała Vincentowi, że wychodził pan z siebie. Że był pan jak oszalały. Vincentowi dało to do myślenia. Postanowił sprawdzić, co jeszcze wyrabiał pan w tamtej okolicy. Dowiedział się, że zaglądał pan do różnych sklepików i wypytywał, czy mają internet... Sprzedawczyni z kiosku wspomniała, że przyszedł pan do niej ponownie i stwierdził, że chce nadać list. Czy tak było?

Przełknąłem ślinę.

– Nie.

– No dobrze. To proszę mi powiedzieć, jakie powody miałyby ta kobieta, aby mijać się z prawdą? Bardzo dobrze sobie pana przypomniała, to oczywiste. Jest pan cudzoziemcem, a ponadto zachowywał się pan jak wariat. Był pan zdenerwowany. Bardzo pobudzony. Kupił pan kopertę bąbelkową i znaczek na priorytet za granicę. Sprzedawczyni nic więcej nie wie. Widziała natomiast, jak pan coś pisał, bardzo pospiesznie. Potem wrzucił pan przesyłkę do skrzynki pocztowej. I w sobotę powędrowała w dalszą drogę, bo dzisiejszego ranka już jej tam nie było.

Mój pokerowy wyraz twarzy zaczął puszczać na szwach. Zaciśnąłem zęby. Jazda, Bert – mówiłem w duchu – wymyśl coś, bo będzie źle.

– Ach! Zapomniałem! – Klasnąłem w dłoń. – Przecież wysłałem umowę Ontamowi. No tak... Korzystając z tego, że już tam byłem, nadałem ją pocztą. To była pilna sprawa.

Usta van Erna rozciągnęły się w gadzim grymasie. Było oczywiste, że mi nie uwierzył, i nie mogłem go o to winić. Moja historyjka była najbardziej bezczelną bzdurą, jaką wymyśliłem, od

kiedy ukończyłem trzynaście lat.

– Umowa? – zaśmiał się. – Ależ, Bert. Przecież musiał pan się czuć zagrożony. Krąg zaciskał się wokół pana. Nikt w takiej sytuacji nie przypominałby sobie o jakiejś tam umowie. Wie pan, co o tym sądzi? Otóż sądzę, że wysłał pan komuś tego pendrive’a.

Usiłowałem udawać zaskoczenie.

– Jest pan w błędzie, Eriku. Przecież go zgubiłem. Musiał mi wypaść podczas tego wypadku. Nie wierzy mi pan?

– Sam nie wiem... Dzisiaj przed południem, kiedy dowiedzieliśmy się o wszystkim, pierwszą moją myślą było: „To się zgadza”. No bo to, że pan sam, na ochotnika, zgłosił się do mojej kliniki, po tym wszystkim, co pan sobie wyobraził na nasz temat... To by było logicznym posunięciem, tylko jeśli przyjmiemy, że pana działania mają na celu zyskanie na czasie.

Zaśmiałem się.

– Chcę zyskać na czasie? Ale po co?

– Nie wiem... Może ma pan nadzieję, że policja zacznie nas ścigać. Albo że oddział walecznych rycerzy na rącznych rumakach przybędzie panu z odsieczą.

– Czyżbym potrzebował pomocy, Eriku?

I znowu zapadła cisza. Atmosfera napięcia, która panowała w bibliotece, była tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

– Chcę jedynie powiedzieć, Bert, że być może usiłuje pan nas wszystkich oszukać. Może wymyślił pan sobie taką grę, bardzo niebezpieczną grę, niech mi pan wierzy. I prowadzącą do wprost przeciwnego skutku, niżby pan sobie życzył.

– Co ma pan na myśli?

– Niech pan sobie przez chwilę wyobrazi, że jednak jestem tym potworem, jakiego pan we mnie widzi. Wyrządził mi pan krzywdę lub ma pan takie plany. Jak pan sądzi, jak zareaguję? Mam życie pana i pana rodziny w swoich rękach.

– Nie odważycie się – odpowiedziałem, a głos mi zadrżał, jak galaretką z nówek serwowana w wagonie restauracyjnym. – Nie życzyście sobie rozgłosu. Nie możecie...

Jego oczy pociemniały. Już nawet nie udawał dobroduszości. Głos, jakim się odezwał, był groźny i mówił rzeczy potworne.

– Istnieją różne sposoby, Bert. Może się zdarzyć, że do domu włamią się złodzieje, myśląc, że nikogo nie ma. Natkną się na Miriam i Brit z zaskoczenia, zamordują je w brutalny sposób, załkują kijami przywiązane do schodów, a przedtem je zgwałcą. Albo też zaprosimy je na rejs po Morzu Śródziemnym. Wrzucimy Britney do wody, poczekamy, żeby Miriam skoczyła jej na ratunek, i zostawimy je na środku morza. Istnieje tyle sposobów...

– Elron... – wybełkotałem.

– Chłopak robi to, co mu się każe – odpowiedział van Ern.

Zamilkłem. Patrzyłem na niego ze zgrozą. A wtedy Eric van Ern spokojnie się uśmiechnął, a jego oczy odzyskały zwykły kolor.

– Ale to, oczywiście, są tylko wymysły, prawda, panie Amandale? Fantazja mroczna, ale nierzeczywista.

W tej samej chwili usłyszałem sygnał telefonu. Eric van Ern sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął komórkę i odebrał. Natychmiast się zorientowałem, że coś go zaskoczyło.

– Możesz ich zatrzymać? – spytał.

Widziałem, że mamrocze coś przez zaciśnięte zęby. Wyglądał na rozeźlonego. Pomyślałem, że nadeszła moja ostatnia godzina.

– No dobrze, ja się tym zajmę. Dziękuję, François, zaprowadź ich na patio.

Zakończył połączenie i spojrzał na mnie.

– Patrzcie no tylko, co za niespodzianka – powiedział przeciągle, podnosząc w górę rękę, jakby chodziło o jakąś dobrą wiadomość. – To pana córka, Britney.

Poczułem silne uderzenie serca.

– A cóż ona tu robi?

– Elron i ona zjawili się u drzwi kliniki. Jak się wydaje, stanowczo nalegała, że musi się z panem pożegnać. No i ma rację, bo nie będziecie się widzieli przez ładnych kilka tygodni. No to chodźmy, pójdziemy do nich.

Podniósł się z fotela i poprowadził mnie najpierw do drzwi, które otworzył kartą, a potem długim korytarzem, którego okna wychodziły na rzepakowe pole.

2

François, szef ochrony, czekał na nas tuż przy wyjściu na mieszkalne patio, na tyłach głównego budynku. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu, a na jego twarz wypełził uśmiezek, który mówił: „Witamy, nie musieliśmy długo czekać”. Eric powiedział coś do niego po francusku. Mówił bardzo szybko i niczego nie rozumiałem.

Znajdowałem się w ogromnym napięciu, a z głowy wyleciały mi wszystkie myśli. Naraz rozumiałem, jakim strasznym błędem z mojej strony było rozstanie się z Britney i Miriam. Ci tutaj już wiedzieli o wysłanym liście. Wiedzieli, w co pogrywam. Nie pozwolą sobie na stratę czasu. Może zrobią to już tej nocy? Ale co takiego? Otworzą mi czaszkę? Założą mi jedną z tych cierniowych koron?

Słońce zaszło już dawno za Mont Rouge. Lekka różowawa poświata na horyzoncie metalicznie lśniącego nieba była ostatnim wspomnieniem dnia, a nad naszymi głowami migotały gwiazdy. Usiłowałem rozwikłać zagadkę, jakież to plan mogła mieć Britney, co sobie wymyśliła. Musisz w nią wierzyć – mówiłem sobie – bo jest dziesięć razy sprytniejsza od ciebie, a ponadto odziedziczyła po Miriam zimną krew. Coś na pewno przyszło jej do głowy.

Samochód Elrona okrążył główny budynek i wjechał na podjazd wiodący na patio. Obok niego szło dwóch mężczyzn. Z pewnością byli to ochroniarze, a więc – licząc razem z François – było ich nie mniej niż trzech. Nie mogłem też zapominać o gigantycznym mastifie, który z pewnością krążył gdzieś w okolicy.

Beetle kilka razy radośnie zatrąbił, zanim podjechał do nas. Oboje młodzi wysiedli. Eric wyciągnął ręce, witając się wylewnie z Brit, a jednocześnie podszedł do nich Elron.

– Elronie – powiedział Eric, szeroko się uśmiechając – powinienesz był wyjaśnić Britney, że regulamin wizyt...

– Zrobiłem to, tato, ale...

– Tak mi przykro, panie van Ern – zaszczębiotała Britney słodkim głosikiem, którym mogłaby skruszyć nawet mur ze zbrojonego betonu. – Byliśmy właśnie nad jeziorem, gdy sobie uprzytomniłam, że zapomniałam włożyć tacie do walizki książki, o które mnie prosił. Mam nadzieję, że się pan nie gniewa.

Eric zaczął odgrywać rolę surowego lekarza, który zostaje zmuszony do poczynienia pewnych ustępstw.

– Dobrze już, dobrze. Jakże mógłbym zrobić przykrość mojej przyszywanej córeczce? Mam nadzieję, Bert, że pan też tak myśli – powiedział, patrząc na mnie znacząco.

Z powagą skinąłem głową. Jego słowa nadal rozbrzmiewały mi w uszach: „zamordują je w brutalny sposób, zatłuką kijami przywiązane do schodów, a przedtem je zgwałcą”.

– Chcesz zobaczyć mój pokój? – spytałem Brit. Potwierdziła. Weszliśmy, a za nami Elron i jego ojciec. Przypuszczałem, że nie będą chcieli nas zostawić samych nawet na chwilę.

– Bardzo przyjemny! – pochwaliła Britney. – Może nieco przypomina zakonną celę, ale nie jest źle. Nie masz żadnych towarzyszy?

– W tym tygodniu spodziewamy się kilku nowych gości – wyjaśnił Eric – a do tego czasu twój ojciec będzie tu sam. Mam nadzieję, Bert, że nie jest pan bojaźliwy.

– Nie – odpowiedziałem. – Raczej nie.

– No dobrze – powiedziała Britney. – Tu są twoje książki, tato.

Wyciągnęła dwa grube tomy z torebki i położyła je na stole. Cholera, to były te dwie powieści Amandy Northörpe, która tak mi założyła za skórę. Byłem przekonany, że Miriam już dawno wyrzuciła je do śmieci.

– Twoja ulubiona autorka, tato – dodała, unosząc kąciki ust w łagodnym uśmiechu.

Spojrzałem na nią z lekko zmarszczonymi brwiami i też się uśmiechnąłem.

– Dziękuję, Brit. To sprawi, że czas będzie mi szybciej mijał.

Wtedy van Ern stwierdził, że już czas na pożegnanie.

– Twój ojciec musi odpocząć. Czekają go trudne tygodnie. Tu się przychodzi pracować!

Brit przytuliła się do mnie i pocałowała mnie w policzek. Potem popatrzyła mi uważnie w oczy.

– Wracaj szybko do domu, tato. Obiecujesz?

Ja też spoglądałem w jej oczy, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że o metr od nas Elron i Eric van Ern nadśluchują każdego naszego słowa.

– Obiecuję, córeczko. Niedługo wrócę.

Brit i Elron wyszli, wsiedli do samochodu i odjechali. Staliśmy w milczeniu, śledząc wzrokiem oddalające się i niknące w półmroku czerwone tylne światła auta.

– Pora na odpoczynek, Bert – powiedział Eric van Ern. – Jutro obydwu nas czeka bardzo trudny dzień.

3

Od tej chwili stale towarzyszył mi jeden ze strażników. W wielkiej jadalni przeznaczonej dla pacjentów, gdzie samotnie zjadłem kolację, widziałem, jak obserwują mnie przez szybę. Doszedłem do wniosku, że karty zostały odkryte i że Eric będzie chciał jak najszybciej wyciągnąć ze mnie wszystko, co wiem. Nie będzie ryzykował, że mu się wywinę. Przypuszczalnie wszystko rozegra się jeszcze tej nocy.

Po kolacji Emma odprowadziła mnie do apartamentu i wyjaśniła, że okna zostaną zamknięte na noc, ale że będę mógł regulować temperaturę w pokoju za pomocą termostatu. Potem wyszła. Usłyszałem bip-bip jej karty magnetycznej przesuwanej przez czytnik i niezwłocznie uruchomiły się elektryczne zatrzaski drzwi i okien. Zostałem sam, zamknięty jak w więzieniu.

Przez chwilę siedziałem na łóżku, nadśluchując, jak niknie odgłos jej kroków na zwirowej

ścieżce. Potem wstałem, podszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę.

Oczywiście bezskutecznie. Drzwi pozostały zamknięte.
m, wskazując na śmigłowiec, którego pilot właśnie wyłączył silnik.

Rozdział siódmy

1

A więc wiedzą już o tym, że wysłałeś list, Bert. Na co jeszcze czekają, żeby poddać cię torturom? Z pewnością już się szykują i przystąpią do akcji dzisiejszej nocy, nad ranem.

Zgasilem światło, dręczony myślami położyłem się na łóżku i zacząłem się rozglądać po pomieszczeniu. Może ukryli gdzieś kamerę, może mnie podglądają? Uznałem, że to pomysł nie od rzeczy, ale po kilku minutach wpatrywania się w sufit i ściany doszedłem do wniosku, że to jednak mało prawdopodobne. Zresztą niewiele miałem do stracenia.

Zapaliłem więc nocną lampkę, podniosłem się i wziąłem z biurka książki Amandy Northörpe, które zostawiła mi Britney: *Noc morderczej zazdrości* i *Przecucia latarnika*, z ich barokowymi okładkami i egzaltowanymi zachwytyami na odwrocie.

„Ponad milion książek sprzedanych na całym świecie świadczy o tym, że Amanda Northörpe jest nową pierwszą damą romansu kryminalnego”.

Zabrałem się za pierwszą powieść i kartkowałem ją, nie czytając. Spodziewałem się, że gdzieś znajdę jakąś wiadomość od Britney, jakąś notatkę. Jednak niczego takiego nie było. Schwyciłem więc drugą, *Przecucia latarnika*, i zrobiłem z nią to samo. Ponownie przed moimi oczami przedfilowało ponad sześćset stron tajemnic, dialogów, miłosnych westchnień i, od czasu do czasu, scen erotycznych, ale nie było nawet najmniejszej notki ani w ogóle niczego, co mogłoby mi się do czegoś przydać.

Dość tego, Britney. Przecież wiesz, że nienawidzę tych pieprzonych książek. Co w nich ukryłaś?

I gdy tak trzymałem w ręku opasłe tomiszczce, lśniące kolorami obwoluta nieco przesunęła mi się w palcach. To były te luksusowe wydawnictwa w twardych okładkach, z błyszczącymi obwolutami, ze skrzydełkami, z bajerami... i to nasunęło mi pewien pomysł. Zdjąłem obwolutę i zacząłem poruszać książką, obracać ją, otwierać i zamykać. I nic. Ale gdy zrobiłem to samo z pierwszą powieścią... *Voilà!* Wsunęty między grzbiet a zszyte kartki, pojawił się mały, sztywny kawałek plastiku: karta magnetyczna!

Poczułem, że serce zaczyna bić mi przyspieszonym rytmem, i musiałem się zmusić, żeby opanować chęć krzyknięcia: „HURRA!”. Skąd ją wzięłaś, Brit? Czyżbyś wykradła ją swemu ukochanemu Elronowi?

Byłem tak absolutnie dumny z mojej córki, tak pełen podziwu dla jej inteligencji i zimnej krwi, że mało brakowało, a nacisnąłbym guzik przywołania, żeby się pochwalić temu nieudacznikowi Ericowi van Ernowi. Tak się załatwia sprawy w naszej rodzinie, ty pretensjonalny, nawiedzony, ponadzmysłowy palancie!

Karta owinięta była w kawałek przezroczystej folii rozciągliwej. Była całkowicie anonimowa, bez żadnego nadruku czy nazwiska właściciela, natomiast przylegał do niej maleńki skrawek papieru, na którym ujrzałem wypisaną krótką wiadomość:

„Miałeś rację... Powodzenia! Czekam na ciebie w domu”.

Nawet dnia nie zabrało jej wywiedzenie się o to, o co ją prosiłem: czy w marsylskim komisariacie pracuje człowiek o nazwisku Jean Frateau, a jeśli tak, to czy w piątek rozmawiał przez telefon z Vincentem Julianem. To był jeden z tych luźnych wątków, o których sam V.J. z pewnością nie pamiętał, że nie trzymają się kupy. Kłamstwo. Kolejne kłamstwo. Britney przekonała się, że jednak się nie mylę ani niczego nie zmyślam. Miałem ją po swojej stronie. I zawdzięczałem jej pieruńsko dużo, nie ma co!

Kartę magnetyczną, którą (tak przypuszczałem) musiała jednak wykraść Elronowi. Bo chyba on sam nie dał jej Britney z własnej woli. Eric van Ern raczej nie mógł aż tak się mylić co do lojalności swojego potomka. Tak czy owak, dwie sprawy były dla mnie całkowicie jasne: po pierwsze, ta karta była moją gwarancją uwolnienia, moją ostatnią kartą atutową. Musiałem nią zagrać w odpowiedni sposób. Po drugie, jeśli to nie Elron dostarczył ją Britney, moja córka znajdzie się w niebezpieczeństwie w chwili, gdy właściciel karty będzie chciał jej użyć.

Musiałem jakoś spędzić czas. Konkretnie biorąc, dwie godziny. Postanowiłem oddać się lekturze *Nocy zabójczej zazdrości* i nie usnąć, co nie było łatwe, zważywszy na nadmiar miłosnego szczebiotu między Ratty Callahan i jej muskularnym i otrzaskanym w świecie majordomusem, mister Bundtem. Gdy ponownie spojrzałem na zegarek, była północ. Pora duchów. Godzina, w której widma powstają z grobów i zaczynają się przechadzać po cmentarzach.

Ja też wstałem z łóżka i, jak widmo, wyruszyłem w drogę.

Bip-bip zabrzmiał ogłuszająco głośno; wyobraziłem sobie, że musiano go usłyszeć aż w Paryżu. Potem krótkie trzaśnięcie zamka i drzwi stanęły otworem.

Stałem przez chwilę w bezruchu, nadsłuchując pilnie odgłosów z zewnątrz. Czy postawiono kogoś na straży w pobliżu mojego apartamentu? Byłoby logiczne się tego spodziewać, ale z drugiej strony czyż mogli założyć, że będę dysponował kartą magnetyczną? Nie. Nie mogli przewidzieć tego asa w rękawie mister Amandale’a. Ale był tam, jeszcze jak był! Jeśliby nawet wiedzieli o wszystkim, nie przyszłoby im z pewnością do głowy, że mogą uciec, nie zrobię tego natychmiast. Nie wzięli tego pod uwagę w swoich kalkulacjach. Tylko ja jeden wiedziałem, że byłem coś winien Chucksowi. Że muszę spłacić dług wobec mojego przyjaciela, mojego druha od serca, którego ci łajdacy zabili! Będą musieli za to zapłacić, Chucks, mówiłem do siebie. Przysięgam, że cię pomszczę, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie!

Księżyc stał tej nocy po mojej stronie. Ukazywał światu jedynie wąziutki profil i patio było pogrążone w mroku. Emma mówiła, że apartamenty są zamykane na noc ze względów bezpieczeństwa. Co jeszcze dzieje się w nocy w tym miejscu?

Okrzyłem zespół mieszkalny, trzymając się zacienionych miejsc i nie spuszczać z oka głównego budynku, który był pogrążony w ciemnościach. W żadnym oknie od tej strony nie było widać światła, paliły się tylko małe zewnętrzne lampki, rozjaśniając punktowo fasadę. Okoliczne pola były skąpane w nieprzeniknionej czerni.

Powtórzyłem trasę, którą pokonałem już raz po południu: najpierw do ogrodzenia, a potem ścieżką wzdłuż niego. Tym razem na lądowisku stał śmigłowiec. Maszyna widziana z bliska wydawała się ogromna. Ukryłem się za nią i obserwowałem dom, ale wydawało się, że moja nocna przechadzka nikogo nie obudziła ani też nie zaalarmowała. Póki co. Miałem przed sobą jakieś pięćset metrów do ściany lasu. Ten odcinek musiałem przebyć całkowicie bez osłony, postanowiłem więc iść jak najszybciej. Na

Las oczekiwał na mnie, jak wielki nocny potwór. Ogromna, szeroko otwarta paszcza. Czarna jama bez wyjścia. Ale nie mogłem stąd odejść, nie podjąwszy próby dowiedzenia się prawdy. Pod pierwszymi drzewami na skraju stanąłem, aby trochę odpocząć i rozejrzeć się wokół. Naprawdę udało mi się zejść aż tak daleko i nikt mnie nie wykrył? To wyglądało na żart... lub raczej na pułapkę. Ale tak czy owak, nie miałem już drogi odwrotu. Stanąłem twarzą do ściany lasu i w jego głębi dostrzegłem majaczący biały kształt, fasadę kaplicy, która przyciągała mnie w sposób niemal hipnotyczny.

Naprzód, Bert. Udowodnij wszystkim, że nie jesteś aż tak szalony, jak sądzili.

Szedłem coraz wolniej, jakbym zbliżał się do jednego z tych miejsc, które zostały skażone radioaktywnością i przebywanie w ich pobliżu grozi skróceniem życia. Budynek kryjący się między drzewami nabierał formy w wątłym świetle księżyca. Spiczasty dach, białe mury i łukowate okna zamalowane białą farbą. Podeszedłem do drzwi, skromnych, niewielkich, do których prowadziły schody o trzech stopniach. Obok framugi zamontowany był czytnik kart magnetycznych.

Nagle za moimi plecami rozległ się jakiś szelest. Natychmiast po nim usłyszałem metaliczny trzask, jakby ktoś odwiódł spust. Ale zanim zdążyłem się obrócić, ktoś stojący tuż za mną powiedział:

– Proszę bardzo, Bert. Otwórz drzwi.

Nie musiałem się odwracać, bo wiedziałem, kim jest mój niewidoczny rozmówca.

– Pozwoliliście mi dotrzeć aż tutaj, prawda, Eriku?

– Otwieraj, Bert. Nie chcesz poznać Ojca? Czy nie tego chciałeś? Porozmawiasz sobie z nim. To będzie długa rozmowa.

Chciałem na niego spojrzeć, ale usłyszałem ostrzegawcze cmoknięcie, taki odgłos, jaki wydaje się, żeby zwrócić na siebie uwagę płaczącego dziecka.

– Mam broń. Rób, co ci każe.

Wszedłem więc na te trzy stopnie wiodące do kaplicy, pustelni czy do czegokolwiek, czym był ten budynek. Przejechałem kartą po czytniku. Drzwi otworzyły się i uchyliły, podobnie jak przedtem drzwi do mojego pokoju, lecz tym razem dźwięk elektronicznego zamka rozległ się głuchym echem w głębokich ciemnościach.

– No już – odezwał się Eric za moimi plecami – wchodź.

2

Zagłębiłem się w ciemne wnętrze z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami. Kiedy pisałem swoje straszne historyjki o Billu Nooranie, zazwyczaj na koniec sam zaczynałem się bać. Wydawało mi się, że wiem, czym jest uczucie strachu, ale w chwili gdy posuwałem się do przodu przez przestrzeń, która wydawała się główną nawą kościoła, z ławkami stojącymi po bokach, zrozumiałem, że nigdy w życiu nie zaznałem nawet tysięcznej części takiego przerażenia, jakie teraz mnie ogarnęło.

Przypomniałem sobie tamtego Haitańczyka i blizny na jego głowie. Wszystkie te mrożące krew w żyłach świadectwa osób, które przebywały w Szpitalu w Dżungli Ojca Dave'a. „Dziki koty wylaziły ze ścian i gryzły cię po nogach”. Nawet już zaczynałem słyszeć jakieś zwierzęce odgłosy dobiegające skądś, z boku... Czyżbym już zaczął mieć halucynacje? Czyżby znowu

mnie czymś zatruli?

Mimo że okna były szczelnie zamalowane, w kaplicy nie było aż tak ciemno, jak mi się w pierwszej chwili wydawało. Na ścianach zamocowane były elektryczne lampy, a moje oczy zaczęły się już przyzwyczajać do skąpego oświetlenia. Słyszałem odgłos własnych kroków rozlegający się w pustce i w miarę jak posuwałem się do przodu, zacząłem dostrzegać coraz więcej szczegółów. Jakieś dość skomplikowane urządzenia. Probówki, kolby, rurki, stoły laboratoryjne. Po prawej stały nagromadzone małe klatki, z których dobywały się te piski i szelesty, wydawane przez jakieś zwierzęta. Na wprost, w apsydzie, coś w rodzaju wielkiego regału magazynowego.

Drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami. Zatrzymałem się.

– Ojciec Dave! Proszę wyjść, ma pan gościa! – krzyknął van Ern i wybuchnął śmiechem.

Odwrociłem się. Eric van Ern stał w przejściu tuż naprzeciw mnie. Jak upiór z koszmaru.

– To już koniec, Bert. Wyjaśniłeś zagadkę. Tego właśnie chciałeś, prawda? Ojciec Dave. Widzisz go?

– Nie ma go tutaj – odpowiedziałem.

– No pewnie, że go tutaj nie ma. Ożywienie zmarłych jest bardzo trudne do przeprowadzenia.

– Nie żyje?

– To oczywiście, że nie żyje, Bert. Został wyeliminowany. Tak zawsze kończą niepotrzebni już figuranci. Staruch był szaleńcem, fanatykiem i maniakiem seksualnym, jak sam wiesz. Ale był tylko fasadą, za którą kryło się coś więcej. Wiele innych osób, które pracowały nad różnymi ważnymi projektami. Te wszystkie doświadczenia z narkotykami i elektrycznością pozwoliły otworzyć drogę do niezwykłych, jedynych na świecie pomysłów i idei. Ale stary zapomniał, skąd mu nogi wyrastają, zapomniał, kto za nim stoi. A było wiele silnych rąk, które chciały zawładnąć tymi tajemnicami. Więc dorwali go w Kourou, potem na Martynice. Wymknął się, lecz po krótkim czasie załatwili go w Santa Marta. Na szczęście część rodziny zdołała ocaleć.

– Ty i Edilia. Grubitzowie. Mattieu...

– Jak we wszystkich rodzinach, zdarzają się różni ludzie. Przyjmujemy nowych członków, bywają też zdrajcy.

– Jak ten człowiek, który był informatorem Someresy? – spytałem.

Van Ern znowu się zaśmiał. W dłoni trzymał piękny pistolet. Wielki, srebrzysty. Poruszył nim w powietrzu i wokół pojawiły się odbłyśki światła.

– Cóż za imponująca wyobraźnia, Bert. Wprost wspaniała!

– A co tutaj robicie?

– Kontynuujemy prace nad tym, co zapoczątkował Dave – odparł van Ern. – Nad opłacalną częścią jego dziedzictwa, ujmijmy to w ten sposób.

– Produkuje narkotyki?

– Proszę, nie uwłaczaj nam, Bert. Każdy dziś może się zająć produkcją tego syntetycznego świństwa w domu, korzystając z podpowiedzi dostępnych w internecie. To, mój drogi, coś poniżej naszego poziomu. My tutaj zajmujemy się nauką. Prawdziwą nauką. Doświadczeniami, bardzo daleko idącymi eksperymentami, których nie można przeprowadzać legalnie. Mamy bardzo dobrych klientów, którzy wynagradzają nas hojnie za nasze wyniki.

– Prowadzicie doświadczenia na ludziach. Na tych klientach, których kuracja rzekomo jest sponsorowana przez waszą fundację. To właśnie odkrył Someres. Na jego pendrive są dowody.

Eric nawet nie odpowiedział. Skierował pistolet w swoją skroń i kilka razy postukał się lufą w głowę.

– Ucieszy cię chyba wiadomość, że też zostałeś królikiem doświadczalnym. Jak ci się podobał tamten koszmar senny sprzed kilku dni, Bert? Miałeś wrażenie, że niemal to przeżywałeś w realu, nieprawdaż?

Zamartłem.

– Whiskey – domyśliłem się natychmiast. – Łajdacy... Kto tam czegoś dodał? Edilia? Elron?

I znowu moje pytania pozostały bez odpowiedzi.

– Wiesz, Bert. To prawdziwa przyjemność móc z tobą swobodnie porozmawiać. Od dziecka zostaliśmy nauczeni, że mamy milczeć i słuchać. To w końcu staje się męczące. Uwierz mi, że nawet w domu nigdy nie poruszamy pewnych tematów. Tak więc jestem ci wdzięczny za tę okazję do pogawędki. Choć krótkiej, bo czas nas goni.

– Zabijesz mnie?

– To zależy tylko od ciebie, Bert. Dotychczas miałem po prostu chęć sprawić, żebyś nie był sobą. Już od pewnego czasu myślałem o tym, żeby potraktować cię czymś, co wpływa na pamięć. Albo żebyś posłużył Elronowi jako sprawdzian umiejętności, które już zdobył. Chodziłoby o wywołanie czegoś w rodzaju sztucznego zapalenia opon mózgowych. Człowiek po czymś takim staje się bardzo sympatyczny, entuzjastyczny i gadatliwy, ale opowiada same głupstwa nie z tej ziemi.

– Cóż za wspaniały plan. Mógłbym rozpocząć karierę polityka.

Van Ern się nie roześmiał.

– Ale, niestety, sprawiasz nam kłopoty, Bert. – Poruszył pistoletem z góry do dołu. – Ten numer z pendrive’em, który wykręciłeś... A potem, w szpitalu, gdy wszczyłaś te cholerne awantury, żeby oddano ci ubrania, choć doskonale wiedziałeś, że nic w nich nie ma. Gratuluję ci przedstawienia, Bert!

Nic na to nie odpowiedziałem i zapadła długa cisza. Twarz van Erna zaczęła mi się zamazywać w oczach. Byłem zgubiony... Chyba że rzucę się na niego zaraz, ryzykując, że do mnie strzeli. Stał jednak za daleko, w odległości co najmniej dwóch metrów. Miałby czas trzy razy mnie zastrzelić, zanim zdołałbym się ruszyć.

– Jesteście zgubieni – powiedziałem, starając się zyskać trochę na czasie.

– Mylisz się, Bert. Są ludzie, którzy zawsze wygrywają, i my do nich należymy. Nawet jeśli poświęcimy Vincenta i paru podobnych do niego pionków. To są skutki uboczne i musimy się z nimi pogodzić. Zresztą jeśli nie zaczniesz mówić, z przykrością będziemy musieli pożegnać się także z tobą. Proszę, nie narażaj nas na tę niewygodę. Jak już mówiłem, lubimy to miejsce.

– Co miałbym zrobić?

– No więc... Która jest godzina?

Spojrzałem na zegarek na nadgarstku.

– Wpół do pierwszej – odpowiedziałem.

– Cóż... Masz dwa wyjścia, Bert. Pierwsze: powiesz nam, co chcemy wiedzieć. Do kogo wysłałeś pendrive’a. Wtedy twoje dziewczyny spokojnie obudzą się jutro rano w naszym szczęśliwym miasteczku Saint-Rémy. Będą prowadziły miłe życie, a ty pozostaniesz u nas na kuracji.

– A drugie?

– Że nadal będziesz upierał się przy kłamstwie. Wtedy zrobimy tak, żebyś w ataku szału uciekł dziś w nocy z kliniki, po dotarciu do domu zastrzelił żonę i córkę, a potem sam rozwalił sobie czaszkę. Miriam wyrzuciła cię z domu, wszyscy w okolicy już wiedzą o twoich wariactwach... Ludzie uznają to za straszną historię, ale w nią uwierzą.

– Nie uda się wam. Zresztą uważam, że właśnie to chcecie zrobić, tak czy owak.

– Ależ skąd – powiedział Eric. – Daję ci słowo honoru. Mów, a nikt nie ruszy palcem Miriam i Britney. Gwarantujemy ich życie, jeśli uzyskamy nazwisko i adres osoby, do której wysłałeś list. Wszedł w sobotę. Międzynarodowa przesyłka. Mamy jeszcze czas, żeby ją przechwycić. Tylko tyle. Pospolita kradzież korespondencji, Bert. Bez rozlewu krwi. Nawet kropelki.

– Jak w przypadku Chucksa, prawda? Czysta sprawa. Tak samo czysta jak wtedy.

– Bardzo mi przykro z powodu twojego przyjaciela, Bert. Musieliśmy popełnić omyłkę w dawkowaniu.

– Znam wasze koktajle z martini. Paralizujące.

Eric van Ern podniósł rękę i wyciągnął coś z kieszonki koszuli. Podszedł bliżej, o jakiś metr, i postawił to coś na brzegu jednego ze stołów laboratoryjnych. Małą szklaną fiolkę, wielkości flakonika perfum.

– Jeden z naszych flagowych produktów. Bezbarwny, bezwonny i nie pozostawia śladów. Nie będzie też żadnego śladu na twoich włoskach, Bert. Jak już zmasakrujesz swoją rodzinę. Ma tę zaletę, że potraktowany nim osobnik nie traci przytomności. Będziesz mógł wszystko śledzić na żywo i w kolorze.

Zdałem sobie sprawę, że Eric stoi teraz bliżej mnie. Broń musiała mu ciążyć, bo trzymał łokieć przyciśnięty do boku i mierzył lekko w dół.

Postąpiłem krok w kierunku stołu.

– Nie ruszaj się – ostrzegł mnie van Ern. – Teraz dostaniesz małą dawkę...

Nagle usłyszeliśmy kroki. Ktoś wchodził po schodkach. Użył karty, bo czytnik zapiszczał i zazgrzytał zamek drzwi wejściowych. Byłem wystarczająco blisko van Erna, żeby się odważyć. Spuścił ze mnie wzrok na ułamek sekundy, pewnie odruchowo chciał sprawdzić, kto wszedł. I to wystarczyło: rzuciłem się na niego, przypuszczając desperacki atak na rękę, w której trzymał pistolet.

Natknąłem się na węzeł kości i metalu. Van Ern krzyknął i spróbował skierować lufę w moją stronę, ale było już za późno, bo podźwignąłem jego rękę i pistolet celował gdzieś w górę. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału i brzęk tłuczonego szkła. A potem dźwięki i krzyki, które zaczęły wydawać te wszystkie stworzenia. Małe, ptaki... To, co siedziało w klatkach, czymkolwiek było.

– *Arretez!* ¹⁰ – krzyknął po francusku ten ktoś, kto wszedł, i zdałem sobie sprawę, że tylko sekundy dzielą mnie od klęski. Postanowiłem walczyć o życie.

Wyczułem, że Eric szykuje się do zdzielenia mnie kolanem w krocze, i skrzyłem ciało, dzięki czemu jego cios trafił mnie w udo. Brutalnie popchnąłem go na jeden ze stołów, nadal usiłując odebrać mu broń. Cała kolekcja szklanych probówek i innych wyrafinowanych dupereli została wyrwana z miłego stanu bezruchu i z łomotem zrzucona na podłogę. Przyciskałem Erica do blatu całym ciałem, lecz osunęła mi się ręka i udało mu się wyrwać mi dłoń z pistoletem. Błyskawicznie opuścił ją w dół i poczułem, że lufa wbija mi się w brzuch. W tej samej chwili ten drugi ktoś znalazł się tuż za moimi plecami. Który z tych dwóch pierwszy mnie rozwali? Z całej siły wymierzyłem Ericowi fangę w nos. Włożyłem w ten cios wszystkie siły i po trafieniu go opadłem na bok. Prawie znokautowany, rozjuszony Eric nacisnął spust, ale mojego brzucha już nie było tam, gdzie się go spodziewał. Mimo tego trajektoria pocisku nie okazała się zbyt odległa.

François stał naprzeciw Erica i zaskoczony spoglądał w dół, na swoją klatkę piersiową.

W świetle księżycy, wpadającym do środka przez roztrzaskaną szybę, widać było dym prochu ulatniający się z jego koszuli na wysokości prawego płuca. Niezgrabnie zachwiał się na nogach, a Eric, jeszcze oszołomiony moim uderzeniem, nie zorientował się, z kim ma do czynienia. Musiał dojść do wniosku, że to ja, bo wymierzył broń i strzelił po raz drugi. Tym razem pocisk przeszył ochroniarzowi gardło. Jego grdyka i struny głosowe musiały rozprysnąć się na kawałki, jak roztrzaskana wiolonczela, po czym ta ogromna góra mięśni zwiotczała i opadła na podłogę jak porzucona marionetka.

Chwyciłem jedną z tych metalowych klatek, które rzędem stały na stole, i uniosłem ją nad głowę pana van Erna. Zdałem sobie sprawę, że to żelastwo musi ważyć co najmniej trzydzieści kilogramów.

– To za Chucksa – wysapałem.

– Nie rób tego.

Miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale nie czekając, spuściłem mu ciężar na głowę. Rozległ się dźwięk jak przy rozgniataniu karalucha, z tym że ten karaluch był naprawdę wielki. Zadrżały mu nogi. Rozluźnił się chwyt dłoni i pistolet wypadł na podłogę.

Pomyślałem, że chyba go zabiłem, ale nie miałem zamiaru tracić czasu na sprawdzanie. Podniosłem broń i opuściłem to straszne miejsce. to, żeby biec, nie mogłem się zdobyć. Za bardzo bolały mnie potłuczone żebra.

Rozdział ósmy

Przeszedłem przez próg, trzymając przed sobą pistolet w wyciągniętej ręce, na wypadek gdybym miał się natknąć na pozostałych strażników, ale w lesie panowała cisza i spokój. Teren otaczający klinikę był ogromny, więc pomyślałem, że z pewnością robią obchód gdzie indziej. Jednak huk wystrzałów z pewnością poniósł się w dal i musiałem się liczyć z tym, że wkrótce znajdą się na moim tropie. Oni oraz ich psy. Nie mogłem się spodziewać, że powtórzy się szczęśliwy przypadek sprzed chwili i że wystrzelają się sami między sobą, jak to się zdarzyło François, który zginął z ręki swego szefa.

Którędy uciekać? Wiedziałem, że tuż za drzewami jest dom van Ernów, ale nie sądziłem, abym był tam mile widziany. Dwa pozostałe kierunki były mi całkowicie nieznane, bo na północ i na wschód rozciągały się gęste lasy. Pozostawało tylko skierować się w stronę Mont Rouge. Mogłem spróbować pokonać pole rzepaku, dotrzeć do tamtego piniowego lasku przy szosie i wyjść na drogę, tak jak zrobił to Daniel Someres tamtej pamiętnej nocy. Jemu ucieczka niemalże się udała.

Postarałem się jak najszybciej powrócić na skraj lasu, ograniczonego z tej strony drogą dojazdową do kliniki. Teraz musiałem okrążyć główny budynek i zagłębić się w ukwiecone pole. Ujadanie psów gdzieś za plecami sprawiło, że spojrzałem za siebie i ujrzałem tańczące światła. Grupa mężczyzn z latarkami szła od mieszkalnego patia w kierunku kaplicy. Było ich co najmniej czterech. Psy szczekały. Słyszałem też krzyki. Jeszcze nie dotarli do „pustelni”, co dawało mi trochę przewagi. Musiałem jakoś przemknąć przez drogę i starać się dotrzeć jak najdalej w głąb pola, zanim natrafią na mój ślad.

Zaczekałem, aż grupa z latarkami zniknęła między drzewami, i rzuciłem się biegiem, mimo iż moje żebra dawały o sobie znać takim bólem, jakby ktoś wbijał mi w boki tysiące igieł i odłamków szkła. Spojrzałem w kierunku kliniki, mignęły mi rozświetlone okna, ale na szczęście nikogo nie było w zasięgu wzroku. Pomyślałem, że wszyscy właśnie wchodzą do kaplicy i z pewnym zdziwieniem witają widok François poddanego tracheotomii oraz van Erna rozpląszczonego jak naleśnik.

Poczułem, że rośliny rzepaku szorują mnie po udach i dłoniach. Wznoszący się przede mną szczyt Mont Rouge wydawał się znajdować dużo bliżej, niż był w istocie. Ponad ciemnym lasem porastającym podnóże góry, gdzieś w połowie jej wysokości, od czasu do czasu przelotnie migotało jakieś światelko. To samochody, Bert, mówiłem sobie. Biegnij. Biegnij w ich kierunku.

I to właśnie robiłem. Z mozołem posuwałem się do przodu przez kilka minut, słysząc jedynie własny przyspieszony oddech i szelest rzepaku trącanego nogami. Letnia noc była w pełni swojej chwały. Diamentowo migocząca Droga Mleczna oświetlała mi drogę. Rośliny, które z początku wydawały mi się dość miękkie, okazały się szorstkie i czepliwe. Oblepiał mnie pyłek kwiatowy, sztywne łodygi rzepaku plątały mi się między nogami i sprawiały, że zacząłem się potykać. W którejś chwili wpadłem nogą w jakąś dziurę, przewróciłem się i pistolet wyleciał mi z ręki.

Ogarnęła mnie desperacja. Nie mogłem sobie pozwolić na utratę broni. Wiedziałem, że tej nocy – prędzej czy później – będę musiał jej użyć. W obronie własnej i żeby ocalić Miriam i Britney. Macałem rozpaczliwie wokół siebie w ciemności, aż udało mi się znaleźć pistolet. W tej samej chwili usłyszałem szczekanie psów. Nie podnosząc się z ziemi, wystawiłem głowę ponad rośliny jak zalękniony peryskop i ujrzałem na drodze dojazdowej kilka snopów światła skierowanych w moją stronę. Były tam też psy. Ich ujadanie mąciło nocną ciszę. Ich nozdrza węszyły, odnajdywały ślady uciekiniera. Moje ślady. Zaraz usłyszę ich galop, odgłos przedzierania się masywnych ciał przez roślinność. Zaraz mnie dopadną.

Biegnij, Bert!

Niechętnie myślałem o zabiciu psa, ale wiedziałem, że właśnie to będę musiał zrobić, jeśli któryś się na mnie rzuci. Tak więc poderwałem się i wznowiłem bieg, potrącając kwitnący rzepak i dławiąc się unoszącym się pyłkiem. Moje płuca coraz słabiej pompowały powietrze, a szczekanie psów słyszałem coraz bliżej. Wydawało mi się, że wrzeszczą moje imię: „Bert! Bert! Bert!”. Chciałem dotrzeć choćby na skraj lasu. Tam mógłbym schować się za pnem drzewa i przygotować na atak.

Naraz ponownie upadłem, niecałe dziesięć metrów od najbliższego drzewa.

W tym momencie jeden z psów niemal mnie doganiał, a to, co nastąpiło potem, trwało ułamek sekundy. Jak atakują psy? Czy od razu wbijają w ciebie zęby? Ścisnąłem pistolet w dłoń. Muszę to zrobić, bo albo on, albo ja...

Kątem oka ujrzałem wielki, czarny cień. Gdy upadałem, pies musiał właśnie odbić się do skoku na moje plecy, bo nagle stracił punkt oparcia, wykonał przewrót i wyrznął o ziemię muskularnym grzbietem. Lecz wtedy ja już klęczałem, dysząc ciężko i trzęsąc się jak galareta, ale z lufą broni skierowaną we właściwą stronę. Nie miałem innego wyjścia. Jediną misją tego zwierzaka na tym świecie było rozedrzeć mnie na strzępy, więc nie traciłem czasu na marne. Wystrzeliłem w majaczącą przede mną potworną, zębatą paszczę. Huknęło i z pistoletu uniósł się obłoczek dymu prosto w moją twarz.

Trafiłem go śmiertelnie; pies opadł na tylne łapy jak worek. *Requiescat in pace* ¹¹. Ten drugi nie mógł być zbyt daleko, więc obróciłem się, ściskając oburącz pistolet. Światła latarek zbliżały się niebezpiecznie. Ścigający byli już w odległości jakichś stu metrów i któryś z nich otworzył ogień. Usłyszałem świst pocisku przelatującego parę metrów ode mnie, po prawej. A potem głosy, które nakazywały mi się zatrzymać. Drugi mastif biegł już po mnie, sadząc susami po polu jak monstrualny królik. Wcielone czarne zło. Tym razem nie czekałem, aż mnie dogoni. Strach i napięcie nerwowe sprawiły, że zacząłem strzelać w jego kierunku. Oddałem trzy strzały w ciemność; po czwartym naciśnięciu spustu iglica pistoletu metalicznie szczęknęła. Poczulem zapach prochu. Gdy umilkło echo wystrzałów, usłyszałem skomlenie i wiedziałem już, że trafiłem.

Światła latarek nagle zniknęły; przypuszczalnie ścigający rzucili się na ziemię. Powietrze tuż koło mnie przeszył pocisk. Byłem już niemal pod osłoną leśnych ciemności, bra

Gdy opuściłem rzepakowe pole, moje nogi natychmiast odczuły ulgę, pozbawione balastu. Znałem ten teren. Korzenie sosen, suche podłoże. Musiałem uważać, żeby się nie potknąć. Jeszcze trochę i dotrę do zbocza przy drodze. Wiedziałem, że tamci będą szybsi ode mnie, ale nawet się nie obejrzałem. Jakąś minutę później znalazłem się u podnóża zbocza, między pniami sosen. Wiedziałem, że teraz będę musiał podwoić wysiłek, bo zbocze było dość strome. Pościg był gdzieś w lesie, tuż za mną. Nie strzelali. Słyszałem, jak przebijają się przez las, i ujrzałem na

pniach drzew, jakieś pięć metrów ode mnie, odbłask światła ich latarek. Doszedłem do wniosku, że mnie nie widzą, więc wspinałem się rozpaczliwie po żwirowej dróżce. Płuca piekły mnie przy każdym oddechu, a nogi sflaczały i wydawało się, że nie zrobią już nawet kroku. Jednak nie odpuszczałem, mieląc w ustach przekleństwa i wyciskając resztki energii z umęczonego ciała, aż poczułem, że rękoma chwytam ostatnią kępkę trawy i opieram się o ciepłą, szorstką – i dla mnie w tym momencie najwspanialszą na świecie – asfaltową nawierzchnię drogi.

Znajdowałem się na zakręcie. Na tym samym zakręcie, na którym Chucks potrącił Daniela Somerese. Czułem się tak, jakby właśnie miał się zjawić w swoim roverze, którym pędził nieco za szybko. Właśnie spadł mu popiół z papierosa między nogi. Właśnie, na ułamek chwili, przestał spoglądać przed siebie.

Podźwignąłem się. Wstałem i wyszedłem na drogę.

Przybywaj! – starałem się przyciągnąć kogoś myślą. Do jasnej cholery! Niech się zaraz ktoś pojawi!

Światło latarek migotało już między drzewami rosnącymi wzdłuż pobocza. Wspinali się po pochyłości. Zaraz mnie dopadną. Jaki to dzień? Poniedziałek? Czyżby już nikt nie tłukł się tędy w poniedziałkowe noce, od kiedy z Chucksem przestaliśmy wypuszczać się na nocne popijawy?

No już, skurwysynie pierdolony, kimkolwiek jesteś, przybywaj!

I wtedy go ujrzałem. Brał zakręt od strony Sainte Claire. Jakaś osobówka. Dyszałem resztką sił i niemal nie byłem już zdolny do ruchu. Stałem na środku szosy, przodem do niego. Musiałem sprawić, żeby się zatrzymał, jeśli nie chcę, by mnie złapali. Nie mogłem ryzykować, że mnie wyminie i pojedzie dalej. Krzyk nic by nie dał, bo usłyszeliby go najpierw tamci. Wyciągnąłem więc przed siebie prawą rękę, w której trzymałem pistolet.

Samochód nadjeżdżał szybko. Tak szybko i pewnie, jak przypuszczalnie jechał Chucks tamtej nocy. Stałem bez ruchu, czekając, żeby oświetliły mnie jego reflektory, i w ostatniej chwili pomyślałem, że to się nie uda. Że gdy kierowca mnie zobaczy, będzie już za późno. Że jadąc z tą szybkością i biorąc zakręt, nie będzie miał czasu, żeby zahamować, i historia się powtórzy. No dobrze. Byłem gotowy na śmierć. Pendrive przypuszczalnie jest już w rękach policji, w najgorszym razie znajdzie się w nich rano. Van Ernowie i cała szajka wpadną. Ale co do tego czasu może się stać z moją rodziną?

„Wrzucimy Britney do wody, poczekamy, żeby Miriam skoczyła jej na ratunek, i zostawimy je na pełnym morzu”.

Ci z latarkami byli już niemal na poboczu, gdy znalazłem się w snopie światła reflektorów. Kierowca nie miał czasu nacisnąć klaksonu. Usłyszałem odgłos hamowania, zgrzyt, pisk opon na asfalcie. Jedyne usłyszałem, bo zamknąłem oczy, cały czas trzymając przed sobą pistolet. Poczułem smród palonej gumy. Fala powietrza wywołana pędem samochodu uderzyła mnie w twarz, jak palący oddech smoka.

Właśnie waliło się na mnie kilka ton żelastwa.

To już koniec.

Zacisnąłem zęby.

◆kowało kilku metrów. Nie było na co czekać. Odwróciłem się i pobiegłem.

Rozdział dziewiąty

Tuż przy moich kolanach, ni mniej, ni więcej.

Jego zderzak zatrzymał się o milimetr od moich kolan.

Otworzyłem oczy. Otworzyłem usta, ale nie byłem w stanie wypowiedzieć nawet słowa. Drżałem. Celowałem w niego z pistoletu.

– Otwieraj! – wychrypiałem.

To był stary citroën DS, zwany „żabą”, tak mi się wydaje. Silnik zgasł podczas gwałtownego hamowania, a jedyny siedzący w środku człowiek trzymał ręce w górze.

Przeszedłem na bok samochodu. Kierowca miał okulary i wyglądał na urzędnika. Powiedział coś po francusku, czego nie usłyszałem. Szyba była podniesiona.

– Wyłaż z samochodu! – wrzasnąłem jak w filmie akcji, nadal trzymając go na muszce.

Spojrzałem przed siebie. Ci z latarkami stali już na poboczu, między drzewami. Mogli mnie zastrzelić w każdej chwili. Kierowca był śmiertelnie przerażony, nie ruszał się z miejsca, więc pociągnąłem za drzwiczki i je otworzyłem. Facet był posrany ze strachu, z pewnością żegnał się już z życiem. Panika przykuła go do fotela, machał tylko rękami i bełkotał:

– *S’il vous plaît, s’il vous plaît* ¹².

– Wyłaż, bo cię zabiję! – wrzeszczałem po angielsku. Nie mogłem znaleźć francuskich słów.

Wtedy wyszli na szosę. Cienie. Leśne potwory ze swoimi latarkami.

– Poddaj się, Amandale! – krzyknął któryś po angielsku. – Dostyc już tego!

Próbowałem wyciągnąć faceta za ubranie, jedną ręką. Był przypięty pasem i nie ruszał się z miejsca. Drugą ręką celowałem w kierunku cieni.

– Nie ruszać się!

Facet w samochodzie okazał się całkowicie bezużyteczny. Gorzej, zablokował mi możliwość ucieczki. Złapał się rękoma za głowę i pochylił nad kierownicą. Gdybym znał jakieś dobre francuskie przekleństwo, z pewnością zrobiłbym z niego użytek. W filmach bohaterowi zawsze udaje się błyskawicznie zdobyć samochód, natomiast ten typ nie ruszał się z miejsca, jakby miał tyłek przyklejony do siedzenia. W obliczu zguby okrążyłem przód samochodu, wskoczyłem na fotel pasażera i – bez zbędnej konwersacji – przekręciłem kluczyk w stacyjce. Bieg był wrzucony, więc silnik znów zgasł. Pociągnąłem za drążek, zwoleń bieg i ponownie przekręciłem kluczyk. Silnik zaskoczył.

– Prowadź! – wrzasnąłem. Położyłem dłoń na jego kolanie i popchnąłem je do dołu.

Facet zareagował. Wrzucił pierwszy bieg i dodał gazu. Silnik zaryczał i samochód ruszył. Spojrzałem w tył, widziałem światła latarek, ale nikt nie strzelał. Na razie byłem bezpieczny. Znajdowałem się w samochodzie świadka. Nie chcieli ryzykować.

Silnik dławił się na jedynce, lecz facet nie wpadł na to, żeby zmienić bieg. Przypomniałem sobie, jak jest po francusku „drugi”, a kierowca posłusznie wykonał mój rozkaz, jakby to były jego pierwsze praktyczne zajęcia w szkole jazdy. Potem już z własnej inicjatywy wrzucił trójkę

i pokonał zakręt z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Przestraszyłem się, że nas zabije, ale gość prowadził jak jakiś pieprzony rajdowiec. Stary gruchot pędził po górskiej drodze jak latający, ognisty smok.

– *Bien, bien! Tres bien!* ¹³. Jak się nazywasz?

– Gérard.

– Okej, Gérard. Jedziemy do Saint-Rémy, zgoda? Wszystko dobrze, nic ci nie zrobię, ale zawieź mnie do Saint-Rémy.

Facet kiwnął głową. Pot łał się z niego ciurkiem, ale spełniał jak mógł swoje zadanie. Prowadził szybko i pewnie, podczas gdy ja nerwowo spoglądałem w tył, spodziewając się lada chwila zobaczyć pościg. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Kilka razy próbowałem wyjaśnić Gérardowi, że porwali mnie źli ludzie, a teraz chcą zabić moją rodzinę, ale on tylko kiwał głową i prowadził samochód. Przypuszczam, że też myślał o swojej rodzinie. A mój francuski w tych warunkach – w paroksyzmie strachu – musiał być nie najlepszy.

Dojechaliśmy do Saint-Rémy, które spało sobie spokojnie pod letnim, gwiazdzistym niebem. Wskazałem Gérardowi drogę, minęliśmy centrum i skręciliśmy w Rue des Petits Puits. Jakies sto metrów od domu kazałem mu się zatrzymać.

– Nazywam się Bert Amandale – powiedziałem, zanim wysiadłem. – Proszę, niech pan zadzwoni na policję w Sainte Claire, do porucznika Riffle. Proszę mu powiedzieć, żeby natychmiast przyjechali do mojego domu. Proszę, niech pan to zrobi.

Gérard tylko kiwnął głową (miał to dobrze wyćwiczone), ale gdy byłem już na ulicy, usłyszałem, że wrzuca tylny bieg i zwiewa, jakby go diabeł gonił. Roztrzaskał nawet w pośpiechu kilka donic ustawionych przed domem sąsiadów. Nie mogłem mu mieć za złe ucieczki, ale liczyłem na to, że jednak zadzwoni na policję, gdy tylko poczuje się bezpieczniej. Że powie im, że jakiś wariat napadł go na szosie, że go porwał i że jest teraz w Saint-Rémy uzbrojony w wielki pistolet. Wspaniale. To z pewnością skłoni ich do szybkiego działania.

Czy ktoś się mnie spodziewał? Nie wiedziałem, więc postanowiłem przedsięwziąć środki ostrożności. Obszedłem wokół płot i dotarłem do tego miejsca, gdzie Lola wyszarpała dziurę w siatce. Wrzuciłem do ogrodu pistolet, a potem prześlizgnąłem się jakoś przez otwór. Parę zadrapań później czołgałem się między świerkami i wychynałem spomiędzy nich tuż przy swojej szopie.

Światło w kuchni było zapalone. Któż mógł nie spać o tej godzinie? Usiłowałem coś wypatrzeć przez szyby, ale widziałem tylko kuchenne meble. Tak czy owak, musiałem zadbać o swoje uzbrojenie. Pistolet wyglądał groźnie, ale nie był naładowany i nie miałem naboji. Wszedłem więc do szopy w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby dźgać, kroić lub dziurawić. Znalazłem piłę, ale nie wydawała się zbyt poręczna, więc zdecydowałem się na wielki śrubokręt krzyżakowy. Jego końcówka, jeśli ją zagłębić w odpowiednie miejsce, może spowodować sporo szkód. Wsadziłem narzędzie do tylnej kieszeni spodni.

Przez ogród szedłem z pistoletem w dłoni. Dotarłem do obrośniętej winoroślą pergoli i zajrzałem przez okno. Nie widziałem nikogo, natomiast doszedł do mnie jakby lekki zapach ciasta. Czyżby to wszystko, co tu się działo? Seans wypieków, niezwykle ze względu na nocną porę, lecz w istocie będący rutynową domową czynnością? To ja łamię sobie kości, zabijam dwóch ludzi, porywam francuskiego obywatela i wracam do do

Otworzyłem drzwi prowadzące z ogrodu wprost do kuchni. Zaskrzypiały zawiasy. Wszedłem. W zlewku leżały brudne filiżanki, talerzyki do ciasta, łyżeczki. Pachniało kawą i cukrem

waniliowym.

Salon pogrążony był w półmroku, ale dostrzegłem, że stół był przykryty obrusem i zastawiony jakby dla gości. Któż mógł tu ucztować? Nieuprzątnięty bałagan, niepozmywane naczynia, jakby domownicy musieli w pośpiechu opuścić dom. Ogarnął mnie nagły lęk. Boże drogi! Co tu się wydarzyło?

Wbiegłem pędem po schodach, nie myśląc, nie zastanawiając się nad niczym, prosto do pokoju Britney. Krzycząc jej imię – Brit!, Brit! – rzuciłem się do drzwi z pistoletem w wyciągniętej ręce, oszalały z przerażenia... Pokój był pogrążony w ciemnościach, tylko przez rozsunięte zasłony wpadało trochę światła księżyca. Ktoś spoczywał na łóżku. Nieruchomy, milczący. Padłem na kolana tuż obok. To była Britney. Leżała jak martwa.

Położyłem pistolet na ziemi i zacząłem potrząsać ją za ramiona; usiłowałem ją obudzić.

– Britney! Obudź się! Obudź!

Ale moje dziecko leżało bez zmysłów, bez ruchu. Trzęsąc się cały i dysząc, położyłem jej palce na szyi, żeby poszukać pulsu, ale nie mogłem go znaleźć.

– Britney, błagam cię, obudź się, córeczko! – jęczałem.

W końcu przyłożyłem ucho do jej ust i zamarłem, jak to robiłem, gdy była malutka, a ja budziłem się w nocy przerażony, że nie słyszę jej oddechu. Słyszałem tylko bicie własnego serca w piersi.

– Oddychaj, Britney, błagam, oddychaj! Tak dobrze ci poszło, dziecinko, byłaś taka dzielna...

I wtedy poczułem delikatny powiew jej oddechu. Żyje! Ale co się z nią dzieje? Sprawiała wrażenie pogrążonej w śpiączce.

Na korytarzu zaskrzypiały deski podłogi. Odwróciłem się i ujrzałem Miriam stojącą w progu, a właściwie ciemny zarys jej sylwetki i blond włosy.

– Miriam! – krzyknąłem, wstając z kolan. – Musimy ją zawieźć do szpitala! Coś jej zrobili!

Rzuciłem się do niej. Wyciągnęła ku mnie ręce. Z pewnością obudziły ją moje krzyki. Nie było teraz czasu na wyjaśnienia. Opowiem jej wszystko po drodze. Dlaczego musiałem tej nocy uciekać z kliniki. O tym wszystkim, co mnie w niej spotkało. Że to nie Ojciec Dave na nas dybie, lecz zło o wiele bardziej wyrafinowane i inteligentne.

Zdążyłem pomyśleć, iż to dziwne, że Miriam jest ubrana jak do wyjścia, w spódnicę i bluzkę. Stałem już obok niej i w chwili gdy chciałem ją otoczyć ramionami, w ułamku sekundy zdałem sobie sprawę, że ta kobieta jest kilka centymetrów wyższa ode mnie. Miriam nigdy, nawet na wysokich obcasach, nie dorównywała mi wzrostem.

Nozdrza podrażnił mi obcy zapach perfum. „Blond włosy to nie wszystko, Bert, blondynki różnią się od siebie”, powtarzała często Miriam.

Spoglądałem z bliska wprost w uśmiechniętą twarz Edilii van Ern. Jej ręka spoczywała na moim ramieniu. Naraz poczułem, że coś ukłuło mnie w szyję.

mu, jak się okazuje – w sam raz na czas, żeby skosztować kawałek ciasta?

Rozdział dziesiąty

Raptownie odskoczyłem i złapałem się instynktownie za szyję. Potknąłem się i klapnąłem na tyłek.

– Co ty mi zrobiłaś?! – krzyknąłem.

Nie ruszając się z miejsca, Edilia van Ern spokojnie schowała do futerału pen, taki jak do insuliny, i włożyła go do torebki. Potem weszła głębiej do pokoju i światło księżyca padło na jej diaboliczną twarz.

– Witaj, Bert – powiedziała słodkim głosem.

Gdzie jest pistolet? Zacząłem macać rękoma po podłodze, nie spuszczać wzroku z Edilii, lecz nie znalazłem broni. Zaskoczenie i przerażenie zaparły mi dech. Ale coś jeszcze działo się z moim ciałem: poczułem, że w żyłach zaczyna mi szybko krążyć coś jakby prąd. Odczuwałem to niemal tak, jak gdyby do środka ciała przeniknął mi wąż.

Kobieta postąpiła dwa kroki do przodu, a ja uciekałem przed nią, opierając się na łokciach i cofając na siedzeniu. Wzięła zamach nogą i kopnęła pistolet, który ślizgając się jak po lodzie, odleciał w kąt pokoju.

– Co im zrobiłaś? – Starąłem się mówić głośno i wyraźnie.

Czułem, że jad, który krążył mi we krwi, już zaczynał obejmować nade mną władzę. Znałem to uczucie; różnica była taka, że tamto, co domieszali mi do martini i co doprowadziło mnie do wypadku samochodowego, zaczęło działać dopiero po dłuższym czasie. Opadłem na plecy.

– Nie wysilaj się na próżno, Bert. Czyżbyś myślał, że uda ci się przywołać sąsiadów?

– Co...?

– Wypiliśmy kawę i zjadłyśmy ciasto – odpowiedziała. Jej twarz przypominała martwą, uśmiechniętą twarz lalki. – Spędziłyśmy miły wieczór. Chciałam być blisko Miriam w tym tak trudnym dla niej dniu. Elron przywiózł Britney trochę później. Wracali z kliniki, gdzie Britney cię odwiedziła, więc była nieco zdenerwowana, ale dała się przekonać, żeby skosztować kawałek ciasta. To dobrze wychowana panienka, muszę przyznać.

Na korytarzu pojawił się V.J. Był ubrany na czarno i w ręku trzymał pistolet. Miał na dłoniach rękawiczki.

– Dobry wieczór, Bert – przywitał się uprzejmie.

Edilia obeszła mnie dookoła i usiadła na krawędzi łóżka obok Britney. Moje ciało coraz mniej mnie słuchało. Bardzo powoli obróciłem głowę na bok i tuż obok ujrzałem długie kobiece nogi. Po chwili poczułem, że coś ciągnie moją głowę; było to jakieś dziwne uczucie, czyżby ból? Edilia ciągnęła mnie za włosy, podnosząc moją głowę do góry. Zobaczyłem zapaloną lampkę. Fragment twarzy.

– François nie żyje. Wiedziałeś, że dorastaliśmy razem? A Eric ma zmiążdżony nos i najprawdopodobniej straci oko.

– Dobbbrzee imm takkk... – wybełkotałem, zdając sobie sprawę, że język też przestaje mnie

słuchać.

– A teraz musimy się pospieszyć, bo niedługo oniemiejesz. Strzelimy Britney w głowę. Potem zrobimy to samo z Miriam. A na koniec ty popełnisz samobójstwo. Wolelibyśmy tego wszystkiego nie robić, uwierz nam. Niechęcią przejmuję mnie konieczność utraty sąsiadki i przyjaciółki, a jeszcze gorsze będzie rozwalenie głowy narzeczonej syna. Tak więc ostatni raz proszę, żebyś powiedział, do kogo wysłałeś ten list. Jeśli powiesz, zostawimy je przy życiu. Po prostu popełnisz samobójstwo w afekcie, to wszystko. Słowo sąsiadki.

– Zajmiemy się nimi, Bert – dodał V.J. – Obiecuję ci to.

Spojrzałem na niego. Moja twarz była jak zmartwiła, nie odbijała tych wszystkich uczuć, które szalały w moim wnętrzu: przerażenia, lęku, desperacji. Wiedziałem, że teraz zajmą się powiązaniem w całość wszystkich luźnych wątków: uciekłem w nocy z kliniki, zabiłem strażnika i przez pole rzepaku wydostałem się na szosę. Tam, w stanie narastającego szaleństwa, porwałem samochód z kierowcą. Wspaniała historia. Doskonale skonstruowana opowieść.

– Mów, Bert. Ocal swoje kobiety.

– Mark Bernabe – udało mi się wymówić te słowa z wielkim wysiłkiem. – Ukraine Street trzysta osiemnaście. Londdddynn.

Edilia puściła moją głowę, która odbiła się od ziemi jak piłka. Widziałem teraz nogi V.J.

– Mam nadzieję, że nie kłamiesz, Bert. Bo jeśli tak, to właśnie wydałeś na nie wyrok.

– To prawddda. – Mój język stopniowo zamieniał się w kołek.

Edilia wstała, podeszła do V.J. i coś do niego powiedziała, ale ja nie byłem już w stanie ruszyć głową, żeby na nich spojrzeć. Po chwili wyszła z pokoju i usłyszałem, że rozmawia z kimś przez telefon. Mówiła coś po francusku, a potem podyktowała ten londyński adres.

Wróciła do pokoju i zobaczyłem jej nogi tuż przy sobie. Ukucnęła i pochyliła ku mnie głowę, tak że jej twarz znalazła się na wprost mojej. Objęła moją głowę rękami, podniosła ją i pocałowała mnie w usta.

– Mogliśmy zostać przyjaciółmi, Bert. Ale ty nie pozwoliłeś, żeby tak się stało. Ty i twoja przekłeta wyobraźnia pisarza.

Chciałem odpowiedzieć: „Idź do diabła, przekłeta suko”, ale jedyne, co udało mi się osiągnąć, to poruszyć trochę ustami, jak karp wyjęty z wody.

– I jeszcze coś – dodała. – Britney coś wie, a ponadto zdradziła Elrona. Mam nadzieję, że zrozumiesz, że nie możemy jej zostawić przy życiu.

Potem podniosła się i zwróciła się do V.J.

– Oczekaj dziesięć minut i zabij oboje. Zostaw list. Grubitzowie już przyjechali do kliniki. Wszyscy opuszczamy dziś w nocy to miejsce.

– Ale ten człowiek, który go tu przywiózł... Zadzwoń na policję.

– Dziesięć minut, Vincent – powtórzyła Edilia. – Dan będzie na ciebie czekał w samochodzie.

Chciałem krzyczeć, ale byłem całkowicie niezdolny do wydania z siebie głosu. Potworna furia targała całym moim ciałem, ale jedynie w myślach, bo żaden mięsień nie reagował. Zachowałem trochę władzy jedynie nad swoją lewą ręką. Usłyszałem, że Edilia szybko wychodzi z pokoju. Z pola widzenia zniknęły mi też nogi V.J. Coś do siebie mówili na korytarzu.

Mogłem poruszyć dłoń. Powoli, potwornie powoli, ale mogłem ją przesuwac. Robiłem to, chciałem dosięgnąć swój śrubokręt. Coś z nim zrobić. Ale co? Miałem tyle siły co mrówka. Z rozpacz zacząłem płakać.

Wydawało mi się, że czas się zatrzymał. Uszy rejestrowały jedynie grobową ciszę panującą

wokół. Nagle rozległy się kroki na korytarzu. Ujrzałem, że V.J. wchodzi do pokoju. Najpierw odszukał pistolet, który kopnęła Edilia, i zatknął

– Powinieneś być mnie wtedy zabić, Bert – powiedział z uśmiechem. – Byłem przekonany, że tak właśnie zrobisz... Ale nie jesteś mordercą. Chcesz papierosa?

Wyciągnął papierosa z kieszeni i włożył mi go między wargi.

– Tak naprawdę to sam mam ochotę na papierosa. No, a teraz najważniejsze będzie zrobić tak, żeby wszystko się zgadzało. Wszystko musi się zgadzać i będzie się zgadzało. Chcesz wysłuchać swojej ostatniej woli?

Położył pistolet tuż obok mojej nogi i wyciągnął jakiś papier z kieszeni koszuli. Rozwinął go przed moimi oczami. Zobaczyłem, że coś jest tam napisane, a pod tekstem figuruje mój podpis.

Miriam, tak jak cię ostrzegałem, nie jesteś w stanie rozdzielić mnie z Brit. Mam nadzieję, że to, co się stało, pomoże ci pojąć, czym jest samotność, na którą mnie skazałaś. Bert.

– Zwiążyły, prawda? To ja napisałem ten list. Uważam, że jest bardzo w twoim stylu – stwierdził z zadowoleniem V.J.

To naprawdę cholernie gówniany list samobójczy, pomyślałem.

– A z podpisu jestem naprawdę dumny. Super mi wyszedł, choć muszę przyznać, że całą noc musiałem trenować. Wzorowałem się na dedykacji, którą mi wpisałeś do książki. A teraz weź ten list do ręki, Bert. Jest cały twój.

Moja lewa dłoń leżała podkurczona tuż koło mojego biodra, bardzo blisko rękkojści śrubokręta. V.J. ujął ją za przegub i umieścił list między moimi palcami, przyciskając je do papieru. To definitywnie zniweczyło wszelkie moje nadzieje na posłużenie się śrubokrętem. Zresztą i tak nie byłbym w stanie niczego nim dokonać.

V.J. zapalił sobie papierosa, potem zapalił też mojego i umieścił mi go w ustach. Nie miałem najmniejszej ochoty palić, ale on tak. Wypuścił mi dym prosto w twarz i patrząc na mnie, powiedział:

– Nikogo nie zabiłem przez ostatnie dziesięć lat, Bert. Okropnie mnie to wkurza, że padło akurat na ciebie. Tak się cieszyłem, gdy się pojawiliście w Saint-Rémy! Nawet mieliśmy zamiar dopuścić was stopniowo do interesu. Zwłaszcza Miriam dobrze rokowała. Chociaż kto wie, nadal istnieje możliwość...

Spojrzał na zegarek. Zaciągnął się papierosem.

– Minuta. Muszę się spieszyć, przyjacielu. Najpierw zabiję ciebie, Bert. Potem małą. To będzie szybka śmierć. Ona jest pogrążona we śnie, z pewnością śni się jej coś miłego. Zresztą w gruncie rzeczy życie jest snem, nieprawdaż?

Włożył swój pistolet do mojej prawej dłoni, zacisnął na nim moje palce i umieścił go tak, że poczułem dotyk lufy na skroni. W lewej dłoni trzymałem list samobójczy.

– Dobrze, jeszcze chwila, kolego. Zamknij oczy. Nie chcesz? No cóż...

Wbijał we mnie wzrok, w ustach trzymał papierosa. Moje oczy wypełniały łzy. Opłakiwałem Brit.

– Nie płacz, człowieku. Nie ma po co. Miałeś dobre życie. Wcielisz się w jakieś fajne zwierzę, w delfina albo w słonia. No dobrze, zaczniemy odliczanie. Dziesięć, dziewięć, osiem... A zresztą co tam. Żegnaj, Bert.

Rozległ się wystrzał.

♦ł go sobie za pas. Potem podszedł do mnie i ukląkł obok, żebym mógł go widzieć.

Rozdział jedenasty

1

Nie miałem zamkniętych oczu, ale nie widziałem niczego. Wiedziałem, że są zalane łzami, i pomyślałem, że nadal żyję, ale tak nie było. Byłem martwy.

Huk wystrzału ogłuszył mnie i najprawdopodobniej zrobił mi ogromną dziurę w głowie. Przypuszczalnie moja czaszka się rozpadła, a mózg rozprysnął się na pościel Britney. Lecz w jakiś niewytłumaczalny sposób nadal czułem, że żyję.

Z pewnością zamieniłem się w ducha, pomyślałem. Zupełnie jak Chucks. Jestem teraz jednym z tych prowansalskich widm. Jak Daniel. Jak Linda.

Jestem duchem.

Wszyscy oni byli razem ze mną w tym pokoju. I naraz pojawiło się jeszcze więcej ludzi. Wchodzili przez drzwi. Jedna, dwie osoby. Ktoś podszedł do mnie, ale nie mogłem go zobaczyć. To ty, Chucks, stary przyjacielu? Przyszedłeś po mnie i po Britney? Ona też wkrótce do nas dołączy. Boże mój, jak się cieszę, że istnieje życie po śmierci. W innym przypadku wszystko byłoby takie straszne, takie smutne...

Ktoś zaczął poruszać moją głowę, potrząsać ramionami, krzyczeć, choć moje ogłuszone uszy nie były w stanie usłyszeć ani słowa.

– Bert? Cholera, Bert? Co z tobą?

Przed oczami pojawiła mi się jakaś twarz. Czyżby to była twarz Boga? Czaszka wygolona na łyso. Brzydka, mała twarz z nosem spłaszczonym jak u boksera, przemawiająca po angielsku. W prawym uchu kolczyk w kształcie kółeczka. Nie, typek tak paskudny, z mordą jak ze złego snu, nie mógł być Bogiem. Rozpoznałem Jacka Ontama. Czyżby on też był martwy?

Cały czas targał mnie za ramiona („Bert! Bert! Słyszysz mnie, do diabła?”) i przekręcił mi głowę na drugi bok. Ujrzałem jakiegoś człowieka rozciągniętego na dywanie. Ktoś mierzył mu puls. Leżącym był V.J.; miał szeroko otwarte oczy, ale nie żył. Kaput. A ten drugi gość był policjantem. Porucznik Riffle. A to oznaczało, że ja nie byłem martwy. I Britney też nie.

Jack Ontam, z oddechem zionącym whiskey, ze swoim akcentem z dołów społecznych, nie przestawał do mnie przemawiać. Niczego nie rozumiałem, ale gdybym mógł się ruszyć, ucałowałbym go z radości w usta.

2

Miriam i Britney obudziły się dopiero następnego ranka, ale nie było mnie przy nich, żeby im życzyć dobrego dnia. Cała nasza rodzina została przyjęta na oddział intensywnej terapii szpitala w Salon-de-Provence. Wszędzie było pełno policji i wszyscy byli rozstrojeni nerwowo

i zdezorientowani. Nawet Jack był tak przerażony, że domagał się od porucznika Riffle'a broni „do ochrony osobistej”, ale jej nie dostał.

Z początku w szpitalu sądzono, że jestem w stanie szoku, i usiłowano na różne sposoby doprowadzić mnie do przytomności. Dopiero po kilku godzinach, gdy były już wyniki badań, zrozumiano, że sprawa jest poważniejsza. Ale wtedy ja już zaczynałem dochodzić do siebie. Zaczynałem odczuwać ciepło, zimno, szorstkość pościeli i trochę mogłem już poruszać palcami. Jednak dopiero po dłuższym czasie byłem w stanie powiedzieć: „halo”, i wtedy do pokoju wpadła cała gromada policjantów, żądając, żebym opowiedział wszystko od samego początku.

Muszę przyznać, że już wtedy sporo wiedzieli. Jednak nie tyle, żeby nie wymagało to ode mnie szczegółowych wyjaśnień, bo – jak już powiedziałem – wszyscy byli zaskoczeni i zdumieni.

„Plan. Twój plan”. Niemal się roześmiałem, gdy usłyszałem to słowo z ust Ontama.

– Jaki dokładnie miałeś plan, ty kapuściana głowo? – wypytywał.

No bo w gruncie rzeczy wszystko jakoś zadziało. Zdarzenia nie przebiegły tak, jak miałem nadzieję, że przebiegną, ale to, co się stało, w jakiś dziwny sposób jednak obróciło się na dobre.

– Co zrobiłeś z pendrive'em? – odpowiedziałem mu pytaniem na pytanie.

– To, co mi, kurwa, kazałeś zrobić – odparł, wręczając mi pomietą kopertę, którą wyciągnął z kieszeni kurtki. – Dostarczyłem go jednemu ważnemu gostkowi ze Scotland Yardu. Facet całkowicie godny zaufania, a ponadto wielki fan Chucks'a. Potem przez cały dzień do niego wydzwaniałem, ale nie odbierał, więc postanowiłem zjawić się tu osobiście.

Wziąłem do ręki list, ten list, który napisałem w pośpiechu przed kilkoma dniami, w kiosku w Sainte Claire.

Jack,

wiesz, że jestem właścicielem wszystkich praw do muzyki Chucks'a. Jestem także osobą, która może podpisać z tobą umowę przedstawicielską. A teraz słuchaj mnie uważnie – jeśli chcesz nadal mieć udział w tym torcie, zrób co do joty to, o co cię proszę:

1) Zachowaj ten list w całkowitej tajemnicy. Od tego zależy moje życie i życie mojej rodziny.

2) Niezależnie od tego, co się wydarzy, i od tego, co usłyszysz, nie usiłuj się skontaktować ze mną, z Miriam czy z Britney. Odtąd musisz sobie radzić sam.

3) Pendrive, który jest w tej kopercie, zawiera dowody, które obciążają kilkoro mieszkańców miasteczka Saint-Rémy i udowadniają ich przynależność do międzynarodowej szajki przestępczej. Informacja ta jest częścią śledztwa, które prowadził tutaj Daniel Someres. Pendrive, z powodów, które wyjawię ci w późniejszym terminie, wpadł w ręce Chucks'a, choć on sam nigdy się nie dowiedział, co posiada. Najprawdopodobniej to ten pendrive był przyczyną tego, że Chucks został zamordowany.

4) Musisz się zwrócić do brytyjskiej policji (wiem, że masz dobre kontakty w Scotland Yardzie). Powiedz im o Danielu Someresie, o Chucksie i o mnie. Niech przeprowadzą śledztwo. A przede wszystkim niech zajrzą do tego pendrive'a. Jest zabezpieczony hasłem i jestem niemal pewien, że brzmi ono l'ermitage.

5) Jeszcze raz powtórzę: niezależnie od tego, co się stanie, wypełnij dokładnie moje instrukcje, bo w przeciwnym razie zrezygnuję z twoich usług

przedstawicielskich.

Przepraszam za tajemniczy ton i za groźby zawarte w tym liście. W chwili, w której to piszę, jesteś moją jedyn

– Kiedy go dostałeś? – spytałem.

– Wczoraj rano. Miałeś szczęście, bo w poniedziałki zwykle wysypiam się do późna. Ale jakoś źle spałem i otworzyłem pocztarzowi. Skąd miałeś mój adres?

– Był na umowie – odpowiedziałem. – Pomyślałem, że nie będziesz chciał stracić umowy i że jesteś chytrym gościem, który zrobi, co trzeba, żeby zarobić trochę forsy. Ponadto od Chucksa wiedziałem, że masz dobre kontakty z policją. Dodałem jedno do drugiego i widzę, że trafiłem w dziesiątkę.

– Jak by ci tu powiedzieć... – mruknął Jack. – Najpierw pomyślałem, że to idiotyczny żart albo że całkiem ci odwaliło. Ale na wszelki wypadek odrobiłem zadanie domowe. Zadzwoiłem do tego kumpla ze Scotland Yardu. Gostek jest wielbicielem Chucksa i nieraz w ciągu tych wszystkich lat wyciągał go z kłopotów. Powiedziałem, że mam dowód na to, że Chucks Basil został zamordowany i że jeszcze ktoś jest w niebezpieczeństwie. Dałem mu pendrive'a, pokazałem list, a on obiecał się tym zająć w szybkich podrygach. Ale wiesz, jak się sprawy mają z urzędami. Więc złapałem samolot i się tu zjawiłem.

Jack przejechał obok mojego domu po południu, ale nie odważył się zadzwonić do drzwi. Obawiał się, że naruszy mój warunek numer 2: „Nie usiłuj się skontaktować ze mną, z Miriam czy z Britney”, ale odniósł wrażenie, że coś jest bardzo nie w porządku.

– W środku były jakieś kobiety, widziałem przez okno, że rozmawiają z Miriam. A na zewnątrz stało kilka samochodów. Jacyś goście w nich udawali, że czytają gazety, ale na mój widok zrobili się nerwowi. Wtedy postanowiłem pojechać do Sainte Claire i pogadać z Riffle'em, który powiedział mi, że miałeś wypadek samochodowy i że jesteś w klinice na odwyku. Noż kurwa. To mnie całkiem zbiło z tropu. Postanowiłem pokazać mu list i powiedzieć o pendrivie. Riffle nie pozwolił mi odejść, stwierdził, że powinniśmy pojechać do kliniki rzucić okiem. Kiedy tam dojechaliśmy, nikogo nie było. Helikopter właśnie odleciał i wszystko wyglądało tak, jakby to miejsce zostało opuszczone w wielkim pośpiechu. Riffle chciał tam zostać i zbadać sprawę, ale powiedziałem, że musimy jechać do twojego domu, bo boję się o Miriam i Britney. W drodze Riffle odebrał telefon od faceta, który został porwany na R-81. Przybyliśmy w sam czas, żeby ocalić twoją cenną łepetynę.

– Jack, jesteś wielki. Bardzo, bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co, Bert. Stracić ciebie zaraz po Chucksie byłoby zbyt gównianym biznesem. A właśnie... Czy to oznacza, że podpiszemy tę umowę?

3

Tamtej nocy w Sainte Claire miał miejsce wielki pożar. Straż pożarna została zaalarmowana przez kierowców, którzy jadąc drogą R-81, zobaczyli wielkie płomienie wznoszące się w niebo z jakiegoś miejsca położonego za piniowym laskiem rosnącym przy szosie. Stara synagoga Rothschildów spaliła się do cna, zanim jakikolwiek wóz strażacki zdołał przebić się przez

rozległe pola żółtego rzepaku.

Policja nie znalazła w klinice żywej duszy. Ani pacjentów, ani personelu. Wszystkie pomieszczenia wyglądały na opuszczone w pośpiechu, a wśród bałaganu leżały stosy papierów poszatkowanych niszczarką. Także w domu rodziny van Ernów nie było nikogo. Nie było też samochodów, a śmigłowiec został odnaleziony następnego dnia na lądowisku straży przybrzeżnej w Marsylii. Znalazło się paru świadków, którzy twierdzili, że widzieli kilka jachtów oczekujących na ludzi, którzy przybyli nad ranem na nabrzeże.

Prasa nie podawała zbyt dokładnych informacji. Przeważnie dominował schemat o „usiłowaniu zabójstwa pisarza zamieszkującego w niewielkim miasteczku Saint-Rémy”, kończący się konstatacją, że „w wyniku gwałtownych wydarzeń został zabity miejscowy policjant”. Dziennik „La Provence” wysłał dziennikarzy, którzy usiłowali dowiedzieć się czegoś w komisariacie w Sainte Claire. Dziennikarze ci byli świadkami przybycia ekipy policyjnej z Paryża i kilku agentów sekcji zagranicznej Scotland Yardu. Jednak nie dowiedzieli się za dużo, bo śledztwo było prowadzone bardzo dyskretnie, a jego wyniki zostały utajnione. Natomiast po całej okolicy, na ulicach, placach, w knajpkach i bistrach, krążyły najbardziej nieprawdopodobne plotki. Niektórzy z sąsiadów zniknęli bez śladu. Zostawili domy, lodówki pełne jedzenia, rzeczy osobiste... Nie powiadomili o wyjeździe ogrodników ani sprzątaczek... I to wszystko działo się tej samej dziwnej nocy, podczas której miał miejsce pożar w Sainte Claire. Nocy, podczas której angielski pisarz zabił miejscowego policjanta. Czy to w istocie on go zabił? Niektórzy twierdzili, że zastrzelił go żandarm z Sainte Claire.

Inne, bardziej dociekliwe źródła prasowe próbowały połączyć różne wątki. Podkreślały dziwny exodus z kliniki i domu van Ernów. Nawiązywały do śmierci Chucksa Basila i usiłowania zabójstwa Berta Amandale'a i jego rodziny w kontekście jakichś mafijnych interesów, ale im również nie udało się trafić w sedno. Nie było woli politycznej, żeby upubliczniać całą sprawę.

Jack Ontam nie miał zaufania do nikogo, a ponieważ ja jeszcze nie podpisałem jego wymarzonej umowy, na wszelki wypadek załatwił nam superprofesjonalną ochronę. Pięciu dwumetrowych, napakowanych goryli pojawiło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i objęło ochroną nasze pokoje w szpitalu i nasz dom w Saint-Rémy. Dwie opancerzone limuzyny zawiozły nas do Willi pod Jabłoniami cztery dni potem. Spędziliśmy tam tylko tyle czasu, ile było trzeba, żeby spakować walizki, po czym odjechaliśmy w nieznanym kierunku.

4

Od tamtych wydarzeń minęło dziesięć miesięcy i nadszedł czas, żeby to wszystko opisać. Nasze życie zostało naznaczone ciężkimi przejściami, a spokój prysnął, jak rozpryskuje się zbita szyba. Już nigdy nie będziemy mogli swobodnie się poruszać. Pieniądze, których teraz mamy aż za dużo, służą nam do opłacania usług tych cieni, które żyją z nami, które towarzyszą nam na każdym kroku. Nasi nowi towarzysze życia.

Britney odwiedziła mnie dziś po południu. Mieszka teraz ze swoją matką w Pizie, choć myśli o tym, żeby przeprowadzić się gdzieś indziej. Może do Holandii, do Utrechtu. Miriam wkrótce zacznie pracę w muzeum właśnie w tym mieście. Ale tak naprawdę Britney nadal marzy o tym, żeby wyjechać do Stanów Zjednoczonych i zająć się muzyką. Jestem przekonany, że jej się to uda.

Towarzyszył jej Miroslav, nieodstępujący jej na krok słoweński „terminator”. Zjedliśmy

kolację w domu Chucksa w Kadyksie, z widokiem na morze, pod niebem usianym gwiazdami i rozświetlonym księżycem w pełni. Od pół roku mieszkam tutaj, pisząc i jakoś spędzając czas, i sądzę, że zostanę tu jeszcze dość długo.

Britney uważa, że van Ernowie nie będą nas szukać. Nie będą chcieli się mścić, twierdzi, bo to do nich nie pasuje i nie leży w ich interesie. Ponadto raporty, którymi od czasu do czasu raczy nas francuska policja, twierdzą, że szajka przestała istnieć. Że van Ernowie i reszta tego towarzystwa rozproszyli się i zaszyli gdzieś na dobre. Chociaż w to właśnie wszyscy uwierzyli, gdy doszło do rozbicia sekty poprzednim razem.

Po kolacji zasiedliśmy, by wysłuchać *Beach Ride*. Castellito z powodzeniem zakończył pracę i płyta została wydana przed czterema miesiącami, na święta Bożego Narodzenia. Odniosła znaczny sukces, zważywszy na to, że jej twórca nie żyje. Ciekawość publiczności została jednak pobudzona przekleństwem przedwczesnej śmierci artysty i nie brakuje głosów, że płyta stanie się wkrótce kultowa. Niektórzy wręcz uważają, że Chucks Basil nigdy nie skomponował czegoś tak dobrego jak *Beach Ride*. Jeśli chodzi o mnie, trzecia część Wschodu słońca w Testamento sprzedaje się nieźle, choć nie tak dobrze, jak byśmy sobie życzyli. Tak czy owak, odechciało mi się pisać o psychopatycznych mordercach. Już pora, żeby spróbować czegoś nowego. Amanda Northörpe, z którą zresztą podjąłem regularną korespondencję, obiecuje mi, że któregoś dnia wpadnie z wizytą. To świetna dziewczyna i była pod prawdziwym wrażeniem moich uwag o swoich książkach (a zwłaszcza tego, że napisałem, iż „uratowały mi życie”). No cóż, jestem z powrotem mężczyzną do wzięcia. Kto wie, może czeka nas miła rozmowa o literaturze, a może i coś więcej.

Zmierzcha się. Brit poszła na górę się położyć, a ja wyszedłem do ogrodu popatrzeć na gwiazdy. Moi dwaj zaufani ludzie stoją po drugiej stronie muru, palą papierosy i gawędzą. Zamykam oczy i czuję, jak nocna bryza targa mi włosy. Już od miesięcy nie sypiam dobrze i, szczerze mówiąc, jestem przekonany, że już nigdy w życiu nie uda mi się zasnąć spokojnym snem, ale przynajmniej odstawiłem wszelkie pigułki. Po prostu czytam, słucham muzyki, wychodzę na dwór napawać się piękną pogodą, a gdy mam szczęście, czasem udaje mi się przespać pięć godzin z rzędu.

Nagle budzę się przerażony. Panuje głucha cisza. Gdzie się podziali strażnicy? Wstaję i spoglądam z tarasu w stronę plaży. Wydaje mi się, że grupa ludzi nadchodzi skądś z daleka. Idą brzegiem morza. Mającące w oddali sylwetki, które zmierzają do mojego domu, do naszego domu, w jednym tylko, złowróżbnym celu.

Ale są tylko mirażem, przywidzeniem i kilka mrugnięć sprawia, że rozwiewają się i rozpływają w powietrzu. Miroslav i Andrew podchodzą i pytają:

- Wszystko w porządku, panie Amandale?
- Tak, tak, chłopcy. Wszystko jest jak najlepiej.

Wracam do domu. Britney śpi, a ja siadam na podłodze koło jej łóżka i nad słuchuję jej oddechu. To jedyne, co jest teraz dla mnie ważne. W którymś momencie kończy się noc, słońce wschodzi ponad horyzontem i, tak czy owak, życie toczy się dalej.

Po złej drodze. Ale toczy się dalej.

Amsterdam–Bilbao
2014–2015

q nadzieją.

BERT AMANDALE

Podziękowania

Na pomysł napisania książki *Zła droga* wpadłem – czyż mogło być inaczej? – pewnej nocy, gdy samotnie wracałem samochodem z kolacji, którą zjadłem z przyjacielem, Aiertem Erkoreką. To świetny muzyk i jeden z niewielu kumpli z młodości, którzy poświęcili się zawodowo rockowi. Prowadziłem samochód drogą wiodącą nad przepaściami, reflektory od czasu do czasu wyławiały z ciemności drzewa piniowe, i tam, wśród deszczu i mgły, po raz pierwszy objawił mi się Daniel Someres. „A co, gdyby na drogę wyszedł teraz jakiś facet? Rąbnąłbyś go i co dalej?”. Właśnie takie były moje pierwsze myśli, z których narodziła się *Zła droga*. Historia, w której występuje trup, muzyk rockowy i dużo asfaltu. Cała reszta była kwestią ośmiu miesięcy ciężkiej pracy, kilku przeżytych kryzysów i wielu problemów oraz pomocy, z którą przyszło mi wiele osób, którym niniejszym składam podziękowania.

Przede wszystkim dziękuję Javiemu Santiago, jednej z pierwszych osób, którym opowiedziałem tę historię; bardzo pomógł mi ją dopracować. Dziękuję za wspaniałe pomysły, które rodziły się w kawiarnianym rozgwarze, i za ciekawe rozmowy.

Podziękowania dla Bernata Fiola, który z drobiazgową starannością przeczytał maszynopis i poprawił w nim co najmniej dwieście błędów.

Dziękuję Carmen Romero z Ediciones B, która ponownie utrafiła w sedno z tytułem powieści, a ponadto służyła mi przez te wszystkie miesiące ciągłym wsparciem i zrozumieniem.

Jak zwykle mojej towarzyszce życia, Ainhoi, która pozwoliła mi zabałaganić dom karteczkami i rysunekczkami... i słuchała cierpliwie, raz po razie, całej historii; a potem, gdy już *Zła droga* była spisana, przeczytała ją i podsunęła mi parę wspaniałych pomysłów, które weszły do końcowej wersji książki. Dziękuję Ci za współpracę i za współistnienie!

No i oczywiście dziękuję Wam, Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy bierzecie do ręki moje książki, oczekując chwili rozrywki, a nawet od czasu do czasu przysyłacie mi wiadomości zawierające słowa uznania i pytacie, kiedy wyjdzie następna historia. Mam nadzieję, że ta się Wam spodobała i że spotkamy się niebawem.

Serdecznie pozdrawiam,
MIKEL SANTIAGO

przypisy końcowe

1. Brian Jones – brytyjski muzyk, założyciel i pierwszy lider angielskiego zespołu The Rolling Stones; w 1969 roku został znaleziony martwy we własnym basenie. Tej samej nocy dom Jonesa został całkowicie okradziony [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki]. ↵
2. (franc.) śmierć na drodze, wypadek ↵
3. Angielski akronim oznaczający *Mother I'd Like to Fuck* (Mamuśka, którą chciałbym przelecieć). ↵
4. (franc.) Żandarmeria Narodowa w Sainte Claire ↵
5. (franc.) Takie jest życie. ↵
6. (hiszp.) Plaża Niemiecka ↵
7. (franc.) Mój Boże ↵
8. (franc.) Przykro mi bardzo, ale się spieszę. ↵
9. (franc.) Proszę pana, proszę pana, czy pan mnie słyszy? ↵
10. (franc.) Stój! ↵
11. (łac.) Niech odpoczywa w pokoju. ↵
12. (franc.) Błagam, błagam! ↵
13. (franc.) Dobrze, dobrze! Bardzo dobrze!